



SUE MARGOLIS



Ładne Kwiatki

Rozdział 1

Trup miał wzwód? To właśnie próbujesz mi powiedzieć? - Sophie podniosła głos.

Abby przełożyła komórkę do lewej ręki, a prawą nastawiła alarm antywłamaniowy.

- Nie, tylko że jego ptak...

- No przecież mówię!

- To niezupełnie tak: ptak, czyli gołąb. Wleciał do otwartej trumny, znalazł kieszeń starszka i ukrył się w niej. Dlatego na pierwszy rzut oka wydawało się, że trup ma wzwód.

- W takim razie wytłumacz mi jeszcze, co w domu robiły gołębie?

Abby wyjaśniła, że zmarły, którego zwłoki wystawiono w pokoju dziennym bliźniaka w Croydon, pracował jako klaun na przyjęciach dla dzieci.

- Pokazywał sztuczki z gołębiami. W chwili gdy wszyscy właśnie mieli udać się na cmentarz, żona wpadła na poroniony pomysł, żeby wypuścić ptaki z klatek: och, niech biedactwa pożegnają po raz ostatni swego pana. Jestem pewna, że podczas jakiegoś triku ukrywał gołębie w ubraniu, dlatego jeden z nich powędrował prosto do kieszeni kombinezonu.

- Kombinezonu? Wystawiono zwłoki w przebraniu?

- Tak, w stroju klauna w złote i bordowe paski, ze złotymi pomponami z przodu.

- Wzruszające.

ABBY STANĘŁA NA CHODNIKU i zamknęła za sobą drzwi sklepu. A raczej ciężką szklaną tafelę ze stalową klamką w kształcie rozkwitłej róży. Była z niej niesamowicie dumna, bo samodzielnie ją zaprojektowała, głowiąc się nad kształtem, załamaniem i skretem każdego płatka, aż kwiat wyglądał dokładnie tak, jak go sobie wyobraziła. Gdyby przyrzeć się dokładniej - co nikomu, prócz samej autorki projektu nie przyszło do głowy - dałoby się dostrzec nawet miniaturowe kropelki rosy. Projekt powstał jako logo sklepu. Później Abby wpadła na pomysł, by wysłać mejla do firmy w Sheffield, produkującej sztucce, z pytaniem, czy podjęłyby się wykonania metalowej klamki według projektu.

Earnshaw & Sons (z nadania Jej Wysokości) zapewнили ją, że oczywiście. Sześć tygodni później nadeszła przesyłka z misternie rzeźbioną gałką w kształcie róży, a wraz z nią przyprawiający o ból głowy rachunek na trzy tysiące funtów.

Na środku drzwi widniała wytrawiona małymi matowymi literkami nazwa sklepu: Ładne Kwiatki. Czasem, kiedy nie było klientów, Abby stawała na zewnątrz i z nosem przyklejonym

do szyby przyglądała się wielkim szklanym wazonom wypełnionym roślinami; nie mogła uwierzyć, że kwiaciarnia należy do niej.

- Ale jakim cudem znalazłaś się na tym pogrzebie? - chciała wiedzieć przyjaciółka.

Sophie zadawała pytania bez przerwy. „Ile za to zapłaciłaś?”, „Dlaczego twój tata miał kolonoskopię?”, „Czemu wuj zbankrutował?”. Twierdziła, że wszyscy Żydzi tacy już są. Genetycznie zaprogramowani na zadawanie pytań. Lubią okazywać zainteresowanie cudzymi sprawami, bo w ten sposób dają do zrozumienia, że im na kimś zależy. Rodzice przyjaciółki zachowywali się w ten sam sposób, a na dodatek mieli zwyczaj odpowiadać pytaniem na pytanie. „Sammy, która godzina?”. „A co ty myślisz, Faye, że jestem chodzącym zegarkiem?”.

Abby przekręciła klucz w zamku.

- Nie zostałam oficjalnie zaproszona - wyjaśniła i dodała, że Smarty Arty był sąsiadem rodziców z naprzeciwka. Jego żona przyjaźniła się z jej mamą, a kiedy usłyszała, że rodziców nie będzie na pogrzebie, bardzo się zmartwiła. - Mama chciała jakoś jej to wynagrodzić. U sąsiadów nigdy się nie przelewało, panią Arty stać byłoby najwyżej na tani gotowy wieniec, a u mnie zamówiła naprawdę piękną kompozycję, którą osobiście dostarczyłam. Kiedy przyjechałam, wdowa zaprosiła mnie, żebym weszła i napiła się herbaty. - Abby uśmiechnęła się na myśl, że może to wyjaśnienie zadowoli Sophie, choć z nią nigdy nie wiadomo. A nuż dojdzie do wniosku, że czegoś nie zrozumiała, i zapyta, aby się upewnić? Jednak w końcu Sophie rzuciła w odpowiedzi: „Aha”.

- Od trzech lat prowadzę kwiaciarnię, a dopiero po raz drugi przygotowałam wieniec pogrzebowy - dodała Abby w zadumie.

- Pamiętasz pierwsze takie zamówienie?

- Myślisz, że mogłabym zapomnieć? - Nawet teraz, po dwóch latach, zaczerwieniła się na samo wspomnienie.

Jednego dnia przyszły dwa zlecenia. Pierwsze - od kobiety, która chciała pogratulować znajomym z okazji przeprowadzki, drugie - na wieniec pogrzebowy. Abby jakimś cudem pomyliła adresy, w wyniku czego zmarły otrzymał bukiet słoneczników z karteczką: „Wszystkiego najlepszego na nowym mieszkaniu!”.

Pomijając tę gafę, właścicielki kwiaciarni w sumie nie dziwiło, że prawie nie otrzymywała zamówień na wieńce pogrzebowe. Ładne Kwiatki mieściły się w Islington, modnej dzielnicy zamieszkaną niemal bez wyjątku przez ludzi młodych, robiących karierę zawodową, zdrowych i wyjątkowo żywotnych, którym kalie nie kojarzyły się z cmentarzem, lecz z ekstra-

wagancką wiązanką. Były niemal tak popularne jak amarylis czy gałązki wierzby korkowej w cynowych naczyniach; świetnie wyglądały w trendowym wnętrzu loftu.

Nie przerywając rozmowy, Abby sprawdziła, czy drzwi rzeczywiście są zamknięte, następnie, podnosząc kołnierz żakietu, ruszyła w kierunku stacji metra. Przed paroma godzinami przeszła ulewa, a na chodniku wciąż lśniły jeziora kałuż, w których odbijały się uliczne światła. Uwagi Abby nie umknął wyraz zmęczenia i zniecierpliwienia malujący się na twarzach przechodniów omijających to mokre pułapki, to siebie nawzajem.

- Och, na litość boską! - wykrzyknęła w pewnym momencie.

- Co się stało?

- Ochlapało mnie to cholerne auto! Całe nogi mam mokre! - zawołała przerażona, wycierając łydki przyobleczone w świeżutkie, prosto z opakowania pończochy. Niestety, tylko rozmazała błoto. Na domiar złego z przerażeniem zauważyła plamy na nowej, zawiązywanej sukience od Diane von Fuerstenberg, za którą to kreację niedawno zapłaciła trzysta funtów. Powzięła decyzję: jak tylko znajdzie się w restauracji, skoczy do łazienki i spróbuje usunąć plamy papierowym ręcznikiem. Ruszyła, spoglądając na zegarek. Było już po siódmej. Jeśli chce zdążyć do restauracji na wpół do ósmej, musi się pospieszyć. Nie wolno jej się spóźnić! Nie dziś! Próbowała iść szybciej, ale drogę utrudniał jej wracający z pracy tłum, no i oczywiście kałuże.

Nie musiałyby tak pędzić, gdyby nie ostatnie klientki. Matka z córką nawet po godzinie zamknięcia kwiaciarni nie mogły dojść do porozumienia, czy bukiet z pnącego stefanotisu i białych lilii przyćmi suknię ślubną. Sądząc ze zdjęcia, które pokazały, nic z wyjątkiem wiązanki asteroidów nie byłoby w stanie przyćmić jej blasku. Wyglądała jak cukiernicza wariacja na temat *Przeminęło z wiatrem*. Abby w porę ugryzła się w język i zachowała tę opinię dla siebie. Po zamknięciu sklepu zostało jej tylko czterdzieści pięć minut, by dostać się do domu i przebrać, a potem zdążyć na umówione spotkanie do restauracji. Sytuację ratował fakt, że mieszkała tuż nad kwiaciarnią, więc, aby znaleźć się w mieszkaniu, potrzebowała piętnastu sekund.

- A jak tam twoi rodzice, zadowoleni z wakacji? - zapytała Sophie.

- Uważaj, słowo „wakacje” jest na indeksie. Mówiłam ci: to wyprawa, zapomniałaś?

Rodzice Abby, Jean i Hugh, płynęli właśnie na biegun południowy. Zamierzali zobaczyć pingwiny, dlatego wybrali się w rejs dla ludzi w średnim wieku, zorganizowany w ten sposób, by dzięki kabinom o niskim standardzie, kiepskiemu wyżywieniu i braku rozrywek na pokładzie urlopowicze ulegali iluzji, że biorą udział w prawdziwej ekspedycji. Przed kilkoma dniami

polecieli do Buenos Aires, gdzie wsiedli na statek o nazwie Bantry, własność irlandzkiego armatora, po czym wyruszyli w kierunku Antarktyki.

- Tata dzwonił wczoraj wieczorem i zostawił wiadomość na sekretarce, że robi się interesująco. Kapitan zapewnił ich, że sprawdzi, dlaczego w ich kabinie ścieki wybijają do zlewu, i zlikwiduje tę usterkę w ciągu kilku dni. Na razie mama po każdej wizycie w toalecie musi przecierać zlew zapasowym ręcznikiem do twarzy ze środkiem do dezynfekcji.

- Rany boskie! Chyba wiedzą, że w ten sposób mogą zarazić się tyfusem, cholera i Bóg wie czym jeszcze? Koniecznie musisz ich ostrzec!

- Chyba nie jest aż tak źle, przynajmniej na razie, a kiedy wysłałam im SMS z pytaniem, dlaczego nie zażądali innej kabiny, tata odpisał, że nie chcieli sprawiać kłopotu.

- Goje!

- Co chciałaś przez to powiedzieć? - zaśmiała się Abby.

- Że tylko szlachetni goje wolą zejść z tego świata na cholere, niż zawracać komuś głowę. Gdyby to moi rodzice byli na ich miejscu, już dawno wysyłaliby przez radar sygnał SOS i zażądali, by przyleciał po nich helikopter. W tym samym czasie pisaliby pozew przeciwko biurowi podróży, kapitanowi, armatorowi i całej załodze statku. Do tego wysłaliby faks do kuzyna w BBC i jego brata, który jest dziennikarzem „Guardiana”.

- Aha, a przy tym ze złości zeszliby na zawał.

- Rzeczywiście, wcale tego nie wykluczam - zachichotała Sophie. - No właśnie, skoro mowa o pogrzebie, wlokłaś wieniec całą drogę z Islington do Croydon? To chyba z siedemdziesiąt mil w obie strony. Nie mogłaś go wysłać kurierem?

- Mogłam, ale i tak musiałam zajrzeć do rodziców, żeby podlać kwiatki i odebrać sukienkę na dzisiejszy wieczór. Zaszalałam i kupiłam tę szalową bladozieloną kieckę od Diane von Fuerstenberg.

- Po co zostawiłaś ją u mamy?

- Jej przyjaciółka skróciła ją dla mnie.

- O! Musiałaś skracać?

- Tak.

- Nie mogli tego zrobić w sklepie?

- Nie tak szybko. Jeszcze jakieś pytania? - Abby się uśmiechnęła.

- Ojej, przepraszam. Zapomniałam o jedenastym przykazaniu: nie będziesz wściubiać nosa swego długiego w sprawy i uczynki bliźnich szlachetnego pochodzenia, bo jak mówi Pis-

mo, zachować je dla siebie zamiar mają... zainteresowanie sprawami bliźniego swego to grzech śmiertelny.

Abby знаła Sophie Weintraub od czasów szkoły średniej. Już jako czternastolatka została gwiazdą klubu dyskusyjnego. Na bieżąco czytała gazety, a śledzenie zawilności debat politycznych przychodziło jej tak łatwo, jak innym nadażanie za akcją telenoweli.

Dyskusje odbywały się w auli, więc niskiej Sophie trudno było dojrzeć podium. Tym ciekawiej przedstawiał się widok pulchnej dziewczynki o czarnych lokach, z aparatem ortodontycznym, która z zajadłością teriera goniącego szczura broniła swego zdania w kwestii eksperymentów na zwierzętach, legalizacji narkotyków czy wycofania wojsk izraelskich z okupowanej strefy. Do tego czyniła to z taką przenikliwością i elokwencją, że wytrącała nauczycieli z równowagi. Pani od angielskiego, która nazwała ją Porcją na cześć bohaterki z *Kupca weneckiego*, zależało, by Sophie starała się o przyjęcie do Oksfordu lub Cambridge. Ta jednak doszła do wniosku, że te uniwersytety są jak dla niej zbyt elitarne. Wybrała nauki polityczne w Leeds, które ukończyła *summa cum laude*. Wkrótce dostała pracę w jednej z gazet, gdzie przepracowała rok jako stażystka, po czym mianowano ją korespondentką parlamentarną. Wytrwała na tym stanowisku półtora roku, po czym wyznała, że zajęcie wydaje jej się drętwe, a taki stan wyjątkowo nie pasował do usposobienia Sophie. Rzuciła dziennikarstwo polityczne i zatrudniła się w jednej z większych agencji PR w zachodniej części Londynu. Po kilku latach doszła do wniosku, że niczego więcej się tam nie nauczy, i założyła własną firmę w tej branży.

Niektórych raziły obcesowość i niewyparzony język Sophie, jednak Abby wcale nie przeszkadzały te cechy przyjaciółki - jeśli już, to najzwyczajniej ich zazdrościła. W jej własnej rodzinie obcesowe zachowania były nie do pomyślenia. Prowadziły nieuchronnie do sporu, a wszelką konfrontację tego rodzaju Hugh i Jean uważali za zagrożenie. Ostry ton jedynie psuł nastrój, co zawsze powodowało kłótnię i wyzwalało negatywne uczucia. A skoro rodzice nie mieli pojęcia, jak radzić sobie z podobnymi emocjami u siebie i innych, konsekwentnie dusili je w zarodku. Dlatego z pozoru zawsze tryskali humorem, widzieli wszystko w różowych barwach i brali każdy sygnał za dobrą monetę - nawet jeśli zlew w ich kabinie zamieniał się w szambo.

W nieczęstych wypadkach, kiedy emocje brały górę, ojciec wycofywał się do szopy w ogrodzie i porządkował narzędzia. Jean, gdy miała zły nastrój, zabierała się do pielienia lub jeśli pora roku nie pozwalała na wyjście do ogrodu, znikwała pod byle pretekstem w spizarni.

W rodzinie Weintraubów wszystko wyglądało inaczej: jej członkowie nie mieli żadnych zahamowań w okazywaniu uczuć, nawet najbardziej skrajnych. Nikomu, zwłaszcza Faye, nie przyszłoby do głowy, by dostosować stopień zaangażowania emocjonalnego do okoliczności. Wszystko jedno, czy ktoś w cukierni wykupił jej przed nosem ostatnią babkę marmurkową, czy na skutek trzęsienia ziemi w Pakistanie zginęły tysiące osób - w obu przypadkach była załamana.

Do tego wszystkiego ciągle nawzajem się siebie czepiali. „Sammy, jak możesz pożerać tyle tłuszczów nasyconych! Żebyś nie płakał mi potem w rękaw, jak dostaniesz ataku serca!”, na co Sophie uspokajała: „Mamo, do jasnej ciasnej, daj tacie spokój przez pięć minut!”, ale bez skutku. „Nie wrzeszcz! Suflet w piekarniku mi od tego opadnie!”

- Wszystko jedno. Dzwonię po to, by powiedzieć, że będę trzymać za ciebie kciuki dziś wieczorem. Jak się czujesz? - zapytała Sophie.

- Trochę się denerwuję - odpowiedziała eufemistycznie.

- Abby, posłuchaj mnie. Będzie dobrze. Jesteś piękna, inteligentna i odnosisz sukcesy w pracy. Zupełnie nie masz się czym przejmować. Czekał, ktoś to zajął dwunaste miejsce w rankingu na sto najmodniejszych sklepów, ogłoszonym przez niedzielny dodatek „Timesa” o modzie?

- Ja - wymamrotała w odpowiedzi.

- Proszę? Nie dosłyszałam, możesz powtórzyć?

Abby wyobraziła sobie Sophie, jak stoi z rękami na biodrach, lekko parsknęła śmiechem i pokornie odpowiedziała raz jeszcze.

- A co o tobie napisali? - Przyjaciółka nie dawała za wygraną.

- Daj spokój, dobrze wiesz co. - Twarz dziewczyny zrobiła się purpurowa.

- Ja wiem, ale tobie może trzeba przypomnieć. „Abby Crompton, właścicielka Ładnych Kwiatków, to nie kwiaciarka, lecz artystka florystyki, która potrafi zamienić byle bukiet w arcydzieło sztuki wnętrzarskiej”. Dobrze zacytowałam?

- Mniej więcej.

- No i świetnie. I czy mi się zdaje, czy po ukazaniu się niedzielnego dodatku „Timesa” londyński „Evening Standard” mianował twoją kwiaciarnię sklepem roku?

- Nie zdaje ci się. Wszystko ślicznie, wszystko pięknie, tyle że dziś nie chodzi o moją pracę, kreatywność ani o zmysł do interesów, ale o mnie jako osobę. Czy okażę się odpowiednia.

- Nie przesadzaj. Czemuż to niby miałyby być nieodpowiednia?

- A chociażby dlatego, że pochodzę z Croydon. Słuchaj, muszę kończyć, bo zaraz stracę zasięg - ostrzegła Abby, schodząc po stopniach prowadzących do stacji metra. - Dzięki, że zadzwoniłaś, trochę mnie pocieszyłaś. Odezwę się i dam znać, jak było.

- Koniecznie! I nie zamartwiaj się na zapas, założę się, że czeka cię wspaniały wieczór.

LADY PENELOPE KENWOOD, wdowa, była przyszłą teściową Abby. Miesiąc temu jej syn, Toby Kenwood, poprosił dziewczynę o rękę i został przyjęty. Dziś po raz pierwszy przedstawiał narzeczoną matce. We trójkę mieli zjeść kolację w Ivy, niezwykle wytwornej garkuchni dla celebrytów i przedstawicieli show-biznesu w Covent Garden.

Na stacji metra Angel Abby musiała pokonać dwie kondygnacje ruchomych schodów. Biegła, choć miała buty na wysokich obcasach, ale kiedy wpadła na peron, pociąg właśnie ruszał. Spojrzała na zegarek: dziesięć po siódmej. Na tablicy informacyjnej wyświetlił się napis, że następna kolejka przyjedzie za osiem minut.

- Niech to szlag - skwitowała sytuację, sadowiąc się na wolnej ławce. W oczekiwaniu na pociąg cofnęła się myślą ku scenie sprzed około tygodnia, kiedy przyjęła oświadczyzny Toby'ego. Popijali wino u niej w kuchni, czekając, aż dojdzie sos bolognese.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że po śmierci matki zostanę lordem Kenwood, a tobie, przynajmniej oficjalnie, przypadnie tytuł lady?

Abby zakochała się w narzeczonym z powodów, które nie miały nic wspólnego z zawartością jego portfela ani statusem społecznym. Zaśmiała się na samą myśl o tytule szlacheckim - nawet jeśli by miała go używać „przynajmniej oficjalnie”.

- To dobre, wyobrażasz mnie sobie jako lady Abby z Croydon? Bo ja nie. I mierzi mnie to całe szlachecko-heraldyczne zawracanie głowy. Ludzie powinni zapracować na tytuły, a nie je po prostu dziedziczyć. bo to tylko umacnia podziały klasowe.

Toby odparł, że uwielbia, kiedy Abby przechodzi na tematy polityczno-społeczne, bo to jeden z powodów, dla których się w niej zakochał.

- Zgadzam się, ale jak przyjdzie co do czego, możesz zmienić zdanie. Czy ci się to podoba, czy nie, tytuł otwiera wiele drzwi, nawet w dzisiejszych czasach.

Toby niechętnie mówił o matce, jednak w ciągu dziewięciu miesięcy znajomości Abby udało się nieco zorientować w sytuacji. Lady Penelope była pierwszą kobietą w rodzinie, która po skończeniu prywatnej szkoły postanowiła pójść na uniwersytet. Studiowała prawo, a później

specjalizowała się w prawie karnym jako obrońca, a klienci pchali się do niej drzwiami i oknami. Karierę, na własne życzenie, skończyła z chwilą zamążpójścia. Uparła się, że jej obowiązkiem jest wspierać męża, rozmnażać się przykładowo i pomagać w zarządzaniu posiadłością Kenwood. Toby opisywał matkę następująco: koniara, straszna snobka, apodyktyczna, potrafi zamęczyć na śmierć. Coś w stylu Margaret Thatcher, tyle tylko że bez słynnej rezerwy Żelaznej Damy. Można sobie wyobrazić mamę, jak po wiecu bierze Hitlera za kłapy i strofuje za to, że się garbi.

- Ładne rzeczy! To co, na przywitanie mam ją pocałować czy zasalutować?

Toby skwitował pytanie nerwowym półuśmiechem.

- Wiesz co, wcale nie jestem przekonany, czy wasze spotkanie to dobry pomysł. Ona potrafi być przerażająca. Onieśmiela wszystkich, których spotyka na swej drodze. Może powinniśmy jeszcze poczekać.

- Nie ma mowy - zaśmiała się Abby. - Zareczyliśmy się. Muszę ją poznać. Najwyższy czas. Słuchaj, nie będę udawać, po tym, co mi powiedziałeś, mam lekkiego stracha, ale na pewno dam sobie radę.

- Wiem. Chciałem cię tylko trochę przygotować.

- Bez obaw, już zdążyłam się nieco zorientować w sytuacji.

- Możesz przypodobać się mamie, jeśli porozmawiasz z nią o polowaniach na lisy. Jest łowczym okręgu i uwielbia się tym przechwalać.

Abby odparła, że nie chce się czepiać, ale nie zamierza udawać zainteresowania krwawym sportem, odrażającym do tego stopnia, że od dawna powinien być zabroniony.

- Daj spokój, Abby! - jęknął. - Nie potrafisz odpuścić choć na pięć minut. Dla mojej mamy to życiowa pasja, opowiadanie na ten temat wprawia ją w dobry humor. Nie mogłabyś przynajmniej raz się poświęcić? Zrób to dla mnie. Jeśli zaczniesz drzeć koty z mamą, rozpęta się piekło, słowo! - Podszedł do kuchenki, gdzie Abby mieszała sos, i objął dziewczynę w talii.

- Obiecuj, że jej nie rozdrażnisz... proszę - nalegał i zaczął całować ją po szyi.

- No nie wiem. - Cmok. - Niech ci będzie, jeśli to ją uszczęśliwi. Za nic nie chciałabym wzbudzać negatywnych emocji. O Boże, mówię jak własna matka.

- Dobra dziewczynka. I wiesz co? - dodał. - Od lat nie polowałem, chyba odkąd przeprowadziłem się do Londynu. W pewien sposób brakuje mi tego uczucia niezwyklej jedności z naturą.

- Na pewno lis czuje to samo - gładko przytaknęła Abby, posypując sos suszonymi ziołami. - Wyobrażam sobie, co myśli, kiedy dopadają go psy: ojej, strasznie boli, kiedy wtapiają się we mnie kły, ale przynajmniej jednoczą się z naturą!

Toby zignorował uwagę i dorzucił, wyszczerzając zęby w uśmiechu:

- A poza tym w stroju do polowania prezentuję się bosko, gdybyś mogła zobaczyć mnie w tym czerwonym żakiecie!

Wyglądał się, ale Abby wiedziała, że spod żartu przebija prawda. Toby, cokolwiek by włożył, wyglądał świetnie i dobrze o tym wiedział. Jego szczupła, smukła sylwetka o szerokich ramionach, do tego gęste jasne włosy, kobaltowe oczy i patrycjuszowska szczęka - wszystko to powodowało, że był idealnym modelem do noszenia ubrań. Do tego młody bóg miał niesamowite wyczucie stylu, niezawodny instynkt, który podpowiadał mu, jak zestawiać ubrania i dodatki.

Kiedy Abby ujrzała go po raz pierwszy, a było to na wytwornym przyjęciu urządzonym przez znajomą Sophie, stał przy barze ubrany w smoking i oszałamiał swoim wyglądem. „Jak Roger Moore w roli Jamesa Bonda” - pomyślała. Popijał coś, co wyglądało na campari, i flirtował z trzema czy czterema hałaśliwymi, długowłosymi istotami z Fulham, którym wyraźnie na jego widok miękły kolana. Abby czuła się podobnie; czekając przy barze, szybko oceniła swoje możliwości i doszła do wniosku, że ten arystokratyczny Bond należy do lepszych kręgów towarzyskich niż ona.

W tej samej chwili wpadła na nią jakaś starsza pani i oblała jej nowiutką sukienkę zawartością nawet nie jednego, lecz dwóch kieliszków szampana. Toby w sekundę znalazł się przy niej. Rzucił się na pomoc, wycierając plamę ręcznikami i wodą sodową, których zażądał od barmana. Na ratowanie Abby poświęcił chyba kwadrans i w tym czasie coś między nimi zaiskrzyło - tak silnie, że Toby uprosił kelnera, by jakoś zorganizował dla niego dodatkowe miejsce przy stoliku dziewczyny. Przegadali całą kolację i resztę wieczoru. Przyprawiał Abby o histeryczny chichot, naśladując kolejno kilku ekscentrycznych utytułowanych krewnych - w tym księcia, który zwykł trzymać nocnik za parawanem w jadalni. Zagadani, roześmiani, o drugiej w nocy wylądowali u niej w mieszkaniu.

- Ale skąd wiesz, że to prawdziwy arystokrata, a nie jeden z tych wytwornych naciągaczy samotnych kobiet, o których od czasu do czasu piszą w gazetach? - spytała Sophie następnego dnia rano. Była przerażona, że Toby mógłby zabrać jej przyjaciółkę w romantyczną podróż na

Daleki Wschód, gdzie obudziłaby się pewnego dnia bez nerki. Abby postanowiła nie ulegać paranoicznej wizji Sophie i sprawdzić Toby'ego w internecie.

Nie musiała - przeglądając stary numer „Tatlera” u manikiurzystki za rogiem, trafiła na jego zdjęcie w otoczeniu kolegów, na urodzinach jakiegoś nieznanego Abby arystokraty. Pod fotografią widniało nazwisko - Kenwood.

Przez kilka kolejnych tygodni Toby starał się ją olśnić, zapraszając do rozmaitych ekskluzywnych restauracji, jak Gordon Ramsey czy Petrus, gdzie przeciętni śmiertelnicy musieli zamawiać stolik z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem, a on nigdy nie miał problemu z rezerwacją. W ciągu dnia przysyłał jej mejle z komiksami i żartami z internetu. „To powinno cię rozśmieszyć. Miłego dnia. Tęsknię i nie mogę się doczekać wieczoru. XXX. Toby”. Żarty zawsze wydawały jej się zabawne. Stopniowo wypracowali własne. Dzięki ulubionemu skeczowi z Monty Pythona przy śniadaniu używali tylko masła Whizzo, a na deser raczyli się pralinkami Chrupiąca Żabka. Pewnego razu, kiedy Abby rzuciła okiem na sumę widniejącą na rachunku, który przyniesiono Toby'emu w restauracji, zrobiła przerażoną minę i zawołała, że następnym razem należałoby poprosić o ratunek, a nie o rachunek. Od tej pory wszystkie rachunki nazywali ratunkami.

Tygodnie zamieniały się w miesiące, a Abby zakochiwała się coraz mocniej. Im lepiej poznawała Toby'ego, tym wyraźniej zdawała sobie sprawę, że przyciągnęło ją do niego coś więcej niż dobry wygląd, inteligencja, żywe poczucie humoru, szczodrość i względy, jakimi ją darzył. Najbardziej podobało jej się, że przy swoich trzydziestu czterech latach był naprawdę dojrzały.

Wcześniej Abby zbyt często trafiała na mężczyzn, którzy wciąż zastanawiali się, co zrobić ze swoim życiem, mimo że dawno przekroczyli już trzydziestkę. Zwykle byli to zadęczający się frustraci marzący bezustannie o tym, by rzucić pracę niedającą im satysfakcji i ruszyć w podróż dookoła świata na harleyu. Nie wyobrażali sobie stworzenia stałego związku. Małżeństwo, dzieciaki, kredyt mieszkaniowy stanowiły dla nich synonimy słowa „pułapka”. Jeden z jej byłych posunął się jeszcze dalej i wyznał, że dla niego brzmią one jak „śmierć”. Abby potrafiła zrozumieć ich punkt widzenia, ale po tym, jak przez lata zmagiała się z założeniem i prowadzeniem własnej firmy, wołała związać z kimś, dla kogo praca byłaby równie ważna. Toby pod tym względem świetnie do niej pasował. Zdążył już się wyszumieć, podróżując po świecie z plecakiem, dorabiając w restauracjach na plaży w Tajlandii, teraz miał

w planach karierę i stabilizację. O niej samej mówił, że urzekła go poczuciem humoru i żywym usposobieniem.

Na początku różnica klasowa nie stanowiła problemu. Oboje stroili sobie żarty z arystokratycznego pochodzenia Toby'ego. Przecież nie był przerasowanym dziedzicem o cofniętym podbródku, przejeżdżającym dwukółką przez włości w oczekiwaniu, że poślednie stany będą czapkować na jego widok. Zarabiał na życie tak samo jak ona. Przychodziło jej czasem na myśl, że niektórzy jego krewni - zwłaszcza matka - mogą traktować ją z góry, ponieważ nie ma „odpowiednich” znajomości i nie kończyła elitarnej szkoły, ale była zbyt zakochana, by zaprzętać sobie tym głowę. Zresztą potrafi się bronić, a Toby nie pozwoliłby nikomu zrobić jej przykrości.

Jean i Hugh byli tak onieśmieleni pochodzeniem i zamożnością narzeczonego, że potrzebowali czasu, by choć trochę się z nim oswoić i przyjmować go na jakim takim luzie. Za pierwszym razem, kiedy Abby przyprowadziła Toby'ego na kolację, Hugh wykosztował się na wino za trzydzieści funtów, a Jean uprzednio dała do czyszczenia wszystkie dywany, zasłony i tapicerkę. Do tego zmusiła męża, by przyniósł ze strychu zapomniane niemal platery i zastawę babci Ginny. Mama zamartwiała się bezustannie, czy sztuce do ryby są drobnomieszczańskim przeżytkiem, i błagała ojca Abby, by nie nazywał salonu „dużym pokojem”. Trzeba przyznać, że Toby poczuł się u nich swobodnie. Przyniósł czekoladki z Maison du Chocolat dla gospodyni i przez cały wieczór tryskał humorem. Kiedy popijali drinki przed kolacją, Jean opowiadała nerwowo o ogrodzie, gość sprawiał wrażenie szczerze zainteresowanego i zadawał właściwe pytania. Podobnie zachował się, gdy Hugh rozplątywał się w zachwytach nad detalami swojego nowego citroena C4.

- GPS ma oczywiście w standardzie, ale trzeba dopłacić za ogranicznik prędkości. Jednak obecnie, przy kamerach drogówki na każdym kroku, to się naprawdę opłaca... Toby, proszę, poczęstuj się purée z groszku, Jean sama robiła, palce lizać.

- Hugh, na litość boską, to nie tłuczony groszek, tylko guacamole. Przecież tak często je robię, mówiłeś, że je uwielbiasz - zarumieniła się Jean i próbowała ukryć zmieszanie, śmiejąc się nerwowo.

- O, rzeczywiście? - Jej mąż zmarszczył brwi, próbując sobie przypomnieć.

- Oczywiście. Ostatni raz zrobiłam guacamole, kiedy wpadła z wizytą Kath, twoja siostra, i na dobrą sprawę sam wyjadłeś całe z miski - wypaliła, czerwieniąc się ze zdenerwowania.

- Jeszcze ślimaczka z szynki i sera, drogi Toby? - zaszcebiotała.

Kiedy Toby zaczął częściej wpadać z wizytą, rodzice trochę się uspokoili. Jean była w stanie nalać mu kawy do kubka z Ikei, a Hugh podawał do kolacji australijskie czerwone wino za 6,99 funta.

Rodzicom także podobała się dojrzałość Toby'ego.

- Taki rozsądny, solidny młody człowiek. - Abby podsłuchiwała, jak Jean opisywała go przez telefon cioci Gwen. - Oboje z Hugh po prostu za nim przepadamy. Abby naprawdę ma szczęście. Idealna z nich para, po prostu i-de-al-na.

Nie zdziwiły ich wieści o zaręczynach po ośmiomiesięcznej znajomości. Jean nie posiadała się z radości i natychmiast zaczęła rozmyślać nad urządzeniem weselnego przyjęcia.

- Moglibyśmy postawić namiot w ogrodzie - opowiadała Abby przez telefon - na początek podać wino musujące i przekąski, a na później przygotować bufet: zimny i na ciepło. W sklepie rybnym powiedzieli, że mogą przyszykować łososia *en croute*, o ile zamówię go wystarczająco wcześnie. A ciocia Gwen robi takie pyszne tiramisu! Pamiętasz, jak wszyscy się na nie rzucili na przyjęciu u wuja Phila z okazji jego przejścia na emeryturę! - przypomniała. - Kochanie, wiem, że nie będzie to nic na wielką skalę, jak przyjęcia, do jakich przywykła matka Toby'ego, ale on jest taki miły, wcale nie zachowuje się jak snob, czego obawialiśmy się z tatą. Na pewno jego mama okaże się taka jak on i zrozumie, że staramy się, jak możemy.

- Och, na pewno. Wszystko brzmi wspaniale. - Abby postanowiła nie straszyć mamy i nie powtórzyła jej nic z tego, co o charakterze rodzicielki opowiadał Toby. Nie miała także ochoty uświadamiać Jean, jak lady Penelope Kenwood zareagowałyby na wieść, że wesele jej syna odbędzie się w namiocie w ogródku na tyłach bliźniaka w Croydon, gdzie goście będą popijać szampana z supermarketu i ustawiać się w kolejce po tiramisu cioci Gwen.

Kiedy Abby poinformowała Sophie o zaręczynach, ta uściskała przyjaciółkę, złożyła życzenia i zaintonowała chórek z *My Sweet Lord*.

Wreszcie nadjechał pociąg do stacji Edgware Road i Abby wstała z miejsca. Powróciło zdenerwowanie. Choć Toby na pewno będzie ją wspierał, perspektywa zbliżającej się kolacji w towarzystwie matki ukochanego budziła skojarzenia z zaproszeniem na dywanik do dyrektorki dawnej szkoły, panny Raffan. Wyobraziła sobie, jak lady Penelope przyłapuje ją na użyciu niewłaściwego kieliszka albo sztucców: „Abigail Crompton - dyrektorka zbeształaby ją dudniącym głosem dobywającym się z szacownej piersi w rozmiarze XXL - zawiodłaś szkołę. Zawiodłaś rodziców. A co najgorsze, zawiodłaś także samą siebie”.

Drzwi otwały się z piskiem. Wewnątrz panował straszny ścisk, o miejscu siedzącym Abby mogła najwyżej pomarzyć. Na ławce obok niej spoczywała para z plecakami opartymi o nogi. Dziewczyna i chłopak wspólnie czytali przewodnik po Londynie po włosku. Ona oparła głowę na piersi chłopaka, który co chwila gładził jej długie włosy. Próbowła wymawiać nazwy z przewodnika, przekręcając je na wszelkie sposoby. Angielski chłopaka był nieco lepszy, dlatego próbował poprawiać jej błędy, ona zaś usiłowała wymawiać słowa na nowo, myśląc się po raz kolejny, z czego zaśmiewali się oboje.

Abby przyglądała się parze i poczuła przyływ silnego uczucia, którego nie potrafiła nazwać. To nie zazdrość, bardziej smutek, a może rozczarowanie? Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ona z Tobym ostatni raz obejmowali się czy wspólnie chichotali. Nie było w tym niczyjej winy; ona pracowała przez sześć dni w tygodniu, a prawnicy z dużych korporacji - zwłaszcza tak ambitni jak Toby - mogli tylko pomarzyć, by o szóstej spakować manatki i wyjść z biura. Zwykle nawet o ósmej czy dziewiątej wieczorem tkwił jeszcze w pracy przy biurku. Przychodził potem do niej na kolację, a po posiłku pragnął jedynie zobaczyć wieczorne wiadomości i zasnąć.

Czasem narzeczony brał wolne, by mogli spędzić więcej czasu razem. Przez cztery miesiące, odkąd zaczęli ze sobą chodzić, obiecywał jakiś romantyczny wypad we dwoje. Niestety, za każdym razem, kiedy już prawie coś zarezerwowali, okazywało się, że Toby nie może wyjechać, bo właśnie zlecono mu ważny proces lub szykowało się zawarcie jakiejś istotnej umowy.

W zeszłym miesiącu udało im się wyskoczyć do Paryża. W ramach przeprosin za odwołane urlopy firma Toby'ego zafundowała im tydzień w hotelu Georges Cinq. Pierwszego wieczoru poszli wcześniej do łóżka, z butelką cristala. Abby włożyła nowiutki negligé marki La Perla i położyła się pierwsza w nadziei, że Toby zaraz go z niej zedrze. Próba - mimo zachęty i wysiłków z jej strony - okazała się nieudana, co usprawiedliwiali zmęczeniem narzeczonego.

- Jutro będzie dobrze, zobaczysz. - Abby pogładziła Toby'ego po głowie.

Jednak następnego wieczoru sytuacja się nie poprawiła. Toby powiedział, że czuł się, jakby próbował wcisnąć galaretkę do otworu automatu do gry. Abby znów musiała go pocieszać i uspokajać, bo zdenerwowaniem tylko pogorszyłyby sprawę. Zaledwie udało się im zasnąć, zadzwonił telefon.

- Nie odbieraj. Przecież można zostawić wiadomość.

- Nie, muszę odebrać - zaprotestował Toby, podnosząc słuchawkę. - Mogą dzwonić z biura.

I rzeczywiście. Zrobił zakłopotaną minę i przeczesał ręką włosy.

- W porządku. Nie ma sprawy. Zostawcie to mnie. - Zakończył rozmowę i zwrócił się do Abby: - Jeszcze trochę i fuzja MSP padnie. Muszę lecieć jutro do Brukseli i zebrać wszystko do kupy.

- Daj spokój, Toby, przecież to nasz romantyczny wypad. Tak bardzo jest nam potrzebny, na pewno mogą wysłać kogoś innego.

- Nie mogą, to moja sprawa. Ja jestem za nią odpowiedzialny.

Nie chciała dać po sobie poznać, jak wielką przykrość jej sprawia, ale zdradziła ją mina.

- Abby, co mam robić? Chcesz, żebym powiedział szefom: pocałujcie mnie gdzieś? Płacą mi majątek, więc wymagają.

- Dobrze, ale to nie znaczy, że jesteście ich własnością.

- Wiesz co? Na dobrą sprawę tak to wygląda.

Etos pracy. W sumie podziwiała poświęcenie Toby'ego. Przecież dostawał przychód z rodzinnego funduszu i gdyby chciał, mógłby zrezygnować z posady. Twierdził jednak, że to matka wychowała go w poczuciu, jak ważna jest praca, i ma obowiązek dać coś z siebie światu. Jego ojciec nigdy nie skalał się pracą zawodową - z wyjątkiem sporadycznych spotkań z zarządcami posiadłości Kenwood. Był pijakiem i hazardzistą. Przed śmiercią na marskość wątroby, w wieku pięćdziesięciu sześciu lat, zdołał przepuścić i przegrać kilkaset tysięcy funtów, co nawiasem mówiąc, nie przyniosło większego uszczerbku rodzinnej fortunie. Matka znienawidziła go w końcu, po tym jak zamienił się w patetycznego dziadygę - opowiadał Toby. Po śmierci męża odżyła: została sędzią w miejscowym okręgu łowczym i zasiadła w radzie szpitala. Poświęciła się działalności dobroczynnej, pracuje non stop. Od czasu śmierci taty to ona była dla Toby'ego wzorem.

Wziął Abby za rękę.

- Obiecuję, że ci to wynagrodzę. Wrócę jutro - koło szóstej, najpóźniej o siódmej. Wybierz się do Luwru, przecież nigdy tam nie byłaś. Wieczorem pójdziemy na kolację, zarezerwuję stolik w jakimś naprawdę wyjątkowym miejscu.

- Niech będzie. - Wychyliła się i pocałowała Toby'ego w policzek.

Budząc się następnego ranka, ujrzała swojego chłopaka stojącego przed lustrem.

- Dzień dobry - ziewnęła.

- Co za szczęście, że w ostatniej chwili namyśliłem się i zapakowałem garnitur! Miałem nie brać, ale przyszło mi do głowy, że może wyjdziemy gdzieś wieczorem na wytworną kolację.

Postawił kołnierzyk koszuli i zaczął wiązać popielato-wiśniowy krawat w paski. Kiedy skończył, podszedł do łóżka, aby się pożegnać.

- Przepraszam, że tak wyszło.

Pocałowała go i zapewniła, że nie szkodzi.

- Wiesz co?

- Co? - spytała, wygrzebując się z pościeli.

- Powinniśmy się pobrać. Wyjedziemy wtedy na miesiąc miodowy i nikt nie odważy się nam przeszkodzić.

- Chwileczkę. - Z wrażenia odrzuciła koc i prześcieradła. - Chcesz wziąć ślub tylko dlatego, żeby pojechać na wakacje?

- Ależ skąd. Chcę wziąć ślub, bo cię kocham, a przy okazji pojechać na wakacje. Co ty na to?

- Nie są to najbardziej romantyczne oświadczenia, o jakich marzy dziewczyna.

- Daj spokój, nie jesteśmy sentymentalni. Nie chciałabyś chyba, żebym klękał przed tobą na szczycie wieży Eiffla?

- Skąd wiesz?

- Przecież to byłby straszliwy kicz.

- Racja, ale mogłeś przynajmniej oświadczyć mi się wieczorem przy kolacji.

- Aha, może jeszcze miałem ci wrzucić pierścionek zaręczynowy z diamentem do kieliszka z szampanem? Obrzydlistwo, zresztą jestem pewien, że wolisz sama coś wybrać. Nasza firma dostaje duże zniżki u jubilera na Hatton Garden.

- Z sekundy na sekundę robisz się coraz bardziej romantyczny.

- Myślę praktycznie i już. Nie ma sensu wyrzucać pieniędzy.

- Nie ma?

- Więc jak? - Usiadł na łóżku i wziął ją za rękę. - Wyjdiesz za mnie?

Nie musiała prosić o czas do namysłu. Przecież wiedziała, że choć zawsze będzie musiała dzielić się Tobym z firmą, to okaże się on dobrym mężem i nigdy nie przestanie jej kochać.

- Jasne, że wyjdę, brzydaku! - Uśmiechnęła się do niego szeroko.

- Cudownie! Genialnie! - Wziął ją w ramiona i pocałował w usta tak namiętnie, że nim się zorientowała, zaczęła go błagać, by wrócił do łóżka.

- No chodź! - zachęcała, zmagając się z klamrą u paska. - Tylko na pięć minut! Założę się, że tym razem dasz radę!

- Cóż to za zachowanie - upomniął łagodnie, odsuwając jej rękę od rozporka. - Muszę lecieć, bo ucieknie mi pociąg.

Zadzwoił o szóstej, by powiedzieć, że negocjacje się przeciągają, i zapytał, czy mogłaby przesunąć rezerwację na dziewiątą. Godzinę później przeproszał, ale rozmowy utknęły w martwym punkcie i musi zostać na noc w Brukseli.

- Abby, tak mi przykro, jakoś ci to wynagrodzę, przysięgam!

- Aha. - Nawet nie próbowała ukryć rozczarowania.

- No, nie bądź taka...

Nie mogła nic na to poradzić. Toby został w Brukseli na kolejne dwa dni.

- Tak dalej być nie może - protestowała podczas jednej z ich późnowieczornych rozmów telefonicznych. - Nie chodzi teraz o mnie, ale o ciebie. Za ciężko pracujesz, zamęczysz się, pochorujesz.

- Wiem, masz rację. Kiedy ta sprawa się zakończy, porozmawiam z którymś ze współwłaścicieli.

Abby postanowiła nie wracać do domu. Niedoczekanie, by zrezygnowała z pięciu dni w George Cinq! Zwiedzała Paryż i robiła zakupy. Toby powrócił piątego dnia wieczorem, pełen skruchy i obietnic, że taka sytuacja nigdy więcej się nie powtórzy. Wręczył jej największą butlę Chanel nr 5, jaką w życiu widziała, i oznajmił, że zdobył stolik w L'Orangerie, gdzie z powodu przyznanych jej trzech gwiazdek przewodnika Michelin na rezerwację zwykle trzeba czekać kilka tygodni. Toby jednak miał znajomego, który pracował na paryskiej giełdzie, znał *maître'a* i pociągnął za właściwe sznurki.

- Więc jak, wybaczysz mi, że zostawiłem cię samą?

Abby wzięła do ust kolejny kęs rozpływającej się w ustach kaczki w pomarańczach i uśmiechnęła się do narzeczonego.

- Jakoś z trudem, ewentualnie, niech ci będzie. Wybaczam ci.

Na stacji King's Cross przesiadła się w linię Piccadilly. Dopiero kiedy usiadła i policzyła przystanki do Covent Garden, z przerażeniem przypomniała sobie, że na stacji tej nie ma ruchomych schodów. Ponieważ peron mieścił się bardzo głęboko pod ziemią, zainstalowano

tylko windy. Abby poczuła, jak przyspiesza jej tętno i robi jej się niedobrze. Nie jeździła windą. Od lata roku 1984, kiedy była z rodzicami na Korfu. Pewnego wieczoru Jean i Hugh zostali w barze na drinka, a Abby z angielską koleżanką postanowiły się pobawić.

Przez dwadzieścia minut jeździły w górę i w dół windą, po czym ta bez ostrzeżenia zatrzymała się między piętrami. Światło zgasło i dwie przerażone dziewięciolatki ogarnęła całkowita ciemność. Wołały o pomoc, ale minęło kilka minut, zanim ktoś w ogóle zauważył, co się dzieje, a uwolnienie ich zajęło obsłudze prawie całą godzinę.

Od tej pory Abby bała się jeździć windą. Kiedy tłumaczyła innym, że woli wejść na dziesiąte piętro po schodach, bo to zdrowo, patrzyli, jakby miała nierówno pod sufitem.

Na stacji Covent Garden były schody, ale na King's Cross czekała całe wieki i nie miała już czasu. Wchodzenie na górę zajęłoby jej przynajmniej dziesięć minut. Co gorsze? Miała wybór: albo ulec fobii, spóźnić się i zmierzyć z gniewem krwiożerczej lady Penelope, albo zamknąć oczy, wstrzymać oddech i podobnie jak reszta świata wjechać windą. To sytuacja podbramkowa: gniew przyszłej teściowej zdawał się o wiele łatwiejszy do zniesienia niż dusząca, zatrzymująca bicie serca panika, jaką poczuje w windzie. Jej stopa tam nie postanie! Nie miała żadnych wątpliwości.

Pociąg zwolnił i wjechał na stację. Abby wstała i skierowała się ku wyjściu. Z drugiej strony, tak bardzo zależało jej, by zrobić dobre wrażenie! Jeśli się spóźni, lady P. pomyśli, że wcale jej nie zależy, i nigdy jej tego nie zapomni. Szansa na dobre stosunki zostanie zduszona w zarodku. Do tego, co tu kryć, Toby się wścieknie i nie odezwie się do niej przez ładnych parę dni.

A może wsiąść do windy? Poczwała na skroniach kropelki potu. Nie. Za żadne skarby. A może jednak? Próbowwała przekonać siebie, że winda w Covent Garden, w przeciwieństwie do złomu na Korfu, jest obszerna, nowoczesna i ma klimatyzację. Jazda nie potrwa dłużej niż kilka sekund, będzie z nią mnóstwo ludzi.

Co z tego? Nie ma mowy, nie pojedzie.

Drzwi się otworzyły. Abby wysiadła z kilkorgiem innych pasażerów. Stała na peronie i popatrzyła na strzałkę wskazującą kierunek do windy. Poczwała, jak wali jej serce. Peron wypełniał się ludźmi. Poszukała wzrokiem znaku wskazującego drogę do schodów, ale nie mogła go znaleźć. Tłum popychał ją ku windom, nie potrafiła się z niego wydostać. Kolana jej drżały. Ogarnęło ją uczucie, jakby przeskoczyła do innej rzeczywistości, gdzie musi przepychać się

przez gęstą owsiankę, i zdała sobie sprawę, że nie uda jej się wydostać na wolność. Jej oddech stał się płytki i przyspieszony.

W pewnym momencie przepuściła przed siebie grupę rozgadanych francuskich uczniów, z którymi jechała w wagonie. Dzieciaki zmierzały ku windom. W mgnieniu oka jedna z nich zjechała, drzwi się otworzyły i uczniowie, wraz z innymi oczekującymi pasażerami, rzucili się do środka. Abby z zaciśniętymi ze strachu oczami postanowiła pójść ich śladem, ale zabrakło dla niej miejsca. Ona i jeszcze ktoś musieli wyjść i poczekać na następną windę. Przyjechała prawie natychmiast.

- Proszę, pani pierwsza. - Usłyszała za sobą głos. Młody mężczyzna uśmiechnął się i gestem zachęcił do wejścia. Zawahała się. Poczowała impuls, by zawrócić i poszukać schodów.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się. Wbrew sobie weszła do windy i czekała, aż zasuną się drzwi.

Rozdział 2

Ciężkie stalowe drzwi powoli zasuwwały się i bezszelestnie spotkały pośrodku. Była w zamknięciu. Odseparowanie od zamieszania i hałasu na peronach - czyli właściwie od świata zewnętrznego - spowodowało, że poczuła się jak w pułapce; bezsilna. Opanowała się na tyle, by nie bębnić pięściami w drzwi i nie krzyknąć: „Pomocy, niech mnie ktoś wypuści!”.

Serce jej biło jak szalone, zamknęła oczy w oczekiwaniu, aż winda ruszy. Próbowwała się pocieszać, że za kilka sekund będzie po wszystkim. Wyobraziła sobie, jak wychodzi na świeże powietrze, dumna, że stawiała czoło lękowi. Zaczęła liczyć mijające sekundy. Sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa, sto dwadzieścia trzy, sto... Wystarczy. No jedźże wreszcie! Po sześciu sekundach winda nawet nie ruszyła. Serce waliło, jakby zaraz miało rozsadzić jej klatkę piersiową. Potrzebowała powietrza. Wzięła głęboki oddech, potem jeszcze jeden i jeszcze jeden, aż zaczęło jej się kręcić w głowie. Otworzyła oczy, aby się uspokoić, dłoń oparła płasko o ścianę. Jej towarzysz stał po lewej stronie, kilka kroków od niej. W uszach miał białe słuchaweczki i-Poda, poruszał głową w rytm muzyki, która dochodziła do Abby pod postacią cichutkiego metalicznego brzęczenia.

Upłynęło kilka kolejnych sekund. Facet popatrzył na zegarek i pokiwał z naganą głową. Abby napotkała jego wzrok i się uśmiechnęła.

- Mam nadzieję, że winda się nie zepsuła. - Szerokim uśmiechem próbowała zamaskować przerażenie. W odpowiedzi popatrzył przeproszająco, że nie słyszy, i zdjął słuchawki.

- Przepraszam? Co pani mówiła?

- Nic takiego, zastanawiam się, dlaczego ta winda nie jedzie.

- Jechałem nią ostatnio kilka razy, za każdym była taka powolna. Zaraz ruszy.

„Ile trwa zaraz? - zastanowiła się. - Tyle, ile się je zraz? Parę sekund? Więcej czy mniej niż okamgnienie, a może mgnienie dwojga oczu? I co jest szybsze, mgnienie czy w mig? Powinno być w mig, bo ma tylko cztery litery...”.

Straciwszy zainteresowanie zarazami, migami i mgnieniami, próbowała kurczowo uczeplić się innego tematu, by oddalić narastającą panikę. Zorientowała się, że przypatruje się niewielkim plakatом umieszczonym na ścianie. Wszystkie trzy reklamowały musicale grane na West Endzie. *Nędzników* i *Chicago* już widziała. Nie była jeszcze na *Producentach*. Sophie zaprosiła na to przedstawienie rodziców z okazji ich rocznicy ślubu, kiedy dopiero zaczęto je

grać w Londynie. Abby przypomniała sobie, jak ciągle się nim zachwycali. Kiedy to było? Ja-
Jakieś cztery, pięć lat temu. Widocznie teraz *Producenci* powrócili do miasta na kolejną serię
pokazów. Przestała patrzeć na plakaty i przeniosła wzrok na podłogę pokrytą gumową
wykładziną. „Dosyć czysta, ale źle zakonserwowana” - oceniła. W rogu leżały papierki po
cukierkach. Kilka cali od czubka jej buta widniała szara plackowata plama - rozdeptana guma
do żucia. „Ciekawe, jak często tu sprzątają. Raz dziennie - zdecydowała. - Pewnie z rana, zanim
winda pójdzie w ruch”.

Kiedy nie była w stanie snuć dłuższej refleksji na temat stanu podłogi, przeniosła wzrok na
towarzysza. Trudno było to zrobić w miarę dyskretnie, ale zdołała bez podnoszenia głowy
rzucić na niego krótkie lustrujące spojrzenie kątem oka. Wysoki - około metra osiemdziesięciu,
mniej więcej w jej wieku. Ciemnokasztanowe włosy. Krótkie i nastroszone, a do tego zadbane
baczki. Mocna linia szczęki pokrytej trzydniowym, całkiem twarzowym zarostem. Modna
wiatrówka w kolorze grafitowym - wygląda za dobrze i za drogo na Gapa, a za ekscentrycznie
na Ganta. Może od Paula Smitha? Do tego ciemne szerokie dżinsy plus czarne conversy.
Prawie nowe. Może kupione na wyprzedaży w Office? Widziała je tam na wystawie
przecenione na trzydzieści funtów.

Z kieszeni wystawała mu czarna włóczkowa czapka. Ładny kształt głowy sprawiał, że
pewnie wygląda w niej dobrze, co się mało komu zdarza - oceniła. Inaczej niż Toby. Jediną
rzeczą, w której nie prezentował się atrakcyjnie, była włóczkowa czapka, czego mu,
oczywiście, nigdy nie powiedziała. Nie śmiałyby zrobić uwagi, że ma za dużą głowę do takiej
czapki i że wygląda w niej jak gigantyczne jajo przykryte gigantycznym ocieplaczem.

Abby zakończyła inspekcję i poczuła, że strach powraca.

- Ależ dzisiaj pogoda, prawda? Istny potop - zagadnęła.

Ponownie wyjął słuchawki z uszu i zrobił zakłopotaną minę.

- Przepraszam, nie dosłyszałem?

- Pogoda. Pada. Straszny deszcz, prawda?

- Tak, tak, rzeczywiście. Słuchawki do uszu.

- Ktoś mnie okropnie ochlapał. Przejeżdżał autem i mnie ochlapał, ludzie powinni
bardziej uważać, gdy jest mokro, zgodzi się pan ze mną?

Słuchawki z uszu.

- Przepraszam, znowu nie dosłyszałem. - Uśmiechnął się cierpko.

- Kierowcy powinni bardziej uważać, kiedy pada. Niech pan tylko spojrzy na moje pończochy.

Uniosła nogę i zaprezentowała mu pochlapaną łydkę, co przyjął grzecznym skinieniem głowy, następnie zrobił zatroskaną minę, po czym powrócił do słuchania muzyki. W tej chwili winda ruszyła. Uczucie ulgi rozlewało się po ciele Abby jak atrament kałamarnicy w wodzie. „Dzięki Bogu” - pomyślała.

Właśnie szukała po kieszeniach biletu, kiedy winda zaczęła zwalniać. Jazda była krótsza, niż oczekiwała. Poczowała się głupio z powodu paniki, w jaką wpadła, kiedy windą szarpnęło. Nagłe hamowanie było tak gwałtowne, że straciła równowagę i wpadła na współpasażera, który także się zachwiał - przez kilka sekund walczyli, by jakoś powrócić do pionu.

- Nic się pani nie stało? - zapytał poruszony. Zauważyła, że z uszu wypadły mu słuchawki i zatrzymały się na stojce wiatrówki.

- Nie, nic. Dlaczego drzwi się nie otwierają? - Abby próbowała nie pokazać po sobie, jak bardzo się boi.

- Bo jeszcze nie jesteśmy na górze. Jechaliśmy zaledwie kilka sekund, to za krótko.

- Żartuje pan? - Piskliwy głos wyrwał jej się wbrew własnej woli. - Chce pan powiedzieć, że winda się zacięła?

Dłonie Abby same zwinęły się w pięści, poczuła wbijające się w ciało paznokcie.

- Na to wygląda.

Wcisnął czerwony guzik alarmu.

- Czy alarm nie powinien dzwonić albo piszczeć czy coś w tym stylu? - usłyszała własny głos.

- Chyba powinien - zastanowił się i dźgnął palcem w przycisk. I jeszcze raz. Nic, żadnego dźwięku.

- Przepraszam, ja spróbuję. Może pan robi to nieprawidłowo?

Po minie współpasażera poznała, że się wygłupiła. Nie obraził się chyba, wyglądał raczej na rozbawionego, jakby chciał zapytać: „A jak, proszę szanownej pani, prawidłowo wciska się guzik?”. Nacisnęła z całej siły palcem, nie puszczając. Nie usłyszeli żadnego dźwięku, więc zaczęła wciskać jeszcze mocniej. Poczowała, że oddycha zbyt gwałtownie i robi jej się słabo. Musi natychmiast wysiąść! Zaczęła spazmatycznie łapać powietrze i coraz bardziej kręciło jej się w głowie.

- Muszę usiąść - oznajmiła drżącym głosem.

- Też mi się tak wydaje - odezwał się z przejęciem.

Wziął ją za ramię i pomógł usadowić jej się na podłodze. Siedziała, opierając się plecami o ścianę. Przykucnął obok.

- Proszę, niech pani tego spróbuje. To działa, nauczyłem się na kursie pierwszej pomocy jeszcze w szkole. - Z podłużnej, eleganckiej papierowej torby wyjął butelkę wina. - Proszę przyłożyć torbę do twarzy i powoli oddychać. W ten sposób wyrówna pani poziom tlenu i dwutlenku węgla i zaraz poczuje się lepiej.

Wzięła torbę i postąpiła, jak zalecił. Zawroty głowy ustąpiły.

- Zdaje mi się, że niespecjalnie lubi pani przejażdżki windą?

- Kiedy byłam dzieckiem, winda, którą jechałam, zacięła się. Spędziłam ponad godzinę w zupełnych ciemnościach, a mnie wydawało się wtedy, że trwa to cały tydzień. Od tego czasu mam klaustrofobię, nie znoszę zamkniętych przestrzeni. Wsiadłam do windy po raz pierwszy od dwudziestu paru lat, bo bałam się spóźnić. - Przerwała. - Jak się panu zdaje, powinniśmy zawołać o pomoc? Może nikt nie wie, że tu jesteśmy?

Winda nagle ruszyła, ale zdołała pokonać tylko kilka stóp. Po paru sekundach znowu zatrzymała się z gwałtownym szarpnięciem.

- Do jasnej cholery, co się tutaj dzieje? - Nie wytrzymała Abby i z zakłopotaniem zdała sobie sprawę, że trzyma mężczyznę za rękę. Puściła ją natychmiast. On wstał, podszedł do drzwi i zaczął walić w nie pięściami.

- Halo! Jest tam kto? - Cisza. Spróbował jeszcze raz. - Ktoś mnie słyszy? Pewnie nikt. Musimy być za nisko. - Zwrócił się do Abby. - Proszę nie wpadać w panikę. Na stacji zaraz się zorientują, że utknęliśmy. Na pewno niedługo nas stąd uwolnią, musimy cierpliwie czekać.

Abby potarła ręką czoło. Nie wiedziała, ile czasu upłynie, zanim zacznie wymiotować albo straci przytomność. Na domiar złego przypomniała sobie o Tobym i lady Penelope i wyobraziła, jak narzeczony bębni palcami w stół i coraz bardziej się niecierpliwi. Sięgnęła do torebki po komórkę. Nie było sygnału.

- No świetnie!

- Ktoś czeka na panią? - zapytał, siadając obok niej.

- Narzeczony i jego matka. Jeszcze nigdy jej nie spotkałam.

- Ach, i chciała pani wyrzucić dobre wrażenie?

- No właśnie, a teraz nici z tego. A pan? Jest pan umówiony?

Wyciągnął przed siebie nogi i położył ręce na kolanach.

- Znajomy obchodzi właśnie urodziny. Mieszka zaraz koło stacji. Zaprosił mnóstwo ludzi, więc nie zauważy, że mnie nie ma. A swoją drogą, mam na imię Dan - dodał po chwili.

- Abby.

Ujął jej wyciągniętą rękę.

- Miło cię poznać, Abby.

- Nawzajem. - Uśmiechnęła się, lecz wtedy światła zaczęły mrugać. Wydała jęk przerażenia. - O nie, błagam, tylko nie to! Nie gości! - Popatrzyła na umieszczone na suficie lampy. Migotanie ustało. Ulga.

- Gdzie mieszkasz, Abby?

- W Islington.

- A czym się zajmujesz?

- Prowadzę kwiaciarnię.

Jasne było, że Dan z nią rozmawia, aby ją uspokoić i odwrócić jej uwagę od sytuacji. I tak poczuła ogromną wdzięczność. Zapytał, jak to się stało, że zainteresowała się florystyką, więc opowiedziała mu o ogrodzie dziadków.

- Mieli bungalow w Brighton, a przy nim akr ogrodu. Dziadek przepracował w nim całe życie, przynajmniej wtedy tak mi się wydawało. Kiedy byłam dzieckiem, odwiedzałam ich każdego lata. Ogród wyglądał jak morze kwiatów. Róże, wiciokrzewy, groszek pachnący tworzyły nieprzebyty, wonny gąszcz. Urzekły mnie kolory, zapachy, kształty. Babcia układała bukiety do kościoła. Miała talent, spod jej palców wychodziły skomplikowane, spektakularne kompozycje, o których myślałam, że są czarodziejskie. Czasem dostawałam od niej nasączony wodą kawałek gąbki florystycznej i godzinami układałam bukiety ze stokrotek i niezapominajek nazbieranych w ogrodzie. Przepraszam, zanudzam cię na śmierć - opamiętała się nagle.

- Wcale nie, to naprawdę ciekawe. - Na jego twarzy malowało się autentyczne zainteresowanie.

Uśmiechnęła się na wspomnienie małej podekscytowanej dziewczynki, która wbiegała z ogrodu do babcinej kuchni z naręczami kwiatów na bukiety.

- Później zamieniłam się w jęczącą, humorzastą nastolatkę. Rodzice nie mogli ze mną wytrzymać. Nigdy nie radzili sobie ze złym nastrojem innych ludzi, który niezmiennie wprawia ich w zakłopotanie i wytrąca z równowagi. A ja, kiedy czułam się obrażona na cały świat, zamykałam się w pokoju i układałam bukiety z suszonych kwiatów. Poprawiało mi to nastrój.

Nie miałam odwagi ich sprzedawać, więc mama zanosila je na kiermasze dobroczynne. Potem zaprzyjaznilam sie z wlascicielka miejscowej kwiaciarni. Pozyczala mi ksiazki o sztuce ukladania kwiatow, a kiedy zachodzilam do niej w soboty, dawala mi troche przywidle kwiaty. W koncu zorientowalam sie, ze po babci odziedziczylam talent florystyczny. - Przerwala z obawy, ze jej opowiec wywrze zle wrazenie. - O Boze, pewnie myslisz, ze bylam jakimś smętnym dziwadłem, dzikuska bez przyjaciół, co spędza cale dnie zamknęta w pokoju i wyzywa sie na roslinach. Wcale tak nie bylo, tak jak inni chodzilam na imprezy, zlopalam tanie wino, a moje zainteresowanie roslinami objelo takze trawke.

- W porzadku, wcale nie pomyslamem sobie, ze jestes smętnym dziwadłem! - Usmiechnala sie.

- Nie? - Przypomniała sobie, ze kiedy opowiedziala o sobie Toby'emu, ten odparł, ze gdyby jego dziecko zamknęte w pokoju godzinami ukladalo jakies suche zielska, natychmiast wyslalby je do psychiatry.

- Ja mialem swoje choroby.

- Choroby? Co chcesz przez to powiedziec?

- Od pietnastego roku zycia az do czasow, kiedy poszedlem na studia, wszystkie sobotnie popoludnia spedzalem w bibliotece, czytajac o wszelkich mozliwych dolegliwosciach i ich symptomach. Nagle zdalem sobie sprawe, ze nie jestem niesmiertelny i ze moge zejsc z tego swiata na jakies chorobsko. Zdecydowalem wiec, ze lepiej zapobiegac, niz leczyc, i postanowilem sie przygotowac.

- Ale potem z tego wyrosles?

- Nie tak od razu, jeszcze jak bylem na studiach, zakladalismy z kolegami kapele i probowalem przekonac ich, bysmy nazwali ja Znak Spastyki.

Wybuchnela smiechem. Zapadla cisza.

- A jakie to uczucie byc o krok od slubu?

- No mile... wspaniale. Tylko troche sie boje - dodala ze swiadomoscia, ze jego pytania odpędzaja atak paniki.

- Boisz sie? Czego?

- To chyba normalne. - Wzruszyła ramionami. - „I nie opuszczę cię aż do śmierci”.

Wbrew temu, co opowiadales, to strasznie duzo czasu.

- Nawet jesli znalazlas te wlasciwa osobe?

Nie potrafiłaby powiedzieć, dlaczego to pytanie trafiło w czuły punkt i nastawiło ją defensywnie.

- Oczywiście, że znalazłam. Nie mam żadnych wątpliwości, Toby to wspaniały człowiek. Ciężko pracuje. Wywiązuje się z obietnic, mogę na nim polegać w każdej sytuacji. Wiem, że nigdy mnie nie zawiedzie. O rany, mówię o nim, jakby to było volvo. A przecież... to znaczy, to ktoś, a nie coś... jest przystojny, inteligentny, ma poczucie humoru.

Światła znowu zamigotały. Abby poczuła, jak całe jej ciało się napina.

- Chyba mamy kłopoty z elektrycznością - zauważył Dan.

- O rany, tylko nie to! Nie mów, że zaraz odetną prąd i nasza winda runie w przepaść szybu!

- Abby, uspokój się. Lada moment przyślą techników, którzy usuną usterkę. Pewnie czekają teraz na głównego inżyniera czy kogo tam.

Wzrok Dana padł na butelkę wina stojącą obok drzwi.

- Napijmy się, co ty na to? Wino pomoże ci się uspokoić.

- Dobrze. - Na tym etapie gotowa była zgodzić się na wszystko. - Tylko jak wyjmiesz korek?

- A tak. - Uśmiechnął się i pokazał szwajcarski scyzoryk, który wydobyl z kieszeni kurtki. - Prezent na trzynaste urodziny. Zawsze mam go przy sobie. Wiesz, jak to jest, kiedy nagle trzeba oskrobać rybę albo wydłubać koniowi kamyk z podkowy.

- Albo otworzyć butelkę czerwonego wina, by jakaś wariatka nie oszalała ze strachu w windzie - zachichotała. - Toby uważa, że powinnam wyleczyć się z tej fobii. Nie mówi tego, ale wydaje mi się, że jego zdaniem trochę sobie odpuszczam, a ja naprawdę staram się, jak tylko mogę.

- Wcale nie uważam cię za szurniętą ani wariatkę. Strach przed zamknięciem w windzie jest w pełni usprawiedliwiony, bierze się z traumatycznego doświadczenia. To racjonalne, że się boisz. Nie chcesz tego powtórzyć.

Spodobał jej się ten tok rozumowania i przez moment poczuła nawet, że Dan na swój sposób ją pociąga. Zawsze uważała, że inteligencja emocjonalna u mężczyzny jest seksowna, a mężczyzna wstawał właśnie, przytrzymał butelkę kolanami i walczył z korkiem. Usłyszała rozkoszne „pyk” i wino było otwarte. Podał jej butelkę i zachęcił do picia.

Nie musiał nalegać. Okazało się przepyszne. Aksamitne i pachnące owocami.

- Mmm, doskonale, co to? - Popatrzyła na etykietę. - Château Haut Lafitte Grand Cru.

Nie znam się na winach, ale to chyba kosztuje majątek?

- Wcale nie - zaprzeczył, wykręcając korek z korkociągu.

- Akurat. Na pewno jest drogie, ostatnio w samochodzie słuchałam audycji radiowej o winie i pamiętam, że mówili o Château Haut Lafitte. Wspominali, że ceny zaczynają się od pięćdziesięciu funtów, a wino przed podaniem należy przelać do karafki, aby oddzielić osad. To prezent dla twojego znajomego, mam rację?

- Zgadza się. Matt ma lekkiego fioła na punkcie wina oraz piwnicę pełną butelek, dlatego ta przyda się o wiele bardziej tu i teraz.

- Nie wiem, co powiedzieć. To niewiarygodnie miło z twojej strony. Dziękuję.

Dan złożył korkociąg i schował scyzoryk do kieszeni.

- Nie ma za co.

Usiadł z powrotem na podłodze, tuż obok niej. Podała mu butelkę:

- Masz, napij się. Nie jadłam nic od południa i alkohol mocno uderza mi do głowy.

- Dobry pomysł.

Nalegał, żeby upiła jeszcze łyk, po czym wziął od niej wino. Wtedy zorientowała się, że wypiła ponad połowę.

- Mniemam, naprawdę pycha. Ale à propos twojego pytania, czy winda może spaść w przepaść szybu - jest to absolutnie niemożliwe.

- Skąd wiesz? - Poczowała, że znów zaczyna jej się kręcić w głowie, lecz tym razem na skutek działania alkoholu, a nie zbyt szybkiego oddechu.

- Jestem inżynierem i znam się na tym. Obecnie wszystkie windy wyposażone są w... - przerwał, starając się dobrać właściwe słowo, i szukając go w pamięci, wbił wzrok w ścianę - w... w... blokery przeciwapadkowe, tak zwany system Białystocka.

- System Białystocka? Co to takiego? - zapytała, marszcząc brwi. Nazwisko na pewno obilo jej się o uszy, nie pamiętała tylko, w jakiej sytuacji.

- System Białystocka jest jednym z największych osiągnięć dwudziestowiecznej inżynierii. W mechanizmie tym zastosowano typ hamulców niezależnych Blooma i połączono z oscylatorem typu Ulla, uzyskując absolutnie niezawodny system blokerów przeciwapadkowych, któremu zawdzięczamy fakt, że w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat w Europie Zachodniej nie doszło do ani jednego zerwania windy.

- Naprawdę?

- Sama sprawdź.

- To pocieszające - powiedziała i poczuła, że alkohol powoli zaczyna działać. Po kieliszku zawsze robiła się gadatliwa. - A wspominałam, że Toby jest prawnikiem w jednej z tych wielkich firm?

- Nie, nie przypominam sobie.

- Jego firma jest naprawdę duża, mieści się w zachodnim Londynie. Wymagają absolutnego poddania i lojalności. Zapracuje się dla nich na śmierć, biedactwo.

Podał jej z powrotem butelkę i zachęcił, by upiła jeszcze kilka łyków.

- Jest wiecznie wyczerpany i nerwowy. To nie jego wina. Tylko przepracowania. Obiecał mi, że jeżeli za kilka lat uczynią go współnikiem, sytuacja w pracy się uspokoi. Teraz dopiero zaczyna karierę i wydaje mu się, że musi udowodnić, że jest dobry.

- Wyobrażam sobie.

- Nasz związek nie układa się tak różowo, jak oczekiwałam, ale przez tę sytuację w pracy trudno się spodziewać, by było inaczej, prawda?

Dan bez przekonania skinął głową.

- A do tego jesteśmy razem od dziewięciu miesięcy. Po tym czasie suflet nieco opada. - Pociągnęła kolejny łyk. - A kiedy mówię „opada”, mam na myśli sytuację w sypialni.

Dan zasygnalizował poczucie dyskomfortu nieokreślonym chrząknięciem.

- Aha... rozumiem. Nie jestem pewien... Nie wiem, czy chciałbym...

- Bo tak naprawdę - ciągnęła nakręcona przez alkohol, nie zważając na jego dyskretne znaki - nie robiliśmy tego od wieków. Ale to normalne, prawda? Wiem, wiem, media próbują nas przekonać, że inni właściwie nie wychodzą z sypialni, ale w prawdziwym życiu wszystko wygląda inaczej.

- Ja nie... wiesz co, wszystkie związki mają wzloty i upadki...

- No właśnie. A my znajdujemy się w tej dolnej fazie. Co oczywiście wcale nie znaczy, że Toby wkrótce nie będzie miał wzlotu.

- O Boże...

- Bo widzisz, w naszej obecnej fazie Toby mówi, że to jak wciskanie galaretki do otworu w automacie do gry.

Dan skoczył na równe nogi.

- Wiesz co, lepiej podobijajmy się jeszcze trochę, może wreszcie ktoś nas usłyszy?

- Po co wołanie, Danie - ojej, zrymowało mi się - lepiej mi coś poradź, sam zacząłeś mówić o wzlotach i upadkach.

Dan szybko trzykrotnie uderzył pięścią w drzwi.

- Jest tam kto?! Czy ktoś mnie słyszy?!

Cisza.

- Czy ktoś mnie słyszy?! - powtórzył.

- Wymyśl nowy plan, Stan!

- Mam na imię Dan, a nie Stan. Wino najwyraźniej uderzyło ci do głowy.

- Oczywiście, że Dan. Wcale nie zapomniałam, tylko tak to jakoś szło... wiem, to Paul Simon. - Po tych słowach zaśpiewała: - *Slip out of the back, Jack... you dont't need to be coy, Roy... set your self free...* my też powinniśmy się stąd uwolnić.

- Tylko jak? Przecież nie tylnym wyjściem.

- Wyjście się znajdzie. Wyjście w windzie, wyjście w windzie... - Wpadła w niekontrolowany chichot i dostała czkawki.

Dan dalej dobijał się do drzwi.

- Hej tam! Ktoś mnie słyszy?

Z daleka dobiegła niewyraźna odpowiedź:

- Jasne, kolego, cierpliwości. Fachowiec zaraz przyjedzie. Za chwilę was stamtąd wyciągniemy.

- Słyszałaś? A nie mówiłem?

- Piątka, panie Danie. - Abby rozcapierzyła rękę. Nie było czasu na świętowanie. Drzwi rozwarły się z sykiem. Pechowi pasażerowie ujrzeli przed sobą brudną od sadzy ścianę szybu. Popatrzyli w górę, w ciemność. Jakieś trzydzieści czy czterdzieści stóp od nich ktoś świecił latarką.

- Dobra - odezwał się męski głos. - A teraz proszę odsunąć się od drzwi i mocno się trzymać, spróbujemy was trochę ruszyć w górę.

Posłusznie wrócili na miejsce. Abby poczuła, że wypity alkohol poszedł jej w nogi. Dan podtrzymał ją za ramię. Po kilku chwilach rozległ się zgrzyt mechanizmu, winda powoli ruszyła do góry. Pokonanie niecałych dwóch metrów zabrało prawie minutę.

Teraz byli w stanie dostrzec twarze skierowane w ich stronę.

- Ile osób jest w środku?

- Tylko my dwoje! - zawołał Dan.

- Dobra, to już coś.

Zgrzyt rozległ się znowu, lecz tym razem winda ani drgnęła.

- Koniec. Więcej nie ruszy. Wiem, co zrobimy. Mamy tu uprząż i wyciągarke. Zrzucę na dół uprząż, państwo się zapną i was wyciągniemy.

- Hura, będzie jak na prawdziwej ścianie wspinaczkowej! Ale zabawa! - zawołała Abby.

- To znaczy, że już się nie boisz?

- Ja? Boję? Chyba mnie z kimś pomyliłeś!

- Doprawdy? Od kiedy?

- Odkąd mnie zalałeś w trzy ddd... dalje.

Zjechały dwie uprząże wspinaczkowe. Dan pomógł Abby się zapiąć.

- Boże, to takie podniecające! Zupełnie jak w filmie *Czekając na Joe*. Alpinista utknął na dnie głębokiej szczeliny i musi się z niej wydostać! - wykrzykiwała radośnie.

Dan włożył własną uprząż.

- W porządku, jesteśmy gotowi! - zawołał ku górze.

- OK - odezwał się głos. - Proszę nic nie robić, tylko trzymać się liny i siedzieć spokojnie, reszta należy do nas.

Abby wyjechała pierwsza. Poczowała, jak unosi się o kilka cali.

- Juhuuu! Geronimo! Ja latam!

Droga do celu okazała się wyboista; co chwilę szarpało uprząż, Abby to zatrzymywała się w niespodziewanym momencie, to ocierała o brudne ściany szybu. Mimo to znieczulona przez alkohol uważała przygodę za całkiem przyjemną. Chwilę później siedziała bezpiecznie na ziemi i usuwała z twarzy czarne pajęczyny w otoczeniu pracowników metra, którzy nareszcie mogli odetchnąć z ulgą, pogotowia i ekipy ratunkowej policji przybyłych na pomoc. Ktoś w niebieskiej czapce, jakie nosili przedstawiciele londyńskiej komunikacji, pomógł jej uwolnić się z uprząży.

- Nic się pani nie stało? Posłałem kogoś po kubek mocnej, słodkiej herbaty - oznajmił z troską, nie zauważywszy widocznie szerokiego uśmiechu na twarzy Abby. Nie tylko nic jej się nie stało, ale na dodatek była cała podekscytowana.

- Uff, co za zastrzyk adrenaliny! To było ekstra, zwykle cierpię na klaustrofobię, ale dziś...! Trudno mi w to uwierzyć! Przejechałam prawie czterdzieści stóp w górę wąskiego szybu, w dodatku ciemnego, że oko wykol!

Wciąż odczuwała skutki działania wina, jednak nie była na tyle wstawiona, by zapomnieć o Tobym. Natychmiast złapała torebkę i zaczęła szukać komórki. Chciała zadzwonić, wytłumaczyć spóźnienie i uspokoić go, że nic jej się nie stało. Kiedy wreszcie wydobyła telefon, zobaczyła, że ma sześć nieodebranych połączeń. Zdecydowała, że odsłuchiwanie wiadomości nie ma sensu. Na pewno pochodzą od Toby'ego, którego zdenerwowanie spóźnieniem przerodziło się pewnie w panikę wywołaną jej nieobecnością. Powinna jak najszybciej go uspokoić. Tym razem zasięg był doskonały, jednak kiedy wystukała numer, po kilkakrotnym sygnale włączyła się poczta głosowa,

Abby doszła do wniosku, że w restauracji jest tak głośno, że narzeczony nie słyszy dzwonka.

- Wygląda na to, że miałaś niezłą zabawę - powiedział Dan, który nie zdążył jeszcze zdjąć upręży.

- Było fantastycznie. Po prostu niesamowicie - odpowiedziała, walcząc jednocześnie z czkawką. Ten sam pracownik komunikacji pomógł Danowi uwolnić się z upręży. Dwóch ratowników w zielonych kombinezonach podeszło i uparło się, że Abby i Dan powinni pojechać do szpitala na kontrolę, dopiero po chwili usilnych przekonywań - zwłaszcza co do stanu wywołanego alkoholem, a nie urazem głowy - uwierzyli, że obojgu nic nie jest. Kiedy niefortunni pasażerowie windy dziękowali wylewnie pogotowiu i ekipie ratowniczej policji, nadeszła pracownica metra z dwoma kubkami herbaty. Zaprosiła ich, aby usiedli w pomieszczeniu służbowym na stacji. Abby sączyła słodki, brązowy niczym melasa napój i czuła, jak powoli trzeźwieje.

- Nie chcę mówić za wcześnie, ale wydaje mi się, że pozbyłam się klaustrofobii - rzekła po chwili namysłu. - Dwa razy utknęłam w windzie i dwa razy przeżyłam. Właściwie nie mam się już czego bać.

- Niesamowite. Jestem pod wrażeniem.

- Nawet w połowie nie tak jak ja. Mam na myśli twoje zachowanie w windzie. Nie wiem, co by się ze mną stało, gdybyś mnie nie zagadywał. Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo ci jestem wdzięczna. Dziękuję. I przepraszam, jeśli przynudzałam.

- Ależ skąd.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Siedzieli, pijąc herbatę.

- Swoją drogą, umazałeś sobie twarz sadzą. - Wyjęła z kieszeni zakietu czystą chusteczkę i zaczęła wycierać mu policzki. - Wyglądasz teraz jak miś panda! - Zaśmiała się, kiedy wokół oczu zaczęła przebijać jasna skóra.

Powiedział, żeby się nie martwiła, bo w mieszkaniu Matta weźmie prysznic, nie chciał też zatrzymać chusteczki.

- Będzie ci potrzebna. Przejechała dłonią po policzku.

- O Boże! - wykrzyknęła na widok usmolonej ręki. - Wejść do Ivy niczym ten tańczący kominiarz z *Mary Poppins!*

- To prawda, ale nawet ci z tym do twarzy. Zarumieniła się pod warstwą sadzy.

- No nic, czas na mnie - oznajmiła, spojrzawszy na zegarek. Już po wpół do dziesiątej. Miała spotkać się z Tobym i jego matką dwie godziny temu. Przypuszczalnie zjedli kolację bez niej, ale może wciąż jeszcze siedzą w restauracji. - Wątpię tylko, czy portier wpuści mnie w takim stanie.

Choć udało jej się jako tako wytrzeć twarz, z przodu zakietu widniała wielka czarna plama, a pończochy, już wcześniej pochłapane błotem, teraz na dodatek były doszczętnie podarte.

- Na pewno, jeśli wszystko wytłumaczysz.

- Oby. Jeszcze raz dziękuję, że nie dałeś mi zwariować w windzie - rzekła, wyciągając rękę na pożegnanie.

- Zawsze do usług. I powodzenia ze ślubem!

- Dzięki.

Szła szybkim krokiem wzdłuż Long Acre, prawie biegnąc w pośpiechu, co na dłuższą metę uniemożliwiały wysokie obcasy. Żeby tylko zastać jeszcze lady Penelope w restauracji!

Po kilkuset jardach przyszło jej do głowy, że właściwie nic nie wie o mężczyźnie, któremu zawdzięcza fakt, że nie zamieniła się w histeryzującą wariatkę, żującą ze strachu wykładzinę. Ani jak się nazywa, ani gdzie mieszka, ani gdzie pracuje. To nieuprzejme, że pożegnała się tak pośpiesznie i nie poprosiła nawet o adres, aby posłać mu jakąś dobrą butelkę i podziękowania... Zobaczyła wejście do restauracji i ponownie przyspieszyła kroku, wpadając niemal w lekki kłus. Wspomnienie zwierzeń w windzie nagle wróciło do niej gwałtowną falą. Czowała, jak na jej twarz wypływa rumieniec. Opowiedziała Danowi o kłopotach Toby'ego. To co, że była wstawiona? Ujawniła przed nim szczegóły. Osobiste, intymne szczegóły. Zwolniła na samą myśl. Wypaplała, że prawie tego nie robią. I to w jakich słowach! „Wciskać galaretkę

w otwór automatu do gry"?! Jak mogła być tak wulgarna, tak nielojalna w stosunku do Toby'ego! Ze wstydu zarumieniała się aż po trzustkę, nerki i wątrobę.

- Jasny gwint! - syknęła półgłosem. - Zupełnie obcy człowiek jest na bieżąco na temat stanu penisa mojego narzeczonego!

Grupka nastolatków, wystrojonych aż po zęby, zachichotała, usłyszawszy uwagę Abby. Nagle jej żal, że nie wymieniła z Danem adresów, przerodził się w ulgę. Przynajmniej oszczędzi sobie zakłopotania, w jakie wprawiłyby ją spotkanie albo rozmowa z nim.

Rozdział 3

Po wysłuchaniu wyjaśnień Abby obsługa Ivy potraktowała ją uprzejmie i z pełnym zrozumieniem. *Maître* wskazał jej stolik Toby'ego i lady Penelope oraz zapowiedział, że podadzą Abby duży kieliszek brandy na koszt lokalu. Co prawda alkohol to ostatnia rzecz, na jaką miała ochotę, lecz nie chciała okazywać niewdzięczności. W restauracji aż roiło się od ludzi, więc kierując się do stolika, kilkakrotnie musiała usunąć się na bok, by zrobić przejście zaaferowanemu kelnerowi z tacą.

W pierwszej chwili nie zauważyła, że Toby wstał i zmierza w jej kierunku.

- Na litość boską, Abby! Kochanie, co się stało?! Zamartwiałem się o ciebie!

Abby na jego widok przyspieszyła kroku.

- Całe szczęście, że jeszcze tu jesteś! - Odetchnęła i prawie rzuciła mu się w objęcia. Jego oczy natychmiast powędrowały ku kłapom szarego garnituru od Dunhilla.

- Dziewczyno! Jesteś cała w sadzy!

- Wiem. Przepraszam, o Boże, upaprałam ci całą marynarke.

- Nie szkodzi, nie martw się - powiedział, próbując oczyścić ubranie. - No mów, dalej, opowiedz, co się stało.

- To było straszne. Nie uwierzysz. Na stacji Covent Garden zacięła się winda i policja z pogotowiem musieli wydostać mnie i jeszcze jednego faceta szybem na uprząży do wspinaczki!

- Ulga, jaką odczuła na jego widok, połączona z zastrzykiem adrenaliny, którego dostarczyły jej minione wypadki, sprawiły, że słowa jej się plątały i wyrzucała je z siebie jako chaotyczny słowotok.

- Boże drogi! Nic ci się nie stało?

- Nie. Próbowałam się do ciebie dodzwonić, ale tkwiliśmy tak głęboko, że nie było zasięgu.

- Nie rozumiem jednego: ty przecież nigdy nie jeździsz windą.

- Zgadza się, ale bałam się spóźnić. Wiedziałam, że windą wyjadę szybciej, i zmusiłam się, by do niej wsiąść. Nie masz pojęcia, jak strasznie się bałam.

- Wyobrażam sobie. Biedactwo. - Ucałował ją w niezbyt czysty policzek. - Myślę, że po tym, co przeszłaś, powinnaś pójść do domu. Jakoś wytłumaczę mamie...

- Nie, nic mi nie jest. Naprawdę! Chociaż kto wie, co sobie pomyśli, widząc mnie w takim stanie. Jakoś zdołałam wytrzeć twarz, ale z resztą nie mogłam nic zrobić.

Toby spróbował strzepać jej kurz z ramienia, powstrzymując grymas niechęci.

- Nie przejmuj się. Wytłumaczysz, co się stało, i powinna to zrozumieć.

- Musi być wściekła, że się nie pojawiłam.

- Nie ma się czym przejmować. - Przewrócił żartobliwie oczami. - Choć przyznaję, że delikatnie mówiąc, nie zrobiłaś najlepszego wrażenia.

Poprowadził ją do stolika, wycierając i otrzepując po drodze garnitur.

- Od dwóch godzin muszę wysłuchiwać, że punktualność jest grzecznością królów i psim obowiązkiem całej reszty świata.

Abby wzięła go za rękę, brudząc ją przy okazji.

- Przepraszam. Mój ty biedaku! Próbowałam się dodzwonić, jak tylko mnie wydostali, ale odezwała się poczta głosowa.

- Pewnie akurat byłem w toalecie. Zostawiłem komórkę na stoliku. Pamiętaj: jak matka zacznie rozmawiać o polowaniu, przytakuj wszystkiemu, co powie. Nie próbuj dyskutować.

- Toby, nie panikuj. Przyrzekam, że nie zrobię nic głupiego. - Uścisnęła go ponownie za rękę, by dodać mu odwagi.

Wielmożna lady Kenwood miała koło siedemdziesiątki, lecz na pewno nie w pasie. Brak talii nadrabiała bujnym łonem, obleczonym w niemodną brązową aksamitną suknię, nadającą jej wygląd gigantycznej poduszki do szpilek. Jej twarz, z wyjątkiem szkarłatnej smugi szminki, nie nosiła śladu makijażu. Ładne siwe włosy zebrane były w ciasny kok, przytrzymywany na czubku głowy za pomocą dwóch grzebieni i sporej liczby spinek. Kiedy wstała, by powitać usmoloną Abby, jej zdawkowy uśmiech odsłonił pełen garnitur beżowych zębów, pięknie kontrastujących z czerwienią ust.

- Mamo, oto Abby - oznajmił z zakłopotaniem Toby, bawiąc się przy tym sygnetem na małym palcu. Lady Penelope zmierzyła dziewczynę wzrokiem od góry do dołu.

- Dobry Boże, dziecko! Co ci się stało?!

- Przepraszam za Abby - wtrącił się Toby. - W Covent Garden zacięła się winda... i wyciągała ją ekipa ratownicza.

- Cicho, synu. Dziewczyna z pewnością sama potrafi mówić. Na miłość boską, wytrzymaj sadzę z nosa.

Toby natychmiast sięgnął do kieszeni po chustkę.

- Przepraszam za spóźnienie, proszę pani - ośmieliła odezwać się Abby - i za mój wygląd. Ekipa ratownicza wyciągała mnie z szybu windy, w którym było strasznie brudno.

- Niesłychane rzeczy. No nic, przynajmniej udało ci się dotrzeć w jednym kawałku. To już coś. Zuch dziewczyna.

„Miła na swój sposób” - doszła do wniosku Abby. Ulżyło jej, że przyszła teściowa nie jest aż takim potworem, jakiego robił z niej Toby.

Jej lordowska mość usiadła i poklepała miejsce koło siebie.

- Proszę, siadaj po prawej. Na lewe ucho ostatnio nie dosłyszę.

Posłusznie zasiedli do stołu. Abby zauważyła dwie filiżanki po kawie i talerz nietkniętych ptifurek.

- Moja matka nie była starsza od ciebie, kiedy przeżyła oblężenie Mafeking. Napatrzyła się tam na najokropniejsze rzeczy, co bynajmniej jej nie zaszkodziło. Wręcz przeciwnie, że tak powiem. Twarda z niej była sztuka, nie ma co. A teraz, Annie, opowiedz mi coś o sobie.

- Ależ mamo - zaproponował Toby. - Moja narzeczona ma na imię Abby.

- Abby? Mówiłeś, że Annie - warknęła. - No to jak w końcu, Abby czy Annie? Zdecyduj się wreszcie - zwróciła się do właścicielki imienia.

- Od zawsze mam na imię Abby.

- Nazwisko?

- Przepraszam?

- Nazwisko. Jakież przecież masz?

- Rzeczywiście. Crompton.

- Crompton. Z tych Cromptonów w Dorset, mam nadzieję?

Abby odkaszlnęła.

- Nie, z Cromptonów w Croydon, jeśli chce pani wiedzieć.

- Croydon? - Lady Bracknell z *Bądźmy poważni na serio* nie mogłaby wymówić tego słowa z większym niesmakiem.

- Ależ kochanie, wydawało mi się, że wspominałaś, że Cromptonowie z Dorset to twoi dalecy krewni? - Toby próbował ratować sytuację.

- Nie przypominam sobie.

- Roztargniony szkrab.

Abby uśmiechnęła się cierpko do narzeczonego i powiedziała, że to określenie niezupełnie przystaje do jej charakteru. Toby odwzajemnił się jej wymownym spojrzeniem, które ona zgromiła wzrokiem, a kiedy napięcie opadło, syn zwrócił się do mamy:

- Moja mała zapominalska potrafi mieć kłopot nawet z zapamiętaniem własnego imienia.

- Co? - Oburzenie odjęło Abby mowę.

- O! A gdzie pierścionek zaręczynowy? Nie będzie? - zmieniła temat lady Penelope.

- Rzeczywiście. Nie mieliśmy czasu się o niego postarać. Toby zupełnie nie może oderwać się od obowiązków zawodowych.

- Chłopcze, nie odkładaj tego w nieskończoność. Wybranka pomyśli, że nie traktujesz jej serio.

- Ależ skąd. - Abby uśmiechnęła się do narzeczonego przez szerokość stołu. - Dobrze wiem, że Toby ma poważne zamiary.

- A teraz powiedz nam, dziewczyno: polujesz?

- Nie, niestety nie.

Toby popatrzył na nią, jakby chciał zawołać: „Uwaga! Wchodzisz na grząski grunt!”.

- A to czemu? Taka zdrowa, krzepka dziewczucha jak ty!

Kilka pasemek siwych włosów wymsknęło się z niedbałego koka, i zwisało, zasłaniając twarz. Ich właścicielka podjęła daremną próbę upięcia ich na powrót, lecz gdy znów opadły, zostawiła je w spokoju.

- Szkopuł w tym - odpowiedział za narzeczoną Toby - że Abby nie jeździ konno. Ale ma zamiar się nauczyć, prawda, skarbie?

- Czyżby?

- Tak. - Toby dawał jej gwałtowne znaki, by pozwoliła mu poprowadzić rozmowę. - Pamiętasz, rozmawialiśmy o tym, że powinnaś wziąć lekcje jazdy.

- Skoro tak mówisz...

- Doskonale. Zanim się obejrzyysz, nauczymy cię polować z psami. Jestem łowczym w okręgu, co ty na to? - wtrąciła się lady Penelope.

- Rzeczywiście, Toby mi o tym wspominał. Polowanie to pani pasja?

- Ostrożnie - wyartykułował bezgłośnie Toby.

- Pytanie! To wspaniały sport, do tego bardzo zdrowy. No i przy okazji pozwala poznać najrozmaitszych ludzi. Poluję z chirurgami, prawnikami, politykami... z kim tylko chcesz. Toby, koniecznie przywieź Annie na nasz najbliższy bal myśliwski.

- Mamo, nie Annie, lecz Abby.

- Cicho tam, synu, jak zwykle dzielisz włos na czworo.

Toby nie zaprotestował, że używanie czyjś prawdziwego imienia - zwłaszcza jeśli chodzi o przyszłą synową - nie jest dzieleniem włosa na czworo. Zamiast tego wdzięcznie się zarumienił.

Abby nie mogła uwierzyć w zmianę, jaka zachodziła w nim w obecności matki. Dogryzała mu bez przerwy, a on pozwalał na to bez mrugnięcia okiem. Nie do wiary! Pewny siebie, wygadany prawnik z City, w którym się zakochała, na jej oczach przepoczwarzał się w ciamajdowatego mazgaja o drżących kolankach. Z drugiej strony zrobiło jej się go żal. Jeżeli w wieku trzydziestu czterech lat wciąż trząsał się ze strachu przed matką, kto wie, jaki horror zgotowała mu w dzieciństwie. „Jednak czy dorosły, dojrzały, mężczyzna powinien pozwolić, by matka do tego stopnia wchodziła mu na głowę?” - rozmyślała rozczarowana Abby.

Kelner przyniósł brandy. Podziękowała, lecz nadal nie miała ochoty jej wypić. Była tak strasznie głodna! Dopiero teraz zdała sobie z tego sprawę.

- Chętnie pożałabym konia z kopytami, a przynajmniej soczysty duży stek z górą frytek - wyznała kelnerowi, który bez zmrużenia oka przyjął zamówienie.

- Abby marzy wręcz o zaproszeniu na bal, prawda, kochanie? - spytał Toby po odejściu kelnera.

- Taka jestem ostatnio zapracowana... - Toby kopnął ją pod stołem. - Oczywiście, jak najbardziej, chętnie przyjadę.

- Wyśmienicie. Wyśmienicie. Toby nauczy cię tańczyć Gay Gordons, co nad wyraz dobrze mu wychodzi.

Syn zaczerwienił się po cebulki włosów.

- A teraz opowiedz mi, Annie, o twojej rodzinie.

- Proszę bardzo. Rodzice teraz są w podróży, ale zwykle nie robią nic specjalnego.

- Właściciele ziemscy, he? - zgadywała lady Penelope, przeoczywszy fakt, że w Croydon bynajmniej nie roilo się od ziemian, chyba że w kosmicznym tego słowa znaczeniu. - Ile mają akrów? I jakie to grunty, orne czy pastwiska?

- No cóż, mają na tyłach dwuipólarowy ogródek, to i tak nieźle na Croydon, i trawa musi w nim być pierwszorzędna, bo pasie się na niej królik sąsiadów, który notorycznie przełazi przez płot.

- Doprawdy? - Na twarzy lady Penelope malował się wyraz, jakby coś strasznie ją rozboleło. - Do jakiej szkoły chodziłaś?

- Do Manor Park.

- Tak? Nigdy o takiej nie słyszałam.

- Nie miałyby pani okazji. To lokalna...

- ...prywatna szkoła dla dziewcząt. Bez internatu - pospiesznie dokończył Toby.

- Toby mówił, że studiowałaś w Oksfordzie.

- No niezupełnie. Ukończyłam college artystyczny tego imienia. Specjalizowałam się w tkaninie artystycznej.

- Aha. - Starsza pani uniosła brew i znacząco spojrzała na syna, który odpowiedział słabym, przepraszającym uśmiechem.

- A z czego się utrzymujesz?

- Mam kwiaciarnię.

- To doprawdy wzruszające. - Uśmiech lady Penelope był tak zdawkowy, że zamienił się w linię prostą. - Toby, nie mówiłeś mi, że wprowadzasz do rodziny autentyczną Elizę Doolittle!

Przyniesiono stek. Abby z apetytem zaatakowała górę frytek. Przyglądając się temu, lady Kenwood zagadnęła ponownie:

- Wygląda na to, że cieszysz się doskonałym zdrowiem?

- Z tego co mi wiadomo, to tak.

- Jajniki w porządku? Wraz z przyległościami?

- Chy... chyba tak. - O mało nie zakrztusiła się frytką.

- Widzisz... Toby jest jedynakiem. I ostatnim męskim potomkiem linii Kenwood. Potrzebny nam chłopiec, by zachował nazwisko i przejął posiadłość. Dlatego sugeruję, byś nie zwlekała z badaniem ginekologicznym. To sprawa wielkiej wagi.

Abby naraz miała tyle do powiedzenia, że nie wiedziała, od czego zacząć. A co, jeśli okaże się, że ma problemy z płodnością, matka rozkaże Toby'emu, by ją rzucił? A co robi,

kiedy on odmówi? Wydziedziczy go? Dlaczego jego nie podda w pierwszym rzędzie badaniom? A jak urodzą im się dziewczynki? Nie żeby którakolwiek z odpowiedzi na pytania miała sens: nie ma zamiaru poddawać się testom płodności z powodu kaprysu wielmożnej teściowej *in spe*.

Abby otworzyła usta, by jasno przedstawić swoje stanowisko, jednak ubiegł ją narzeczony.

- Osobiście dopilnuję, by poszła do specjalisty - zadeklarował.

- Co takiego? - Abby obróciła się, by spojrzeć mu prosto w twarz.

- Doskonale - skwitowała lady P., walcząc z niesfornymi kosmykami. - Wiesz, Annie, cieszę się, że nie należysz do tej koszmarnej, męczącej bandy przeciwników polowania.

Zapadła cisza, która zdawała się nie mieć końca. Widać było, że Toby wstrzymuje oddech. Lady R wciąż mocowała się z włosami. Abby zaś z uczuciami: z jednej strony obiecała Toby'emu, że nie wda się w dyskusję; z drugiej zaś była wściekła, że okazał się nielojalny - zwłaszcza w kwestii jajników. Coś w nią wstąpiło.

- Muszę panią rozczarować - wypaliła - ale właśnie do niej należę. I to z pełnym przekonaniem.

- Święty Sebastianie - wyszeptał przerażony Toby, kryjąc twarz w dłoniach.

- Jeśli mam być szczerą, uważam, że pomysł, aby polować na lisy czy jakiegokolwiek inne zwierzęta, jest czystym barbarzyństwem. Humanitarnie przeprowadzona kontrola populacji zwierzyny to jedno, a idiotyczna maskarada i gonienie biednego lisa, aż zejdzie na zawał, to całkiem co innego. Polowanie na lisy zamienia zabijanie w rytuał towarzyski, który jest zarzewiem snobizmu i podziałów klasowych, i nie ma nic wspólnego z troską o przyrodę.

Toby nie śmiał odsłonić twarzy. Wysyczał przez palce:

- Ostrzegałem cię. Nie mogłaś się powstrzymać? Nie mogłaś, co?

Na próżno, Abby dopiero się rozkręcała.

- Widocznie prawo zakazujące polowań na lisy nie jest przestrzegane i trzeba je zaostrzyć. A te wymiękłe arystokratyczne półgłówki bez podbródków, zasiadające w Countryside Alliance...

Lady Penelope zdawała się nieobecna - jak ktoś, kto dostał kulkę w łeb, lecz jeszcze nie zauważył, że nie żyje. Abby patrzyła, jak spokojnie odstawia filiżankę i ociera usta serwetką. W tym momencie, kiedy to tuż-tuż miał się posypać na głowę Abby stos gromów i wymówek, na twarzy lady Kenwood pojawił się cień uśmiechu.

- To, co mówisz, to lewacko-liberalne gaworzenie, stek bzdur i wolne żarty, których nakładły ci do głowy lewicowe media i nawiedzeni przeciwnicy polowań. Wywrotowa propaganda, która, jeśli się jej nie położy kresu, wyrwie serce i duszę brytyjskiej prowincji i zabije tradycję. Niemniej jednak żyjemy w demokracji i broniłabym do upadłego twojego prawa do wypowiedzania tych wszystkich nonsensów.

- Naprawdę? - Nie dowierzała własnym uszom Abby, a przerażony Toby, słysząc słowa matki, ze zdziwienia odsłonił twarz i mrugał w oszołomieniu.

- A pewnie. Ognista dziewczucha, trzeba jej to przyznać. Ma siano w głowie, całe kopy siana, ale może jeszcze będą z niej ludzie. No nic. Jest późno i padam z nóg. Czas na mnie. Toby, czy możesz wezwać mi taksówkę?

Jak zawsze wzorowy syn powstał i wyszedł z sali.

- Wielkie nieba, lady Penelope! Nie zamierza pani chyba jechać po nocy aż do Gloucester! - zawołała Abby.

- Oczywiście, że nie. Mam przecież garsonierę - odparła zdumiona, dopowiadając zdziwionym wzrokiem: „Jak wszyscy, nieprawdaż?”.

- No tak. Toby wspominał przecież, że ma pani mieszkanie w Londynie.

Lady Kenwood wyciągnęła z uśmiechem rękę, którą Abby potrząsnęła posłusznie.

- Do zobaczenia, moja droga. Niech Toby koniecznie przywiezie cię do nas do Kenwood na weekend, abym mogła przekonać cię, czym jest naprawdę życie na wsi. Daję słowo, że jeszcze zrobię z ciebie amatorkę polowania! - Mówiąc to, wzięła czarną lakierowaną torebkę i wygramoliła się zza stolika.

BYLI W DRODZE do wielopiętrowego parkingu w Chińskiej Dzielnicy, gdzie Toby zostawił samochód. Oboje milczeli, atmosfera zrobiła się napięta. Wreszcie Abby nie wytrzymała:

- To nie do wiary! Obiecałeś, że zrobię sobie test płodności, tylko po to, by zadowolić mamusię! Jak mogłeś tak postąpić, nawet nie pytałeś mnie o zgodę? Siedzieliście sobie i dyskutowaliście na mój temat, jakby mnie tam wcale nie było.

- A ty?! Jak śmiałaś atakować tak moją matkę? Uprzedzałem cię przecież, by się jej nie sprzeciwiać, a ty mnie nie posłuchałaś.

- Nie posłuchałam? A od kiedy to mam ci być posłuszna?

- Przepraszam. Nie to miałem na myśli. Mogłaś wszystko zaprzepaścić! Chociaż chyba wyszło na to, że się jej spodobałaś. - Przerwał na chwilę. - Posłuchaj, z tym testem... zgodziłem się dla świętego spokoju. Oczywiście nie musisz go przeprowadzać. Udamy tylko, że się zgłosiłaś do specjalisty i że masz dobre wyniki.

- Możesz mówić matce, co chcesz, jednak jeśli zapyta mnie wprost, powiem prawdę. Ty najwyraźniej przyzwyczyłaś się mówić jej dokładnie to, co chce usłyszeć, ale mnie w to nie wciągniesz.

- No jasne! - Zaśmiał się z goryczą.

- Co to ma znaczyć?

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Inaczej bym nie pytała.

- To znaczy, że jestem zazdrosny. Jestem zazdrosny jak nie wiem co, że odważyłaś się jej sprzeciwić, a ja nie potrafię.

- Dlaczego nie? Szanowałaby cię bardziej, gdybyś od czasu do czasu się postawił. Z tego, co widziałam, uwielbia się spierać. Wrzaśnie na ciebie, to co? Też wrzaśnij.

- Próbowałem: nie mogę. Wiem, że zabrzmi to pompatycznie, ale wciąż zabiegam o jej pochwały. Całe życie spędziłem na zaspokajaniu jej widzimisię w nadziei, że kiedyś będzie ze mnie dumna. A tak naprawdę cokolwiek bym osiągnął, i tak się do czegoś przyczepi. Zawsze jej będzie mało.

- Potrafię to zrozumieć. - Poczwała, że głos jej złagodniał.

- Jest jeszcze coś.

- Co takiego.

- Ma asa w rękawie.

- To znaczy?

- To znaczy, że kiedy jeden, jedyny raz odważyłem się jej sprzeciwić, zagroziła, że mnie wydziedziczy.

- No i co z tego? Do jasnej cholery, Toby, zarabiasz fortunę! Nie wyglupiaj się, przecież szacunek do samego siebie jest ważniejszy niż pieniądze.

Byli o kilka kroków od samochodu. Toby sięgnął po kluczyki i odblokował zamek.

- Abby, pozwól, że coś ci wytłumaczę. Nie mówimy o kilkuset zakichanych tysiącach. Już sam dwór wart jest dziesięć milionów. Do tego cała reszta posiadłości, gospodarstwa, domy. I całe fury gotówki. Powiniennem odziedziczyć to wszystko, kiedy umarł ojciec, ale

zostawił majątek matce, aby nie zabrakło jej na życie. Wcale go za to nie winię, zwłaszcza że widział, jak ona mnie traktuje, ale nie pozwolę, żeby spadek przeszedł mi koło nosa. I nie mów, że nie sprawiłoby ci przyjemności zagranie roli dziedziczki na włościach.

- Nie wierzę własnym uszom! - Ostatnie zdanie wytrąciło Abby z równowagi. - Jeżeli choć przez sekundę jesteś w stanie wyobrazić sobie mnie, jak snuję się po włościach w gumiakach na nogach i barbourach na grzbiecie, organizuję pokazy jeździeckie i bawię się w dobrą panią przed pospólstwem, to znaczy, że mnie nie znasz.

- Mówisz tak teraz, ale jak przyjdzie co do czego...

- Tobi, nie traktuj mnie jak idiotki.

- Nie traktuję cię jak idiotki. Z doświadczenia wiem, że ludzie się zmieniają. Na przykład pod wpływem pieniędzy, nie zaprzeczysz.

- Uwierz mi, ja się nie zmienię. Ani nie będę siedzieć z założonymi rękami i przyglądać się, jak matka tobą pomiata.

- Rób, co chcesz. - Wzruszył ramionami. - Tak naprawdę mam w nosie, jak mnie traktuje, o ile będę po niej dziedziczył.

- Nie wierzę ci, bo dlaczego tak zależy ci na jej uznaniu?

Nie odpowiedział. Pytanie ugodziło go w czuły punkt. W ciszy wsiedli do samochodu, Toby zapuścił silnik, pokonał krętą drogę do wyjazdu, gdzie podał banknot dwudziestofuntowy i zaczął na resztę.

- A dlaczego naopowiadałeś matce, że należę do klasy wyższej? Boję się teraz, że okażesz się takim samym snobem jak ona.

- Niepotrzebnie.

- To czemu nawymyślałeś, że należę do Cromptonów z Dorset i chodziłam do prywatnej szkoły?

- Próbowałem powiedzieć jej to, co chciała usłyszeć, i tyle.

- Tak dalej być nie może i to ze względu na nas oboje - westchnęła.

- Masz rację. Muszę jakoś uzdrowić relacje z matką. Myślisz, że powinienem pójść do terapeuty? To się zwykle robi w takich przypadkach? - Smutno potrząsnął głową. - Tylko że wiesz co? Wywlekanie przed kimś rodzinnych sekretów i prywatnych spraw jest takie jakieś... niebrytyjskie. I Bóg wie, jak będę w stanie pogodzić to z pracą. Możesz jeszcze trochę ze mną wytrzymać? - zapytał z błagalnym, dziecinnym wyrazem oczu.

- Oczywiście. A terapia to świetny pomysł i nie panikuj, na pewno pomoże. Słowo.

Toby oznajmił, że nie zostanie u Abby na noc, ponieważ powinna porządnie się wyspać po przygodzie z windą, poza tym on wcześniej rano musi złapać pociąg do Edynburga.

- OK - zgodziła się wbrew sobie, bo wolałaby, żeby został.

Po wieczornych przeżyciach miała ochotę się wtulić w jego ramiona.

Próbowała wyczuć: naprawdę nie chce jej przeszkadzać czy próbuje wykręcić się od pójścia z nią do łóżka? Od tygodni zapewniał, że sprawy sypialniane wkrótce się ułożą, ale tak się nie stało. Powoli zaczęła się zastanawiać, czy jego brak ochoty na seks nie wynikał z istotniejszego powodu niż stres w pracy. Trzeba będzie jak najszybciej spojrzeć prawdzie w oczy, ale tak bardzo boi się go zranić! Zebrała się na odwagę - czy to z powodu adrenaliny, która wciąż w niej buzowała, czy przez emocje, jakie wyzwoliła w niej kłótnia.

- Toby, muszę cię o coś spytać.

- O co chodzi?

- Zastanawiam się, czy to moja wina, że ze sobą nie sypiamy - zaczęła dyplomatycznie, nie mając czelności zapytać go wprost, czy jest gejem.

- Ależ skąd, co też ci przyszło do głowy?

- Sama już nie wiem, może coś robię źle? Albo z jakiegoś powodu nie jestem dla ciebie pociągająca? Czasem wydaje mi się, że wolałbyś, by zamiast mnie był przy tobie ktoś inny.

- Czekaj, czekaj, oskarżasz mnie, że mam kogoś na boku?

- A masz?

- Na litość boską, oczywiście, że nie!

- Skoro nie, to może...

- Abby, co próbujesz zasugerować?

- Że... może ewentualnie troszeczkę... że może nie przepadasz za kobietami?

W odpowiedzi wybuchnął śmiechem.

- Czyli jestem gejem?

- Przyszło mi to do głowy.

- Dlatego, że potrafię się dobrze ubrać i od czasu do czasu mi nie staje... nie staję na wysokości zadania, to wcale nie znaczy...

- Nie od czasu do czasu, tylko cały czas.

- Nie bądź taka skrupulatna. Boże, Abby, to taka banalna, prymitywna konkluzja. Niegodna ciebie.

- Dobra. Więc jesteś czy nie?

- Chciałaś, to masz. Ja, Toby Kenwood, nie jestem, nie byłem i nie będę gejem - powiedział, wznosząc dwa palce jak do przysięgi.

- Ale od tak dawna nie spaliśmy ze sobą...

- Abby, jestem ciągle zmęczony. Zwyczajnie, po prostu zmęczony. Wiem, jak ci z tym ciężko i myślisz pewnie, że cię zaniedbuję, ale postaram się coś na to poradzić. Zastanawiałem się, czy przez to przepracowanie nie spadł mi poziom testosteronu. Może jest za niski, obiecuję, że wkrótce pójdę na badania.

- Na pewno?

- Masz moje słowo.

Przez kilka minut nie odzywali się do siebie. Kiedy skręcili w Euston Road, Abby dostrzegła plakat *Producentów*. Były na nim stylizowane rysunki trójki głównych bohaterów: Maksa Bialysocka, Leona Blooma i drapieżnej blondynki o imieniu Ulla.

Abby zachichotała, przypomniawszy sobie, że taki sam plakat wisiał na ścianie windy. To tam Dan znalazł nazwy dla niezawodnych wynalazków inżynierii dwudziestego wieku: system blokerów przeciwapadkowych Bialysocka z hamulcami niezależnymi Blooma i oscylatorem typu Ulla.

- Co cię tak śmieszy? - zdziwił się Toby.

- Nie, nic, to tylko ten plakat, mniejsza z tym.

Rozdział 4

Abby wzięła prysznic, wypila kubek ciepłego mleka i zasnęła tak mocno, że rano nie usłyszała budzika. Wstała dopiero, kiedy za piętnaście dziewiąta zadzwoniła komórka. Na wpół przytomna wygrzebała się spod kołdry i zaczęła szukać telefonu na nocnym stoliku, gdzie zostawiła go wczoraj, podłączonego do ładowania. Przypuszczała, że dzwoni Toby, by sprawdzić, jak się ma po wczorajszych przejściach.

- Halo? Abby, tu mama. - Głos Jean zahuczał, jakby znajdowała się w strefie wojennej i składała meldunek przez krótkofalówkę. Dziewczyna przez sekundę poczuła rozczarowanie, że to nie narzeczony. - Mam łączność satelitarną ze statku... Czy mnie słyszysz?

- Bardzo dobrze - powiedziała, odsuwając telefon od ucha. - Nie musisz tak krzyżeć.

- Przepraszam, kochanie. Teraz lepiej?

- O wiele lepiej.

- Możesz rozmawiać? Nie przeszkadzam ci w czymś ważnym? - Jean zawsze zaczynała w ten sposób rozmowę z córką. Odkąd Ładne Kwiatki zaczęły przynosić dochód, traktowała córkę jak zabieganą, megaważną bizneswoman, która wie, że tak wysokooktanową egzystencję, że nigdy nikomu nie wolno jej przeszkadzać, nawet własnej matce.

Abby, gdyby mogła, zmieniłaby w swojej mamie jedno - jej niskie poczucie własnej wartości. Pochodziła z surowej, bogobojnej rodziny, gdzie prym wiódł ciskający gromy, tłukący kubkiem w stół, despotyczny ojciec, a bojaźliwie wtórowała mu miła, pełna wrodzonej słodyczy matka. Ją właśnie i nieletnie dzieci straszyl dzień w dzień okropnościami piekła i losem, jaki czeka niedowiarków i grzeszników. Dziadzia Enoch zmarł, kiedy Abby była jeszcze niemowlakiem, ale strach, jaki zakorzenił w Jean, wcale nie ulotnił się wraz z jego śmiercią. Do dziś, robiąc sobie pasemka, czuła się jak ostatnia puszczalska. Strach przed otwartą konfrontacją to kolejna cecha, jaką Enoch pozostawił córce w spadku.

Nic zatem dziwnego, że wyszła za cichego, spokojnego Hugh. Spotkali się w pracy. On pracował w radzie dzielnicy, w dziale planowania przestrzennego, nadzorował przebudowy i nadbudowy. Jean była tam maszynistką. Hugh w przeciwieństwie do Enocha był łagodny i uprzejmy, przez całe życie żona otrzymywała od niego wyłącznie zachwyty i wsparcie. Nigdy nie zdarzyło im się wyjść z domu, by mąż nie powiedział jej, jak pięknie wygląda, ani zasiąść do stołu, by nie pochwalił jedzenia, które przygotowała. Na dodatek Hugh był agnostykiem - choć trzeba przyznać, że nigdy nie wspomniął o tym teściowi.

Kiedy Abby poszła do szkoły, ojciec próbował przekonać mamę, by poszła do pracy na pół etatu - wydawało mu się, że zyska w ten sposób więcej pewności siebie, jednak na próżno. Jean została w domu, a odrobina śmiałości, jakiej nabrała podczas pracy w administracji, ulotniła się bez śladu. Abby pamiętała sytuacje, kiedy zapraszała koleżanki po szkole. Mamy wielu z nich pracowały - jako prawniczki, lekarki, nauczycielki. Jean robiła dziewczynom na kolację zapiekankę pasterską i zachwycała się: „Musisz być taka dumna z mamy” albo: „Na pewno, kiedy dorośniesz, pójdiesz w ślady mamy”. Dzieciaki przyjmowały te uwagi wzruszeniem ramion. Abby wiedziała, że nie znosiły, kiedy po szkole w domu czekała na nie tylko opiekunka. Próbowwała tłumaczyć Jean, że nie ma potrzeby czuć się gorsza niż inni rodzice. Często przytulała się do niej i mówiła, że jest najwspanialszą mamą na świecie.

- Zawsze czekasz na mnie, kiedy wracam do domu. Zawsze przychodzisz na wywiadówki i imprezy. U nas na kolację jest pyszne prawdziwe jedzenie, a nie rozmrażane paluszki rybne.

W odpowiedzi Jean za każdym razem dziękowała córce za miłe słowa, ale z jej twarzy nie schodził dziwny, nieobecny wyraz, jakby część jej chciała wspiąć się na szczyt trampoliny i skoczyć, lecz pozostałe nie pozwalały na to ze strachu, że uderzy o powierzchnię wody.

- Nie, mamó, w ogóle mi nie przeszkadzasz - tłumaczyła Abby, leżąc na boku - a gdyby nawet, to co? Zresztą jestem jeszcze w łóżku.

- Och przepraszam, na pewno cię obudziłam?

- Na całe szczęście - powiedziała, zerkając na zegarek wskazujący dziewiątą. - Zaspałam, nie słyszałam budzika.

Wolała nie wspominać o wczorajszych wydarzeniach, bo Jean mogłaby zacząć wydziwiać i upierać się, że Abby musi jechać do szpitala i zrobić badania, czy nie ma wewnętrznych obrażeń.

- Dlaczego dzwonisz, mamó? Czy wszystko w porządku?

- Tak, może trochę kołysało w Przesmyku Drake'a wczoraj wieczorem. Tata zwrócił prawie całą *beauf en daube* i pół butelki chardonnay. Stan łazienki bez zmian. Okazało się, że nie tylko my mamy problem z kanalizacją, ale też ludzie ze wszystkich kabin na naszym pokładzie. Przejście było rano pełne brudnej wody, więc dosłownie musieliśmy szorować i dezynfekować pokład. Ale nie ma co narzekać. Nie wolno tracić ducha, na pełnym morzu bywa gorzej.

- Ale przecież jesteście na pełnym morzu.

- Ojej! Rzeczywiście - zachichotała Jean.

- Mamo, martwię się tą waszą łazienką, od takiego paskudztwa możecie poważnie się pochorować...

- Nie przejmuj się, wszystko jest pod kontrolą. Zakolegowałam się z takim prawnikiem na pokładzie, ma piękną żonę, bardzo elegancką, wygląda jak księżna Kentu, gdyby ta prowadziła artystowski sklepik z pamiątkami w Brockenhurst... W każdym razie Gerald, czyli ten prawnik, zaproponował, żebyśmy wspólnie wystosowali petycję do kapitana.

- Petycję? Niby jaką? Że jeśli nie usunie usterki, złożycie zażalenie radzie okręgowej, która będzie zmuszona wszcząć niezbędne kroki prawne albo nałożyć grzywnę? Koń by się uśmieł. Mamo, musicie ostro zareagować. Sytuacja jest poważna.

- Wiem, dlatego próbujemy działać razem z innymi pasażerami. Tworzą się wśród nas prawdziwe więzy koleżeńskie. Duch Dunkierki i tak dalej w tym stylu... Dzielimy się mokrymi chusteczkami i środkami do dezynfekcji. Ale, ale, dzwonię, żeby ci przypomnieć, że pojutrze są urodziny cici Gwen. Może pošlesz jej kartkę z życzeniami i jakiś kompakt. Il Divo? Albo kup jakiś sweter, ewentualnie butelkę White Musk w Body Shopie.

Abby na śmierć zapomniała o urodzinach ciotki. Oczywiście, w przerwie obiadowej wyskoczy, by kupić kartkę i prezent.

- Mamo, teraz muszę lecieć. Jest już po dziewiątej i powinnam zejść otworzyć sklep. Ale błagam, obiecaj mi, że postarasz się, żeby usunęli usterkę w kanalizacji. Musicie z tatą wreszcie nauczyć się sprzeciwiać i walczyć o to, co się wam słusznie należy.

- Dobrze, dobrze, kochanie. A teraz nie zawracaj sobie głowy... ach, byłabym zapomniała, to w tym tygodniu jesteś umówiona na kolację z lady Penelope?

- Tak, kolacja odbyła się wczoraj.

- I jak poszło? Założę się, że matka Toby'ego jest bardzo miła. A czy bardzo ładna? Wyobrażam sobie, że ubiera się elegancko i ma doskonałą figurę, trochę jak księżna Monako.

- Figurę ma, trudno jej nie zauważyć. - Abby uśmiechnęła się na samo wspomnienie.

- A czy jest miła?

- Specyficzna. - Abby postanowiła dyplomatycznie podejść do sprawy. Nie było sensu wtajemniczać Jean w szczegóły osobowości lady P., nie chciała niepotrzebnie denerwować matki. - Teraz naprawdę muszę lecieć. Opowiem ci o wszystkim, kiedy wrócicie do domu.

ABBY ODŁOŻYŁA SŁUCHAWKĘ i poczuła, że najchętniej wróciłaby do łóżka. Głowa pękała jej od tępego bólu. Nic dziwnego. Choć w pierwszej chwili nie zdawała sobie z tego sprawy, zamknięcie w windzie było dla niej prawdziwym szokiem. Wiedziała, że powinna wstać, ale jak na razie ciało odmawiało jej posłuszeństwa. Leżąc, gapiała się w sufit i rozpamiętywała panikę i uczucie klaustrofobii, jakich doświadczyła wczorajszego wieczoru. Na szczęście przypomniła sobie także uskrzydlające poczucie wyzwolenia, kiedy ją wyratowano, i pewność, że pozbyła się na zawsze fobii. Potem nasunęło jej się wspomnienie, które przyprawiło ją o rumieniec. Co ona nagadała Danowi! Opowiedziała mu, że Toby nie radzi sobie w sypialni. Szczęście w nieszczęściu - pewnie nigdy więcej faceta nie zobaczy. Byłoby o wiele gorzej, gdyby chlapnęła jęzorem w obecności kogoś, kogo zna i regularnie spotyka. Na koniec przypomniła sobie zachowanie Toby'ego w restauracji. Mimo że przeprosił, była na niego wściekła, ponieważ nie stanął po jej stronie. Kiedy opowiadał z uporem godnym lepszej sprawy o jej związkach z Cromptonami w Dorset, czuła się jak ostatnia parweniuszka. Zgoda na przeprowadzenie testów płodności w pierwszej chwili wzbudziła w niej obawę, czy zamiast jajników nie nawalają jej uszy - jego zachowanie było tak absurdalne, że chyba się przesłyszała. Może i dobrze, że wyrównała emocjonalne rachunki swoim paskudnym, nielojalnym gadulstwem w windzie. No i wisienką na torcie tego wieczoru było oskarżenie Toby'ego o skłonności homo!

Postanowiła zadzwonić do niego pierwsza i uspokoić, że z nią wszystko w porządku. Spróbowała wybrać numer domowy, ale włączyła się automatyczna sekretarka, podobnie jak w komórce, tam zostawiła jednak wiadomość: „Cześć, to ja. Chciałam tylko powiedzieć, że mam się dobrze i przepraszam za mój wczorajszy wybuch złości. I że ci przygadałam, wiesz o czym, ale ostatnio nie dawało mi to spokoju. Powinniśmy byli porozmawiać na spokojnie, a nie w ten sposób. Nie jesteś na mnie bardzo zły, prawda? To tyle, daj znać, czy wpadniesz na kolację, bo jeśli tak, to coś ugotuję. Pa. Całusy”.

Zerknęła na zegarek. Wpół do dziesiątej: za pół godziny musi otworzyć kwiaciarnię. Czas wstawać, leniu! Podarowała sobie jeszcze kilkanaście sekund na leżąc, pod ciepłą kołderką, po czym skopała ją z siebie, usiadła i bohatercko opuściła stopy na podłogę. Wstała i wskoczyła we wczorajsze dzinsy i podkoszulek z długimi rękawami, jeden z tych, które zawsze nosiła w pracy. Na to dzinsowa kurtka i fioletowa kaszmirowa narzutka - prezent od Toby'ego - której używała jak szala. W kwiaciarni musiało być chłodno ze względu na rośliny. W zimnych

porach roku, tak jak teraz, wiecznie marzła - zwłaszcza że bez przerwy ktoś z kupujących wchodził albo wychodził, robiąc paskudny przeciąg.

Właśnie szła umyć zęby, kiedy usłyszała, że na dole ktoś kluczem otwiera drzwi sklepu. Martin Stokrota.

- Czołem! - zawołała z góry. - Przepraszam, że się spóźniam. Zaraz schodzę, przyniosę kawę.

Stokrota był asystentem Abby. Pracował u niej prawie od roku i choć wcześniej długo prowadziła kwiaciarnię w pojedynkę, teraz nie mogła sobie wyobrazić, jak poradziłaby sobie bez niego. Przeniósł się do niej od konkurencji: z Goździkowego Globu za rogiem. Oczywiście Stokrota nie nazywał się Stokrota, lecz Roberts. Przewali go koledzy w rodzinnym Liverpoolu, którzy uważali przydomek za odpowiedni dla cieszącego się powodzeniem homoflorysty.

Z początku Abby czuła się nieswojo, zgodnie z jego życzeniem nazywając go Stokrota - sugerowało to bowiem zażyłość, być może niewskazaną w stosunkach szefowa-pracownik. Zakłopotanie szybko zniknęło, zwłaszcza kiedy okazało się, że wkrótce Martin stał się jednym z najbliższych przyjaciół Abby. Nienawidziła truizmów, jak choćby takiego, że najlepszymi przyjaciółmi kobiet są geje, ale w przypadku Stokroty było w tym sporo racji. Jak większość gejów miał bonus - swoją kobiecą stronę. Potrafił rozmawiać o emocjach (choć trzeba przyznać, że przeważnie o własnych), gotować pyszne risotto i bez zmruczenia okiem wygłosić wykład o zbrodniach odzieżowego savoir-vivre'u, do jakich należy noszenie ciuchów Miu Miu po przekroczeniu dwudziestego piątego roku życia.

Z łazienki Abby przeszła do kuchni, gdzie wyjęła dwa czyste kubki ze zmywarki. Nasypała do nich po łyżeczce kawy rozpuszczalnej: zwykłej dla siebie, bezkofeinowej dla Martina. Zawsze, gdy chcieli napić się czegoś ciepłego, musieli chodzić na górę, bo w kwiaciarni nie było kuchni, jedynie mała kanciapa na tyłach. Na dobrą sprawę w mieszkaniu Abby także nie było prawdziwej kuchni. Pośrednik zachwalający jej to lokum paplał typowym slangiem pracowników agencji nieruchomości i określił ją jako kuchnię amerykańską. Tak naprawdę był to rząd nowych szafek z Ikei ustawionych przy ścianie pokoju służącego jednocześnie za salon i jadalnię. Takie rozwiązanie świetnie się sprawdzało podczas przyjmowania gości, ponieważ Abby mogła gotować i jednocześnie rozmawiać, jednak minus stanowił fakt, że cały czas musiała utrzymywać w kuchni idealny porządek. Nie wyobrażała

sobie gorszej sytuacji niż położenie się przed telewizorem, mając przed sobą widok i zapach nieumytych naczyń oraz kosza, z którego wysypują się śmieci.

Część dzienna była spora i miała wysoki, ozdobiony stiukami sufit. Znajdował się w niej oryginalny, stary kominek z czarnego marmuru, wysokie okna z drewnianymi okiennicami wychodziły na Upper Street. Abby pomalowała je na biało, podobnie jak ściany, ponieważ, jak mówiła, takie tło jest najlepsze dla obrazów. Nie żeby jakieś posiadała. Mimo że interes szedł świetnie, przy końcu każdego miesiąca nie zostawało jej wiele gotówki. Rachunków miała sporo, do tego dochodziła pensja Martina - był wart każdego jej pensa - oraz kilkaset funtów miesięcznie na spłatę kredytu, który zaciągnęła w banku, aby otworzyć firmę.

W teorii okiennice zastępowały zasłony czy rolety, w praktyce, choć dobrze zaciemniały i chroniły przed spojrzzeniami przechodniów, nie zatrzymywały przeciągu i zimą w mieszkaniu hulał wiatr, wpadający przez stare nieszczelne, podnoszone okna. Do tego wiało też od podłogi, której wykoślawione deski Abby własnoręcznie wycyklinowała i pomalowała na biało. Gdyby tylko potrafiła pójść na stylowy kompromis i przykryć ją wykładziną! Rachunki za ogrzewanie - w zimie grzejniki zawsze były ustawione na maksimum - pochłaniały fortunę, a w domu i tak było za chłodno. Co roku obiecywała sobie, że wreszcie wybierze się do Habitatu i kupi kilka dywanów, ale jakoś nigdy nie mogła się na to zdobyć, po czym robiło się cieplej i zapominała o sprawie. Czasem, leżąc w łóżku z butelką z gorącą wodą, okutana w ciepłą piżamę i w skarpetach, wyobrażała sobie, że odpoczywa nad brzegiem basenu przy obrośniętym dzikim winem wiejskim domu w słonecznej Prowansji, i niemal wyczuwała w powietrzu zapach jaśminu, lawendy i mirtu.

W oczekiwaniu na wrzątek podeszła do okna, uchyliła okiennicę i przyłożyła dłoń do szyby; wydała się jej mniej zimna niż zwykle. Może północny wiatr zmienił kierunek i nadciągał ciepły front atmosferyczny?

Wyglądając na ulicę, dostrzegła kilka mam z wózkami i nosidełkami - parę z nich prowadziło dzieciaki za rękę - zmierzały w stronę kawiarni Nero. Jakaś jej częśćka chciała przyłączyć się do nich, dzielić się poradami i plotkami. Miała trzydzieści cztery lata. To najwyższa pora, by przynajmniej poważnie pomyśleć o dziecku. Praca nie stanowiła przeszkody; Abby osiągnęła przecież stabilizację finansową, na kilka miesięcy mogłaby powierzyć prowadzenie kwaciarni Martinowi. Jedyne problem stanowił jej narzeczony. Co prawda chciał mieć dzieci, ale jego pracoholizm zepchnąłby Abby do roli samotnej matki, co wcale jej się nie uśmiechało - rodzicielstwo to niełatwe zadanie, nawet dla dwojga. Chciała, by

Toby zachowywał się jak prawdziwy tata, a nie wracał do domu, kiedy dzieci śpią, i bawił się z nimi od święta i w weekendy. W takim razie musi poczekać z ciążą, aż zaproponują jej partnerowi stanowisko współwłaściciela firmy, wtedy będzie mógł sobie pozwolić na poświęcanie czasu przyjemnościom. Wspominał o tej możliwości od dawna, nie będą musieli chyba czekać całe wieki.

Zalała kawę i zanosła na dół. Tego ranka w znajomej fali wilgotnego, zimnego powietrza unosił się słodki, ciężki aromat. Marzec. Nie dalej jak wczoraj przyjęła dostawę bzu, irysów i mocno pachnących hiacyntów.

Pomieszczenie kwiaciarni było długie i mroczne, lecz na tyle szerokie, by ustawić pośrodku okrągły, wielki błyszczący stół z białego tworzywa o opływowych kształtach, który wyglądał jak gigantyczna podstawa tortu, tyle że zamiast kawałków ciasta stały na nim rozliczne wysokie, wydłużone wazon-y wypełnione roślinami. Sklep pękał w szwach od wiosennych kwiatów. Prócz irysów, jaśminu i hiacyntów były w nim pomarańczowe i białe korony cesarskie, różnokolorowe jaskry o delikatnych, niczym z papieru płatkach, purpurowe i czerwone anemony, kiście kwiatów kaliny i to, co Abby lubiła najbardziej: francuskie tulipany - białe, czerwone i fioletowe. Ich prostota była odtrutką na bożonarodzeniową przesadę ornamentów. Często zanosila pół tuzina białych kwiatów do mieszkania i układała je w przezroczystej szklanej misie. Uwielbiała patrzeć, jak kierują główki w poszukiwaniu źródła światła. Po dniu lub dwóch kielichy otwierały się, a łodygi wydłużały i wyginały, przechylając się przez brzegi misy i tworząc wyszukane kształty.

Lada z kasą znajdowała się na tyłach sklepu. Za nią było jeszcze jedno małe pomieszczenie, służące do układania bukietów i roślinnych kompozycji. Jedną ścianę z premedytacją Abby zostawiła pustą, by zwiększyć wrażenie wolnej przestrzeni. Na drugiej zamocowała modne białe półki o niewidocznych mocowaniach, stały tam świece, flakony, wyszukane metalowe pojemniki i kartki.

Martin Stokrota stał przy oknie, zza paska dzinsów biodrówek wystawało mu sześć cali czarnych bokserów CK. Trzymał małe lusterko, w którym odbijała się jego elfowata, tuż przed trzydziestką twarz, porośnięta stylową trydniówką. Abby patrzyła, jak Martin naciąga palcem skórę wokół oka.

- Siemasz, Stokrota. Nie mogłeś włączyć ogrzewania? Zamarzniemy tu. - Odepchnęła łokciem stertę purpurowego papieru do pakowania i na wolnej powierzchni postawiła dwa kub-

ki z kawą, po czym schyliła się i ustawiła pokrętło nadmuchowego grzejnika na maksimum. Włączył się, emitując rozkoszny ciepły powiew.

- Widać je, kiedy obrócić się do światła.

- Kogo widać?

- Nie kogo, tylko co: moje kurze łapki. Podejdz i sama zobacz. Tę kurację przeciwzmarszczkową można o kant dupy potłuc. Pięćset funtów na zastrzyki w błoto! Pójdę i upomnę się o zwrot pieniędzy.

Z przykrością opuściła strefę ciepłego powietrza i podeszła bliżej Martina. Zwrócił ku niej twarz, a ona poczuła zapach Energize Hugo Bossa.

- Nic nie widzę.

- Jak to nic? Popatrz na te zmarszczki, są jak wąwozy!

Wyteżyła wzrok i dostrzegła kilka cieniutkich kreseczek.

- Martin, jakie wąwozy?

W odpowiedzi podciągnął skórę nad piaskowymi brwiami, sprawiając, że oczy stały się wylupiaste.

- Chyba se zrobię lifting powiek, co ty na to?

- Że wczoraj wieczorem pewnie poszedłeś na łowy, wróciłeś sam i teraz masz doła.

- Ach kochanie, ty znasz mnie najlepiej - zaintonował głosem à la Noël Coward, udając, że trzyma papierosa w długiej cygarniczce. Przerwał i wrócił do swego zwyczajnego akcentu liverpoolskiej dzielnicy robotniczej.

- Niedługo rozsadzi mi wędkę, a jaja mi szernieją, uschną odpadną. Nieużywany organ zanika, a ja nie robiłem tego od czterech miesięcy - mówiąc to, podciągnął dżinsy i wrócił z Abby na tyły sklepu. Sięgnął po kubek z parującą kawą. - No nic. Nie przejmuj się. Wstań, podkreć rzęsy i spojrzysz światu w twarz: oto moje motto.

Stokrota miał niesamowite rzęsy. Nie było kobiety, która nie westchnęłaby z zazdrości na widok tych ciemnych, długasných, lekko podwiniętych cudów natury. Tylko Abby poznała sekret: nie dość, że Martin zrobił sobie na nich trwałą, to jeszcze co rano podkrecał je zalotką. Wyznał jej to w zaufaniu i nakazał trzymać buzię na kłódkę. Teraz zgarnął leżącą na ladzie listę i przeczytał na głos plan dnia.

- OK, jeszcze jedna matka z córką na rozmowę o bukietcie ślubnym. Trzy zamówienia na kwiaty do dekoracji stołu na wieczór. Zaraz się do nich zabieram, jeśli chcesz... a swoją drogą, czy nie wydaje ci się, że mam małe sutki? - zapytał, podciągając w górę obcisły prążkowany

golf. - Powiedz mi prawdę. Pytam, bo ten boski pistolet, którego poznałem wczoraj wieczorem - sobowtór Naomi Campbell - tak właśnie mi powiedział.

- Są zupełnie zwyczajne. Wszystkie trzy - zakpiła, patrząc mu prosto w klatę, za co Martin klapnął ją lekko w ramię.

- Jesteś okrutną kobietą, Abby Crompton, i dobrze o tym wiesz. - Obciągnął sweter i upił łyk kawy.

- Mogę zadać ci naprawdę osobiste pytanie? - rzuciła.

- Nie, jeśli chcesz robić sobie ze mnie jaja.

- Przysięgam, że nie. To na poważnie. Jednego nie rozumiem: jeśli ten chłopak był prawie jak Naomi Campbell, to dlaczego nie podoba ci się sama Naomi Campbell?

Stokrota przeniósł ciężar ciała na jedną nogę i wystawił biodro, po czym oparł na nim rękę, co nadało mu kształt małego imbryka do herbaty. Aby przygwoździć ją do reszty, spojrzął na nią, jakby włożyła kraciatą bejsbolówkę Burberry i papucie do wieczorowej sukni Lacroix.

- Widzę, że czas na pracę u podstaw. Powodem, dla którego nie podoba mi się Naomi Campbell, jest to, że nie ma penisa.

Abby nie zdążyła odpowiedzieć, bo oto otwarły się drzwi i do kwaciarni weszła Sophie. Jej raczkująca agencja PR znajdowała się tuż za rogiem, więc od czasu do czasu przyjaciółka wpadała przed pracą na kawę i pogaduszki do kwaciarni.

- Cześć! Błagam, powiedzcie mi, ludzie, czy ja nie jestem za niska i za gruba do tego kostiumu? Boję się, że w jasnoróżowym wyglądam jak półtorametrowa żelka.

Kiedy Sophie była dzieckiem, pocieszano ją, że pewnego dnia przyjdzie „nagły skok”, po którym pojawią się upragnione dodatkowe centymetry.

Między czternastym a siedemnastym rokiem życia przybyły jej najwyżej trzy centymetry, a kiedy dobiła do osiemnastki, musiała pogodzić się z faktem, że nigdy nie osiągnie więcej niż sto pięćdziesiąt siedem centymetrów wzrostu. Podobnie po przekroczeniu trzydziestki wypadało spojrzeć prawdzie w oczy i przyjąć do wiadomości, że „dziecinny tłuszcz” jest częścią jej urody i nie zniknie mimo najprzeróżniejszych diet. Wygląd to jedyna dziedzina, w której Sophie traciła zwykłą pewność siebie.

- Cześć - rozpoczęła Abby, przewracając oczami - chciałabym powitać państwa na inauguracyjnym zlocie Anonimowych Fizycznych Anomalików. Sophie - pan Stokrota. Jego specjalnością jest troska o kurze łapki i za małe sutki. Stokrota - oto Sophie. Może uda ci się

jakoś ją przekonać, że jej cudowne ciemne włosy i oczy, nie wspominając ślicznej śniadej cery, wyglądają przepięknie przy jasnoróżowym stroju i że wcale nie przypomina żelki.

- Łatwo to mówić - prychnęła Sophie - jak się nosi rozmiar trzydzieści sześć i ma nogi aż do pasa.

- No i kości policzkowe - dodał Martin. - Nie zapominaj o kościach policzkowych. Ani o brązowych sarnich oczach, doskonale współgrających z błyszczącymi, półdługimi, kasztanowymi włosami.

- Ludzie, zejście ze mnie. Znajdźcie sobie jakiś inny temat. - Abby powiedziała to ostrzejszym głosem, niż zamierzała. - Chciałam tylko pomóc.

Jej przyjaciele wymienili rozbawione spojrzenia.

- Coś dzisiaj łatwo wyprowadzić cię z równowagi. Wczorajsza kolacja nie wypadła za dobrze? - spytała Sophie.

- Niespecjalnie.

- O rany! Zupełnie zapomniałem. Jasne, przecież wczoraj było wejście smoka. Opowiadaj, jaka jest. Straszna?

- Jak to smok. Ale nie to było straszne. - Abby się zaśmiała i opowiedziała o przygodzie z windą.

Kiedy skończyła, Martin się zawstydział.

- A ja ci tu truję o łapkach i sutkach! Trzeba było z tym od razu...

- Ale przecież ty nigdy nie jeździsz windą? - wpadła jej w słowo Sophie. - Po co? Dlaczego? - Tu posypała się oczekiwana seria pytań. Czy nic jej się nie stało? Na pewno? Może powinna na wszelki wypadek pójść na kontrolę do szpitala? Do psychoterapeuty? Kto był z nią w windzie? Ile trwało, zanim przybyła pomoc? Czy zaskarży londyńską komunikację? Czemu nie? Czy zaproponowali jej odszkodowanie? Czy zdaje sobie sprawę, że to jałmużna i że powinna natychmiast pójść do prawnika? Toby się nie nadaje, potrzebny jej specjalista od roszczeń. Sophie ma znajomego, który może pomóc. Jak to, Abby nie chce robić zamieszania? No nie, mówi jak jej rodzice. Przecież mogła już nie żyć!

Martin wyczuł, że szefową oszołomiła lawina pytań.

- A co to za facet, ten, z którym byłaś w windzie?

- Dan? Och, bardzo w porządku. Natychmiast zorientował się, że się rozsypuję. Bardzo dobrze się mną zajął.

- Aha... - Sophie uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Co za „aha”, jakie „aha”? Boże, ty myślisz tylko o jednym... zagadał mnie i tyle... żeby odwrócić moją uwagę.

- Rozumiem. No a czym się ten Dan zajmuje?

- Nie mam pojęcia. Nie pytałam, ale chyba wspomniał, że ma tytuł inżyniera.

- Gdzie mieszka?

- Nie wiem.

- Ma kogoś?

- Trudno powiedzieć. Nie poruszyliśmy tematu, ale wydaje mi się, że nie.

- To o czym właściwie rozmawialiście?

- Bo ja wiem? Opowiedziałam mu, dlaczego zajęłam się florystyką. I wypiliśmy na spółkę wino. Jechał na imprezę urodzinową i miał ze sobą butelkę czegoś naprawdę wyjątkowego. Musiała kosztować fortunę, ale uparł się, że ją otworzy, bo alkohol pomoże mi się uspokoić.

- I pomógł?

Abby się zaczerwieniła.

- Nie mów! Wstawiłaś się? Wstawiłaś się, przyznaj się tu zaraz!

- OK, może trochę, ale prawie nic nie jadłam przez cały dzień i alkohol uderzył mi do głowy.

- No pięknie, a oprócz tego, że się zalałaś w trzy dupy, coś jeszcze się między wami wydarzyło?

- Nie, i wcale tak strasznie się nie wstawiłam. Byłam podchmielona, ot co.

- Co to znaczy: nie tak strasznie? - Sophie zamilkła, po czym jej twarz rozświetliło podniecenie. - Dobierałaś się do niego?

- Nie wygłupiaj się. Jak mogłabym się do niego dobierać?

- Coś się wydarzyło. Znam cię na wylot, zawsze potrafię poznać, gdy coś ukrywasz, bo głupio ci o tym powiedzieć.

- Nie się nie wydarzyło i skończ wreszcie to przesłuchanie.

- Dobra, ale i tak wiem, że coś ukrywasz.

Martin póleżał na ladzie, podpierając dłonią podbródek.

- No dalej, ulżyj sobie. To moje motto. Co się będziesz męczyć. Wiem, to twoja sprawa, ale jesteś wśród przyjaciół, którzy szanują twoje prawo do prywatności. Prawda, Sophie? - szepnął teatralnie.

- Co, co?

- Szanujemy prawo do prywatności.

- A, oczywiście, jak najbardziej. Znacie mnie przecież, nigdy się nie wtrącam.

- Aha! - Abby się zaśmiała.

- No dobrze, może troszkę, ale to z dobrego serca. Wiesz, jak zależy mi na twoim szczęściu.

- Tak, a przy tym aż cię ściska z żalu, że mogłabyś nie wiedzieć czegoś, co się ze mną dzieje, bo poczułabyś się niedoinformowana i odstawiona na boczny tor.

- Też prawda.

Abby zaczerpnęła głęboki oddech. Przecież i tak wcześniej czy później przyjaciele wycisnęliby z niej, co przydarzyło się w windzie, więc równie dobrze może im to opowiedzieć już teraz.

- Dobra, nadstawcie uszu. Jak już mówiłam, byłam na głodnego. Wstawiłam się i zaczęłam opowiadać... no o tym, o czym wam też mówiłam... że ostatnio ja i Toby ze sobą nie śpimy.

- E, to jeszcze nic - ucieszył się Martin - ja pewnego razu przespałem się z roznosicielem pizzy i powiedziałem mu, że jak nie dojdzie za pół godziny, pizza ma być gratis, a on mi przyładował.

- Nie zrozumiałeś. Ja mu opowiedziałam... ze szczegółami. To wszystko przez alkohol, nie potrafiłam powstrzymać słowotoku.

- Spoko, nic się nie stało - uspokajał ją Stokrota, porzucając wesołkowaty nastrój. - Za dużo wypijaś, gadałaś za wiele. Każdemu może się zdarzyć.

- Niby tak, ale kiedy o tym pomyślę, spalam się ze wstydu. Nie mogę uwierzyć, że wygadywałam takie rzeczy, a co najgorsze, to nielojalne w stosunku do Toby'ego.

- To się nie liczy, bo po pijaku - podsumowała Sophie. - A przy tym miałaś atak paniki.

- Zgadzam się. Nie liczy się i już. Tak jak kradzione nie tuczy i podjadane w nocy z lodówki też nie.

Sophie porzuciła powątpiewający wyraz twarzy i postanowiła pomyśleć praktycznie.

- Spójrz na to z właściwej perspektywy. Toby nigdy się nie dowie, że wypaplałaś, a Dana pewnie nigdy więcej nie spotkasz. Na twoim miejscu zapomniałabym o wszystkim. Nic złego się nie stało, a przy okazji - jeśli ci się z Tobym nie układa, może powinniście spróbować terapii? Abby potrząsnęła głową.

- Zastanawialiśmy się nad tym, ale winą jest przepracowanie Toby'ego, musimy poczekać, aż u niego w firmie trochę się uspokoi.

Umknął jej wyraz troski malujący się na twarzach przyjaciół. Sophie i Martin zbliżyli się do siebie w ciągu kilku minionych miesięcy, bywało, że rozumieli się bez słów, być może dzięki podobieństwu charakterów, które tym razem, wbrew zasadzie, przyciągały się wzajemnie.

Abby postanowiła nie drażnić tematu relacji z narzeczoną, dlatego zbyła półsłówkami pytania o resztę wieczoru i skierowała rozmowę na sprawy przyjaciółki.

- A co tam u ciebie nowego? - zapytała tonem światowca.

Sophie przysiadła na stołeczku obok lady i uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Coś! Mam wam coś do opowiedzenia! - zakomunikowała.

- Niech zgadnę - przerwał Marin. - Jennifer Lopez wpadła pod walec drogowy i żąda milionów odszkodowania za spłaszczoną dupę?

- Zimno, zimno.

- Odkryli ósmego krasnoludka, Fiutka?

Przyjaciółki parsknęły śmiechem.

- Zimno, lód. Poznałam kogoś!

- Kogoś, czyli mężczyznę?

- Aha!

- Nie mów?! - zawołała Abby.

- Niemożliwe! - zawtórował Martin.

- Byłabym wdzięczna, gdybyście nie okazywali aż takiego zdumienia. Choć brzmi to nieprawdopodobnie, są na świecie mężczyźni, którym niskie Żydówki o kręconych włosach i BMI powyżej dwudziestu pięciu nie wydają się nieatrakcyjne.

- Moja droga, przepraszam. Wiesz, że moim zdaniem jesteś piękna, ale chodziło mi o coś zupełnie innego. Myślałam, że nigdy nie przebolejesz Franka.

Jeszcze pół roku temu bankier Frank Feldman był miłością życia Sophie. Do czasu, kiedy zostawił ją bez jednego słowa, telefonu, mejla i zwiął do Australii z tubylczą instruktorką fitness o imieniu Rayleen.

- Ja sama nie byłam pewna, czy potrafię pójść na randkę z kimś innym, dlatego na wszelki wypadek nic wam nie mówiłam, nie chciałam zawracać głowy.

- Chyba żartujesz, przecież się przyjaźnimy, po to mnie masz, żeby mi zawracać głowę. Takie tajemnice są zupełnie do ciebie niepodobne!

- Wiem, ale to się zmieni. Umówiliśmy się już z dziesięć razy i myślę, że coś z tego będzie. Chyba się zakochałam...

- Serio?

- Mhm... A do tego jest taki wysoki i przystojny! Nie wierzę własnemu szczęściu!

- A czy jest Żydem?

- A ty moją matką? - odpowiedziała pytaniem na pytanie Sophie.

- Przecież wiem, jakie to ważne dla twoich rodziców. Tyle razy opowiadałaś, jak im zależy, byś znalazła sobie miłego żydowskiego chłopaka.

- Znalazłam sobie - półżydowskiego. Nazywa się Lamar Silverman.

- Lamar? To nie jest żydowskie imię.

- To z tej drugiej połowy.

- A co porabia Lamar Silverman? - zaciekawił się Martin.

- Jak to co? Jest lekarzem.

- Nie do wiary! Poderwałaś przystojnego żydowskiego lekarza! - Abby z wrażenia złapała się za głowę.

- Półżydowskiego - przypomniała przyjaciółka, uśmiechem pokrywając niecierpliwość.

- Choćby nawet. Co z tobą, zamieniasz się w idealną żydowską córunię?

- Półidealną, bo doktor jest Żydem tylko w połowie - zauważył Martin.

- Przestań dzielić włos na czworo - ofuknęła go Abby i zwróciła się do Sophie: - Rodzice pewnie są zachwyceni?

- Jeszcze nic im nie powiedziałam.

- No mów: jak on właściwie wygląda, ten twój doktor? Naprawdę przystojny? Tak przystojny, że będę miał ochotę ci go odbić? - dopytywał Stokrota.

- Na pewno. - Sophie się zaśmiała. - Jest wysoki, ma przepiękne brązowe oczy. Gdybym miała go do kogoś porównać, powiedziałabym, że wygląda jak skrzyżowanie Wesleya Snipesa z Davidem Duchovnym.

- Moment... czy to przypadkiem nie znaczy... że Lamar jest w połowie Murzynem?

- Aha! Pół Żyd, pół Jamajczyk.

- Ja cię kręcę!

- Daj spokój, Abby, ty chyba nie będziesz robić cyrku z tego, że mój chłopak jest Mula-tem?

- Ja? Oczywiście, że nie. Próbuję się tylko przyzwyczaić do tego, że nazywa się Silverman i zarazem jest czarny. Wiesz, to trochę jak z Whoopie Goldberg, że nazywa się Goldberg.

- A ja chciałbym wiedzieć, dlaczego dali jej na imię Whoopie. Co za rodzice nazywają dziecko po poduszce pierdzioszce?

- Jednego nie rozumiem: skoro mówisz, że chodzicie ze sobą na poważnie, dlaczego nie przedstawiłaś Lamara rodzicom?

- Nie... po co się spieszyć? - Sophie niespokojnie wierciła się na stołku. - Przedstawię, bo ja wiem, może w roku 2020?

- Sophie, daj spokój, twoi rodzice nie są tacy. Oboje potracili rodziny w Holokauście, a nieraz słyszałam twój tatę, jak mówi, że nie znosi jakichkolwiek przejawów rasizmu.

- Wiem. Nie mają też nic przeciwko homoseksualistom, ale jakbym im obwieściła, że jestem lesbijką, nie byłoby im do śmiechu. Na powierzchni są tolerancyjni aż do bólu, ale jakoś nie mam ochoty wystawiać ich tolerancji na próbę. Co zrobię, jak mnie zawiodą?

- Na pewno nie. - Abby wzięła przyjaciółkę za rękę. - Znam twoją mamę i twój tatę. Są zwariowani, pyskaci, ale to dobrzy ludzie. Nie należą do tych, którzy mówią jedno, a robią drugie.

- Masz rację. Ale mimo wszystko jakaś część mnie umiera ze strachu, kiedy pomyślę, że zapraszam Lamara do nich do domu. Rozumiesz?

- Mhm. Ale wydaje mi się, że niepotrzebnie się martwisz. A nam go przedstawiś?

Sophie odpowiedziała, że z chęcią i że Lamar zabiera ją w piątek do teatru: mogliby pójść we czwórkę, a po przedstawieniu spotkać się z Tobym w Tarantino w Camden Town na późnej kolacji.

Nagle zadzwonił telefon i Martin pospieszył na tyły sklepu, żeby go odebrać. Wrócił po minucie.

- Kto to?

- Jakaś kobieta z filmu. Pytała, czy nie mamy nic przeciwko temu, by ona i reżyser wpadli tu po południu i obejrzelik sklep. Zgodziłem się, dobrze zrobiłem, prawda?

- Pewnie, że tak.

Jakiś tydzień temu zadzwoniła do Abby niejaka Katie Smith i przedstawiła się jako kierowniczką planu filmowego, szukająca modnej londyńskiej kwiaciarni jako miejsca akcji dla komedii romantycznej. Kilka razy przechodziła obok Ładnych Kwiatków i pomyślała, że świetnie by się nadawały. Budżet filmu jest bardzo niski, nie są w stanie wiele zapłacić, lecz kwiaciarnia mogłaby figurować pod prawdziwą nazwą i zyskać w ten sposób reklamę. Abby, choć zdawała sobie sprawę, że kręcenie filmu wiąże się ze strasznym zamieszaniem i bałaganem, zgodziła się niezwłocznie, a Katie obiecała zadzwonić, kiedy porozumie się z reżyserem.

Sophie podniosła się do wyjścia i poprosiła przyjaciółkę, by po wszystkim zadzwoniła i opowiedziała, jak poszło.

- À propos propozycji: mam nowego klienta. Japończyk, pan Takahashi. Pewnie o nim nie słyszałaś, ale to jeden z tych miliarderów komputerowych, dorobił się na oprogramowaniu. Córka wydaje w przyszłym miesiącu przyjęcie zaręczynowe, a ja podpowiedziałam, że powinna zamówić u ciebie kwiaty. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko.

- Żartujesz? To fantastycznie. Wielkie dzięki!

- Cieszę się. Takahashi to ważna szycha, zna wielu VIP-ów. Jeśli będzie zadowolony, poleci cię dalej. No nic, muszę lecieć. Jego osobisty asystent skontaktuje się z tobą.

Rozdział 5

Przez całe rano Abby zajęta była układaniem trzech okazałych kompozycji dla pana Hugo z salonu fryzjerskiego Hugo w Mayfair. Od czasu pojawienia się artykułów o kwiaciarni w dodatku „Timesa” i w „Evening Standard” zyskała kilku ważnych klientów - znane londyńskie firmy. Jeśli jej się poszczęści, będzie mogła dodać do listy pana Takahashiego.

Wnętrze salonu Hugo aż prosiło się o wyrafinowane, niezwykle roślinne kompozycje, których nie przytłoczy neorokokowy wystrój. Zakład składał się z kilku przestronnych pokoi z wysokimi sufitami ozdobionymi stiukowymi girlandami. Sam Hugo - a raczej jego dekorator - poszedł na całość i urządził go krzykliwymi francuskimi antykami, dodając do nich ogromne kryształowe żyrandole. Do tego amorki sikały do marmurowych fontann, połączone powyginane krzesła pokrywał wiśniowy aksamit, a ościeża ogromnego okna zdobiły lustra w złożonych ramach i przysłaniały ciężkie jedwabne draperie.

Martin, który, designersko rzecz biorąc, palił świece na ołtarzu stylu industrialnego pełnego rur i stali nierdzewnej, sarkał na stiuki Hugona. Abby po części zgadzała się z nim, ale skoro klient płacił co tydzień majątek za kompozycje do urn ze sztucznie postarzonego kamienia, nie skarżyła się specjalnie.

Wazy były o wiele za ciężkie, by z nimi jeździć, dlatego przygotowywała wypełnienie każdej z nich w plastikowym pojemniku i zawoziła do salonu. Dziś zestawiała cały gąszcz bluszczu z wysokimi gałązkami kwitnącej wiśni. Kiedy skończyła wszystkie trzy kompozycje, nawet Martin musiał przyznać, że wyglądają bosko. Zanim przedarła się przez zakorkowane miasto, zostawiła kwiaty i wróciła do Islington, nastąpiła pora lunchu. Wtedy jej się przypomniało, że miała jeszcze zdobyć urodzinowy prezent dla cioci Gwen. Zaparkowała furgonetkę i wstąpiła na moment do sklepu, by sprawdzić, czy pod jej nieobecność w kwiaciarni nie wydarzyło się nic nieoczekiwanego.

Martin nieźle się napracował. Zauważyła to, bo na chodniku przed wejściem stały ocynkowane wiadra wypełnione ręcznie układanymi bukietami dla spieszących się klientów. Obok nich umieścił kwitnące hiacynty, przebiśniegi i kompozycje ze świecą. Jedna z nich była naprawdę wyjątkowa, wykonana według koncepcji Stokroty, która zyskała dużą popularność. W tej wersji Martin użył do dekoracji papryki. Wokół cynkowego świecznika leżał szeroki wieniec z suszonych papryczek chili w kolorze głębokiej czerwieni. Pośrodku stała pojedyncza, kremowa, masywna świeca. Na Boże Narodzenie przygotował podobną wersję, tyle że z wieńcem brukselek. Chłopak miał niesamowite oko i wyobraźnię plastyczną. Uśmiechnęła się na myśl, jakie to szczęście, że u niej pracuje.

Uśmiech zbladł, kiedy Abby weszła do środka i usłyszała podniesione głosy zwiastujące awanturę. Martin klócił się zawzięcie ze swoim byłym, o imieniu Christian, z którym od czasu burzliwego rozstania rok wcześniej bezustannie miał na pieńku.

- Nie masz prawa zabraniać mi chodzić do Debbie! - wrzeszczał Martin, czerwony jak burak z oburzenia, wymachując palcem przed nosem starszawego gościa, stojącego po drugiej stronie lady.

- Nie będziesz mnie pouczał o prawach. Ty straciłeś swoje bezpowrotnie z chwilą, gdy odszedłeś i zamknąłeś za sobą drzwi.

- Odszedłem od ciebie, ale nie od Debbie! Jak miałem zostać po tym, co mi zrobiłeś!

- Na litość boską! - przerwała im Abby. - Weźcie coś na wstrzymanie.

Mężczyźni zignorowali ją zupełnie i kłócili się dalej. Martin, który właśnie robił dekorację stołową z kwiatów i owoców, wziął do ręki limonkę i przedziurawił ją wzdłuż kawałkiem drutu, po czym wbił jego wystający kawałek w gąbkę florystyczną, którą wyłożony był wiklinowy koszyk.

- Obiecałeś, że będziemy się dzielić opieką nad Debbie i teraz co, wycofujesz się, półgłówku? Wiesz, jak będzie cierpiała? Oglądałem program z terapeutą, który opowiadał, że pozbawienie dziecka opieki ze strony jednego z rodziców może wywołać traumę. Moczenie nocne, wybuchy wściekłości, zaburzenia łaknienia i fobie.

- Widzę, że się nie zmieniłeś. Wciąż nie możesz sklecić dwóch zdań bez pomocy durnych programów telewizyjnych. I kto tu jest półgłówkiem?

- Pijesz do mnie?

- A niby do kogo? Mimo moich wysiłków, by nadać ci jaką taką oglądę, wciąż wydaje ci się, że Platon to ten, co wymyślił platery... Wszystko jedno, Debbie zostaje u mnie i im wcześniej to pojmiesz, tym lepiej.

- Po moim trupie. Pójdę do sądu, jeśli trzeba.

- A idź! I opowiedz na rozprawie, jak przyprowadzałeś Debbie za późno, po ustalonym czasie odwiedzin, jak nie chciało ci się dla niej gotować, zapominałeś o jej witaminach i trzymałeś biedactwo w zamknięciu, tak że miała za mało ruchu. Sąd uzna cię za niezdolnego do opieki rodzicielskiej i wygram.

- Tylko jeden raz przyprowadziłem ją za późno - bronił się Martin - cholerny jeden jedyny raz, i to dlatego, że było nam tak dobrze, że się zagapiłem. Zawsze dla niej gotuję i nie zapominam o tabletkach, dobrze o tym wiesz.

- Akurat! To czemu zeszłej zimy trzy razy złapała przeziębienie? A jak jej nie zanedbujesz, to ją psujesz. A jak nie psujesz, to zapominasz o niej. Zawsze, kiedy cię potrzebuje, akurat depilujesz sobie klatkę albo dłubiesz przy rzesach.

- Nie rznij takiej zakichanej księżnej, stara pudernico. I co z tego, że lubię tracić czas i pieniądze na pielęgnację? Tobie też by się przydała, twoje pory są na to najlepszym dowodem, a trochę dobrej maskary na pewno by ci nie zaszkodziło.

- Maskary, ciołku. Maskarę widzisz rano w lustrze po przebudzeniu.

- Mów za siebie. Wszystko jedno, ja w małym palcu mam więcej miłości niż ty w całym swoim pomarszczonym, zapuszczonym cielsku.

- Jak śmiesz! Moje ciało jest dla mnie święte!

- Chyba śnięte, poznaję po intymnym zapaszku.

- Bezczelna ździra!

- Kto się przezywa, sam się tak nazywa!

- Odwal się!

- Sam się odwal! - prychnął Martin. - I tak Debbie mnie bardziej kocha, a ty nie możesz tego znieść, nigdy nie mogłeś.

- Wystarczy! - straciła cierpliwość Abby, lecz sprzecząc się para zignorowała ją i naskakiwała na siebie dalej. - Powiedziałam: koniec! - wrzasnęła, co wreszcie odniosło zamierzony skutek. Zapadła cisza. Twarz starszego mężczyzny nie zmieniła wyrazu, Stokrota natomiast zawstydział się i okazał skruchę - najwyraźniej nie spodziewał się, że wymiana zdań tak się potoczy.

- Czy wyście upadli na głowę? Uparliście się, by puścić mnie z torbami? Niechby tak ktoś teraz wszedł! Następnym razem drzyjcie koty na ulicy, a nie w czasie pracy.

W tym momencie w drzwiach pojawiła się Debbie Harry: najogromniejszy, najbardziej kudłaty, mokronosy i wielkouchy bernardyn, jakiego można sobie wyobrazić. Za nią wlokła się kremowa skórzana smycz nabijana diamentkami.

- Uwiązałem ją przed sklepem - tłumaczył Christian - musiała się jakoś uwolnić. - Zwrócił się do psa, zmuszając do uśmiechu. - Chodź, malutka. No chooodź...

Wtem Marin przeskoczył susem przez ladę i dopadł psa, ściskając go i tarmosząc.

- Cześć, pięknotko! Kto jest najmiłszy i najmniejszy na całym świecie? No kto? Moja Lalusia! Martin tak się stęsknił za tobą! A ty, tęskniłaś, śliczniaku? - spytał Debbie, patrząc koso na Christiana. - Zobacz, jak merda ogonem. Widzisz, jak się cieszy? Widzisz, jak się za mną stęskniła?

- Akurat! Nic jej nie jest. Zostaw ją, musimy iść - wysyczał były kochanek.

Stokrota zbladł z wściekłości. Widać było, że nie pozwoli Christianowi spokojnie odmaszerować z psem. Abby rzuciła mu spojrzenie, które mogło zabić, jakby chciała powiedzieć: „tylko zacznij, a wylecisz na zbity pysk”. To go otrzeźwiło. Powoli podniósł się z podłogi i rzucił ekspartnerowi smycz, która ze świstem wylądowała przy jego butach.

- To jeszcze nie koniec - zagroził, po raz ostatni pieszczotliwie tarmosząc psa za kudły.

- Aha! Gwiżdżę na to. - Christian schylił się po smycz i pociągnął nią psa. - Idziemy.

KŁÓTNIA O OPIEKĘ nad psem była już trzecią w tym miesiącu, którą Abby widziała w kwiaciarni. Pięcioletni burzliwy związek skończył się gwałtownie w jeden wieczór, kiedy Martin, wróciwszy wcześniej do domu, zastał Christiana w łóżku z drag queen o pseudonimie artystycznym Wódzia Drażniptaszek.

Christian Sitwell, właściciel kwiaciarni Goździkowy Glob mieszczącej się kilka przecznic dalej przy Upper Street, przyjął Stokrotę do pracy. Niedługo potem zostali kochankami, a Abby do dziś nie mogła zrozumieć dlaczego. Po pierwsze, dzieliła ich różnica wieku: Martin był przed trzydziestką, a jego szef po pięćdziesiątce. Do tego ten wygląd starszego mężczyzny! Pomijając zaczerwienioną, pijacką cerę o rozszerzonych porach, był raczej przystojny. Cóż jednak z tego, skoro nie potrafił się ubrać. Miał fioła na punkcie nieskazitelności i preferował bezpieczne beże, brązy oraz zaprasowane kanciki, nawet w sztruksach i na rękawach kaszmirowych golfików, które kupował na tuziny. Dziś odważył się na look w kolorze bakłażana, narzucając na dopasowane spodnie i golf nieśmiertelną pikowaną zgnięzieloną kufaję. Niemodnego stroju dopełniały rzednące włosy.

Ich właściciel miał na tyle przytomności, by golić je prawie na zero, jednak jego wybór co do zarostu nie był już tak szczęśliwy - przydługie kłaczki nie miały nic wspólnego z modną trzydniówką, w rezultacie przypominał Abby ogrodowego krasnala, którego dopadł wojskowy fryzjer.

Martin twierdził, że nigdy naprawdę nie kochał Christiana, a ich związek nie miał nic wspólnego z partnerstwem. Trudno się dziwić, do różnicy wieku dochodziła przepaść klasowa: jeden pochodził z robotniczej dzielnicy Liverpoolu, a drugi, podobnie jak Toby, był synem zamożnych właścicieli ziemskich. Mimo iż Christian właściwie nie musiał pracować na utrzymanie, kwiaciarnia stanowiła jego pasję, właściwie jedyną z wyjątkiem ukochanego psa, i pochłaniała go bez reszty.

- Widzisz, Londyn wydawał mi się miastem z bajki, pełnym wyrafinowania i glamour - tłumaczył przyjaciółce Stokrota - byłem szczyłem i dopiero co przyjechałem z Liverpoolu. Teraz się u nas pozmieniało, ale do niedawna nie miał tam gołąb na co nasrać. A tu, patrzcie państwo, pracuję u tego wykształconego, kulturalnego faceta, który uczy mnie manier, opowiada o sztuce, polityce i winach. Nie mogłem uwierzyć, że ktoś taki jak Christian mógł się mną zainteresować. Tam, skąd pochodzę, myślą, że Siegfried Sassoon to snobistyczny fryzjer, a pudel to pies w proszku. Fakt, mój ekspartner jest brutalny, a w dodatku upierdliwy i wścibski, ale jedno muszę mu przyznać - świetny z niego mentor. Posiada też miłą stronę, potrafi być

czuły i opiekuńczy, tylko rzadko ją ujawnia. Boi się, bo wydaje mu się, że to dowód słabości. Jakiś czas po tym, jak się poznaliśmy, dostałem obustronnego zapalenia płuc i musiałem leżeć w szpitalu przez cały miesiąc. Znalazł wtedy zastępstwo do kwiaciarni, całymi godzinami siedział przy mnie i czytał na głos *Harry'ego Pottera*. Nie znosił tych książek, ale wiedział, że mi się podobają, więc robił to tylko dla mnie. Teraz go nienawidzę, ale nigdy nie zapomnę, jak wiele mu zawdzięczam.

Nie tylko Martin miał wiecznie niewyrównane porachunki z Christianem. Od samego początku Ładnych Kwiatków właściciel konkurencyjnej kwiaciarni dawał Abby do zrozumienia, że uprzykrzy jej życie na wszelkie możliwe sposoby. Nie miała pojęcia, skąd brała się jego nienawiść, bo w miejscu jej kwiaciarni inna istniała tu już od lat sześćdziesiątych, a on otworzył swoją dwadzieścia lat później. Abby nie była na tyle drobiazgową, by upierać się przy swojej racji. Uważała, że na ruchliwej ulicy handlowej starczy klientów dla nich obojga, poza tym przyciągali tak różnych ludzi, że nie było o co walczyć.

Goździkowy Glob miał swoich stałych klientów, zwłaszcza wśród konserwatywnych mieszkańców w średnim wieku, którzy brukselkowe świąteczne dekoracje uważali za dziwactwo i kupowali wystrzygane Mikołajki i tradycyjne wieńce z ostrokrzewu ozdobione sztucznymi jagodami i pozłacanymi szyszkami. Kwiaciarnia Abby i jej śmiałe aranżacje przyciągały właścicieli nowych modnych mieszkań i loftów, którzy pojawili się w Islington stosunkowo niedawno.

W latach osiemdziesiątych Christian zaliczał się do najbardziej wziętych londyńskich florystów. Nie wytrzymał jednak wielkiej fali zmian, która nadeszła pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Nagle układanie kwiatów, na równi z gotowaniem i szydełkowaniem, stało się modne. Style kompozycji zmieniły się właściwie z dnia na dzień, czego nie raczył przyjąć do wiadomości. Wydawało mu się, że minimalistyczne połączenie strelcji z wysoką trawą kwitnącą jest sezonowym dziwactwem, które zniknie po paru miesiącach.

- Nazwa jego kwiaciarni mówi sama za siebie - zauważył kiedyś Martin w rozmowie z Abby. - Kiedy ostatnio widziałas bukiet goździków w innym miejscu niż sklep na stacji benzynowej albo supermarket?

Dodał, że niechęć do zmian wynika tylko z oślego uporu Christiana. Miał szczęście, że odwiedzali go wierni klienci, ponieważ nowych, w przeciwieństwie do Abby, mu nie przybywało. Nie umknęło to jego uwagi i być może dlatego złośliwie odgrywał się na właścicielce konkurencyjnej kwiaciarni. Miał sposób, aby jej szkodzić: był prezesem lokalnego zrzeszenia

handlowców, a do tego miał znajomości wśród radnych dzielnicy, dzięki czemu udawało mu się ukrywać wrogię wobec Abby działania pod płaszczykiem pożytku publicznego.

Do pierwszego ataku przystąpił trzy tygodnie po otwarciu Ładnych Kwiatków. Złożył zażalenie w departamencie dróg, że furgonetki przywożące kwiaty blokują ruch na Upper Street. W rzeczywistości dostawca Abby parkował na jednej z bocznych uliczek i nigdy nie spowodował najmniejszego utrudnienia, w przeciwieństwie do ciężarówki przywożącej rośliny dla Christiana. Departament dróg potraktował skargę poważnie i Ładne Kwiatki odwiedziło dwóch członków rady, którzy po dokonaniu inspekcji wystosowali odpowiedni protokół i oddalili skargę.

Wtedy Christian przyczepił się do śmieci. Oskarżył właścicielkę kwaciarni o pozostawianie gnijących stert przyciągających szczury w przejściu na tyłach budynku. Abby tłumaczyła, że były to odpady wyłącznie roślinne, nieatrakcyjne dla gryzoni, a do tego pakowane w szczelnie zamknięte worki, które (o czym Christian dobrze wiedział) śmieciarze wywozili co wtorek. Sytuację sprawdził inspektor sanitarny, wśród worków znalazł kilka pustych pudełek, które jakoś się tam zaplątały, i wystosował stosowne ostrzeżenie dla kwaciarni. Wreszcie Christianowi chwilowo zabrakło pomysłów, o co by jeszcze oskarżyć właścicielkę konkurencyjnej kwaciarni, i nękanie ustało. Na kilka miesięcy zapadła cisza, w czasie której podczas przypadkowych spotkań na ulicy prześladowca odwracał wzrok i udawał, że nie widzi Abby.

W tym czasie kochankowie z kwaciarni Goździkowy Glob definitywnie ze sobą zerwali, a Martin nie tylko się wyprowadził, lecz także miał czelność poprosić o stanowisko asystenta Abby. Od tego momentu między kwaciarniami rozpoczęła się otwarta wojna. Christian zabronił Martinowi widywać Debbie, a radę dzielnicy zarzucił listami, w których oskarżał właścicielkę konkurencyjnej kwaciarni o wszelkie możliwe zaniedbania: spadające dachówki, zmurszałe cegły, ciekące rynny i cuchnące rury. Abby otrzymała pismo wzywające do naprawy zaniedbań z groźbą, że w razie odmowy lokal zostanie zamknięty. Nie mogła uwierzyć, że dano wiarę wierutnym oszczerstwom Christiana. Wyobraziła sobie, jak ten wchodzi do urzędu miasta i mocą swego autorytetu terroryzuje jakiegoś biednego stażystę czy młodszego urzędnika, który nie ma odwagi odrzucić jego żądania. Napisała więc do rady dzielnicy, że pomówienie jest bezpodstawne, do tego wynajmuje jedynie pomieszczenia sklepowe i jeżeli ktoś byłby odpowiedzialny, to właściciel domu, przebywający właśnie za granicą - jej protest nie wzbudził jednak pożądanej reakcji. Na własny koszt wezwała więc eksperta, który dokonał

inspekcji budynku i zaświadczył na piśmie, że jego stan nie budzi zastrzeżeń. To oczywiście kosztowało dziewczynę sporo zachodu i pieniędzy, które miała nadzieję odzyskać od właściciela budynku po jego powrocie. Ten jednak oświadczył, że postąpiła samowolnie i nie miała prawnego obowiązku dostarczenia ekspertyzy radzie dzielnicy, wobec czego nie będzie za nic płacił. Nie chcąc wdawać się w kłótnię, poddała się, ze świadomością, że także radzie uległa zbyt łatwo.

DEBBIE I CHRISTIAN znajdowali się niemal przy drzwiach, kiedy coś mu się przypomniało i zawrócił.

- Och, jeszcze jedno. Chciałem pani oznajmić, że rada dzielnicy otrzymała skargę. Utrudnia pani komunikację pieszych, ponieważ bukiety, donice i inne akcesoria przed pani sklepem zajmują zbyt wiele miejsca. To prawdziwe zagrożenie. Rada odniosła się bardzo poważnie do zarzutów, a ja, jako przewodniczący zrzeszenia handlowców, ostrzegam panią, że jeśli nie usunie pani wyżej wymienionych przedmiotów, grozi pani wysoka kara pieniężna.

- A można wiedzieć, kto złożył skargę?

- Och, przechodnie.

- Doprawdy? - zapytała z przekąsem i dodała, że z tego co widzi, okoliczne kawiarnie zajmują o wiele więcej przestrzeni chodnika, nawet w zimie, jako że wystawiają między stolikami gazowe grzejniki, i jakoś nikt się ich nie czepia. W porównaniu z nimi jej roślin prawie nie widać.

- No właśnie, tym większe zagrożenie stanowią. Przechodnie skarżyli się, że w przeciwieństwie do stolików, które są doskonale widoczne i można je ominąć, doniczki stoją na poziomie ziemi i łatwo można się o nie potknąć i przewrócić.

- To kompletna bzdura i dobrze pan o tym wie.

- Rada ma inne zdanie i zaleca pani usunięcie przeszkód w trybie natychmiastowym.

- Figa z makiem w trybie bezwarunkowym.

- Jak pani chce. Jeśli stać panią na kary, życzę powodzenia. - Spektakularne wyjście zepsuła Debbie Harry, która zaczęła pisać i ciągnąć smycz, tak że Christian musiał na siłę wywlec ją ze sklepu; wyraźnie nie miała ochoty rozstawać się z Martinem.

- Boże! Co go ugryzło? - westchnęła Abby.

- Nie wiem. Często taki jest. Nie rozmawialiśmy zbyt wiele o jego przeszłości, ale wyznał mi kiedyś, że jego ojciec był agresywnym, nałogowym alkoholikiem, a to wiele wyjaśnia.

Martin - z powodu psa, a nie dzieciństwa Christiana - z trudem powstrzymywał łzy i ocierając oczy, zaczął przeproszać Abby.

- Tak bardzo mi przykro, nie chciałem robić tu takiego harmidru, ale uwielbiam, kocham tego psiaka. Mam złamane serce przez to, że jej nie widuję. Widziałaś, jak na mnie patrzyła, z jaką tęsknotą w tych pięknych oczach.

Abby odpowiedziała, że rozumie, nie jest przecież z kamienia, ale ostatni raz toleruje takie zachowanie.

- Jeśli Christian wejdzie do sklepu i zacznie cię obrażać, zostaw go mnie. Gdy będziesz sam, postaraj się go zignorować albo idź na górę do mieszkania, zgoda?

Martin skinął głową i dodał:

- Wiesz co, jeżeli nie zgodzi się, żeby odwiedzał Debbie, porwę ją i niech mnie koleś ciąga po sądach.

- Nie rób tego. Christian odwoła się, gdzie trzeba, i wykorzysta to przeciwko tobie, a sprawa wymknie się spod kontroli. Znajdzie się jakiś inny sposób.

Musieli przerwać rozmowę, bo do kwaciarni weszło aż troje klientów. Jeden chciał złożyć zamówienie, dwie inne osoby zażądały wymyślnych bukietów. Abby zajęła się przyjmowaniem zamówienia i układaniem jednego z bukietów, Martin drugim. Kiedy skończyła, zajrzała na zaplecze, w którym kończył dekorowanie wiązanki, i oznajmiła, że na chwilę wychodzi, ale wróci przed przyjazdem filmowców.

Prezent dla cioci Gwen. To ostatnia chwila, aby go kupić. Mama zasugerowała, że ciocia ucieszyłaby się ze swetra, a najprostszym, choć nie najbardziej fantazyjnym rozwiązaniem, okazały się zakupy w Swan & Marshall tuż za rogiem.

S&M, założony w 1887, jak dumnie złotymi literami oznajmiał ich firmowy szyld, do niedawna był ulubionym sklepem Brytyjczyków; na wskroś brytyjskim - jak krzywe zęby, herbata ze śmietanką i dwa tygodnie deszczu podczas turnieju w Wimbledonie. Jeszcze kilka lat temu praktycznie cały naród walił do niego drzwiami i oknami po majtki i skarpetki. Byli nawet tacy, którzy kupowali tam wszystko, co potrzebne, jako że sklep oferował szeroką gamę towarów - od worków do odkurzacza po kaczkę w pomarańczach na stoisku garmazeryjnym.

Ostatnio coś się popsuło. Placówki S&M przybrały posępny wygląd. Niemodne jarzeniówki oblewały wnętrza agresywnym, nieatrakcyjnym światłem. Beżowa wykładzina elastyczna wyglądała jak prosto z sowieckiego skansenu. Odzież była byle jaka i niemodna, brakowało jej tego czegoś. Abby wielokrotnie wchodziła do sklepu po top lub spódnicę i wychodziła z pu-

stymi rękami, przygnębiona widokiem rzędów popielatych kurtek biodrówek i długąnych rozpinanych swetrów w kolorze ciemnego beżu.

Czas S&M przemijał. Sklep nie tylko przestał przyciągać młodzież; w wielkich miastach omijały go całe tabuny klientów o wyrobionym guście bez względu na wiek.

Gazety wyczuły, co się święci. Brukowce ogłaszały: „Dra się Stare & Majtasy?“, dzienniki były bardziej oględne: „S&M - skrót od slumsu?“, „Kolejny rok strat dla najslynniejszej krajowej sieci domów towarowych“, ale za tytułami kryła się podobna treść. Prasa oskarżała sieć o samouwielbienie i arogancję. Było jasne, że zdaniem szefostwa sieć stanowi taką narodową świętość, że zarząd może spocząć na laurach, a klientów i tak nie zabraknie. Tymczasem na początku kolejnego tysiąclecia Gap obudził się z modowej drzemki i odświeżył swój wizerunek. Powstały nowe sieciówki dla przeciętnie zamożnego klienta - takie jak Zara czy Mango, nawet w supermarketach pojawiły się ubrania, które wyglądały całkiem nieźle. Kraj zalały odzieżowe dyskonty. Ludzie, choć niechętnie, przestali kupować w S&M. Kobiety wzdychały, wspominając z nostalgią czasy, kiedy ich mamy zabierały je do S&M po podkolanówki do szkoły czy pierwszy stanik.

Choć Abby przestała kupować tam ubrania, często wpadała po kanapkę czy gotowe dania, które, trzeba przyznać, wciąż dobrze smakowały. Przykro jej było, kiedy przy kasie ekspedientka pytała, czy ma kartę stałego klienta, a ona odpowiadała, że nie. To tak, jakby mówiła: „Zrezygnowałam z niej. Przykro mi, pani podejrzenia są słuszne - kupuję w innych sklepach“. Wszyscy - nie tylko kobiety - zastanawiali się, jak można by postawić kolosa na nogi. Prezes zarządu otrzymywał tysiące listów od zmartwionych, życzliwych klientów z radami i propozycjami zmian. Abby co prawda nigdy nie wysłała swojej propozycji, ale była przekonana, że potrafiłaby uratować podupadającą sieć. Po pierwsze, zatrudniłaby więcej kobiet na stanowiskach kierowniczych, ponieważ dotychczas z bliżej niewyjaśnionych powodów kluczowe stanowiska w tej firmie z reguły zajmowali mężczyźni z klasy średniej, w średnim wieku i ze środkowej Anglii, którzy pojęcie o modzie mieli także, delikatnie mówiąc, średnie. Po drugie, zmieniłaby fason strojów. Ubrania były źle skrojone - do tego stopnia, że choć ludzie zdawali sobie sprawę, że kostium z sieciówki nigdy nie będzie leżeć tak jak ten od dobrego projektanta, nazywali fasony z S&M skaraniem boskim. Po trzeciej: kolor. Odcień był zawsze trochę nie taki, jak trzeba. Jakimś cudem S&M zdołał sprawić, że paleta kolorystyczna ich ubrań sprawiała wrażenie taniej i tandetnej. Inny problem to hacik. Abby podejrzewała, że w celu podniesienia atrakcyjności wyrobów S&M wysłał zastęp projektantów na pokazy mody

i na ulice w celu podejrzenia aktualnych trendów - owocem był nieszczęsny hafcik. Nieraz Abby wchodziła do sklepu z nadzieją, że może tym razem znajdzie coś dla siebie, wypatrywała na wieszaku parę ciemnoszarych lub czarnych spodni, które wydawały się świetne. Już miała lecieć wyściskać ekspedientkę i zapewnić, że wina poszła w niepamięć, po czym odwracała je, a jej oczom ukazywała się pąsowa róża wyhaftowana na siedzeniu.

Być może zarząd uważał, że tak naprawdę nie ma co się starać, skoro koniec końców najważniejszymi klientami byli panowie w średnim wieku i gospodynie domowe z prowincji, których wyczucie mody spadało do zera z chwilą, gdy wchodziły w okres menopauzy. Choć nie z prowincji, matka i ciotki Abby były najlepszym tego przykładem. Ciocia Gwen przytyła. Abby jak przez mgłę pamiętała jej szczupłą sylwetkę z talią, którą dawało się objąć dłońmi. Dziś jednak ta ładna w sumie kobieta wyglądała tak, jakby jej ciało przelano w formę o kształtach pielęgniarki okręgowej z lat pięćdziesiątych.

Co jesieni mama, ciocia Gwen i im podobne panie wybierały się na zakupy do S&M i ogołacały wieszaki z szarych kardiganów z jagnięcej wełny, tweedowych spódnic o linii A i „praktycznych” granatowych spodni. Ich „praktyczność” objawiała się następująco: miały w sobie tyle sztucznego włókna, że można było wrzucić je do pralki nastawionej na program do kolorów z szybkim wirowaniem. I wychodziły z niej prawie suche.

Tuż przed Bożym Narodzeniem Jean wpadała do sklepu, by wybrać sobie coś odświętnego. Zazwyczaj kupowała przyduży wiśniowy sweter, „taki wygodny”, z „wesołym” motywem gwiazdek śniegowych i gałązek ostrokrzewu, wyhaftowanym na ramieniu.

Abby weszła do sklepu, znalazła dział odzieżowy i poczuła się w nim sfrustrowana jak zwykle. Ostatnim desperackim wysiłkiem, by przyciągnąć klienta, były obniżki. Całymi miesiącami połowa asortymentu była przeceniona. Wielkie, jaskrawe etykiety z napisem „40% taniej” były wściekle po oczach. W rezultacie sklep sprawiał jeszcze bardziej przygnębiające wrażenie. Mimo to Abby z góry postanowiła się nie poddawać i wyszukała wieszak ze specjalnością S&M: niedrogimi swetrami z kaszmiru, na dodatek przecenionymi. Wybrała niebieski bliźniak w odcieniu, który zbliżał się do *baby blue*, nie osiągając typowego dla niego bajkowego nasycenia. To nic. Ciocia Gwen była ślepa, jeśli idzie o kolory. Bliźniak na pewno jej się spodoba.

Abby przypomniała sobie, że nie jadła jeszcze lunchu, a na dobrą sprawę nawet śniadania. Z głodu kręciło jej się w głowie, wpadła więc jeszcze szybko do działu

spożywczego, dorzuciła do koszyka *wrap* z pomidorem i mozzarellą oraz truskawkowy jogurt pitny, po czym podeszła do kasy.

Kilka minut później dojrzała przez szybę Ładnych Kwiatków, że Martin rozmawia z jedyną w sklepie klientką. Zdecydowała przemknąć niepostrzeżenie do kanciapy, aby wreszcie w spokoju zjeść kanapkę, zanim przyjedzie reżyser z kierowniczką. Ślinka już napływała jej do ust, gdy Martin zauważył, że wróciła, i zawołał:

- Oto i Abby! A to Katie Shaw, kierowniczka planu - no, sama wiesz.

- Ależ oczywiście - odpowiedziała zdziwiona, bo nie spodziewała się jej nadejścia jeszcze przynajmniej przez pół godziny, i wyciągnęła rękę na powitanie.

- Tak strasznie przepraszam, przyszłam za wcześnie - tłumaczyła się Katie, prezentując wymowę, którą mogłaby szlifować kryształ. - Wiem, że to nie wypada, ale odwołano nasze poprzednie spotkanie...

- Nic nie szkodzi. - Abby się uśmiechnęła taksując jednocześnie wzrokiem zniszczone półdługie włosy rozmówczyni i jej wymiętolony kaszmirowy płaszcz ze śladami psiej sierści.

- Na pewno? Mogę jeszcze wpaść na kawę gdzieś obok i wrócić za pół godziny.

- Ależ skąd, naprawdę nic się nie stało.

- To super.

Choć Abby знаła Katie nie dłużej niż dwie minuty, bez wahania zakwalifikowała ją jako jedną z tych przemiłych prowincjonalnych panien z wyższych sfer, wychowanych w poczuciu, że troska o wygląd zewnętrzny jest be, które pracowały zawodowo, by wypełnić jakoś czas aż do zamążpójścia prawdopodobnie za jakiegoś bankiera o cofniętym podbródku - kiedy będą mogły w spokoju osiąść z powrotem w, dajmy na to, Wiltshire, rozmnożyć się i zająć działalnością dobroczynną.

- Di Dżej, to jest reżyser, zaraz powinien tu być. Próbuje zaparkować samochód - tłumaczyła Katie, a Abby rozpoznała po jej oddechu, że jest palaczką.

- Nie ma pośpiechu. Proszę siadać. - Przysunęła stółek w kierunku dziewczyny.

- Pani kwaciarnia idealnie nadaje się do filmu. Właśnie czegoś takiego szukaliśmy. Nie za duża, nie za mała. Reżyser nie życzy sobie wielkiej sali.

W oczekiwaniu na reżysera gawędzili trójkę. W pewnej chwili Abby poprosiła Martina, by skoczył na górę i włożył jej kanapkę do lodówki. W sekundę po tym, kiedy chłopak zniknął, otwarły się drzwi.

- Ooo, jesteś wreszcie! - zawołała Katie na widok wchodzącego. - Reżyser we własnej osobie. Abby, chciałabym pani przedstawić...

Abby odwróciła się ku wejściu.

- O nie! Dan!

L R

Rozdział 6

Abby! Nie do wiary, to ty! - Najwyraźniej jego uwagi umknęło przerażone „o nie”, ponieważ z uśmiechem podszedł do lady i wyciągnął rękę na przywitanie.

- Co za zbieg okoliczności! Nie... jak to możliwe? - Dziewczyna próbowała udąć grzecznie zdziwienie, aby ukryć pod nim przerażenie i zakłopotanie, jakie ją ogarnęły. Londyn był sześciomilionową metropolią. Czy to naprawdę nie wystarczy, by nie wpadać na pewnych ludzi dzień w dzień, dwa razy z rzędu? Najwidoczniej Bóg stroi sobie z niej żarty, które tylko jego śmieszą.

- Więc to ty jesteś właścicielką Ładnych Kwiatków?

- Moment, to wy się znacie? - zdziwiona Katie włączyła się do rozmowy, nim Abby zdążyła przytaknąć.

- Tak - postanowiła się odezwać - poznaliśmy się wczoraj wieczorem. Razem utknęliśmy w windzie.

Katie spojrzała na reżysera.

- Dobry Boże! To ta dziewczyna z windy? Ta, o której mi opowiedziałeś? Ja nie mogę! Jej rozświergolenie przerwał Dan, który jakoś nie mógł połączyć ze sobą faktów.

- Chwila, czegoś tu nie rozumiem. Czy nie mówiłaś, że właścicielka kwiaciarni ma na imię Gabrielle albo jakoś tak? - zapytał.

- Jezu, Di Dżej, kiedy wreszcie przestaniesz wszystko przekręcać? Mówiłam, że na imię ma Abigail. Abigail Crompton.

- Naprawdę? - Reżyserowi nie zapaliła się jeszcze lampka w głowie.

- No jasne. Do tego pokazywałam ci przecież artykuły o sklepie.

- A rzeczywiście. Sklep Roku. Robi wrażenie - zwrócił się do Abby.

- No właśnie. A do tego Ładne Kwiatki zajęły dwunaste miejsce na liście stu najmodniejszych butików Londynu - przypomniała Katie.

Zanim właścicielka kwiaciarni miała okazję zareagować, Katie zapytała, czy mogą sobie mówić po imieniu. Tyle o niej słyszała, że ma uczucie, jakby się dobrze znały.

„No pięknie” - pomyślała Abby. Ciekawe, czy Dan, a raczej Di Dżej (jaki normalny facet po ukończeniu trzynastego roku życia wciąż każe się tak nazywać?), opowiedział Katie także o nieudanym życiu seksualnym Abby? Czemu nie? Może od rana to ich ulubiony temat żartów? Na głos jednak poprosiła jedynie, by asystentka mówiła jej na ty.

- Di Dzej mówił, że dostałaś klaustrofobii po tym, jak w dzieciństwie utkwiałaś w zepsutej windzie. Co za pech, że powtórnie ci się to przydarzyło.

- To prawda, ale Dan zachował się fantastycznie, tylko dzięki niemu nie spanikowałam. W tym momencie wrócił z góry Stokrota i usłyszał strzępki rozmowy.

- Więc to jest Dan? Ten Dan? Ten, któremu powie... O kurczę, ale wstyd!!! - zapiał i natychmiast zdał sobie sprawę, że strzelił gafę. Zaczerwienił się aż po czubki zaondulowanych rzęs. - Chyba dałem plamę?

- Tak jakby - wymamrotała Abby z kwaśnym uśmiechem, do którego się zmusiła. Jej spojrzenie powędrowało ku reżyserowi. - Poznajcie się. To Martin, mój asystent.

Mężczyźni uścisnęli sobie ręce, a Katie znów przybrała zdziwiony wyraz twarzy.

- Teraz ja nie rozumiem, o co tutaj chodzi? Jaki wstyd? Jaką plamę? Nie mogę się połapać!

Abby pomyślała, że może źle oceniła Dana. A co, jeśli wcale nie wypaplał Katie nic o jej prywatnym życiu. Teraz wygadał się za to Stokrota, a kobieta uprze się, by dowiedzieć się, co zaszło w windzie. Jeżeli Abby w ciągu sekundy nie wymyśli stosownej wymówki, sprawa się wyda. Popatrzyła wyczekująco na Dana i uśmiechnęła się do niego blado. Martinowi zrzędał mina.

- To może ja sobie pójde i przygotuję te zamówione kwiaty - zaproponował, by jak najmniej rzucać się w oczy.

- A idź, idź - pospieszyła go Abby. Stokrota był naprawdę kochany, ale jęzor miał zdecydowanie za długi, do tego jakby odłączony od mózgu.

- Przepraszam, ale ja dalej nie rozumiem, o co wam chodzi - nalegała Katie.

Abby wciąż nie miała pomysłu, co powiedzieć. Dan huśtał się na piętach, a po chwili wypalił:

- Widzisz, to było tak... - Abby skurczyła się, jakby zaraz miała otrzymać cios tasakiem w czerep. - Wczoraj w windzie... cierpiałem na wzdęcia, a Abby odniosła się do tego bardzo wyrozumiale.

„Hm. Paskudne, ale pomocne - pomyślała - i wspianałomyślne, nie każdy byłby gotów aż tak się podłożyć, byle tylko oszczędzić wstydu bliźniemu swemu”.

- Uff, piknie - sapnęła zde gustowana Katie. - Di Dzej, jak mogłeś, świntuchu? Chciałabym przeprosić za kolegę - zwróciła się do Abby. - Przy braku wentylacji musiało to być trudne do zniesienia.

- Nie trzeba. Każdemu może się zdarzyć - odparła, dziękując Danowi wzrokiem. - A teraz, skoro już oczyściliśmy powietrze, proponuję zmienić temat.

- Kumata kobita, prawda, Dan? - podsumowała Katie, a Dan ochoczo chwycił się podsunętej deski ratunku.

- Porozmawiajmy wreszcie o filmie. Wiesz co, Abby? To miejsce świetnie się dla nas nadaje. Szukałem supermodnej, wielkomiejskiej kwiaciarni, takiej trendy, i lepszą trudno sobie wyobrazić. Wielkie dzięki, Katie, to ty ją dla nas znalazłaś.

CAŁA TRÓJKA zmierzała w kierunku Tinderbox, gdzie planowali spokojnie porozmawiać o produkcji i wypić cappuccino.

- Byłabym zapomniała: właściwie to nie wiem, jak się nazywasz - powiedziała w pewnym momencie Abby, na co Dan podał jej wizytówkę. - Daniel Chipault. Jesteś Francuzem?

- Moi rodzice urodzili się we Francji, ale ja wychowałem się tutaj.

Wsunęła wizytówkę do torebki, a Dan wyjaśniał jej szczegóły tego, o czym wspomniała przez telefon Katie: że film będzie komedią romantyczną, niskobudżetową, więc nie mogą zapłacić zbyt wiele za wynajęcie kwiaciarni. Abby odparła, że nie szkodzi, o ile znajdzie się tam kilka scen, które będą reklamą dla sklepu.

- Jasne, poza tym mamy marzec i dzień jest dłuższy, przez co możemy kręcić wcześniej rano. W ten sposób nie będziesz musiała zamykać kwiaciarni. Za dni, kiedy będziemy pracować po południu, zapłacimy dodatkowo, żeby wyrównać stracony utarg.

Zapytał, czy wyobraża sobie, jak wygląda praca ekipy filmowej. Abby odparła, że mniej więcej - wszędzie będą kręcić się kamerzyści, dźwiękowcy, technicy i kto tam jeszcze, do tego w sklepie pojawi się plątanina kilometrów kabli i najprzeróżniejszy sprzęt.

- Ale opowiedz mi coś o samym filmie. O czym będzie? Kto w nim wystąpi?

- No cóż, oto moje pierwsze zwycięstwo: Lucinda Wallace zagra główną rolę.

- Nie mów! Przepadam za nią, genialnie zagrała w *Wyliczance śmierci*. Czy nie była nominowana do nagrody BAFTA za najlepszy debiut?

- Zgadza się. Mamy cholerne szczęście, że u nas zagra - dodała Katie. - Znają się z Danem jeszcze ze szkoły, dlatego zgodziła się wyświadczyć nam przysługę.

Słowa Katie przerwał dzwonek telefonu. Odebrała go, a po krótkiej wymianie zdań oświadczyła, że musi lecieć.

- Przepraszam, ale nie uwierzycie, to sam kierownik Soho House. Liczę na to, że pozwoli nam nakręcić tam jedną ze scen na przyjęciu. Mam być u niego za godzinę. - Mówiąc to, wstała i narzuciła płaszcz. Umówili się z Danem, że pojedzie na spotkanie metrem, a on weźmie samochód. - Trzymajcie za mnie kciuki - rzuciła na pożegnanie.

Po wyjściu Katie Abby zapytała, jak Danowi udało się zdobyć pieniądze na produkcję. Ten odparł, że wziął pożyczkę pod zastaw mieszkania, ubłagał przyjaciół i zdobył dotacje od Loterii Narodowej i Rady Artystycznej.

„No tak: determinacji i siły przebiccia mu nie brakuje” - zawyrokowała Abby. Była pod wrażeniem, bo wydawało jej się, że reżyser nie pochodził z zamożnej rodziny, która pomagałaby mu finansowo. Dobrze pamiętała, ile wyrzeczeń kosztowało ją założenie Ładnych Kwiatków. Przez cztery lata pracowała od dziewiątej do szóstej u siebie, a od ósmej do północy zamieniała się w kelnerkę w Pizza Express.

- A o czym jest? Opowiedz!

Dan wyjaśnił, że tytuł filmu brzmi: *Bukiet*.

- To współczesna wersja *My Fair Lady*. Od paru lat pracowałem nad scenariuszem.

- O, więc jesteś nie tylko reżyserem, lecz także autorem scenariusza?

- Aha. I producentem, i kierownikiem produkcji. I jak z tego wynika, kompletnym pracoholikiem. - Mówiąc to, uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć, że zna swoje wady. - Po części przyjąłem tyle funkcji naraz, bo nasz budżet jest naprawdę niski i musimy oszczędzać, na czym tylko się da. O czym to mówiłem? Aha: Lucinda gra Lisę, zahartowaną przez życie samotną matkę z klasy robotniczej, zatrudnioną w kwiaciarni. Simon jest arystokratą, który się w niej zakochuje.

- To trochę jak o mnie i o Tobym - zachichotała - tyle tylko że nie mam dziecka.

- I nie mieszkasz w blokach w Peckham... oto podstawowa różnica. W przeciwieństwie do Henry'ego Higginsa Simon nie odmienia Lisy tak, by mogła obracać się w wyższych sferach - to on sam zmienia się pod jej wpływem. Nie muszę dodawać, że w trakcie historii następują komplikacje, para się rozstaje, a Lisa wraca do swojego byłego chłopaka.

- Ale wszystko dobrze się kończy?

- A czego się spodziewałaś? - Spojrzał przepraszająco. - Komedia romantyczna jest jak grecka tragedia: ma sztywny schemat kompozycyjny, od którego nie wolno odejść. Kobieta spotyka mężczyznę, zazwyczaj po przejściach. Zaczynają ze sobą chodzić. Wydarza się coś, co

ich rozdziela. Potem następuje szczęśliwy koniec: albo schodzą się ponownie ze sobą, albo zakochują w kimś innym.

- Jasne, nie musisz się tłumaczyć. Wszyscy uwielbiamy ten schemat. Miło jest wiedzieć i jednocześnie nie wiedzieć, jak historia się skończy.

Dan zapytał, czy wypije jeszcze jedną kawę.

- Z przyjemnością.

Kiedy podniósł się z miejsca, mimowolnie zauważyła, jak bardzo jest przystojny. Te ciepłe brązowe oczy i - nie do wiary - dołeczki w policzkach, kiedy się uśmiecha. Dziś miał na sobie džinsy, a zamiast wiatrówki marynarkę z grubego bawełnianego czarnego tenisu, a pod nią rozpiętą pod szyją białą koszulę. Dżinsy były sprane i znoszone, marynarka trochę wygnieciona - wyglądał w tym stroju naturalnie i nonszalancko.

Toby, dla kontrastu, nie tolerował niewyprasowanych rzeczy. Każda fałdka lub krzywy kancik przyprawiała go o ból głowy. Abby od zawsze podziwiała jego nieomyłne wyczucie stylu, lecz patrząc na Dana, zastanowiła się, czy narzeczony nie wygląda zbyt nieskazitelnie. W jego stroju zawsze widać było wysiłek komponowania rzeczy w całość - tak jak w programach telewizyjnych, w których styliści przebierają delikwenta z publiczności w najmodniejsze ciuchy, które do niego kompletnie nie pasują.

Dan powrócił do stolika, niosąc kawę i ciasto. Dwa kawałki: czekoladowe i sernik cytrynowy.

- O rany, potrafisz czytać w myślach? Jakoś nie zjadłam jeszcze ani śniadania, ani obiadu. Umieram z głodu.

Podzielili się dwoma rodzajami ciasta.

- Zanim znów zaczniesz opowiadać mi o filmie, chciałabym podziękować, że uratowałeś mi skórę w kwiaciarni. Twoje zachowanie było bardzo rycerskie.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedział i na jego twarzy znów ukazały się dołeczki.

- Było mi tak okropnie głupio z powodu tego, co wygadywałam wczoraj wieczorem. Sama nie wiem, co we mnie wstąpiło, a raczej wiem aż za dobrze: prawie cała butelka wina. Nigdy nie potrafię trzymać buzi na kłódkę, kiedy się napiję, przepraszam, że zrobiłam z siebie taką idiotkę, a ty musiałeś to znosić.

- Nie przepraszaj. Na dobrą sprawę niewiele z tego wieczoru pamiętam. Wszystko wydaje mi się jak za mgłą.

Poznała po jego wyrazie twarzy, że blefuje.

- Wiesz, Toby i ja... naprawdę nam ze sobą dobrze. Nie chciałabym, żebyś pomyślał...

- Abby, nie tłumacz się. Wasz związek to nie moja sprawa.

- Wiem, ale przez to, co mówiłam, możesz źle ocenić sytuację.

- W porządku. Nie oceniam. A czy zdążyłaś na spotkanie z przyszłą teściową?

- Och, tak. To wysoce utytułowana i onieśmielająca dama. Przy niej lady Bracknell to kłębek kompleksów, ale jakoś sobie z nią poradzę. Ach, chciałam powiedzieć jeszcze jedno co do wczoraj: jest mi strasznie głupio, że przez cały czas rozmawialiśmy tylko o mnie i nie zainteresowałam się, kim jesteś i co robisz. To bardzo nieuprzejmie z mojej strony.

- Nie przesadzaj, okoliczności były dość szczególne. Poza tym dobrze mi się ciebie słuchało.

- Naprawdę? Nie zanudziłam cię na śmierć? Nawet tą okropnie długą historią o tym, jak zostałam florystką?

- Wcale nie była nudna. Fascynują mnie cudze pasje, zwłaszcza jeśli nie są zbyt popularne.

Abby zarumieniła się, słysząc komplement.

- Daj spokój, lepiej wreszcie opowiedz mi coś o sobie. Nie jesteś inżynierem, zgadłam?

- System hamulcowy Białostock mnie zdradził? Masz rację, studiowałam anglistykę.

- Nie wpadłam na to od razu, dopiero w drodze do domu, kiedy rzucił mi się w oczy plakat *Producentów*.

- Przepraszam, że tak nazmyślałem, chciałem cię tylko uspokoić.

- Wiem i jestem ci za to wdzięczna. Ale proszę, opowiadaj dalej.

Dan przybrał nagle zakłopotaną minę, a Abby zrzuciła to na karb nieśmiałości.

- Nie ma nic do opowiadania. No dobra: do tej pory reżyserowałem teatr telewizji, przedtem kręciłem filmy dokumentalne, a jeszcze wcześniej studiowałem w szkole filmowej. Jestem jedynakiem. Kiedy dorastałem, miałem kota, który nazywał się Gary. Miał czarne wąsy i wyglądał z nimi jak Hitler. Szkodzi mi mleko. Został mi duży ślad po ospie na lewym kolanie. Migdałki wycięto mi, kiedy skończyłem sześć lat, ślepą kiszkę w piętnastym roku życia. Próbuję zjadać pięć porcji warzyw i owoców na dzień, ale udaje mi się najwyżej dwie. Moim ulubionym kawałkiem jest *Cygańska rapsodia*, ulubionym filmem *Fargo*. Mój idealny sposób na spędzenie wieczoru to oglądanie w telewizji *Boston Legal* plus indyjskie jedzenie na wynos.

Abby odpowiedziała, że widziała reklamę tego serialu w metrze, ale nigdy go nie oglądała.

- Za to uwielbiam *Fargo*. Mój ulubiony film? *Życie jest piękne* z Robertem Benignim. Oglądam to na DVD w każde Boże Narodzenie.

- Wiesz co, nie widziałem tego filmu chyba od stu lat. Chętnie bym go sobie przypomniał.

- Pożyczyć ci płytę?

- Byłbym wdzięczny.

Abby wzięła do ust kawałek czekoladowego ciasta i spojrzała na swego rozmówcę. „Jakie ma ładne zmarszczki od śmiechu w kąciakach oczu” - pomyślała i zanim się obejrzała, wypaliła:

- To co, nie jesteś z nikim na stałe? - Natychmiast się zarumieniła. - Przepraszam! Tak mi się wyrwało, twoje życie prywatne w ogóle nie powinno mnie obchodzić.

- Nie przepraszaj, bo za co? Rzeczywiście jestem sam. Ja i moja dziewczyna zerwaliśmy ze sobą rok temu.

- Och, przykro mi - odpowiedziała z przekonaniem, choć jednocześnie poczuła, że coś w niej podskoczyło z radości. Doprawdy, podejrzane. „Przestań!” - ofuknęła się bezgłośnie.

- Dziękuję, ale niepotrzebnie. Z początku rzeczywiście byłem załamany, ale po jakimś czasie mi przeszło. Muszę przyznać, że nasze rozstanie kroilo się od dawna.

Wyjaśnił, że z Janey tworzyli parę od czasów studiów, ale po latach związku oboje zaczęli się zmieniać, a ich życiowe drogi rozchodzić.

- Nie umieliśmy się do tego przyznać, jednak w pewnym momencie doszliśmy do punktu, od którego przestało nam być ze sobą dobrze i zdecydowaliśmy się na rozstanie.

Abby patrzyła, jak Dan, zapatrzony przed siebie, bezwiednie kruszy w palcach kawałek ciasta, i szukała tematu, który rozweseliłby ich i przerwał jego zamyślenie.

- A skąd wzięło się przezwisko Di Dżej?

Chłopak popatrzył na nią, jakby nie wiedział, czy się uśmiechnąć, czy mrugnąć porozumiewawczo.

- Och, to zasługa Katie. Wszystkim wymyśla przydomki. Kiedy tylko wydusiła ze mnie, że mam na drugie James, zaczęła mówić do mnie Di Dżej. Nie mam nic przeciwko temu, kiedy jesteśmy sami, gorzej, gdy słucha ktoś trzeci. Boję się, że pomyśli, że sam się tak przezwałem, i weźmie mnie za kompletnego palanta.

- No coś ty, ja sama ledwie to zauważyłam.

- Akurat! Mówisz tak przez uprzejmość.

- Ależ skąd!

Roześmiali się oboje.

- Lepiej powiedz, jaki jest najgorszy film, który widziałś w ciągu ostatnich pięciu lat?

- *Tajemnica Brokeback Mountain* - odpowiedziała bez wahania. - Może niezupełnie najgorszy, ale najbardziej mnie rozczarował. Wiem, że na pewno się ze mną nie zgodzisz, tak jak do tej pory wszyscy, ale uważam, że jest stanowczo przereklamowany. I nie mówię tego ze względu na temat; nie mam nic przeciwko homoseksualistom, po prostu wydał mi się męczący i wydumany.

- Zgadza się.

- Naprawdę? Nie mówisz tego przez grzeczność?

- Nie. Myślę podobnie. W momencie, kiedy historia toczy się tak, aż wchodzi w lata osiemdziesiąte, ma się ochotę zawołać: „Wystarczy tego bicia się w piersi, wyjedźcie do San Francisco, ułóżcie sobie życie i kropka”.

- No właśnie! - Roześmiała się. - Tyle tylko że gdyby powiedzieć to głośno, kiedy film wszedł na ekrany, zabrzmiałoby to jak zupełna herezja.

- Aha. Ale ty to zrobiłaś?

- Pewnie. I wierz mi, było to piękne uczucie, choć zwykle miewam trudności z wyrażaniem niepopularnych opinii.

- A to czemu?

Opowiedziała mu o rodzicach i atmosferze, w jakiej została wychowana.

- Próbuję nie zachowywać się tak jak oni, ale nie przychodzi mi to łatwo. - Upiła łyk kawy. - A twój najgorszy film?

- *Revolver* Guya Ritchiego, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Beznadzieja. Musiałem wyjść w połowie, choć oglądałem go we własnym mieszkaniu.

Roześmiała się ponownie i uświadomiła sobie, jak dobrze się czuje w towarzystwie Dana, po czym - czy to z podświadomego poczucia winy, że może jej być miło z kimś innym niż

Toby, czy to z troski o pozostawionego w pojedynkę Stokrotę - spojrzała na zegarek. Już po czwartej.

- Przepraszam, nie chcę być niegrzeczna, ale zrobiło się bardzo późno. Muszę wracać do sklepu. Martin ma pełno zamówień do wykonania, a ja muszę przyjmować klientów.

- Jasne, rozumiem. Oczywiście, że musisz wracać. Ja też, o piątej mam spotkanie.

Oboje wstali i skierowali się do wyjścia.

- Cieszę się, że znowu się spotkaliśmy. Miło było porozmawiać...

- ...na trzeźwo i na spokojnie - wpadła mu w słowo.

- Wcale nie to chciałem powiedzieć. Nie miałem zamiaru dodawać okolicznika.

- Ja też się cieszę i jeszcze raz dziękuję, że mnie wybawiłeś przed Katie.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Dan otworzył przed Abby drzwi i wyszli na ulicę. Okazało się, że zaparkował nieopodal kwiaciarni, więc skierowali się w tę samą stronę. Po drodze minęli okno wystawowe S&M, a Abby mimowolnie się skrzywiła. Uwagi Dana nie umknęła jej zdeglustowana mina.

- Zastanawiam się, dlaczego wszyscy nagle wybrzydzą na tę sieć.

- Jak to dlaczego? Nie widzisz? Mają takie beznadziejne ubrania! Popatrz tylko na tę wystawę: to jak wyobrażenie mojej cioci Gwen o tym, co się teraz nosi. Nie trendy, lecz trendowate!

Dan zrobił minę, jakby nic nie rozumiał, więc zaczęła wyjaśniać, wskazując na manekiny.

- Popatrz: dzinsy okazują się zawsze odrobinę za krótkie. A podkoszulki? W tym sezonie modny jest kolor oberżyny. A wszystkie są o kilka odcieni za jasne, wygląda to na straszną tanioczę.

- Bo ja wiem? A co to jest oberżyna?

Popatrzyła na niego, jakby się z nią droczył.

- Nie wygłupiaj się, nie wiesz?

- Kurczę, a który facet będzie wiedział, co to za kolor: oberżyna?

- Na przykład Toby. Choć muszę przyznać, że ma fioła na punkcie odcieni i fasonów.

- Przykro mi, ale jakoś tego nie jarzę. Co roku kupuję kilkanaście par majtek i skarpet - swoją drogą w S&M. Co do reszty, chodzenie po sklepach to dla mnie męczarnia, umieram z nudów, kiedy muszę coś wybrać.

Abby pomyślała, że jak na osobnika nieznoszącego zakupów jest stanowczo za dobrze ubrany, kiedy właśnie doszli do samochodu.

- To na razie. Postaram się jak najszybciej spisać kontrakt i wyślę ci go pocztą. I wiesz co? Może kiedyś wpadnę i pożyczę od ciebie *Życie jest piękne*?

- Świetnie.

KIEDY ABBY WRÓCIŁA do kwaciarni, cała podłoga pokryta była bukietami i kompozycjami roślinnymi, które Martin właśnie zamierzał załadować do furgonetki.

- Dobrze, że wreszcie wróciłaś, muszę jechać. Rozwożenie zajmie mi najwyżej godzinę.

Zapytała, jak się czuje po incydencie z Christianem i Debbie.

- Nie poddam się, za żadne skarby. Niektórym zdaje się, że zwierzęta to widzimi się, ale jeśli idzie o mnie, nie potrafię tego wytłumaczyć, jednak czuję głęboki związek między nami. To znaczy między mną i psem.

- Nie uważam tego za widzimi się.

- A ty co? Mam nadzieję, że nie przejęłaś się groźbami tego oszołoma i nie usuniesz kwiatów z chodnika?

- Jego niedoczekanie. Chce walki, będzie ją miał.

- Zuch dziewczyna!

- Ale nie możemy dać się sprowokować, zgoda? Christian podpadł nam obojgu, ale nic nie zyskamy, jeśli damy się wyprowadzić z równowagi.

- Wiem, ale on potrafi tak mnie wkurzyć...

- Stokrota, on doskonale wie, jaki guzik ma nacisnąć, żebyś na niego wyskoczył. Nie możesz robić tego, czego on się po tobie spodziewa. Howgh.

- Wiem, ale łatwo ci mówić... ach, byłbym zapomniiał: dzwonił asystent pana Takahashiego i zostawił wiadomość na sekretarce.

Popatrzyła, nie rozumiejąc, o kim mówi.

- No wiesz, asystent tego komputerowego miliardera, któremu poleciła cię Sophie.

- A tak, jasne. Zupełnie zapomniałam.

- Ma na imię Ichiro. Pierońsko seksowny głos; nawiasem mówiąc, czy już ci mówiłem, że mam słabość do Azjatów? Zapisałem jego numer na kartce obok telefonu.

- Dzięki, zaraz oddzwonię.

- I dowiedz się, czy jest gejem.

- A to niby jak? Mam powiedzieć: „Ach, mój pomocnik ma słabość do Azjatów i chciałby wiedzieć, czy szanowny pan jest gejem?”. Może przesadzam, ale przez to mogłabym stracić klienta.

- Nie musisz przecież pytać wprost, czytaj ze znaków.
- Jakich znaków, na litość boską? Nie mnie pouczać członków uciskanej mniejszości, ale ośmielam się przypomnieć ci, że większość gejów wcale nie jest zniewieściała.
- Dobra, dobra, jak chcesz. Obiecay mi jedno: miej oczy i uszy otwarte.
- Proszę bardzo. Jeśli zaprosi mnie do siebie na oglądanie *Klatki Szaleńców* albo przypadkiem wspomni, że zawsze zakreśla w terminarzu pierwszy dzień wyprzedaży u Calvina Kleina, nie bój się - dam ci znać.

ICHIRO ŚWIETNIE MÓWIŁ po angielsku, tyle że z mocnym amerykańskim akcentem. Wyjaśnił, że Mai, córka pana Takahashiego, właśnie się zaręczyła i planuje przyjęcie z tej okazji pod koniec kwietnia. Ma się odbyć w mieszkaniu ojca w Knightsbridge.

- Słyszeliśmy na pani temat same pochwały, pani Crompton, a pan Takahashi będzie zaszczycony, jeśli zgodzi się pani ukwiecić jego apartament.

Abby odparła, że chętnie się tego podejmie, i wyjaśniła, że musi w tym celu wcześniej zobaczyć wnętrze, w którym przyjęcie się odbędzie. Umówili się na najbliższe popołudnie, pożegnali, po czym Abby odłożyła słuchawkę.

- Sama nie wiem - powiedziała do Martina, który właśnie wychodził z bukietami w objęciach. - Wydał mi się dość afektowany. zaproponował, żebym „ukwieciła” apartament, ale może to amerykanizm?

Stokrota odparł, że skoro dziewczyna nie wyczała nic konkretnego przez telefon, musi zobaczyć Ichiro, przekonać się osobiście, a potem opowiedzieć mu wszystko ze szczegółami.

ABBY CHODZIŁA PO SKLEPIE, nie mogąc znaleźć dla siebie miejsca. Zrobiła porządek na ladzie, usunęła z wazonów kwiaty, które wydały jej się nieświeże. O tej porze zawsze robiło się pustawo, jednak nie przejmowała się tym; wiedziała, że o szóstej kwaciarnia zapełni się klientami kupującymi kwiaty na prośzone kolacje.

Tego wieczoru wydawało się, jakby całe Islington świętowało, ponieważ ruch zaczął się już o wpół do szóstej i nie ustał aż do zamknięcia. Większość kupowała białe storczyki w doniczkach albo gotowe wiązanki wystawione na zewnątrz, chociaż trafiło się kilka osób, które wolały same skomponować bukiet, bez końca zastanawiając się nad zestawieniem kształtów i barw. Abby zawsze dziwiło, dlaczego ludzie tak bardzo bronią się przed kolorem, a każde

odważniejsze zestawienie - na przykład soczysty oranż strelcji z purpurą orchidei ómówki - wpędza ich w popłoch.

Właśnie kończyła obsługiwać ostatnią klientkę, kiedy otrzymała dwa SMS-y naraz. Jeden był od Martina - ugrzązł w korku i nie zdąży wrócić przed zamknięciem, na co odpowiedziała natychmiast, że nic nie szkodzi; drugi od Toby'ego, że wróci na kolację około ósmej.

Wtedy przypomniała sobie, że prócz kanapki nie ma w domu niczego do jedzenia. Zamknęła kwaciarnię i wpadła ponownie do S&M, gdzie kupiła dwa płyty tuńczyka, fasolkę szparagową i opakowanie młodych ziemniaków. W ostatniej chwili wrzuciła do koszyka dużą tabliczkę gorzkiej czekolady z przeznaczeniem na mus.

Wróciła do domu. Włożyła tuńczyka do lodówki i wyjęła składniki do przyrządzenia deseru. Pod koniec ciężkiego dnia w pracy gotowanie ją odprężyło. Nalała sobie kieliszek sauvignon blanc, włączyła telewizor, by zobaczyć wiadomości, i wzięła się do oddzielania żółtek od białek.

Piętnaście po ósmej dostała kolejną wiadomość - Toby ugrzązł na naradzie, która potrwa kilka godzin; niech nie czeka na niego z kolacją. Zazwyczaj ignorowała taką propozycję i nie jadła samotnie. Nie dziś; od rana, z wyjątkiem dwóch kawałków ciasta, nie miała w ustach nic i umierała z głodu.

Toby wrócił dopiero po jedenastej. Abby zasnęła na kanapie i nie usłyszała przekręcania klucza w zamku. W telewizji, dla czterech ścian, leciała *Zamiana żon*. Obudził ją pocałunkiem.

- Mmm, milutko - mruknęła i otworzyła oczy. - Ależ jesteś zmordowany - powiedziała na widok narzeczonego. - Zły dzień?

- Bywały lepsze. - Jego głos brzmiał matowo ze zmęczenia.

- Wina?

- Wolałbym szkockiej. Nie ruszaj się, sam sobie przyniosę. Rozluźnił krawat i rozpiął górny guzik koszuli.

- Toby, przepraszam za wczoraj. Za to, że zapytałam, czy nie jesteś gejem. Po prostu bezmyślnie chlapnęłam.

- Zapomnij. - Machnął ręką. - Ja już zapomniałem, czego nie mogę powiedzieć o moim zachowaniu w restauracji. Przepraszam, że wyprowadziłem cię z równowagi.

- Rzeczywiście, było mi strasznie przykro, ale nie mówmy już o tym.

Na jej twarzy pojawił się uśmiech.

- Więc zgoda? - ucieszył się, pochylił nad Abby, pocałował ją w usta i podszedł do kuchni. Wrócił z dużą whisky.

- Odebrałem dziś nowy garnitur. No wiesz, ten, który oddałem do dopasowania.

- Ach, pamiętam.

Rozpiął zamek pokrowca i podszedł do Abby.

- Weź do ręki, czujesz, jaki materiał? - Podał jej rękaw w kolorze ciemnostalowym. - Czysty kaszmir.

- Mmm, bardzo ładny. - Przeciągnęła po nim dłonią.

- Ładny? To za mało! Abby, ten materiał jest wystrzałowy. To cudo! Kupiłem koszulę Paula Smitha do kompletu. - Mówiąc to, powiesił na krześle pokrowiec, sięgnął po aktówkę i wyjął z niej żółtą reklamówkę Selfridges.

- To bawełna stoosiemdziesiątka. Miękką jak jedwab. Popatrz tylko, ten bladoliliowy na tle ciemnej stali - czy to nie idealne połączenie?

Abby gorliwie przyznała rację, a Toby powędrował pod prysznic. Wrócił z łazienki z jej wielgaśnym ręcznikiem kąpielowym przewiązanym na biodrach i z seksownie rozwichrzonymi mokrymi włosami. Abby usmażyła mu tuńczyka i ugotowała fasolkę oraz ziemniaki.

- Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił - westchnął, poprawiając opadający ręcznik.

- Jak to co? - Uśmiechnęła się. - Wsuwałbyś co dzień jedzenie na wynos, po którym miałbyś trądzik i zapchane arterie.

Wyjął z kuchennej szuflady sztucę i odebrał talerz z rąk Abby. Ta usiadła przy stole i naląła obojgu wina.

- Nic ci nie jest po wczorajszym? - zatroskał się Toby. - Miałem zadzwonić i zapytać, ale wyszedłem z domu o szóstej i od razu wpadłem w wir pracy; nie miałem wolnej chwili.

- Nie martw się, wszystko dobrze. Och, nie zgadniesz, kto przyszedł dziś do sklepu!

- Kto?

- Najpierw Christian i pożarł się ze Stokrotą. Potem przyczepił się do mnie. Przeszkadzają mu pojemniki z kwiatami na chodniku. Twierdzi, że stanowią zagrożenie dla przechodniów, i grozi, że złoży skargę do rady dzielnicy. Nie mam pojęcia, dlaczego tak się zachowuje - dodała po chwili. - Stokrota mówi, że miał ciężkie dzieciństwo, ale co z tego? Miliony innych ludzi też miały, a nie wyrastają na takich palantów.

- Dziwne, bo kiedy przedstawiono mi go na kolacji zrzeszenia handlowców w zeszłym miesiącu, wydał mi się raczej sympatyczny.

- Aha, już to widzę. Wdzięczył się do ciebie, bo straszny z niego snob. Wie, że jesteś wziętym prawnikiem.

- Pewnie masz rację.

Toby znalazł maleńką ość i odłożył ją na brzeg talerza.

- Ale słuchaj dalej; nie uwierzysz, kto przyszedł po nim - ten facet, z którym utknęłam w windzie! Ten sam, niesamowite, prawda? Co za zbieg okoliczności, zupełnie mnie wciąło. To nie wszystko; wyobraź sobie, że on właśnie jest tym reżyserem, o którym ci opowiadałam, no wiesz, tym, co chciał kręcić film w kwiaciarni.

- Żartujesz?

- Skąd.

- To rzeczywiście zaskakujące. A ile on ci właściwie zapłaci? Mam nadzieję, że udało ci się sporo z niego wycisnąć?

- Nie za bardzo. To jego pierwszy film fabularny i mają bardzo ograniczony budżet.

- Dobra, dobra, to on tak twierdzi. - Toby zamierzył się widelcem na kawałek ziemniaka.

- A skoro mowa o pieniądzach, musimy zastanowić się, ile zażądać od komunikacji miejskiej, kiedy będziemy ich zaskarżać. Wydaje mi się, że udałoby się wydusić nawet z pięćdziesiąt tysięcy, zwłaszcza jeżeli postraszymy ich, że pójdziemy do prasy. Zresztą zostaw to mnie, ja się wszystkim zajmę.

- Wiesz co? Powinniście założyć z Sophie spółkę. - Abby potrząsnęła głową. - Macie identyczne podejście do pieniędzy. Nie chcę nikogo skarżyć. Nic mi się nie stało. To niezależne od nas: maszyny psują się od czasu do czasu i tyle. Pracownica metra obiecała mi, że wypłaci mi jakieś odszkodowanie - na nową sukienkę w zamian za tę zniszczoną i dobrą kolację w restauracji. To mi wystarczy.

- Nie mówisz poważnie? - Toby z wrażenia odłożył sztućce i odchylił się na krześle. - Czy masz pojęcie, ile możesz od nich wyciągnąć już za same straty moralne? A co dopiero, jak dojdziemy do fizycznego okaleczenia!

- Przecież nie mam żadnych okaleczeń! To byłoby kłamstwo.

- Daj spokój, przecież skoro wyciągali cię szybem, na pewno zrobiło ci się od tego jakieś skaleczenie czy otarcie.

- Właśnie, że nie. - Pokręciła głową. - Wręcz przeciwnie: dzięki temu, co zdarzyło się wczoraj, chyba wyleczyłam się z klaustrofobii, tak że powinnam im być wdzięczna! Na pewno ich nie zaskarżę.

- Oszalałaś. Czy zdajesz sobie sprawę, że prawdopodobnie pięćdziesiąt patyków przechodzi ci koło nosa?

- Może i oszalałam, ale mam nadzieję, że uszanujesz moje postanowienie.

- Nie mogę cię zmuszać do czegoś, czego nie chcesz. - Wzruszył ramionami.

- I szanujesz moją decyzję?

- Ani mi się śni. Postępujesz głupio i będziesz tego żałować.

- Ale przynajmniej możesz z nią dalej żyć?

- Bo ja wiem. Z trudem.

- To dobrze. Wiem, że w kołonotatniku masz mnie w rubryczce: „kukunamuniu”, ale przyznaj: za to mnie właśnie kochasz? - zapytała ze śmiechem, po czym wstała i zaczęła całować go po karku.

- Błagam, Abby, nie teraz. Przecież właśnie jem.

- No dobrze, to ja sobie pójdę pod prysznic i przygotuję się do spania. Do zobaczenia pod kołdrą!

- Świetny pomysł - wymruczał, złapał ze stołu leżącą na nim gazetę i przebiegł wzrokiem pierwszą stronę.

Po dziesięciu minutach była już w łóżku. Miała na sobie tę samą kremową koszulę nocną co w Paryżu, a skórę niemal zamarynowaną w mleczku do ciała Chanel nr 5.

- Halo, jest tam kto? - zawołała, nie mogąc się doczekać.

- Zaraz przyjdę, tylko skończę artykuł. „Zaraz” okazało się pełnym kwadransem.

- Zdejmij ten ręcznik - poleciła szeptem - i chodź tu do mnie. Kocham cię - wyznała, kiedy zrobił, co kazała, odwracając się bokiem tak, by spojrzeć mu prosto w oczy.

- Ja ciebie też - odpowiedział i zaczął głaskać ją po głowie, a ona wtuliła się w niego z całej siły.

- Powinniśmy naprawdę zacząć spędzać więcej czasu razem.

Toby poderwał się jak oparzony, odsunął od niej i położył sztywno na plecach.

- Abby, jestem wykończony, miałem ciężki dzień. Nie nalegaj.

- Wcale nie miałam zamiaru! Chciałam być miła, nic ponadto - odpowiedziała zdziwiona.

- A wyszło zupełnie inaczej.

Dziewczyna odniosła wrażenie, że narzeczony próbuje wzniecić kłótnię, by za wszelką ceną uniknąć seksu na dobranoc.

- Jesteś spięty - próbowała łagodzić. - Zrobić ci masaż pleców?

- Dzięki, jestem zbyt zmęczony.
- No daj spokój, chodź, spodoba ci się...
- Może rzeczywiście. - Przetoczył się na brzuch.

Usiadła, głaskała mu plecy, po czym kciukami spróbowała ugniatać napięte mięśnie na ramionach.

- Och, jak przyjemnie. Jeszcze, jeszcze trochę.
- No widzisz, i po co było się wzbraniać? - Po chwili masowania pleców jej ręce przesunęły się na uda i pośladki. Kiedy wreszcie odwrócił się, by ją pocałować, przejechała mu dłonią po brzuchu. Ręka jednak, udając się nieco na południe, nie napotkała nic poza jakże znajomą już galaretką! Jej właściciel złapał Abby za nadgarstek.

- Przepraszam, mówiłem, że jestem zmęczony. Okropnie chce mi się spać.
- OK, nic nie szkodzi - spróbowała zrobić dobrą minę, by jakoś zamaskować okrutne rozczarowanie - ale wiesz, naprawdę lepiej idź do lekarza i skontroluj poziom testosteronu.
- Kochanie, obiecałem, to pójdę. Tylko prawdę mówiąc, nie wiem kiedy, bo zupełnie nie mam czasu. A zresztą potem pewnie uprzesz się, żeby mnie wysłać do jakiegoś psychiatriny. Jezu, nie wytrzymam tej cholernej presji.

Leżeli plecami do siebie. Po dziesięciu minutach Toby odwrócił się w jej stronę.

- Abby, śpisz?
- Nie.
- Ja też nie. Mogę włączyć telewizor? Pozwoli mi pomyśleć o czymś innym.

Zgodziła się, więc Toby wziął pilota, włączył mały, stary odbiornik telewizyjny, który stał na stoliku w sypialni, i zaczął skakać po kanałach.

- Aha, przypomniało mi się, czy mówiłem ci, że w piątek paru kumpli z dziewczynami spotyka się na kolacji w Feng Wei? Mamy zaproszenie: pójdziesz ze mną, prawda?

Abby wyjaśniła, że już wcześniej umówiła się z Sophie i Stokrotą na kolację późnym wieczorem - przyjaciółka zamierza przedstawić swojego nowego chłopaka.

- A czy nie mogą przyjść do Feng Wei? Nie szkodzi, że się spóźnią.
- Mówiąc: „kumple” masz pewnie na myśli Guya i resztę?
- Tak. Czemu pytasz?
- Jak to czemu? Och, Toby, wiesz dobrze, na co ich stać po kilku głębszych. Co będzie, kiedy przed nosem Martina zaczną zachowywać się jak banda homofobów? Albo stroić sobie żarty z Lamara?

- Kto to jest Lamar?

- Chłopak Sophie. Lamar Silverman. W połowie Żyd, a w połowie Murzyn.

Kolor skóry jakoś nie przykuł uwagi Toby'ego.

- Kurczę, Sophie chodzi z Lamarem Silvermanem?

- A co, znasz go?

- Z gazet. Czytałem o nim długi artykuł w „Timesie” kilka tygodni temu. To przecież ten lekarz, który atakuje producentów mleka w proszku dla niemowląt za to, że opychają je w krajach Trzeciego Świata, gdzie brakuje dostępu do czystej wody.

- To na pewno on. Błędny rycerz, co?

Narzeczony pstrykał pilotem, aż natrafił na program o sztuce.

- Jeżeli to mnie nie uśpi, to nie wiem, co jeszcze może pomóc. Chodź, chciałbym cię objąć - zaproponował Abby, która posłusznie się w niego wtuliła.

- To co, obiecujesz, że poprosisz chłopaków, by byli grzeczni dla Lamara i Stokroty?

- Nie martw się, już ja z nimi pogadam, obiecuję.

O WPÓŁ DO ÓSMEJ zadzwonił budzik. Toby przekręcił się na drugi bok i wymamrotał coś o anulowanej naradzie.

- Mam gdzieś, co powiedzą w biurze, muszę się wyspać.

- Tak trzymać - ucieszyła się Abby i pocałowała go w policzek. - Powinni wreszcie zauważyć, że nie jesteś maszyną. Śpij.

- Nastaw budzik na dziesiątą - poprosił głos spod kołdry. Dziewczyna posłuchała, po czym szybko znalazła ubranie i wyszła, by włożyć je w pokoju.

Kiedy wraz z Martinem właśnie pili w kwiaciarni po drugiej filiżance kawy, pojawił się wreszcie Toby. Miał na sobie nowy garnitur i koszulę, a w ręce trzymał aktówkę.

- No, to lecę.

- Szkoda. Pięknie pachniesz, czuję to nawet tutaj! - zawołała Abby.

- No wiesz. - Narzeczony przewrócił oczami, po czym przywitał z daleka Stokrotę, który zafascynowany przechylił się przez ladę.

- Dzieńdoberek, fiu, fiu, co za megagarnitur! Czy to, co widzą moje piękne oczy, to czysty kaszmir?

- Zgadłeś! - Toby się rozpromienił. Martin podszedł do niego, aby wypróbować w palcach materiał.

- Syberyjski? - zapytał, dotykając klapy.

- Mongolski.

- Cholera! Wiedziałem, że miękki na syberyjski. Nie posłuchałem wewnętrznego głosu.

- Dobra, dodatkowe sto punktów, jeśli zgadniesz nazwisko projektanta.

Stokrota odchylił się i zaczął głaskać podbródek.

- Hmm. Klasyczny krój wskazuje na Armaniego, ale nie pasuje mi to kryte zapięcie.

Spodnie mają pojedynczą fałdę czy podwójną?

- Pojedynczą.

- Dobra. Będę zgadywał: Valentino?

- Kraj się zgadza, nazwisko nie. Fendi.

- Fendi. No jasne: pojedyncza fałda, kryte zapięcie. Wychodzę z wprawy.

Toby rozpiął marynarkę, aby zademonstrować nową koszulę.

- Masz ostatnią szansę, jeśli zgadniesz numer nici bawełny.

- Nic prostszego. Stoosiemdziesiątka - oznajmił Martin. - Inaczej nie byłaby taka jedwabista.

- Trafiony, zatopiony.

- Czyż nie jestem genialny?

Abby rozbawiona przysłuchiwała się z niedowierzaniem paplaninie obu mężczyzn.

Stokrota zrobił dwa kroki do tyłu, aby lepiej widzieć.

- Wydaje mi się, że mógłbyś do tego dodać chusteczkę w górnej kieszeni - zawyrokował z ręką na biodrze.

- Myślisz? Nie wydaje ci się, że to postarza?

- Rzeczywiście, jeżeli jesteś po czterdziestce. Przy twoich trzydziestu paru latach widać będzie, że to nie na poważnie.

- Chyba cię posłucham i zajrzę w weekend do Liberty. I tak miałem wybrać się po krawat.

- Koniecznie zobacz kolekcję Bo Brummel. Powala na kolana! Nie żebym mógł sobie na coś z niej pozwolić przy tym, jak płaci mi twoja narzeczona.

Abby uśmiechnęła się i potrząsnęła głową w udanej rozpacz. Toby ucałował ją na pożegnanie i ruszył do wyjścia.

- Ciemny łośoś! - zawołał za nim Martin. - Będzie świetny do twojej cery.

- Tak myślisz? W takim razie przymierzę.

Kiedy narzeczony opuścił kwaciarnię, dziewczyna zajęła się wkładaniem do wody dostarczonych przed godziną pęczków konwalii. Przycinając nożem końcówki, nie mogła wyjść z podziwu nad doskonałością drobniutkich, śmietankowobiałych dzwoneczków. Zamknęła oczy, wdychając ich słodki, wyborny zapach.

- Przypomina mi, kiedy pierwszy raz byłam druzną na weselu. Miałam bukietik konwalii. Wąchałam je wtedy po raz pierwszy i wydawało mi się, że nie ma na świecie piękniejszego zapachu. Do dziś, kiedy go czuję, widzę siebie wystrojoną w różową sukienkę z tafty i baletki.

- Musiałaś wyglądać w tym ślicznie jak cholera.

Martin właśnie napełnił zieloną konewkę i wyrównywał poziom wody w wazonach, kiedy do sklepu wpadł jego ekskochanek z twarzą wykrzywioną wściekłością.

- Christian! - Abby próbowała go powstrzymać, przerażona, że przypuści zaraz kolejny atak na Stokrotę. - Ostrzegałam cię! Mój sklep to nie pole bitwy!

Mężczyzna kompletnie zignorował jej słowa i stanął przed Martinem, zaledwie kilka cali od jego twarzy.

- Wystarczy tego - prychnął, a z nozdrzy niemal buchała mu para. - Spróbuj jeszcze raz zadzwonić albo wysłać SMS, a napuszczę na ciebie policję i zgarną cię za prześladowanie. Zrozumiano?

- A ja wezwę policję i oskarżę cię o zakłócanie porządku publicznego! - warknęła Abby, na którą ponownie nikt nie zwrócił uwagi.

- A kimże ty jesteś, do jasnej cholery, żeby tu wpadać i wyżywać się na mnie! - naskoczył na niego Martin. - Dzwonię, bo kocham Debbie podobnie jak ty i chcę ją widywać! Jest tutaj? - Podbiegł do okna, żeby sprawdzić.

- Chyba zwariowałeś! Jesteś postrzelony i nienormalny, więc tego jeszcze brakowało, żebyś mi spróbował ją porwać! Wara od psa! Będę cię ciągał po sądach, jeśli się do niej zbliżysz!

- Przestań mi grozić! - ostrzegł Stokrota z wysokości swoich stu siedemdziesięciu ośmiu i pół centymetra.

- Będę robił, co mi się podoba!

- Ach tak?

- Tak!

- I kto to mówi?

- Ja to mówię!

- Odpieprz się, ty wypindrzona cioto!

- Wsadź sobie...

- Koniec! - ryknęła Abby. - Na litość boską, jesteście gorsi od przedszkolaków! Nie będę powtarzać: jeśli chcecie drzeć ze sobą psy, róbcie to na ulicy!

- Ja powiedziałem, co chciałem - wysyczał właściciel Goździkowego Globu.

- Świetnie. Tam są drzwi.

Christian zawrócił do wyjścia, nie mogąc powstrzymać się od komentarza, że irysy w pojemniku są przywiedle.

- A przy okazji, niebawem otrzyma pani list od rady dzielnicy w sprawie utrudniających komunikację pojemników. Radzę je usunąć.

- Ja sama zadecyduję, co zrobić. A teraz niech pan lepiej się usunie. I więcej tu nie przychodzi! - Dziewczyna poczuła, jak dłonie same zaciskają jej się w pięści.

- Nie ma obawy, moja noga tu nie postanie.

Patrzyli, jak Christian, wychodząc na zewnątrz, wpada na starszą panią i niemal przewraca ją na chodnik. Abby nie słyszała, co mówi, ale widziała, jak troskliwie obejmuje kobietę i pomaga jej odzyskać równowagę. Z języka ciała, sposobu, w jaki się nad nią nachylał, wyrazu szczerej troski na twarzy wynikało, że autentycznie się przejął i upewniał, czy kobiecie nic się nie stało.

- Czasem widać przebłysk jego lepszej strony - podsumował Marin, wskazując głową w stronę szyby.

Abby pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Przepraszam. Wiem, że nie powinienem dać się sprowokować, ale to silniejsze ode mnie.

- Chyba cię trochę rozumiem - powiedziała. - Na mnie zaczyna działać w podobny sposób. Ten człowiek to istna zaraza.

Zdecydowała, że na poprawę nastroju powinni zjeść coś słodkiego. Wyskoczyła do francuskiej piekarni za rogiem i wróciła po chwili, niosąc dwa kubki cappuccino i *dwa pain au chocolat*. Martin właśnie obsługiwał klientkę i tylko skinął głową na widok przyniesionych pyszności.

Po chwili siedzieli, jedząc i popijając, a Abby nawiązała do poprzedniej sytuacji.

- Nie daj się zastraszyć Christianowi. Wiesz co? Może to zbyt drastyczny krok, ale wydaje mi się, że powinieneś pójść z tym do adwokata. W końcu Debbie Harry w połowie należy do ciebie. On nie ma prawa zabraniać ci jej widywać.

- Też o tym myślałem. Może najpierw pójde zapytać w biurze porad prawnych?

Zamilkł, a jego szefowa strząsała z palców okruchy.

- O co chodzi? Czemu tak cię zamurowało?

Stokrota nie odpowiedział. Wyglądał, jakby zbierał się na odwagę.

- No co? - drażyła.

- Nie, nie, nic.

- No, mów! Widzę, że chcesz coś powiedzieć.

- Nie, lepiej nie.

- O Boże! Nienawidzę, jak ludzie zaczynają, a potem nie kończą. No mówże wreszcie!

- Ja nie zacząłem. Przecież nic nie powiedziałem.

- Wiem, ale widzę, że masz to na końcu języka. To na pewno coś, co mnie dotyczy.

Mów!

- Wiesz, straszna z ciebie egocentryczka. Wydaje ci się, że cały świat kręci się wokół ciebie.

- Akurat. Mam przeczucie, że to coś na mój temat.

- Wcale nie. Skończmy z tym, dobra? - Jego głos nie brzmiał przekonująco, ale z jakiegoś powodu wydało jej się, że jego troska istotnie jej nie dotyczy. Wzruszyła ramionami na znak, że nie będzie dalej wypytywać, chociaż miała na to ochotę. Poszła na górę przebrać się przed spotkaniem z asystentem pana Takahashiego, lecz przez cały czas dręczyła ją myśl, co też Martin ukrywa. To jednak musi mieć związek z nią. Za godzinę, jeszcze przed przedpołudniowym spotkaniem, miała pojechać do hotelu Claridge. Do grona jej klientów zaliczała się firma turystyczna specjalizująca się w luksusowych rejsach. Urządzali firmową imprezę, na motyw przewodni wybrali Karaiby i zamówili u Abby roślinne dekoracje.

Na rozmowie z organizatorką imprezy spędziła ponad trzy kwadransy; oczarowała ją swym pomysłem, by przybrać salę ogromnymi wazami, z których wylewać się będą tropikalne kwiaty: drapieżne helikonie, storczyki pająkowe i wściekle czerwone katleje. Dopiero w taksówce ogarnęły ją wątpliwości, czy jej dostawcy będą w stanie zapewnić taką liczbę cennych kwiatów w tak krótkim czasie - przyjęcie miało odbyć się na początku miesiąca.

Po chwili zastanowienia zaczęła się obawiać, że zaproponowana przez nią cena jest za niska. Mimo że interesy miały się świetnie, wciąż obawiała się, że jeśli zażąda zbyt wysokiego rachunku, straci klientów. Przesadzała zatem w drugą stronę, licząc za tanio - nieraz zdarzyło jej się, zwłaszcza przy realizacji jakiegoś szczególnie wyszukanego zamówienia z użyciem rzadkich, egzotycznych roślin, że w końcu nic na nim nie zarabiała.

Weszła do kwaciarni, kończąc rozmowę przez komórkę z jednym z dostawców.

- Doskonale. Tym razem udało mi się utrafić.

- Co takiego?

- Zamówienie od tych z Claridge'a.

- Całe szczęście - powiedział Martin bez większego zainteresowania. - Abby, muszę ci coś powiedzieć.

- Czy to, o czym zaczęłaś mówić mi rano, tylko spanikowałaś? Dobra, gadaj.

Stokrota oparł się o ladę i zaczął bawić kawałkiem odciętej lodygi.

- No mówże wreszcie, bo stracę cierpliwość. Proszę!

- Dobra. Posłuchaj: przez kilka ostatnich miesięcy naprawdę się zaprzyjaźniliśmy?

Odpowiedziała skinieniem głowy.

- Wiesz, że uważam cię za bardzo bliską osobę?

- Mhm.

- I wiesz, jak bardzo cię lubię i za nic nie chciałbym wyrządzić ci przykrości?

- Tak. Wyrzucze to z siebie wreszcie.

- Więc słuchaj. To absolutnie nie moja sprawa, ale czy nie przyszło ci do głowy, że Toby może jest gejem?

- Masz rację, że to nie twoja sprawa - wycedziła zaskoczona własną obronną reakcją - ale jeśli chcesz wiedzieć, to przyszło. Nawet go o to zapytałam. Wyśmiał mnie, ale widziałam, że było mu przykro. Podobnie jak mnie nasunęło ci się powierzchowne skojarzenie, że skoro interesuje się modą, to od razu musi być homo.

- Wcale nie jest takie powierzchowne. Chodzi o coś więcej...

Abby nie chciała tego słuchać i ucięła rozmowę.

- Nie jest homo, OK? Sam mi to powiedział, a ja mu wierzę. Opuść sobie. Jak dobrze by było, gdyby homoseksualni mężczyźni nie wyobrażali sobie, że są pępkiem świata i mają monopol na trendy ciuchy.

- Zgadzam się z tobą. Nie o to mi chodzi.

- No to o co? - zapytała ze ściągniętą ze zdenerwowania twarzą. - Może wyleciało ci to z głowy, ale jestem z nim zaręczona. Chyba zgodzisz się, że dawno minęły czasy, kiedy geje musieli ukrywać własne skłonności i żenić się dla świętego spokoju?

- Nie byłbym taki pewien. Wciąż zdarzają się mężczyźni, którzy z powodów rodzinnych czy dla kariery muszą się maskować - przerwał na chwilę. - Staram się patrzeć na to w szerszym kontekście.

- W kontekście, przepraszam, czego?

- Że ze sobą nie sypiacie.

- To cię w ogóle nie powinno obchodzić.

- Tak? - Otworzył szeroko oczy. - Przecież sama mi o tym opowiedziałaś.

- Rzeczywiście. - Poczowała, że się czerwieni. - Ale to nie znaczy, że masz o tym paplać przy byle okazji.

- Aha, czyli że tylko ty masz prawo wybierania okazji, kiedy mogę paplać?

Przytaknęła, czując, że wygaduje głupoty.

- Jak chcesz, ale mój homometr rzadko mnie zawodzi. Już od samego początku wydawało mi się, że Toby jest gejem. Uważaj, może cię okłamuje.

- Wcale nie! - wściekła się. - Jak możesz mówić coś takiego? Boże, jak wy próbujecie na siłę nawracać, jesteście gorsi niż Armia Zbawienia.

- O nie, my wcale nie przepadamy za nawróconymi. Ludzie są tacy, jacy są. Mówię tylko, że potrafię instynktownie rozpoznać orientację seksualną.

- Aha, a sam każesz mi sprawdzać, czy asystent pana Takahashiego jest homo, czy nie. Co za konsekwencja! To znaczy, że ufasz mojemu homometrowi tak samo jak swojemu, a jeżeli tak, to znaczy, że potrafię chyba ocenić skłonności własnego narzeczonego. Temat uważam za zamknięty - przerwała.

- W porządku. Przepraszam, nie powinienem był nic mówić, to rzeczywiście nie moja sprawa.

- Nareszcie mogę przyznać ci rację - syknęła jadowicie, po czym z wymuszonym uśmiechem zwróciła się ku kobiecie, która akurat stanęła w progu kwiaciarni.

ABBY BAŁA SIĘ, że utknie w korku, tak więc postanowiła pojechać do Knightsbridge, do pana Takahashiego, metrem. Siedziała w wagonie, przeglądając „Evening Standard” i próbo-

wała ochłonąć z wściekłości na Martina. Jak śmiał wtrącać się w ich problemy? Przekroczył granicę przyjaźni i nie zapomni mu tego łatwo.

Toby nie jest gejem. Zapewnił ją wystarczająco jasno. Należał do staroświeckiego gatunku angielskich dandysów. Jak wielu normalnych mężczyzn. Ostatnio w niedzielnym dodatku „Timesa” był nawet artykuł o „heterogejach” - mężczyznach, którzy wydawali fortunę na ubrania i kosmetyki. Co do niechęci do seksu - mogła wynikać z niedoboru testosteronu. Z drugiej strony zdziwiła ją własna reakcja - jeśli nie miałyby wątpliwości co do narzeczonego, słowa Stokroty nie zdenerwowałyby jej tak bardzo.

Wysiadła na stacji Knightsbridge i ruszyła w kierunku Brompton Road. Minęła Harrodsa i kilka przecznic. Wygląda na to, że pan Takahashi mieszka w nowo wybudowanym kompleksie w okolicach Beauchamp Place. W trakcie spaceru wyjęła komórkę z zamiarem zatelefonowania do Sophie. Chciała posłuchać zapewnień, że Toby nie jest gejem. Zaczęła wybierać numer, po czym się zawahała. No nie! Jeszcze tego brakowało, żeby musiała upewniać się co do heteroseksualności własnego narzeczonego, dzwoniąc do przyjaciółki! Wypowiedział się już na ten temat i musi mu wierzyć. Jeżeli ma jakieś wątpliwości, powinna udać się z nimi do niego. Włożyła komórkę do torebki i zasunęła jej zamek zdecydowanym ruchem.

Wreszcie dotarła do ogrodzonego osiedla, na którym znajdowało się kilkanaście imponujących domów ze szkła i metalu oraz dwa apartamentowce. Strażnik w uniformie zadzwonił do Ichiro, aby upewnić się, że pani Crompton jest umówionym gościem, po czym wpuścił ją za bramę.

- Mieszkanie pana Takahashiego znajduje się na ostatnim piętrze. Dwudziestym trzecim.
- Wskazał na wielgaśny szklany budynek o kilkadziesiąt metrów od nich. Poczowała, że robi jej się słabo.

- Jak to? Myślałam, że pan Takahashi mieszka w jednym z domów?

- Nie, proszę pani. W penthousie.

- Tam? - Wskazała na ostatnie piętro.

- Tak. - Strażnik spojrział na nią, jakby była głucha albo niedorozwinięta.

- Aha. No to świetnie. Doskonale.

Gdyby znalazła się tu przed tygodniem, natychmiast poszukałaby schodów przeciwpożarowych, po czym wspinałaby się na górę, docierając do mieszkania jako dysząca i złana potem ofiara klaustrofobii. Nie dziś. Z bijącym sercem, wahając się, podeszła do wejścia.

„Dam radę, dam radę, dam radę” - powtarzała jak mantrę, a strażnik obserwował jej niepewny krok, jakby chciał powiedzieć: „Jeszcze jedna, co ma nierówno pod sufitem”. Przyspieszyła i znalazła się w wyłożonym marmurem holu. Stały w nim brązowe skórzane kanapy, na ścianach wisiały abstrakcyjne obrazy dużego formatu. Na wprost znajdowały się trzy windy. Przelknęła ślinę. Podeszła do środkowych drzwi i nacisnęła guzik. Otworzyły się natychmiast. Mamrocząc błyskawiczną modlitwę w intencji dojechania cało na dwudzieste trzecie piętro, weszła do środka, nacisnęła odpowiedni przycisk i czekała, co się stanie. Szklana winda uniosła się. Nie poruszała się zbyt szybko - raczej elegancko, tak aby umożliwić pasażerowi podziwianie widoku miasta. Abby zajęła się wyszukiwaniem znajomych punktów. Natychmiast znalazła Big Bena, London Eye i Canary Wharf. Z czołem przyciśniętym do szklanej tafli starała się wypatrzeć nowy stadion na Wembley. Znalazła go dokładnie w chwili, gdy dzwonek obwieścił, że dotarła na ostatnie piętro. Abby niemal nie chciało się wysiadać; nie znalazła jeszcze elektrowni Battersea.

Nagle poczuła dziką radość - nie tak intensywną jak euforia po wydostaniu się z windy w Covent Garden, ale wielką. Jej fobia zniknęła! Następnym krokiem będzie jazda w dusznej, ciasnej windzie bez okien, ale na razie zadowolona była z postępów, jakie poczyniła.

Marmurów nie brakło i w ogromnym penthousie pana Takahashiego. Ichiro powitał ją afektowanym pocałunkiem w oba policzki.

- Abby! Jak się masz? - Był tak bezpośredni, jakby znali się od lat. Mówił z czysto amerykańskim akcentem. Dziewczyna nigdy nie wiedziała, jak reagować na takie powitanie - czy zacząć się wywnętrzać i opowiadać o zatokach i kłopotach z nerkami, czy uznać to za czysto grzecznościowe pytanie? Postanowiła potraktować je podobnie jak nonsensowne brytyjskie: „How do you do” i jeszcze bardziej absurdalną odpowiedź: „How do you do”.

- Świetnie, dziękuję. - Uśmiechnęła się.

Ichiro był smukłym jak trzcina dwudziestoparolatkiem. Abby wydał się tak chudy, że bała się, że jeśli stanie bokiem - zniknie, okaże się dwuwymiarowy. Miał na sobie długi czarny podkoszulek wyłożony na strasznie obcisłe białe dzinsy rurki. Stroju dopełniał szeroki, nabijany paciorkami pas w miejscu, gdzie teoretycznie powinny znajdować się biodra. Twarz Ichiro była nieskazitelnie gładka, okalały ją proste, półdługie włosy przycięte nad czołem w trendy asymetryczną grzywę. Włosy ufarbował na głęboką, lekko wpadającą w kasztan czerwień.

- Tak bardzo się cieszę, że cię poznałem - zapewniał, prowadząc ją szerokim korytarzem, na którego ścianach wisiały podobne kolorowe, wielkogabarytowe abstrakcje, jak w holu budynku. „Dyżurny artysta” - pomyślała Abby.

- Mam przeczucie, że będzie się nam dobrze razem pracowało. Wiedziałem to od chwili, kiedy cię zobaczyłem. Nadajemy na tych samych falach, oczywiście duchowych. Mam wyczuloną intuicję, potrafię natychmiast wyłapać vibracje między ludźmi. Czyste zen. Czujesz?

- Chyba tak. - Nie chciała wydać się niegrzeczna. Nagle musiała wstrzymać oddech. Znaleźli się w salonie.

Jego wnętrze było ogromne, z podłogą z beżowego marmuru i takimiż ścianami.

- Jaki niesamowity pokój!

- Rzeczywiście - przyznał Ichiro. - Czasem tylko zastanawiam się, czy nie jest... no wiesz, ździebko beż-a-vu.

- Mnie się podoba! - Abby się zaśmiała i pomyślała, że Ichiro jest homo jak świeży serek. Podeszła do okna, a właściwie do ogromnej szklanej tafli sięgającej od podłogi do sufitu. W dole rozpościerało się miasto. Widok zapierał dech, choć gdzieś w środku słyszała głos ojca: tyle szkła, chciałbym zobaczyć rachunki za ogrzewanie tego gościa.

- Pan T. przeprasza, że nie mógł stawić się osobiście, ale jak słusznie przypuszczasz, jest bardzo zajęтым człowiekiem. Poza tym raczej nie miesza się w domowe sprawy, a Sophie zapewniła go, że w kwestii kwiatów możemy absolutnie na tobie polegać.

Ichiro zaprosił ją, by usiadła na jednej z wielkich skórzanych kanap w kolorze czekoladowym, i zniknął, by podać herbatę. Wrócił, niosąc niewielką drewnianą tacę przykrytą czarną serwetą. Stały na niej dwa białe kubki z cieniutkiej porcelany, wypełnione zieloną herbatą, a obok nich dwie małe babeczki z jagodami, pokryte siateczką z karmelizowanego cukru i posypane kilkoma opiłkami gorzkiej czekolady. Abby westchnęła: były tak śliczne, że aż szkoda je jeść.

- Wiem. Boskie, prawda? Pablo, nasz cukiernik, ma talent. Jego wyroby to prawdziwe dzieła sztuki, do tego bez białej mąki, bezglutenowe, a te mają tylko po czterdzieści kalorii na sztukę. Spróbuj! - zachęcał.

Ugryzła babeczkę. Właściwie bez trudu połknęłyby ją na raz, ale wydało jej się to świętokradztwem. Ciasteczko rozpląwało się w ustach, owocowy smak był wyrazisty, choć nie kwaśny. Ichiro stanął na środku pokoju.

- Wiesz, Abby, wiele myślałem o naszym projekcie i chciałbym przedstawić ci moją wizję.

Odpowiedziała, że pomysły są zawsze mile widziane, ale że pewnie córka i pani Takahashi mają wyraźną koncepcję przyjęcia.

- Nie zobaczymy ich? - zdziwiła się.

- Pan Takahashi jest rozwiedziony, Mai z narzeczoną przyjadą przed samym przyjęciem. Była pani T. mieszka w Tokio, na dobrą sprawę ja ją wyręczę. Ojej, co ja mówię!

- Spostrzegł niezręczną dwuznaczność. - To nie... ja... to znaczy to nie tak - nie we wszystkim ją zastępuję, jestem, powiedzmy, osobistym niewolnikiem pana T. Nieważne. - Uderzył się w czoło i wyraźnie próbował powrócić do głównego tematu rozmowy. - Oto moja wizja. - Stał pośrodku pomieszczenia z rozpostartymi ramionami, w drugiej postawie baletowej. - Przestrzeń. Przestrzeń jest najważniejsza, chyba się ze mną zgodzisz?

- Oczywiście.

- Nie uważam, że powinniśmy wypełnić pomieszczenie kwiatami. Brak dekoracji jest także ozdobą, prawda? - Widząc, że Abby potakuje, ucieszył się. - Widzisz, mówiłem, nadajemy na tych samych falach. Ach - zaćwierkał - to dla mnie takie ekscytujące!

Abby zapytała, czy myślał o kolorach.

- Merlot. W tym sezonie króluje merlot - oznajmił, zmieniając pozycję na trzecią baletową.

Mruknęła w odpowiedzi coś bez entuzjazmu.

- Nie podoba ci się. - Zmartwiony, wyjął z kieszeni pilnik i zaczął wygładzać zadziorek przy paznokciu małego palca. Abby zdecydowała, że teraz kolej na nią. Jej zdaniem pomieszczenie jest na tyle duże, że zmieści się w nim miniaturowy japoński ogród z miniaturowym strumykiem i przerzuconym nad nim mostem.

- Do tego może takie cudownie powyginane drzewko śliwy i miniaturowa pagoda. Co do kwiatów, proponuję tradycyjną kwitnącą wiśnię. A skoro to przyjęcie zaręczynowe - lotos oznaczający nieśmiertelność i piwonie, symbol dostatku.

Ichiro schował pilnik i złączył dłonie jak do modlitwy.

- Ach, cudownie! I jak oryginalnie!

„Akurat” - pomyślała Abby, ale skoro tak mu się wydawało, ani myślała wyprowadzać go z błędu. Zaczęła pilnie robić notatki i szkicować plan pomieszczenia. Nagle rozległy się czyjeś kroki. Chłopak uniósł zdziwiony głowę i zrobił przerażoną minę.

- To pan T.!

Do pokoju wszedł krępy, średniego wzrostu i wieku Japończyk, z siwiejącymi wąsami i wojskowym obejściem - wyglądał, jakby przybył na przegląd pułku kamikadze. Ichiro zgiął się przykładnie w ukłonie. Pan Takahashi zignorował obecność Abby i zaczął sztorcować go po japońsku. Chłopak, nie odrywając wzroku od podłogi, odpowiedział kolejnym ukłonem i słowami, które w uszach florystki brzmiały jak pokorne przeprosiny za popełnienie jakiejś straszliwej zbrodni. Twarz pana Takahashiego, słuchającego owych unizonych wyjaśnień, przybrała modny kolor merlot. Kiedy burza ucichła, Abby sama nie wiedziała, czy następną rzeczą, jaką zrobi Ichiro, będzie popełnienie samobójstwa za pomocą trzymanego w ręce pilnika, czy odzyskanie jakiej takiej równowagi. Kolejne minuty udowodniły, że zdecydował się na to drugie. Uniósł głowę, przypomniał sobie o obowiązkowym uśmiechu, a w końcu przedstawił Abby. Twarz pana Takahashiego zmieniła wyraz w ciągu sekundy.

- Ach, panna Crompton - wycedził dziwnie na wdechu - witam. - Zrobił pół kroku w przód i wyciągnął do niej rękę.

- *Kajitsu* - popisała się, tak jak to miała w zwyczaju z zagranicznymi klientami. Bardzo uważała, by znać przynajmniej kilka podstawowych słów w ich języku.

- *Kajitsu* - odpowiedział uśmiechnięty pan T., skłaniając głowę. Abby natychmiast odwzajemniła ukłon.

- Pan Takahashi słabo mówi po angielsku - pospieszył z wyjaśnieniem Ichiro - ja będę tłumaczył.

Poprosiła, by przetłumaczył jej wizję dekoracji na przyjęcie. Pracodawca przerwał mu po kilku słowach; ze zniecierpliwieniem machnął ręką na znak, że zna lepsze sposoby spędzania czasu niż wysłuchiwanie szczegółów kwiatnych aranżacji. Z jego tonu i gestykulacji Abby wywnioskowała, że coś zgubił czy czegoś szukał i posłał po to coś Ichiro. Kiedy zostali sami, zwrócił się do niej łamaną angielszczyzną:

- Lubi piwo, nie?

- Co, co? - Nie była pewna, czy się nie przesłyszała.

- Piwo-nie? W Japonii je uwielbiamy. Zwłaszcza duże piwo-nie? Ja chcę duże. Bardzo duże.

- Przykro mi, panie Takahashi, ale ja jestem kwiaciarką, a nie...

- Duże znaczy bogactwo.

- Ach, piwonie! Tak, oczywiście, dostarczę dużo piwonii.

- OK. A inne kwiaty?

- Tradycyjne: kwitnąca wiśnia i lotos.

- Doskonale, doskonale.

Do pokoju wszedł Ichiro z naręczem papierzyk, które podał panu Takahashiemu, kłaniając się przy tym ostentacyjnie. Ten przyjął od niego pękaty segregator i wyrzucił z siebie kilka nieprzyjemnych słów, po czym zwrócił się ku Abby, ujął jej dłoń i pocałował.

- Do zobaczenia, panno Crompton. Niedługo się spotkamy - oznajmił i opuścił pokój.

Ichiro wydawał się wciąż wstrząśnięty.

- Nic ci nie jest? - zatroszczyła się Abby.

- Mnie? Ależ skąd. Ten wybuch to nic. Nic w porównaniu z tym, co się dzieje, kiedy pan T. jest w złym humorze.

- Naprawdę?

- Wpada wtedy w prawdziwy, dziki szał, godny Hitlera, przy którym niemal tarza się po podłodze i wygryza dziury w wykładzinie. Na szczęście to nigdy nie trwa długo.

Florystka wiedziała, że się wtrąca, ale spytała chłopaka, dlaczego pracuje dla pana Takahashiego, choć ten tak źle go traktuje. Ten wyjaśnił, że ma ubogich dziadków na wsi w Japonii.

- Są bezradni i starzy. Ja i rodzice wysyłamy im pieniądze, ale nie jesteśmy zamożną rodziną i nie mogą się z nich utrzymać. Kiedy pan T. dowiedział się o tym, zaczął wysyłać im co miesiąc zapomogę. W głębi duszy to dobry człowiek, na cele dobroczynne wydał miliony. Nie znoszę, gdy mną tak pomiata, ale co robić?

- Sama nie wiem. - Abby schowała notatnik do torby i zasunęła zamek. Nie wiedząc, jak pocieszyć chłopaka, bezradnie spojrzała na zegarek. - Cieszę się, że cię poznałam, Ichiro, ale czas na mnie.

Podziękowała za herbatę i obiecała, że wkrótce prześle mu mejlem kosztorys.

Wróciwszy do sklepu, nie potrafiła przemóc się i zachowywać ze zwykłą życzliwością w stosunku do Martina. Nie podzielił się z nim dobrą wiadomością, że odważyła się na jazdę windą, a już na pewno nie ma zamiaru zrobić mu przyjemności i powiedzieć, że Ichiro jest gejem. Dzisiejszego popołudnia ich jedynym tematem rozmowy będzie praca i już.

Tuż przed zamknięciem sklepu zadzwonił Toby.

- Ubierz się ładnie, idziemy na kolację.

- O, doprawdy?

- Zarezerwowałem stół w Zafferano na wpół do dziewiątej.

- Udało ci się zdobyć miejsce w Zafferano! Mamy zamiar coś uczcić?

- Ciepło, ciepło...

- Ciekawe co. - Uśmiechnęła się, pewna, że jak zwykle chodzi o sfinalizowanie jakiegoś nadzwyczaj ważnego kontraktu w firmie. Odłożyła telefon i poszła do łazienki wziąć prysznic. Toby wydawał się wyjątkowo podekscytowany, to do niego ostatnio niepodobne - pomyślała, zdejmując ubranie.

Jak zwykle stanęła przed problemem, co by tu na siebie włożyć. Zdecydowała się na jedwabną, podkreślającą figurę sukienkę w kolorach: malina z miętą, a do niej kaszmirowe malinowe bolerko podkreślające biust.

Do restauracji dotarła punktualnie. Narzeczony czekał. Kiedy ją zobaczył, wstał, wyciągając ramiona. Pocałowali się, a on pochwalił ją, że ślicznie wygląda. Zarumieniła się z radości.

- Taka niespodzianka - cieszyła się. - Nie licząc feralnego spotkania z twoją matką, całe wieki nie odwiedzaliśmy restauracji.

- Wiem. Nie było ci łatwo ze mną przez ostatnie miesiące, więc to mój sposób, żeby przeprosić i powiedzieć, że cię kocham.

Toby zamówił butelkę szampana.

- Mamy zamiar coś uczcić?

- Nawet dwie rzeczy - oznajmił uroczyście.

- To znaczy, że trzy - powiedziała, mając na myśli własne zwycięstwo nad klaustrofobią - ale zaczynaj.

- Dobrze. Po pierwsze: dzisiaj rano szef poprosił mnie do gabinetu i powiedział, że mianowali mnie wspólnikiem.

- Naprawdę! Toby, to cudownie. - Wstała i ucałowała go w oba policzki. - Taka jestem z ciebie dumna! Ciężko na to pracowałeś, jeżeli ktokolwiek zasłużył sobie na ten awans, to właśnie ty!

- Dzięki, Abby. I wiesz co? Ja też jestem z siebie trochę dumny. I myślę, że w nagrodę sprawię sobie wreszcie porsche.

- Ho, ho. A ta druga rzecz?

Przerwał im kelner, który przyniósł szampana. Siedzieli w ciszy, unieśli kieliszki. Po chwili Toby przerwał milczenie i poprosił narzeczoną, by zamknęła oczy i wyciągnęła przed

siebie lewą rękę. Zachichotała; zgadła, co się za chwilę stanie. I rzeczywiście - poczuła, jak ktoś wsuwa jej na palec pierścionek. Otworzyła oczy. W świetle świec tańczył, rzucając przekorne błyski, ogromny pojedynczy brylant. Wyglądał tak nadzwyczajnie i pięknie, że nie mogła wydobyć słowa. Poczowała pod powiekami łzy.

- Wiem, że powinienem był zrobić to wcześniej, w końcu zaręczyliśmy się miesiąc temu. Ale przez ostatnie tygodnie prawie zapomniałem, jak się nazywam. Dziękuję, że cierpliwie czekałaś.

- Nic nie szkodzi. Najważniejsze, że się kochamy i chcemy spędzić resztę życia razem. Tobie, pierścionek jest przepiękny. Nie mogę się na niego napatrzeć. Jak zwykle wybrałaś to, co najlepsze. - Przekręciła go na palcu. - Nawet rozmiarem idealnie pasuje. Kocham cię.

- A ja ciebie. - Wzniesli w toaście kieliszki szampana. Abby nie mogła się powstrzymać, by nie podziwiać brylantu.

- Jest wspaniały. Musiał kosztować fortunę?

- Fortunkę. - Uśmiechnął się.

- Ale wtedy, w Paryżu, powiedziałeś, że zamierzasz kupić pierścionek na wyprzedazy gdzieś w Hatton Garden.

- Rozmyśliłem się. To nie byłoby romantyczne, a chciałem ci pokazać, jak wiele dla mnie znaczysz. Ale zdaje mi się, że zaproponowałaś, byśmy uczcili trzecią rzecz?

- Ach, prawie o tym zapomniałam. Wyobraź sobie, jechałam dzisiaj windą. I w dodatku aż na dwudzieste trzecie piętro. Co ty na to?

- Bomba! - Złapał ją za rękę. - Tak trzymać!

Po KOLACJI pojechali do Abby, która natychmiast po przekroczeniu progu wzięła Toby'ego za rękę i poprowadziła w kierunku sypialni.

- Przepraszam, ale czeka na mnie góra papierów do przejrzenia - wykręcił się. - Idź spać, przyjdę za godzinę.

Jej radość znikła jak płomień zdmuchniętej świecy. Toby zauważył zmianę nastroju i położył jej dłoń na policzku.

- Nie martw się. Potrzeba nam więcej czasu, byśmy zaczęli się kochać, ale go jakoś wygospodaruję. Pracuję nad tym. Znalazłem już specjalistę na Harley Street, u którego zrobię badania; niedługo wróci z wakacji. Wszystko się zmieni, zobaczysz.

- Zawsze tak mówisz, a potem zostaje po staremu. Czasem, jak właśnie dziś, czuję się taka odrzucona... potem macisz mi w głowie i sama już nie wiem, co myśleć.

- Abby, chyba nie myślisz znowu o tych bzdurach, że niby może jestem gejem?

- Nie, skąd... - Ale właśnie o tym myślała. Czuła, jak coś ściska ją w brzuchu ze zdenerwowania.

- No to całe szczęście. Zobaczysz, będzie lepiej. Obiecuję: zostaw to mnie.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował.

- Dobrze. - Czuła, że skurcz w brzuchu się nasila.

- Dobrej nocy, kochanie.

- Dziękuję, kochanie.

L R

Rozdział 7

Abby obudziła się rano i poczuła, że nieprzyjemne klucie w brzuchu nie minęło. Jej wewnętrzny głos podpowiadał tylko jedno; widok Toby'ego uśmiechającego się przez sen, obejmującego ją w pasie - coś wręcz przeciwnego. Spojrzała na pierścionek zaręczynowy. Jaki gej:

a) zaręcza się z kobietą?

b) wydaje fortunę, by kupić jej coś tak pięknego?

Później, w sklepie, przywitała uśmiechem Martina i zamachała mu przed nosem lewą ręką.

- Wow! Toby nareszcie dał ci pierścionek. To jest pewnie więcej warte niż mieszkanie mojej mamuski w Liverpoolu.

- Chyba przyznasz, że nieźle jak na geja. - Abby wyszczerzyła zęby.

- Niechętnie.

- Stokrota, no nie bądź taki... Ciesz się razem ze mną!

- Cieszę się razem z tobą.

- Jakoś nie słyszę radości w twoim głosie.

- Przepraszam. To naprawdę cudownie. Słuchaj, niepotrzebnie powiedziałem to, co powiedziałem, wybacz mi.

Dziewczynie wydało się, że Martin wycofuje się dla świętego spokoju. Nie miała zamiaru rozdmuchiwać na nowo całej sprawy, co więcej, budzić własnych uspiionych wątpliwości. Koniec z drzączką i skurczem w brzuchu.

- Oczywiście, że wybaczam. - Uściskała go. - A, byłabym zapomniała, mam ci coś lepszego do powiedzenia.

- Co, co? - Ciekawość rozszerzyła mu źrenice, a Abby postanowiła przez chwilę się z nim podroczyć.

- Nie uwierzysz! Wczoraj... jechałam znowu windą! Widziała, że słowa te podziałały jak zimny prysznic, Stokrota z grzeczności jednak udał zainteresowanie.

- Ach, i jeszcze coś. - Postanowiła skończyć z zabawą w kotka i myszkę. - Jeśli Ichiro okaże się hetero, jestem gotowa zjeść na surowo tę kompozycję z papryką, nie wyłączając świecy.

- Hura! A czy jest ładny?

- Jeśli ubieliliby sobie twarz, włożył perukę i kimono, mógłby śmiało wystartować w castingu do *Wyznań gejszy*. Martin zadrzał z podniecenia.

- Musimy się koniecznie spotkać!

Abby obiecała, że weźmie przyjaciela na drugą wizytę w mieszkaniu pana Takahashiego, którą i tak musi odbyć przed złożeniem ostatecznego zamówienia na rośliny do dekoracji.

- Super, tylko uprzedź mnie dużo wcześniej; muszę zastanowić się, co na siebie włożyć.

KOLACJA W FENG WEI w chińskiej dzielnicy okazała się mocno zakrapianą, dziką imprezą. Oczywiście „porozmawianie z chłopakami” nic nie dało. Wręcz przeciwnie - oceniła Abby - taki arystokratyczny trep jak Guy Strandbroke na pewno nie będzie się z nikim patyczkował tylko dlatego, że przyjaciel go o to prosi.

Prawie wszyscy kumple Toby'ego byli rozwyrzonymi, ubogimi duchowo prawnikami bądź menedżerami z City, którzy podobnie jak on pochodzili z klasy wyższej, rozbijali się drogimi samochodami, mieli mieszkania w najlepszych dzielnicach, a na wsi podupadającą posiadłość ziemską rodziców.

Ich sloaneyowskie partnerki można podzielić na dwie grupy: bezpretensjonalne, fajne kumpelki w typie Katie oraz długonogie istoty prosto z Fulham, z perfekcyjnymi pasemkami i klasycznymi w profilu (z pozdrowieniami od chirurga plastycznego) nosami, stworzonymi specjalnie po to, aby je zadzierać.

Paczka ta spotykała się niemal co weekend na imprezie w jednej z wiejskich posiadłości, zwykle pod nieobecność rodziców. Jako że jej narzeczony przepracowywał przynajmniej połowę wolnego czasu, nie przyjmował zaproszeń za miasto. Od czasu kiedy on i Abby zaczęli ze sobą chodzić, wybrali się tylko raz, zeszłej jesieni, do Dorset. Mieszkali tam rodzice Guya, najlepszego przyjaciela Toby'ego z czasów internatu, a Abby miała okazję poznać znajomych chłopaka. Wyobrażała sobie, że podczas weekendu będzie panowała luźna atmosfera, Sophie jednak podsunęła jej przerażający obraz wzięty wypisz, wymaluj z serialu *Znowu w Brideshead*.

- Założę się, że mężczyźni wybiorą się na polowanie. Och, i na pewno wszyscy będą przebierać się do obiadu. Weź sukienkę koktajlową i pamiętaj: brylanty w mieście, na wsi perły. Podśledzałam to w odcinku *Upstairs, Downstairs*.

- Dziewczyno, daj spokój, przecież tam akcja dzieje się przed pierwszą wojną światową! Poza tym kto przed sześćdziesiątką nosi perły?

- Nie byłabym taka pewna. Sama wiesz, jakie są klasy wyższe. Macerują się w sosie własnych tradycji. Sto lat to dla nich pikuś, na pewno nic tam się nie zmieniło.

Broxbourne Manor leżał na skraju prześlicznej wsi, która wyglądała jak żywcem przeniesiona z pudełka czekoladek. Wzdłuż głównej ulicy stały bielone i różowe, kryte strzechą chatki. Ulica prowadziła na typowe wiejskie błonia, jak należy - ze stawem i kaczuszkami, naprzeciwko nich znajdował się zabytkowy kościół oraz wiejski sklepik, w którym można było kupić stary chleb i groszek w puszcze. Nieopodal mieścił się pub, z dębowym sufitem, ogniem w kominku i drzemiącymi labradorami.

Abby wpadła przed wyjazdem w taką odzieżową panikę, że nie dość, że wzięła ze sobą pół szafy, to jeszcze w ostatniej chwili wybrała się do Harrodsa po kurtkę Barbour i zielone kalosze. Wstydziła się zapytać Toby'ego, jakie ubrania będą jej potrzebne, ponieważ nie chciała wyjść na proleciarę.

Do wsi dotarli po czwartej. Był późny październik; zmierzchało. Skręcili w prywatną drogę, wzdłuż której ciągnął się żywopłot, po chwili wynurzył się przed nimi wspaniały elżbietański dwór skąpany w złotawym świetle.

Toby zaparkował sportowego mercedesa na zwirowym podjeździe, wśród range roverów i innych porszaków. Abby siedziała w bezruchu. Przyglądała się domowi, koślawym ścianom w konstrukcji ryglowej, ścianom w ceglaną jodelkę i ładnym rzędem okienek osadzonych w ościeżach z piaskowca.

- Ojej, jaki piękny - zachwyciła się na głos - można by sobie wyobrazić, że drzwi otworzy nam Anna Boleyn.

Toby uśmiechnął się i powiedział, by zostawiła w spokoju bagaż. Ktoś inny zajmie się jego wniesieniem.

- Sorry - bąknęła upokorzona, że nie wie, jak się zachować.

Guy okazał się łysiejącym grubaskiem z upodobaniem do jadowicie zielonych tweedów w stylu Ropucha z *O czym szumią wierzby*. Powitał Toby'ego wylewnym waleniem w plecy i okrzykami, jakby wciąż nie wyrosł z wieku szkolnego. Abby w pierwszej chwili wcale nie zauważył, a kiedy to uczynił, określił ją jako „pańcia Toby'ego”, po czym wreszcie raczył wycisnąć na jej policzkach dwa lepkie, zimnawe całusy. Kiedy weszli do środka, niby przypadkowo przejechał ręką po jej pośladku. Gdyby nie był przyjacielem Toby'ego, ryknęłaby, żeby trzymał ręce przy sobie, a tak wzruszyła tylko ramionami i ugryzła się w język.

Wnętrze Broxbourne Manor powalało na kolana, nie ustępowało w niczym widokowi domu, a wrażenia nie psuł ani unoszący się w nim zapach mokrej sierści, ani pewne zaniebanie i zużycie przedmiotów, ani wreszcie stare kontakty elektryczne, które według Abby wyglądały tak, jakby zamontował je sześćset lat temu pierwszy lord Strandbroke. Po wejściu rzucał się w oczy ciemny, wykładany dębem hol i reprezentacyjna, niczym zastygła kaskada, klatka schodowa. W każdym pokoju na parterze była polerowana drewniana podłoga i wpuszczany w ścianę otwarty kominek. Mimo że w nich napalono, dom przypominał klimatem chłodnię.

- Ach, najwyraźniej pańcia Toby'ego nie nawykła do wiejskiego domu - dokuczał Guy, kiedy nie mogła opanować drżenia z zimna. - Piździ jak cholera, ale założenie centralnego ogrzewania puściłoby nas z torbami.

W rezultacie rodzina Strandbroke musiała zadowolić się starymi żarowymi grzejnikami i dmuchawami. Największy ziąb panował w sypialniach. Na szczęście w tej we wschodnim skrzydle, którą dostali Toby i Abby, stało rzeźbione hebanowe łóże z baldachimem, zarzucone niezliczonymi kocami i rozkosznie grubą kołdrą puchową. Pani B., wesola, lecz przepracowana gospodyni, włożyła pod pościel dwie butelki z gorącą wodą.

- Postaram się jeszcze znaleźć dla państwa jakiś grzejnik - obiecała.

Herbatę podano w bibliotece, gdzie, ku uldze Abby, z zimnem walczyły dzielnie grzejnik olejowy i ogień w kominku. Towarzystwo przywitało ją mile, ale po wstępnych grzecznościach Toby i przyjaciele pograżyli się w głośnej rozmowie tylko dla wtajemniczonych, pełnej plotek, aluzji i żartów, których Abby nie rozumiała. Przy takim obrocie sprawy poświęciła swoją uwagę rudemu kocurowi imieniem Asquith i bułeczkom domowego wypieku z konfiturą malinową. Po mniej więcej godzinie kobiety zaczęły wzdychać, że dobrze by było wziąć kąpiel przed kolacją. Guy oznajmił, że co prawda bojler grzeje się już od obiadu, ale nie wiadomo, czy dla wszystkich starczy ciepłej wody.

- Musicie kąpać się parami, dziewczęta - zachichotał. - Mogę się dołączyć, pozwolę wam pobawić się moją kaczuszką.

Chuda jak trzcina przybrzeżna, arogancka baba o imieniu Tara, z kośćmi policzkowymi, którymi mogłaby kroić papier, zaciągnęła się głęboko papierosem.

- Guy, kochanie, jesteś obrzydliwym zбочeńcem. Zawstydzasz biedną Abby.

Wywołana do odpowiedzi dziewczyna odparła, że wcale się nie wstydzi, i pomyślała, że kąpiel jej dobrze zrobi. Zrzuciła z kolan kota i wstała, by podążyć za resztą.

- Och, nie odchodź jeszcze, nie miałyśmy okazji pogadać - poprosiła ku jej zdumieniu Tara, która do tej pory zawzięcie plotkowała w kącie z równie arogancką psiapsiółką. Ta poszła do łazienki, a Abby posłusznie usiadła z powrotem na kanapie. Niestety, obrażony Asquith najeżył się i zniknął gdzieś w cieniu za oparciem. Arogantka usadowiła się na puchowej poduszce siedzenia, podwijając pod siebie niebotycznie długie nogi. Powiedziała, że czytała artykuł o Ładnych Kwiatkach i jest jak najbardziej pod wrażeniem. Jednak mimo komplementów, które następnie padły, Abby nie mogła oprzeć się wrażeniu, że kobieta ma nieczyste intencje, a jej zachwyty są jedynie środkiem do ukrytego celu. W trakcie rozmowy wydawało jej się, że Tara próbuje ją wy badać i znaleźć jakiś słaby punkt, do którego będzie mogła się przyczepić. „Czy ja popadam w paranoję?” - pytała sama siebie, zaniepokojona, że harpia przy wymianie zdań, która zamieniała się w przesłuchanie, wynajdzie jakiś dowód, że Abby nie pasuje do reszty towarzystwa. Próbowała zagadnąć kogoś trzeciego, żeby rozładować atmosferę, ale cała reszta, nie wyłączając Toby'ego, zachwycała się właśnie jakąś szesnastowieczną mapą hrabstwa Wessex, świeżym nabytkiem ojca Guya.

Wreszcie krwiożercze instynkty Tary naprowadziły ją na łakomy kąsek. Oczy niemal wyszły jej na wierzch z uciechy, kiedy florystka wspomniała, że pochodzi z Croydon.

- Ej tam, słuchajcie! Nigdy byście nie zgadli! Abby jest z Croydon, ale jaja! - zawołała na cały głos.

- Croydon? Nigdy o tym nie słyszałem. - Oświadczenie Guya zostało przyjęte ogólnym rozbawieniem.

Ofiarę złośliwych żartów zatkało. Nie tylko dlatego, że Tara okazała się taką glistą, ale że nikomu to nie przeszkadzało. Rozglądała się za Tobym, czekając, że stanie w jej obronie, ale zniknął - pewnie był w ubikacji. W końcu wysiliła się na zdawkowy uśmiech.

- Idę się wykapać - rzuciła do swojej prześladowczyni. - A potem przebiorę się do kolacji.

- Przebierzesz się? - Nie skojarzyła Tara.

- Tak jak wszyscy, czy nie?

- A, tak, tak... jakżeby inaczej.

Abby poszła na górę do sypialni z wykuszowym oknem i ścianami obitymi materiałem. Nie zastała Toby'ego, choć spodziewała się tam go znaleźć. Łazienka znajdowała się na korytarzu, kilka metrów dalej, i było w niej oczywiście lodowato. Co gorsza, zabrakło gorącej wody. Kilka osób kąpało się wcześniej i zużyło jej zapas. Ta cieknąca z kranu okazała się zaledwie

letnia. Kiedy Abby wróciła do pokoju, zauważyła, że pani B. dotrzymała słowa; stał w nim przenośny grzejnik. Dmuchał gorącym powietrzem, jednak przegrywał z przeciągiem wiejącym z nieszczelnego okna. Toby'ego nie było, ale najwyraźniej przebrał się, bo na łóżku leżała otwarta walizka, a na stoliku nocnym - golarka. Na pewno jest już na dole.

Dziewczyna nie spieszyła się; wysuszyła włosy i zrobiła staranny makijaż. Nie mogła zdecydować się, w co się ubrać, w końcu wybrała powiewną szaroniebieską jedwabną sukienkę. Na ramiona narzuciła paszminę w tym samym kolorze, modląc się, by podczas posiłku było ciepło. Kiedy znalazła się na dole, jadalnia okazała się pusta. Usłyszała z daleka pogłos rozmowy i idąc w tym kierunku, dotarła do kuchni. Weszła i zamarła. Goście siedzieli przy długim, wiejskim, stole, paląc i pijąc wino. Co więcej, mieli na sobie dzinsy i ciepłe swetry. Na jej widok wszyscy, z wyjątkiem Toby'ego, wybuchnęli śmiechem.

- Nikt nam nie powiedział, że pańcia Toby'ego nas opuszcza. Niech zgadnę: kolacja w La Caprice? - zarechotał Guy, wpatrując się bezczelnie w jej dekolt.

Poczuła, jak oblewa ją rumieniec - od czubka zmarzniętych palców u nóg aż po świeżo ułożoną fryzurę.

- Przepraszam, ale wydawało mi się... przecież powiedziałaś, że wszyscy się przebiorą - powiedziała z wyrzutem do Tary.

- No tak, ale miałam na myśli, że w coś cieplejszego.

Abby wiedziała, że ma do wyboru wrócić do sypialni i zalać się łzami albo zagryźć zęby i wytrzymać. Nie zdecydowała się jeszcze, co zrobić, kiedy Toby przybył z odsieczą.

- Daj spokój, Tara, nie możesz znaleźć sobie ofiary we własnej kategorii wagowej?

- Wyluzuj, przecież twoja narzeczona na pewno zna się na żartach, prawda, Abby?

Ta uśmiechnęła się blado i zdecydowała, że jeszcze się odwzięczy. Toby zdjął sweter i otulił nim jej ramiona.

Przy kolacji - genialnej wołowinie w piwie pani B. - w rozmowach królował temat rugby i polo. Faceci się upili. Kobiety wlały w siebie odrobinę mniej, ale za to w paleniu biły mężczyzn na głowę. Podobnie w plotkowaniu na temat nieznanych Abby osób.

- Wiecie co, ona miała chyba ze trzydziestu kochanków - ekscytowała się India, blond organizatorka przyjęć, mówiąc o nieobecnej przyjaciółce.

- Cieniara - zawyrokowała Tara - ja miałam chyba ze stu.

- Ojejciu - słodko zdziwiła się Abby - jeśli ci się poszczęści, może nawet nazwą twoim imieniem jakąś chorobę weneryczną!

Cały stół zatrzęsł się od śmiechu, a Abby, mimo tupetu, zarumieniła się w okamgnieniu. Dzięki tej drobnej zemście zdołała pokazać innym, że nie jest bezbronnym kobieciątkiem i potrafi się odciąć. Stopniowo, w trakcie weekendu, przyjaciele Toby'ego zaczęli się do niej przekonywać. Dla Abby to jednak okazało się za późno - znenawidziła ich co do jednego i miała ich sympatię w nosie.

Ku WIELKIEJ ULDZE ABBY Tara nie wybierała się do Feng Wei. Ktoś wypożyczył jej chatkę weekendową w Périgord, z czego skwapliwie skorzystała.

Ledwie wszyscy zdążyli przywitać się i zasiąść do stołu, mężczyźni zaczęli robić zakłady, który z nich wypije najwięcej szampana - ale tak, by być w stanie przejść kilka metrów prosto.

Guy wychodził na prowadzenie. Wydudlił połowę butelki moët, jakby to była cola, i jak zwykle, im więcej pił, tym bardziej robił się obleśny. Abby przestała liczyć, ile razy, by wezwać kelnera, pstrykał palcami z okrzykiem „Przewodniczący Mao, więcej bąbelków proszę”. Obsłudze widocznie było wszystko jedno, może dlatego, że mieli bardzo duży narzut na szampana. Abby wręcz przeciwnie. Kilkakrotnie nagabywała Toby'ego, by zwrócił uwagę przyjacielowi, jednak na próżno. Uznał, że jest przewrażliwiona i że się czepia.

Kiedy wreszcie Guy przejechał łapą po pośladkach kelnerki, nazywając ją małą chrupiącą krewetką, Abby nie wytrzymała. Powiedziała mu, żeby przestał zachowywać się bezczelnie i obrażać ludzi.

- Ona ma rację, stary. Na dzisiaj wystarczy - poparł ją narzeczony.

Kumpel zupełnie ich zignorował. Beztrosko ciągnął kawał: co to jest? Czarne, na jednej nodze, na pustyni? Murzyn stoi na jednej nodze. A czarne, na dwóch nogach, na pustyni? Dwóch Murzynów. A czarne, na trzech nogach, na pustyni? Fortepian. Toby przewrócił oczami, podczas gdy reszta facetów zarechotała z zadowoleniem. Któryś głośno beknął.

- Dobra, a to znacie? Po czym poznasz, że dziewczyna ci zmarła?

- Nie znamy. No, po czym?

- Seks jest bez zmian, tylko w zlewie piętrzą się gary.

Abby spojrzała na narzeczonego, który zrobił zażenowaną minę. Tym razem kobiety zareagowały, tyle że wyrozumiałym: „I co tu z takimi począć?”.

- Jezu, ohydny z ciebie szowinista - odezwała się blondynka o końskiej twarzy i imieniu Santa, którą Guy najwyraźniej poderwał poprzedniego wieczoru w Met Bar.

- Oho! Głupia blondyna, a potrafi używać słów, które mają więcej niż dwie sylaby. Cud natury!

- Aha, tylko że ja nie jestem głupia - Santa przerwała dla lepszego efektu - i wcale nie mam blond włosów!

- A jak nazywa się bystra blondynka? - Guy nie dawał za wygraną. - Nie wiecie? Golden retriever.

Toby tłumaczył Abby, że nie powinna sądzić jego kumpli po pozorach, że za pajacowatą fasadą kryje się złote serce. Abby jakoś nie chciało się w to wierzyć.

Teraz rozpoczęła się seria kawałów o blondynkach. Dlaczego chesz się w koński ogon? Żeby zakryć zawór powietrza. Ile dup ma blondynka? Cztery, bo nawalona jest w trzy.

Abby nie czuła się już zdegustowana, lecz znudzona, do momentu, kiedy ku ogromnej uldze ujrzała w drzwiach Martina i Sophie. Podeszła, by ich przywitać, i poczekała, aż oddadzą okrycia do szatni. Okazało się, że Lamar przyjdzie, jak tylko uda się mu zaparkować samochód.

W chwilę później do restauracji wszedł wysoki, przystojny mężczyzna w dżinsach, adidasach i rdzawym kaszmirowym swetrze, który tworzył doskonały kontrast w zestawieniu z ciemną skórą. Lamar wyglądał dokładnie tak, jak opisała to Sophie - był zniewalającym skrzyżowaniem Wesleya Snipesa i Davida Duchovny'ego.

- Cześć, Abby - mrugnął, ujmując jej dłoń. - Tak się cieszę, że wreszcie się spotykamy. Sophie w kółko o tobie opowiada. Ostatnio opisała mi twoją przygodę w windzie w Covent Garden. Najadłaś się strachu?

No nie, nie tylko wygląd ma w porządku, ale i umiał się znaleźć. „Nic dziwnego, że Sophie tak wzięło” - pomyślała, a na głos odpowiedziała:

- Rzeczywiście, ale wyobraź sobie, że pozbyłam się klaustrofobii. Dziś znowu jechałam windą i nic, wcale się nie bałam.

- Żartujesz? - wtrąciła się Sophie. - To świetnie, musimy za to wypić. Znając koleżków Toby'ego, zdążyli wlać już w siebie wannę szampana?

- A czy Elton John nosi tupecik? - zapytała z uśmiechem Abby.

- Wydaje mi się, że już nie. Z tego co wiem, jakiś czas temu zafundował sobie jakiś high-tech przeszczep.

Abby, prowadząc przyjaciół ku stolikom zajmowanym przez paczkę, ostrzegła, że atmosfera zrobiła się nieciekawa.

- Ojej, nie mów. - Przyjaciółka poznała znajomych Toby'ego i wiedziała, do czego są zdolni.

Martinowi udało się wyszeptać szefowej do ucha, że Lamar jest boski i on, Martin, zielenieje z zazdrości. Gdzie tu sprawiedliwość, że takie ciacha zawsze muszą mieć dziewczynę?

Abby przedstawiła przyjaciół, przyniesiono dodatkowe krzesła i zamówiono więcej szampana. Stokrota dosiadł się do grupy sloaneyowskich kobiet i natychmiast zaczął z nimi rozmawiać. Florystka odniosła wrażenie, że jego homometr ostrzegł go natychmiast o możliwym zagrożeniu z męskiego obozu i dlatego chłopak wołał poszukać schronienia w damskim.

Sophie przeglądała kartę i zastanawiała się, czy może ten jeden jedyny raz przerwać dietę i zamówić smażoną wołowinę z chili. Abby w tym czasie wypytywała Lamara o problemy związane ze sztucznym dokarmianiem niemowląt.

- W zachodniej cywilizacji to nie problem, ludzie wiedzą, że butelki muszą być wysterylizowane, a woda przegotowana, ale w krajach Trzeciego Świata z powodu brudnej wody niemowlęta umierają każdego dnia.

Okazało się, że Lamar nie tylko prowadzi badania i angażuje się w akcję propagowania karmienia piersią w krajach Afryki, ale ostatnio poświęcił cały tydzień bezinteresownej pracy w szpitalu dla bezdomnych dzieci Great Ormond Street Hospital. Wyobraziła sobie, jak przechadza się po oddziale, zagadując do maluchów, żartuje, stroi miny i wkłada mnóstwo wysiłku, aby zdobyć ich zaufanie. W trakcie rozmowy wspomniał o własnym dzieciństwie, które nie było idyllą.

- Mnóstwo Żydów nie chciało mieć ze mną do czynienia, bo byłem Murzynem, a wśród Murzynów także uchodziłem za obcego jako Mulat. Przez całe lata nie mogłem odnaleźć własnego miejsca.

- Boże, to musiało być straszne.

- Jest takie przysłowie: co cię nie zabije, to cię wzmocni, i muszę przyznać, że po tej zaprawie użeranie się z białym establishmentem medycznym klasy średniej to bułka z masłem.

Abby pomyślała, że ten wyciszony, skłonny do refleksji człowiek jest idealnym partnerem dla narwanej, neurotycznej Sophie, lecz jej zadumę przerwał Guy.

- No, jak myślicie, lepiej być czarnym czy pedałem?

Abby poczuła, jak przechodzi ją dreszcz, cała skurczyła się w sobie i poszukała wzroku przyjaciółki.

- Na litość boską... - syknął Toby.

- Och, cicho, stary, taka z ciebie stara baba. Odpowiadam: lepiej być czarnym, bo przynajmniej nie musisz mówić rodzicom.

Trzeba przyznać, że Martin i Lamar zaśmiali się z żartu.

- No więc, doktorku - ciągnął rozochocony Guy - wierzysz we wszechmocnego Stwórcę czy uważasz, że pochodzimy, a przynajmniej niektórzy z nas, od małpy?

- Wystarczy, stary - mitygował go Toby, lecz pozbawiony hamulców mężczyzna zignorował przyjaciela i złapał za nadgarstek przechodzącą kelnerkę:

- Ej, skarbie, może wpadniesz do mnie dziś wieczorem?

Santa, która z nim przyszła, już miała zaprotestować, kiedy przyszedł jej z odsieczą Lamar:

- A zmieścicie się we dwójkę w twojej jaskini?

Jego pytanie zmroziło do końca atmosferę przy stole. Zapadła cisza, którą przerwała Sophie - zawsze musiała wtrącić swoje trzy grosze:

- Guy, jesteś zalanym, beznadziejnym ignorantem. Niech ci jaja uschną!

Parę osób zachichotało, a bynajmniej nieonieśmielony adresat ataku oznajmił, że musi iść do kibla, bo będzie rzygał. Po jego wyjściu Abby, chcąc poprawić atmosferę, spytała, czy ktoś chce zobaczyć jej pierścionek zaręczynowy.

- Nie mów! - wykrzyknęła Sophie. - Więc Toby nareszcie ci go dał! Myślałam, że nigdy się na to nie zdobędzie. Pokaż!

Dziewczyna wyciągnęła lewą rękę, a kobiety wykonały kilka przepisowych ochów i achów. Mężczyźni, natychmiast znudzeni tematem, powrócili do pijackiego paplania. Martin grzecznie zagadnął Lamara o tajemnice refluksu gastrycznego, na który od czasu do czasu się uskarża.

- Ale kalafior - zachwyciła się jej przyjaciółka, upewniwszy się, że nie ma na brylancie żadnych zmeńnięć. - Ile karatów?

- Nie wiem.

- Jak to: nie wiem? Musisz wiedzieć ze względu na ubezpieczenie, no i na wypadek rozwodu. Jeśli będziecie przeprowadzać podział majątku, przyda się informacja, na ile go wycenić.

Kobiety przy stole zaśmiały się i zgodziły z Sophie.

- Dzięki. Miło, że już mnie rozwodzisz, choć nawet nie wyszłam za mąż.

- Co tam - dobiegło ją z tyłu.

Stał za nią Guy, chwiejąc się na nogach. Dla utrzymania równowagi oparł się ręką o stół.

- Ani mi się waż skrzywdzić mojego ukochanego przyjaciela jak ta krowa Claudia.

Toby nigdy nie krył szczegółów związku ze swoją eks; między innymi twierdził, że to on zerwał.

- Jak tylko ją zaobrączkował, ta wystawiła go do wiatru. Torba.

Abby zmarszczyła brwi. Wymieniły z Sophie spojrzenia. „Toby był zaręczony?” - wypowiedziała w jej kierunku bezgłośnie.

- Nie, Guyowi coś się pomyliło. Chłopie, jesteś pijany, Toby i Claudia nie byli narzeczonymi.

- A właśnie, że tak. - Czknął i zapytał podniesionym głosem: - Ej ludzie, powiedzcie jej, bo nie wierzy. Prawda, że Toby i Claudia byli zaręczeni?

Wymiana spojrzeń. Cisza. Wreszcie jedna z blond dziewczyn wykrztusiła, że rzeczywiście, coś jej się przypomina, ale to trwało najwyżej jakieś pięć minut. Guy wrócił na miejsce i zamówił dodatkową porcję żeberek. Abby dostała wypieków.

- To upokarzające - szepnęła do Sophie i poczuła nadchodzącą złość. Chyba było to po niej widać, bo przyjaciółka spróbowała ją uspokoić.

- Panuję nad sobą - zapewniała - muszę tylko dorwać Toby'ego. Dlaczego mi, do cholery, nie powiedział, że był wcześniej zaręczony? Guzik by mnie to obeszło, chciałabym jednak wiedzieć.

- Musicie pogadać. - Sophie poklepała ją po ramieniu. Abby skinęła głową i jak tylko narzeczony wrócił z toalety, poprosiła, żeby już poszli do domu. Było wpół do dwunastej, kilka osób wcześniej się pożegnało, więc Toby nie wyraził sprzeciwu. Wyszli z restauracji i skierowali się do samochodu. Dziewczyna uparła się, że poprowadzi, bo ukochany za dużo wypił, a ona specjalnie przetrwała wieczór na dietetycznej coli. Nie protestował.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi, że byliście z Claudią zaręczeni? - spytała, przekręcając kluczyk w stacyjce.

- Skąd o tym wiesz? - zdziwił się.

- Od Guya. Kiedy byłeś w ubikacji, przyczepił się, to znaczy ostrzegł mnie - lojalny przyjaciel, prawda? - żebym nie ważyła się ciebie porzucić, tak jak to zrobiła Claudia.

- Słuchaj, to trwało tylko dwa tygodnie. Potem ze mną zerwała. Nie mówiłem ci, bo nie wydało mi się to ważne.

- Mam to gdzieś, jak długo byliście zaręczeni. Byliście i już. I czemu mi nie powiedziałeś, że to ona zerwała?

- Nie wiem. Męska duma? Nikt nie chce się przyznać, że został splawiony.

- Mnie przecież mogłeś powiedzieć, nie myślałabym o tobie źle ani nie wydałbyś mi się mniej atrakcyjny. A jak ci się zdaje, co czułam, kiedy usłyszałam to od twoich znajomych? Wszyscy wiedzieli o zaręczynach, tylko ja jedna nie?

- Przepraszam, musiało ci być głupio.

- Głupio? Tylko tyle? Guy mnie upokorzył. Jak to możliwe, żeby on i twoi kumple wiedzieli o tobie tak osobiste rzeczy, a ja nie?

- Abby, bardzo, bardzo, ale to bardzo przepraszam. Postąpiłem bezmyślnie i jestem wściekły na Guya, że ci o tym wypaplał, ale czy możemy się teraz pogodzić? Claudia to przeszłość.

A my mamy przed sobą całą przyszłość, o niej powinniśmy myśleć. - Położył jej rękę na udzie. - Proszę.

- Niech ci będzie - zgodziła się niechętnie. - Ale dalej jestem wściekła. Nie chodzi tylko o Claudię... Tobi, dlaczego zadajesz się z Guyem i z całą tą bandą idiotów? Zachowywali się dziś obrzydliwie.

- Masz rację, próbowałem powstrzymać te chamskie odzywki...

- Słyszałam, i twój koleżka nazwał cię starą babą.

- Wszystko traktujesz tak poważnie. Wypił za dużo, tak jak i reszta. Nie wiedzieli, co mówią. Może tego nie dostrzegasz, ale to świetni faceci. Guy jest taki lojalny, pamiętam, kiedyś w szkole graliśmy w rugby, a jeden chłopak tak mnie sfaulował, że o mało co nie zламаłem nogi. Guy wieczorem na sali stłukł go na kwaśne jabłko.

- Jakoś mnie to nie dziwi. Wiesz co, pijany czy nie, Guy to brutalny, seksistowski drań. Wolalabym, żebyś się z nim nie zadawał.

- Tak, psze pani.

- Wiem, że robię z siebie idiotkę, przepraszam. Ale takie jest moje zdanie, nic na to nie poradzę.

- Jeśli nie chcesz się z nimi spotykać, nie musisz, ale to moi przyjaciele. Potrafią przesa-
dzić, przyznaję, ale jak mówiłem, to dobre chłopaki i nie mam zamiaru zrywać z nimi znajo-
mości dlatego, że masz fomy w nosie.

- Świetnie. - Wzruszyła ramionami.

Przez minutę czy dwie nie odzywali się do siebie. Dziwne. Czowała taką przepaść między
sobą a narzeczonym, jakiej nie było między nimi do tej pory. Przestraszyła się.

- A, byłbym zapomniał. Nie dałem ci wczoraj wieczorem pudełka na pierścionek. Nie
wiem, czy ci się przyda, ale jest bardzo ładne. Może kiedyś uzyskać wartość kolekcjonerską.
Chcesz zobaczyć? Wyjmę ze schowka.

Pochylił się i otworzył klapę wyłożoną orzechowym fornirem.

- Pokaż! - zawołała, kiedy zatrzymali się na czerwonym. Rozwiązał rzemyki zamszowej
sakiewki i wyjął inkrustowane półszlachetnymi kamieniami pudełeczko.

- Toby, jakie śliczne! Oczywiście, że chcę je mieć! Dlaczego nie dałeś mi go wczoraj w
restauracji?

Odparł, że miał taki zamiar, ale po namyśle uznał, że bardziej spektakularne będzie
wsunięcie pierścionka na palec. Abby otworzyła wieczko i przeciągnęła palcem po marszczonej
satynowej wyściółce. Przy świetle latarni udało jej się przeczytać nazwę firmy: Moyse Coote.
To ekskluzywny jubiler z Knightsbridge. Poniżej logo znajdowało się wytłoczone złote
serduszko. Wewnątrz: inicjały. Małeńkie, trudno je było przeczytać. Nagle poczuła znajomy
skurcz w brzuchu.

- Toby, czy możesz włączyć światło? Chciałabym się czemuś przyjrzeć.

- Abby, co ty wyprawiasz? Zaraz będzie zielone.

- Proszę, zrób, co mówię.

Nacisnął włącznik, a sekundę później światło rzeczywiście zmieniło się na zielone.
Oddała pudełeczko narzeczonemu i ruszyła.

- To nie są nasze inicjały.

- Co ty mówisz? Nic nie wiem o żadnych inicjałach.

- Wewnątrz, na wieczku, widnieje serce z inicjałami, tyle że to nie nasze.

- Chyba nigdy się nie przyjrzałem - otworzył puzderko.

- Zrób to teraz. Nasze inicjały to A i T. A te: C i T.

- Och, wielkie rzeczy. Jubiler pomylił pudełka.

- No pewnie! Tobie, na litość boską! Bierzesz mnie za idiotkę? - Odwróciła się i spojrzała mu w oczy. Jego twarz była blada ze strachu. Poczowała, jak bezwiednie zaciska palce na kierownicy.

- Popraw mnie, jeśli się mylę, ale zakładam, że po zerwaniu Claudia zwróciła ci pierścionek, a ty go przyjąłeś. Zgadza się?

Nie odpowiedział.

- Zgadza się? - powtórzyła głośniej.

- A gdyby nawet, to co?

- A to, że dałeś mi go wczoraj wieczorem.

- Zrozum. Jeślibym go sprzedał, dostałbym tylko ułamek wartości. A po drugie to naprawdę przepiękny pierścionek.

Po twarzy Abby spływały łzy.

- Tobie, jak mogłeś mi dać używany pierścionek? Zatrzymała się na pustym przystanku i zaciągnęła hamulec. Zsunęła diament z palca.

- Weź go sobie.

- Ale Claudia prawie go nie nosiła. Rany boskie, byliśmy zaręczeni przez dwanaście cholernych dni! Włóż go z powrotem, tak cię proszę.

- Nie chcę.

Wzruszył ramionami i wsunął pierścionek do kieszeni.

- Jesteśmy zaręczeni - wychlipała - to ma chyba oznaczać, że się kochamy?

- Oczywiście, że się kochamy.

- Aha? I dlatego pozwalasz mi zbierać resztki po innej?

- To pierścionek za piętnaście tysięcy funtów, a nie żadne resztki!

- Tobie, nie chodzi o cenę! Cieszyłabym się i z taniego pierścionka, jeżeli wybrałbyś go specjalnie z myślą o mnie, z miłością, tylko i wyłącznie dla mnie.

Cisza. Wreszcie Abby nie wytrzymała i spytała, dlaczego Claudia z nim zerwała.

- Co to ma do rzeczy?

- Po prostu chciałam wiedzieć. Do tej pory wspomniłeś tylko, że wam nie wyszło.

- Bo nie wyszło.

- Co nie wyszło?

- Tak ogólnie.

- W łóżku?

- Nie twój interes - wysyczał.

- Jasne, że nie mój, tylko twój. I co, nie stawał ci?

Spojrzała mu w twarz. Był zły, gotował się z powstrzymywanej wściekłości.

- OK, rozmowa skończona.

Otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale ją uciszył.

- Słyszałaś, co powiedziałem?

- Słyszałam.

Był tak poruszony, że postanowiła bardziej go nie prowokować. Siedział przez chwilę bez słowa.

- Wiesz, co myślę?

- Co takiego?

- Że kłamiesz, mówiąc, że nie chcesz kosztownego pierścionka. Że jesteś zepsutą egoistką. Wiesz, że mam pieniądze, i chcesz, bym kupił ci twój własny diament za piętnaście patoli.

- W takim razie nie znasz mnie - odpowiedziała cichym głosem. - Nie znasz mnie. Wcale a wcale.

ZANIM SIĘ ZORIENTOWAŁA, stała we łzach na chodniku. Zamachała na taksówkę. Dopiero kiedy auto zwolniło, zdała sobie sprawę, ile Toby wypił i że za żadne skarby nie powinien prowadzić. Próbowała biec za samochodem, ale na próżno. Mercedes ruszył z piskiem opon.

Poczuła się winna, ale bez przesady. Była zdenerwowana. Kiedy znalazła się w domu, weszła do kuchni nalać sobie kieliszek wina. Potrzebowała czegoś na uspokojenie. Nie zwracając uwagi na późną porę, wystukała numer Sophie. Przez dłuższą chwilę nie odbierała; Abby pomyślała, że może nie ma jej jeszcze w domu, ale wkrótce przyjaciółka podniosła słuchawkę. W tle rozległy się jakieś śmiechy i posapywania.

- Cześć, to ja. Przeszkadzam? Ojej, na pewno przeszkadzam, właśnie wam przerwałam...? - zapytała zażenowana.

- Fakt, ale jeszcze nie przekroczyliśmy granicy, zza której nie ma powrotu... Co słyszać? Bo jeśli dzwonisz, żeby przeprosić za zachowanie Guya, to ja nie chcę tego słyszeć, bo nie ma w tym ani grama twojej winy.

- Nie, chodzi o coś innego. A swoją drogą, obwieściłam Toby'emu, że Guy to skończony palant i nie mam zamiaru więcej go oglądać.

- I słusznie. Ale powiedz, po co dzwonicz? Wszystko gra?

- Wręcz przeciwnie. - Upiła łyk wina. - Powiedz mi, ale szczerze, czy mylisz, że jestem zepsutą egoistką?

- Oczywiście, że nie. Ze wszystkich znanych mi osób jesteś najmniej rozkapryszona i samolubna. Powiedz wreszcie, o co chodzi.

Abby zdała relację z kłótni z Tobym.

- Co? Dał ci pierścionek Claudii? Nie mogę w to uwierzyć! Nikt nie byłby zdolny wyciąć takiego numeru. Żartujesz, prawda?

- Niestety. A potem zarzucił mi, że jestem skończoną egoistką, bo zachciewa mi się diamentu na wyłączność.

- Czy ja się nie przesłyszałam? - zapytała Sophie, pieniać się ze złości. - Jak mógł być tak okrutny? I co, do cholery, zamierzasz zrobić?

- Skończę z nim. Przynajmniej teraz mi się tak wydaje.

- Wcale ci się nie dziwię... Chcesz, żebym do ciebie wpadła? Przyniosę jakiś film, może zdołasz się jakoś uspokoić?

- Nie, przecież jest u ciebie Lamar. Poradzę sobie, dzięki.

- Na pewno?

- Jasne - odpowiedziała, bawiąc się okruchami na kuchennym blacie. - Sophie... czy wydaje ci się, że Toby mógłby być gejem? - Milczenie gadatliwej zazwyczaj przyjaciółki okazało się bardziej wymowne niż słowa. - Rozmawialiśmy o tym nie raz i zawsze kategorycznie zaprzeczała. Teraz sama nie wiem, komu i w co wierzyć. Wygląda na to, że Claudia zerwała z nim, bo mieli problemy w łóżku.

- Och, Abby... co mam odpowiedzieć?

- To znaczy, że twoim zdaniem jest.

- Że kto jest?

- Nie kto, tylko czym. Homo.

- Mmm, dyskutowaliśmy z Martinem o takiej możliwości.

- Ładne rzeczy! Obgadywaliście mnie za plecami!

- Nie obgadywaliśmy, tylko dyskutowaliśmy. Nie o tobie, tylko o takiej ewentualności.

Zależy nam na tobie i życzymy ci jak najlepiej.

- Ale jesteś przecież moją najlepszą przyjaciółką! Znamy się całe wieki, myślałam, że nie mamy przed sobą tajemnic; nie mogłaś powiedzieć mi wprost?

- Mogłam, ale się bałam. Stchórzyłam, bo nie chciałam cię zdenerwować ani zaryzykować naszej przyjaźni. I poza tym uważam, że orientacja seksualna Toby'ego i jego związek z tobą to nie mój zakichany interes.

- Stokrota myśli inaczej.

- Wiem, i w tym punkcie się różnimy. Zadzwoił do mnie, aby powiedzieć, że wywalił, co sądzi o tej sprawie, kawę na ławę i niezbyt ci się to spodobało.

- A co, myślałaś, że zacznę klaskać z radości?

- Posłuchaj - zaczęła łagodnym tonem Sophie, zaczerpnąwszy głęboko powietrza - nic nie myślałam. Dlaczego? Bo w tym przypadku nikt za ciebie nic nie wymyśli. Sama musisz zdecydować, a raczej do spółki z Tobym, czy nadal będziecie razem, czy nie. Ja mogę najwyżej myśleć, jak cię wspierać niezależnie od tego, co postanowisz.

- Dzięki, Sophie. To wiele dla mnie znaczy. I bardzo się cieszę, że odebrałaś telefon i wytrzymałaś moje gładzenie. Przepróż ode mnie Lamara, że zepsułam wam zabawę.

Abby odłożyła słuchawkę, a jej wzrok powędrował ku wazonowi z białymi tulipanami na kuchennym stole. Łodygi wydłużyły się, wygięły, kielichy rozwinęły. Płatki były półprzezroczyste i błyszczące, niczym nawoskowane. Dwa z nich opadły. Kiedy indziej wyrzuciłaby po prostu wiązanek do śmieci, dziś jednak wędnące kwiaty współgrały z jej melancholijnym nastrojem. Patrzyła na nie, a łzy powoli napływały jej do oczu. Kontemplację przerwał nieoczekiwany dzwonek telefonu. Spojrzała na kuchenny zegar - było po pierwszej. Jeśli ktoś dzwonił tak późno, spodziewała się najgorszego. Nagła choroba? Wypadek?

Zaczęła się trząść ze strachu. Toby? Boże, tylko nie to. Rozbił samochód i pewnie dzwonią ze szpitala, że jest na intensywnej terapii i walczy o życie. Albo coś jeszcze gorszego. Chwyciła za słuchawkę.

- Halo, Abby, to ty? - dobiegł do niej dźwięczny głos Jean. - Tu mama.

Jeszcze nigdy jej śpiewny, znajomy ton tak nie ucieszył dziewczyny.

- Mamo! To ty, co za szczęście! Zawsze umieram ze strachu, gdy telefon dzwoni tak późno.

Nagle niepokój o Toby'ego zamienił się w niepokój o rodziców - że któreś z nich się rozchorowało, dopadł ich tyfus albo coś równie okropnego. Zrobiło jej się zimno.

- Mów, co z wami? Co z tatą?

- Ależ uspokój się, oboje czujemy się dobrze. To tylko ten telefon... dzwonię o tej porze, bo mamy problemy z połączeniem satelitarnym, a chciałam cię uprzedzić, że zaszły tu pewne wypadki... lepiej, gdy dowiesz się ode mnie, a nie z gazet.

- Jak to: z gazet? Co się stało?

- Nic, nic takiego... widzisz, kanalizacja wciąż nawala. Jej stan pogorszył się jeszcze, dolne pokłady zalane są nieczystościami i brudną wodą. Kapitan nie robi nic, odmawia jakiegokolwiek pomocy. Skontaktowaliśmy się z organizatorami rejsu, domagamy się zwrotu pieniędzy i odszkodowania. Zgodzili się przerwać wycieczkę, zawieźć nas z powrotem do domu i oddać wpłaty, ale o żadnym odszkodowaniu nie ma mowy.

- Bezmózgowcy! Nigdy nie uda im się wywinąć.

- Wiem, ale sprawa w sądzie może ciągnąć się latami, poza tym wpadłam na świetny pomysł - namówiłam pasażerów, żebyśmy rozpoczęli strajk okupacyjny.

- Co takiego?

- Strajk okupacyjny. No wiesz, jak studenci w latach sześćdziesiątych.

- Dalej nie bardzo rozumiem...

- Jak to nie? Posłuchaj: statek zawrócił i płynie do Argentyny. Kiedy zacumuje w Buenos Aires, odmówimy wyjścia na ląd, jeżeli organizatorzy nie przyrzekną nam odszkodowania.

- Och, jak sprytnie! Chcesz powiedzieć, że wszyscy jak jeden mąż odmówicie zejścia ze statku i dalej będziecie siedzieć w tym gnoju, aż pochorujecie się na amen, a wszystko po to, by dostać parę funtów?

- Nie parę, nie parę, lecz parę tysięcy, a zresztą chodzi o zasadę. Ci ludzie wzięli od nas pieniądze i wysłali nas na wycieczkę, nie sprawdzwszy nawet, czy statek nadaje się do żeglugi. Do tego wypierają się, jakoby mieli zobowiązania wobec swoich klientów. To niedopuszczalne, nie ujdzie im to na sucho.

- A ten protest to naprawdę twój pomysł? - spytała córka z niedowierzaniem.

- Mój. Nie wiem, co mi strzeliło do głowy. Jeszcze nigdy w życiu nie byłam taka wściekła. Czułam, jak narasta we mnie gorąca, dzika furia, której nie potrafię ugasić w żaden sposób. Jedyne, co mogłam zrobić, to stanąć do walki.

Abby nie dowierzała własnym uszom. To mówi Jean, potulny króliczek, który zawsze kładł uszy po sobie i nigdy się nie złościł? „Gorąca, dzika furia”? Niesłychane. Nie do wiary. Królik zamienił się w króla zwierząt?

- Wszyscy szykujemy transparenty z prześcieradeł, na wypadek, gdyby pokazano nas w telewizji.

- W jakiej telewizji?

- W jakiej, w jakiej. A w BBC. Zadzwoiłam do nich i do gazet, bo myślę, że możemy zrobić z tego wielką aferę. Zadokujemy w Buenos Aires na parę dni, więc uważaj: wypatruj mnie w wiadomościach.

W tej chwili do telefonu dorwał się Hugh.

- Cześć, żabko, co tam po drugiej stronie przewodu - wszystko gra?

Abby zapewniła go, że jak najbardziej.

- Chciałem tylko powiedzieć, żebyś się o nas nie martwiła. Nie poznałabyś teraz własnej mamy, w życiu bym nie przypuszczał, że może obudzić się w niej taki duch walki, gdybyś tylko mogła usłyszeć, jak dowodzi pułkiem. Widocznie nie docenialiśmy jej i odziedziczyła więcej z charakteru dziadka Enocha, niż się to komukolwiek śniło.

- Kto wie? - Dziewczyna wolała myśleć, że to nie geny starego despoty, lecz długo powstrzymywany bunt przeciwko niemu dodały Jean odwagi.

- Kilkoro z pasażerów dostało biegunki - mama z powrotem znalazła się przy telefonie - ale się nie poddamy. Nie pozwolimy, by firma traktowała nas w taki sposób. Czas, by szary obywatel - to znaczy my - pokazał tym krwiopijcom, że nie da - to znaczy nie damy - się wykorzystywać i zastraszać. Niech moc będzie z nami! - oto moje hasło. Nasz los musi się odmienić. I wiesz co, Abby, miałam sen...

Dziewczyna nie mogła się powstrzymać i wybuchnęła śmiechem.

- W porządku, mamó, razem z tatą zetrzyjcie ich na miazgę, ale obiecaj mi jedno: że będziecie na siebie uważać i że nie pochorujecie się na tym waszym statku. - Cisza. - Mamó!

Telefon milczał.

RANO, KIEDY ABBY otworzyła oczy, natychmiast przypomniały jej się wydarzenia poprzedniego wieczoru i aby nie pogrążyć się w smutku, włączyła radio. Kto wie, może bunt na Bantry okaże się dobrym materiałem dla mediów? Wsłuchiwała się w streszczenie najświeższych wiadomości o ósmej, ale niczego na temat statku nie usłyszała. Zapewne dziennikarze czekają, aż zacumuje, a protest rozpocznie się na dobre.

Kiedy wracała spod prysznicza, zadzwonił telefon.

- Abby, musimy porozmawiać - głos Toby'ego w słuchawce wydawał się pełen niepokoju
- popełniłem straszny błąd, dając ci cudzy pierścionek, i nie potrafię wypowiedzieć, jak bardzo jest mi przykro. Zachowałem się skandalicznie, gruboskórnie i bezmyślnie.

- W tej kwestii się z tobą zgadzam.

- Naprawdę musimy się spotkać i pogadać.

- Chyba masz rację - odpowiedziała po chwili zastanowienia. - Powinniśmy porozmawiać.

- Koniecznie. Sęk w tym, że po południu lecę do Nowego Jorku. Muszę. Beze mnie posypie się ważny kontrakt. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, wrócę w piątek, wtedy porozmawiamy, OK?

- Aha.

- To pa. Kocham cię.

Abby wymownie milczała.

- Abby? Powiedz, że też mnie kochasz, no proszę... Nie chcę wyjeżdżać, nie usłyszawszy tego.

Jej usta próbowały wypowiedzieć żądane słowa, ale nie były w stanie. Pomyślała, jakby się czuła na wieść, że samolot Toby'ego rozbił się, a on zginął, przekonany, że narzeczona go nie kochała.

- Też cię kocham. - Usłyszała swój głos, lecz za tą kwestią nie kryło się nic. Abby czuła się pusta i wypalona w środku.

O WPÓŁ DO DZIESIĄTEJ do kwaciarni wpadła Sophie. Było jej po drodze, jako że co czwartą sobotę chodziła na strzyżenie i modelowanie do salonu Tony and Guy, który znajdował się tuż za rogiem. Kilka minut przed nią przyszedł do pracy Martin.

- Nie mogę zapomnieć tego, co zrobił Toby. Co on sobie myśli? - spytała, uściskawszy przyjaciółkę.

Ponieważ Stokrota popatrzył na nie z wyrazem twarzy wskazującym, że nic nie rozumie, wyjaśniła mu, co zaszło wieczorem.

- No w życiu, nabieracie mnie, to niemożliwe! Dał jej pierścionek po poprzedniej narzeczonej? Chyba żartujecie...

- Niestety, Sophie mówi prawdę. A co gorsza, okazało się, że Claudia, jego była, zerwała z nim, bo nie chciał z nią sypiać - wyjaśniła Abby, udając, że nie widzi znaczących spojrzeń,

jakie wymienili między sobą jej przyjaciele. - Wygląda na to, że musimy zaliczyć z Tobym nieprzyjemną rozmowę. Sophie w milczeniu uściśniła jej dłoń.

- Pomyśleć, że zawsze go lubiłem - rozżalił się Martin - ale teraz najchętniej złapałbym go za jeden z tych krawacików Versace i mocno przydusił.

- Dzięki. To dobra myśl. - Abby zdobyła się na uśmiech. - A teraz błagam, zmieńmy temat, bo od tej historii z Tobym robi mi się niedobrze, jeszcze chwila, a się rozkleję albo chlapnę coś głupiego.

Przez chwilę nie wiedzieli, o czym rozmawiać. Sophie próbowała przełamać niezręczną ciszę, pytając o Jean i Hugh, a przyjaciółka ucieszyła się, że może zasypać rozmówców nowinami. Opowiedziała o planowanym strajku okupacyjnym i nie przeliczyła się co do efektu, jaki zrobiła na Sophie, znającej rodziców od lat.

- Niech skonam! Twoi rodzice, ta para wzorowych obywateli! Brawo! Najwyższy czas, by ludzie się zbuntowali i utarli nosa tym krwiopijcom.

- Tylko mam nadzieję, że przy okazji nikt nie rozkwasi im własnych - zatroszczyła się Abby, a Martin, najwyraźniej bezmyślnie, dodał, że widział w zeszłym tygodniu program o tyfusie i cholercie - ich zarazki zajeżdżą szybko się rozprzestrzeniają.

- Dziękuję, że nas oświeciłeś - podsumowała ironicznie swojego pracownika, po czym nikt nie ośmielił się poruszyć na nowo tematu. Po chwili milczenia na odwagę zebrała się Sophie:

- Skoro i tak jesteśmy zdołowani, proponuję przewalkować moje życie uczuciowe.

- Rany boskie, nie mów tylko, że coś się popsło między tobą a Lamarem, kiedy właśnie go polubiłam - przestraszyła się Abby.

- Wyluzuj. Nie pokłóciliśmy się, chodzi mi o reakcję rodziców. Wczoraj zadzwoniła do mnie mama i doszła do wniosku, że skoro ostatnio jestem w dobrym humorze, to na pewno kogoś mam. Ja się nieopatrznie przyznałam i teraz razem z tatą upierają się, żebym przyprowadziła mojego nowego chłopaka na kolację. Nie wiem, co robić.

Ostatnie zdanie było tak nietypowe dla pewnej siebie (z wyjątkiem kwestii własnej figury) Sophie, że Abby zaniemówiła. Mogłaby policzyć na palcach, ile razy przyjaciółka, w ciągu wieloletniej znajomości, skończyła wypowiedź zdaniem: „Nie wiem, co robić”.

- Jak to co? - zdziwił się Martin. - Zaproś go jak najprędzej. Na widok przystojnego żydowskiego doktora, który ci się trafił, rodzice podskoczą z radości. Gdzie tu problem?

- Przystojnego żydowskiego czarnego doktora - uzupełniła zainteresowana.

- Daj spokój, rodzice musieli się domyślić, że jest czarny, ilu białych nosi imię Lamar?

- Wyjaśniłam im, że to z hebrajskiego i że oznacza „aptekarz”. Pewnie, śmiejecie się, ciekawa jestem, czy sami wpadlibyście na coś lepszego. - Sophie naburmuszyła się jak ośmioletka.

- Nie do wiary, że to łyknęli - śmiała się niezrażona Abby.

- To było łatwe: nie znają hebrajskiego, a ja wmówiłam im, że Lamar rymuje się z modlitwą *Shema*.

- Sophie, po co te podchody? Dlaczego nie powiedziałaś im po prostu, że jest czarny? Znam twoich rodziców, twój tata nieraz powtarzał, że nienawidzi wszelkich przejawów rasizmu. Opowiadał, że przed wojną twój dziadek zwalczał na East Endzie Czarne Koszule. Do tego rodzice stracili krewnych w Holokauście - jak mogliby dyskryminować Lamara ze względu na kolor skóry? - przekonywała przyjaciółkę.

- Teoretycznie masz rację. Jestem pewna, że gdyby któraś z moich przyjaciółek znalazła sobie czarnego faceta, nie mieliby z tym najmniejszego problemu. Jednak tym razem chodzi o mnie i nie wiem, jak zareagują.

Martin zamyślił się, po czym zasugerował Sophie, że widocznie sama ma wątpliwości i że podświadomie próbuje przerzucić je na rodziców.

- Co takiego? Oskarżasz mnie, że jestem rasistką? Do cholery, w końcu to ja chodzę z Lamarem, a nie ty?

- O nic cię nie oskarżam - dumnie sprostował Stokrota. - Chodzi mi tylko o to, że musisz zdawać sobie sprawę z tego, ile uprzedzeń mają ludzie w stosunku do mieszanych par. Wiem coś o tym z doświadczenia - idąc ulicą za rękę z facetem, spotykam na każdym kroku uśmieški i wytykanie palcami. Wytrzymać je wcale nie jest łatwo.

- Może masz rację - zamyśliła się Sophie. - Szczerze mówiąc, zastanawiałam się, jak to będzie, jeżeli pobierzemy się i będziemy mieć dzieci, które doświadczają nietolerancji. Nie zniosłabym, jeżeli ktoś by je obrażał czy skrzywdził, pękłoby mi serce. Znasz mnie - zwróciła się do Abby - niełatwo mnie czymkolwiek przestraszyć, ale w tej kwestii jest inaczej. Boję się jeszcze jednego - jeśli rodzice nie zaakceptują Lamara, będę musiała wybierać między nimi a nim, i w ten sposób ich utracę.

- Na pewno do tego nie dojdzie - uspokajała ją przyjaciółka. - Wyolbrzymiasz całą sprawę. Musisz przedstawić nowego chłopaka rodzicom i to ze względu na niego. Nie będzie

zachwycony, kiedy się dowie, że jego dziewczyna wstydzi się przyprowadzić go do domu tylko dlatego, że jest Murzynem.

- Masz rację. Zaproszę go.
- Kiedy?
- Niebawem. Słowo.

PRZEZ RESZTĘ PRZEDPOŁUDNIA Abby odbierała zamówienia na wiązanki i obsługiwała klientów z wprawą automatycznego pilota. Myślami była gdzie indziej. Około dwunastej, kiedy właśnie kończyła układać skomplikowany bukiet z wiosennych kwiatów, usłyszała za sobą znajomy głos:

- Idziesz na lunch? Musimy coś uczcić.

- O, niespodzianka! Co takiego? - spytała i uświadomiła sobie, że widok Dana natychmiast poprawił jej humor.

- Mam naszą umowę. Podpisz tu i teraz, a zabiorę cię do restauracji, żeby ją oblać. Jeśli się zgodzisz, zaczniemy kręcić już w przyszłym tygodniu.

- Tak wcześnie? - zdziwiła się, wyjmując mu z rąk kopertę.

Przyjrzał się Abby z uwagą i zapytał, czy wszystko z nią w porządku, bo wygląda na wyczerpaną.

- To przez to, że mamy teraz tyle zamówień. Poza tym się nie wyspałam.

- W takim razie potrzebujesz pożywne posiłku. Doda ci sił.

- Fakt. Obiad dobrze by mi zrobił, boję się tylko, że moje towarzystwo nie będzie dla ciebie zbyt atrakcyjne. Aha, no i chciałabym porządnie przeczytać umowę, zanim ją podpiszę. A może lepiej będzie, jeśli pokażę ją jeszcze komuś, no wiesz, tak na wszelki wypadek?

- Proszę bardzo, tyle że oczywiście opóźni to zdjęcia o tydzień lub więcej.

- W takim razie nie zwracajmy sobie tym głowy. Przyszły tydzień mi pasuje. Czepiam się, bo mam zły dzień, i tyle.

Nagle przypomniała sobie o czymś i sięgnęła pod ladę.

- To dla ciebie. - W ręce trzymała opakowanie z DVD.

- Dzięki. Cieszę się, że znowu zobaczę ten film. - Wsunął płytę do kieszeni.

- Podpiszę umowę i wyślę ją pocztą.

- Fajnie - odpowiedział bez przekonania. - No nic, czas na mnie.

- Przepraszam, że nie pójdziemy razem na lunch.

- Nie ma sprawy, może innym razem.

- Koniecznie.

PARĘ KOLEJNYCH DNI Abby przeżyła ze świadomością, że nieszczęśliwe z niej towarzystwo. A wszystko dlatego, że niedomówienia w związku z Tobym nie dawały jej spokoju. Wpadka z przechodzonym pierścieniem bladła wobec jej rosnącego przekonania, że jeszcze-narzeczonego jest homoseksualistą. Najgorsze to niby wiedzieć i spodziewać się, lecz nie mieć potwierdzenia. Dni w sklepie, zwłaszcza kiedy przychodziło mniej klientów, ciągnęły się w nieskończoność i myślała, że piątek nigdy nie nadejdzie.

W czwartek wieczorem Abby umówiła się z Sophie na kolację w Cricketers, pubie w Hampstead, dokąd dawniej często zaglądała z Tobym. Od wieków nie wychodziły nigdzie, żeby pogadać, i Abby bardzo cieszyła się na wspólny wieczór, który nareszcie przerwie bezowocne dywagacje. Umówiły się, że pojedą do pubu taksówką, lecz Sophie zadzwoniła, że zebranie, na którym właśnie przesiaduje, przeciągnie się i choć postara wcześniej się urwać, lepiej będzie, jeśli spotkają się na miejscu.

W części przy barze mroczno było od garniturów młodych japiszonów, którzy próbowali wyluzować się pod koniec dnia. Abby z trudem udało się przecisnąć przez tłum i po wiekach oczekiwania zamówić kieliszek czerwonego wina. Nie było szans na miejsce przy stoliku, pozostała więc przy barze i pijąc, przyglądała się ludziom. Kiedy zauważyła Toby'ego, w pierwszej chwili pomyślała, że wzrok ją myli. Przecież powiedział, że wróci jutro, to tylko ktoś do niego podobny. Potrzebowała czasu, by przyznać, że mężczyzna w towarzystwie kolegi przy stoliku w niedoświetlonej wnęce to Toby. Jak to możliwe? Tak mu się spieszyło, żeby z nią porozmawiać, tak zżymał się na wyjazd do Nowego Jorku... Dlaczego nie zadzwonił, skoro wrócił wcześniej?

Miała ochotę podbiec do stolika i zapytać, co się dzieje. Nie pozwolił jej na to znajomy skurcz w brzuchu. Pozostała zatem na miejscu i zaczęła się przyglądać.

Toby siedział naprzeciwko swego towarzysza. Nie widziała wprawdzie twarzy mężczyzny, ale rozpoznała go, mimo że siedział tyłem. Krótkie przerzedzone włosy i jadownicie musztardowy obcisły golfik - to musi być ten padalec Christian. Jej narzeczonego pił coś, co wyglądało na campari. Nie mogła dostrzec szklanki właściciela Goździkowego Globu. Jej narzeczonego podniósł się, nachylił ku niemu - widać było, że intensywnie się w niego wpatruje. Christian ujął dłoń Toby'ego i ucałował ją raz, a potem drugi.

Abby nie krzyknęła. Nie rozryczała się, nawet nie trzęsły jej się ręce. Jediną wyczuwalną reakcją na to, co zobaczyła, był przyspieszony puls. Nie zbulwersowało jej potwierdzenie przypuszczeń, że narzeczony woli mężczyzn, tylko fakt, że przekonała się o tym na własne oczy. Zdziwiła się, że najmocniejszym uczuciem, jakie ją przy tym ogarnęło, okazała się ulga.

Dopiero po chwili pojawiła się złość. Jakim prawem tak ją oszukał! „Ja, Toby Kenwood, nie byłem, nie jestem i nie będę homo” - na wspomnienie tych słów chciało jej się rzygać. Jak mógł tak kłamać, bezczelnie, w żywe oczy! I na domiar wszystkiego z Christianem! Wiedział, jak Abby go nie znosi. Poczowała się zdradzona podwójnie.

Właściciel musztardowego golfu właśnie podnosił się z miejsca, by udać się w kierunku wyjścia. Abby przyglądała się, jak zdejmuje ze staroświeckiego wieszaka okropną pikowaną zieloną kurtkę, podchodzi do Toby'ego i całuje go. Prosto w usta.

Przedarła się przez tłum i podeszła do stolika.

- Toby! Christian! - zawołała ze sztuczną wesołością. Narzeczony podskoczył, jakby go coś ugryzło. W sekundę stracił kolorki.

- Abby! Co ty tutaj robisz?

- Czekam na Sophie, umówiliśmy się na kolację. Nie zapytam, co ty tu robisz, bo moje miejsce przy barze okazało się świetnym punktem obserwacyjnym. Zakładam, że udało ci się wrócić wcześniej?

- Przepraszam, powinienem był dać ci znać... - Zawstydzienie Toby'ego kontrastowało z powściąganym wyrazem triumfu malującym się na twarzy Christiana, który, co trzeba policzyć na jego korzyść, burknął, że jest umówiony i musi już iść. Toby ledwie zwrócił uwagę na jego słowa, zaczął niezręcznie tłumaczyć się przed Abby i prosić, żeby nie wysuwała pochopnych wniosków z ujranej przed chwilą sceny.

- Dobre sobie. Nie trać czasu i lepiej wytłumacz mi, dlaczego poprosiłeś mnie o rękę, skoro umawiasz się na randkę z mężczyzną. I na dodatek z Christianem, jakbyś nie mógł znaleźć sobie kogoś lepszego!

- Przepraszam, że cię okłamałem - potulnie powiedział Toby, a jego oczy, do tej pory utkwione w szklance, pełne były autentycznej skruchy.

- „Przepraszam”? I to wszystko? A kiedy zapytałam cię, czy przypadkiem nie wolisz mężczyzn, oskarżyłeś mnie o wąskie horyzonty, o to, że się czepiam! Doprawdy, uciśniona niewinność, do jasnej cholery! Do tego robiłeś mi wodę z mózgu, sama nie wiedziałam, komu i czemu mam wierzyć!

- Jeszcze raz cię przepraszam. Zapewne źle postąpiłem.

- Zapewne? Źle? Opamiętaj się, facet, jaj ci zabrakło, żeby powiedzieć mi to prosto w oczy! Nie wierzę, po prostu nie wierzę, że miałeś zamiar ożenić się ze mną jak gdyby nigdy nic! Masz pojęcie, jakie niesłychane świństwo byś mi wyrządził?

- Przepraszam, byłem w kropce.

- W kropce! Biedne dziecko! I co, wyobrażałeś sobie, że weźmiemy ślub i nigdy o niczym się nie dowiem? Nie przyszło ci do tej durnej głowy, że nie uda ci się unikać sypania ze mną w nieskończoność i poczuję, że coś tu śmierdzi?

- Abby, opanuj się, cały pub nas usłyszy.

- Mam to gdzieś! Niech słyszą, co mi szkodzi.

- Przestań! Może postawię ci drinka?

- Sam sobie postaw, tylko to potrafisz. Jestem zbyt wściekła, żeby się napić - wyrzuciła z siebie, po czym uspokoiła się na tyle, by usiąść. - Żalony z ciebie typek. Żalona kupka nieszczęścia, w dodatku śmierdząca. Śmierdzący tchórz! Nie chodzi mi nawet o to, że jesteś gejem, ale że robiłeś w gacie ze strachu, zamiast się przyznać. Rozumiesz? - Patrzyła na niego świdrującym wzrokiem, którego on konsekwentnie unikał.

- Rozumiem - potwierdził ledwo dosłyszalnym szeptem.

- Pewnie wyobraziłeś sobie, że żeniąc się ze mną, przekonasz matkę, firmę i tę bandę rasistów, których nazywałeś kumplami, że jesteś heteryczny aż po gumkę w majtkach, a na boku będziesz robił swoje?

- To nie przez wyrachowanie, po prostu bałem się przyznać przed sobą. Wydawało mi się, że jeśli będziemy mieć dzieci, moje skłonności znikną. Przepraszam, to było głupie.

- Toby! Nie wiem, czego cię nauczyli w tej prywatnej, ekskluzywnej szkole, ale po to, żeby mieć dzieci, trzeba najpierw uprawiać seks z kobietą. Co niespecjalnie ci wychodziło. A przy tym, jeżeli chciałeś je mieć tylko po to, by jak za naciśnięciem czarodziejskiego guzika przestać być gejem, to jesteś nieskończenie, absurdalnie głupi. Czy nie zdajesz sobie z tego sprawy? - zapytała blada z wściekłości.

- Abby, kocham cię - usłyszała w odpowiedzi. - Uwierz mi. Może nie w sposób, jakiego oczekiwałaś, ale myślałem, że jakoś uda nam się ułożyć życie.

- Chciałeś powiedzieć, że tobie przy mnie uda się ułożyć życie. A czy przez chwilę pomyślałeś, że skrzywdzisz w ten sposób mnie i dzieci, jakie cudem chyba moglibyśmy mieć?!

- zawołała, po czym zmieniła temat. - Od jak dawna widzisz się z Christianem?

- Od czasu tej kolacji ze zrzeczeniem handlowców.

- Szczęście w nieszczęściu. Nie spaliśmy ze sobą od tego czasu, więc przynajmniej nie zdołałam się od ciebie niczym zarazić... Toby, ale dlaczego właśnie Christian?! Wiesz przecież, że od dawna uprzykrza mi życie. Terroryzuje Martina i odmawia mu widzenia psa. Jak mogłeś? Jak mogłeś, jak mogłeś, jak mogłeś?

- Nic na to nie umiałem poradzić. Wiem, że nie jest przystojny w potocznym znaczeniu tego słowa, ale od samego początku wydał mi się atrakcyjny. To chyba miłość od pierwszego wejrzenia.

- A może mi powiesz, kiedy miałeś na nią czas? Bez przerwy pracujesz. Nawet późnym wieczorem, kiedy dzwoniłam do ciebie do biura, zawsze odbierałeś telefon. Jakim cudem udało ci się z nim spotykać?

Zawstydzona mina Toby'ego świadczyła o tym, że bez trudu sobie z tym poradził.

- I co ty w nim widzisz? Ten facet to chodząca zaraza. Tego mężczyzna nie zdzierzył.

- Nie pozwolę ci tak o nim mówić. Nie masz prawa, nie znasz go wcale, dla mnie jest czuły i dobry. Przyznaję, że ma raczej wybuchowy charakter, ale to wina nieszczęśliwego dzieciństwa. Pomagam mu wyzwolić się z jego skutków, na pewno nam się to uda.

- Wyrazy współczucia. - Z wrażenia sięgnęła po jego szklanekę i upiła spory łyk campari.

- Przypuszczam, że gdybyś ożenił się z jedną z tych zadzierających nosa arystokratycznych pańien, może jakoś by ci się upiekło. Bo są przyzwyczajone, prawda? Oddają się jeździe konnej, dobroczynności i przymykają oko na mężowskie skoki na bok - wszystko jedno, na chłopców czy na dziewczynki. Tak często wyglądają małżeństwa wyższej klasy, prawda?

- Hm. - Wzruszył ramionami.

- Tak naprawdę nasze pochodzenie zawsze stanowiło kość niezgody. Nasz związek nie udałby się, nawet gdybyś nie miał homoseksualnych skłonności. Nie byłam dla ciebie dość dobra, prawda? Biedna Abby z Croydon, którą nie bardzo wypada przedstawić utytułowanym znajomym! Przynajmniej Christian może poszczycić się odpowiednim rodowodem. Toby, chciałabym wiedzieć jedno: czy oprócz niego był ktoś jeszcze?

- Nie. W całym życiu miałem przed nim dwóch partnerów, ale wiele lat temu, zanim poznałem ciebie. Abby, proszę, nie myśl o mnie źle.

- Chwileczkę, czegoś tu chyba nie rozumiem: chciałeś mnie zrobić w małżeństwo dla pozorów, okłamałeś, wystawiłeś do wiatru, a ja mam nie myśleć o tobie źle? Logiczne.

- Abby, ja cię kocham.

- Och, uważaj, bo się wzruszę! Oczy Toby'ego wypełniły się łzami.

- Abby, mówię szczerze, nie chcę, żebyśmy rozstali się w ten sposób. Nie mogę znieść myśli, że mnie nienawidzisz.

Wzięła głęboki oddech. Wbrew własnej woli zaczęła odczuwać wobec niego coś w rodzaju litości.

- Nie nienawidzę cię. Jestem przerażona i oburzona tym, jak mnie potraktowałeś, ale cię nie nienawidzę. Rozumiem, jak ciężko ci było przyznać się, że jesteś gejem, ale nie miałeś prawa robić sobie ze mnie alibi. To nie do wiary - w pracy jesteś wygadany, przebojowym prawnikiem, a prywatnie boisz się jakiegokolwiek krytyki. Boisz się znajomych, boisz się przyjaciół. Boisz się nawet własnej matki. Dorośnij, Toby! Potrzebny ci kręgosłup - oczywiście, że ludzie będą cię oceniać i mieć ci za złe. Spytaj Martina albo kogokolwiek innego, kto znalazł siłę wewnętrzną i miał odwagę przyznać się do swoich skłonności. Musisz to zrobić, to jedyne wyjście z sytuacji.

- Wiem.

- Żegnaj, Toby.

Wstała z krzesła, a zanim odeszła, były narzeczony zmusił się do smutnego uśmiechu. W drzwiach niemal zderzyła się z Sophie.

- Jak to? Wychodzisz? - zapytała zdziwiona. - Płakałaś?

- Możemy pogadać na zewnątrz?

- Jasne. Abby, powiedz coś - poprosiła, kiedy znalazły się na ulicy. - Co się stało?

- Nic takiego, przyłapałam Toby'ego, jak obściskował się z facetem.

- Nie mówisz poważnie?

- Daj spokój, obie wiedziałyśmy, że jest gejem.

- No... może i tak, ale to nie znaczy, że musisz oglądać go w akcji. Kochanie, tak mi przykro! - zawołała przyjaciółka i uściskała Abby, która skorzystała z okazji, by wypłakać się na jej ramieniu.

- Chciał wpakować mnie w małżeństwo dla pozorów.

- Świnia. Gdzie on się podział? Mam ochotę wytargać go za te cholerne blond kudły!

- Jesteś kochana. - Uśmiechnęła się.

- E tam - mruknęła Sophie, kiedy przestały się obejmować.

- Nie musisz nic mówić Toby'emu. Po tym, jak mu nagadałam, kisi się we własnych wyrzutach sumienia. Chodź, idziemy. Najlepiej prosto do mnie, zamówimy curry i upijemy się jak dzikie. A swoją drogą, zgadnij, z kim się całował - spytała Abby chwilę później.

- Jak to? Więc na domiar złego to ktoś znajomy?

- Aha, Christian.

- Ten nienormalny eks Stokroty?

- Zgadza się.

- Jak może? To znaczy... to przecież złośliwy, beznadziejny buc.

- Nic dodać, nic ująć.

L R

Rozdział 8

Prócz gniewu, bólu i smutku Abby czuła także ulgę. Na myśl o tym, jak o włos uniknęła małżeństwa z kimś, kto nie wykazywał ani krztyny fizycznego zainteresowania jej osobą, przejmował ją strach. Silniejsza od niego była jednak wdzięczność losowi za uniknięcie pułapki, co więcej - nabrała ochoty, by jakoś to uczcić.

Następnego ranka, kiedy opowiedziała Martinowi, co zobaczyła w pubie, przyjaciel okazał się na tyle miły, że nie poczęstował jej typowym: „A nie mówiłem?”. Zamiast tego objął ją i wysłuchał.

- Przykro mi. To straszne, w jaki sposób się dowiedziałaś. Musisz być załamana.

- Mhm.

- Wiem, że *coming out* to nie bułka z masłem, ale żeby tak się zachować jak Toby... śmierdzący tchórz.

- Zgadzam się, ale posłuchaj, nie powiedziałam ci jeszcze, kogo z nim widziałam.

- No?

- Christiana.

- Toby z Christianem? Nie mówisz poważnie?

- Niestety. I na dodatek muszę przyznać, że Christian wydawał się bardzo z siebie zadowolony.

Wyjaśniła, że obaj mężczyźni poznali się parę miesięcy wcześniej na kolacji zrzeszenia handlowców i według jej eksnarzeczonego przypadli sobie do gustu.

- Nie mogę w to uwierzyć. Myślałem, że Toby mnie lubi... postąpił wobec mnie nielojalnie.

- Wobec ciebie? A co ja mam powiedzieć? - Oburzenie Abby spłynęło po Martinie jak woda po kacze; był zbyt zajęty smakowaniem własnego okruszka nieszczęścia.

- Myślałem, że między nami istnieje głębokie duchowe porozumienie. Umówiliśmy się, że razem pójdziemy na pierwszy dzień wyprzedaży u Yamamoto. Wspominał ci o tym?

- Nie wspominał.

- Jestem wstrząśnięty. Wstrząśnięty jak martini Bonda. Dlaczego zrobił coś takiego! Wiedział przecież, jak Christian potraktował mnie po zerwaniu. Myślałem, że kto jak kto, ale Toby będzie po mojej stronie.

- Stokrota, nie przesadzaj. Wiesz przecież, że nie zrobił tego tobie na złość... mnie także nie.

Martin opamiętał się nieco i mimo że słowa przemawiały przeciwko niemu, udowodnił, że nieszczęściem przyjaciółki przejmuje się bardziej niż własnym. zaproponował Abby, by poszła na górę odpocząć, a on zajmie się sklepem - była tak zmęczona po nieprzespanej nocy, że nie protestowała. Po chwili drzemała już na kanapie, do czasu, kiedy obudził ją dzwonek telefonu. Sophie zapraszała na kolację.

- Dzięki, to miło z twojej strony, ale chyba nie dam rady się zwlec. Zamówię żarcie na wynos i będę oglądać *X Factor*.

- Serio? Zadzwoń, gdybyś zmieniła zdanie.

- Jasne, i wiesz co, Sophie? Dziękuję. Za wszystko, za to, że jesteś przy mnie.

- Na głowę upadłaś? Przecież to obowiązek przyjaciółki, nie musisz mi za nic dziękować.

Następnego popołudnia Abby wybrała się na długi spacer po Hampstead Heath. Miała nadzieję, że w ten sposób oderwie się od spraw, o których chciała zapomnieć - niestety, tak się nie stało. Gdziekolwiek spojrzała, wszędzie widziała beztroskie, zadowolone pary w otoczeniu baraszkujących dzieci i psów. Nie była zazdrosna z natury, lecz teraz dałaby wszystko, by wieść życie, jakie w jej mniemaniu wiedli; świadomość, że nie ma na świecie zakochanych, których codzienność jest tak sacharynowo słodka i szczęśliwa, jak bywa to tylko w telewizji, wcale nie pomagała jej spojrzeć na ludzi realistycznie. Wieczorem zażyła ziołowe tabletki nasenne. Obudziła się, wypoczęta, dopiero późnym rankiem. Zawsze cieszyło ją niedzielne wylegiwanie się w łóżku; tym razem potrzebowała tego bardziej niż kiedykolwiek. W południe zeszła na dół kupić gazetę, by sprawdzić, czy nie ma jakiejś wzmianki o buncie na Bantry. Niczego nie znalazła, a była zbyt rozkojarzona, by móc skupić się na artykułach dotyczących kultury i polityki. Alternatywą dla rozwijania umysłu okazał się dzień wylegiwania na sofie przed włączonym telewizorem nastawionym na kanał True Movies.

W poniedziałek rano zadzwonił Daniel z pytaniem, czy przeczytała umowę i czy może ją podpisać.

- Nie chcę cię poganiać, ale nasz budżet jest strasznie niski. Dopóki nie udzielisz nam formalnie zgody na kręcenie scen w kwiaciarni, nie możemy wypożyczyć sprzętu.

- Dan, przepraszam, na śmierć zapomniałam. Mam kłopoty w życiu prywatnym i przez cały weekend byłam tak zajęta, że nie zdążyłam nawet rzucić okiem na umowę.

- Nie wiedziałem... wszystko w porządku? - zatroszczył się.

- Nie. Ja i Toby zerwaliśmy ze sobą.

- Tak mi przykro! To okropne, znam to z własnego doświadczenia, parę razy w życiu musiałem przez to przejść. Wiem, że to nie moja sprawa, ale jeśli będziesz chciała wypłakać się na czyimś ramieniu... - zaproponował, lecz gwałtownie umilkł. - O rany, przepraszam, jeszcze pomyślisz, że się do ciebie przystawiam.

- Ależ skąd, i bardzo dziękuję, że próbujesz mnie pocieszyć.

Abby mówiła szczerze, ale wiedziała, że na pewno do niego nie zadzwoni. Choć czuła się swobodnie w jego towarzystwie i uważała, że wyjątkowo łatwo się z nim rozmawia, nie chciała mieszać znajomości prywatnych z zawodowymi - a z Danem zamierzała pracować. Do tego czuła się wypalona i miała największą ochotę zaszyć się gdzieś i lizać rany.

Brakło jej na to czasu. W pracy zaczął się młyn, przez kilka kolejnych dni była zajęta wypełnianiem zleceń dla zamożnych klientów, których nazwiska pojawiały się od czasu do czasu w tabloidach. Szykowało się kilka wiosennych ślubów, na które miała dostarczyć kwiaty i udekorować kościoł - w tych przypadkach mogła zaszaleć i przygotować coś wyjątkowo ekstrawaganckiego. Musiała polecieć do Edynburga, by obejrzeć wnętrze malutkiego trzynastowiecznego kościółka w okolicy, który przyszła panna młoda wybrała na ceremonię, dwa dni później pojechała do Gloucester obejrzeć tam miejsce kolejnego planowanego ślubu.

W piątek, o wpół do dziewiątej rano, zmierzała ponownie do penthouse'u pana Takahashiego, tym razem z Martinem u boku. W windzie była spokojna niczym jesienne popołudnie. Chłopak nie zaprzętał sobie tym głowy - zbyt pochłaniała go rozterka, czy ubrał się odpowiednio i czy spodoba się Ichiro.

- Akurat musiałeś umówić nas tak wcześnie! Wiesz przecież, że rano wyglądam jak ostatnia maskara - à propos, zapomniałem podkręcić rzęs.

Abby przypomniała po raz enty, że gdyby termin spotkania był późniejszy, Martin musiałby siedzieć grzecznie w czynnej kwiaciarni i obsługiwać klientów.

- Nie gniewaj się, przecież wiem. Nie myśl, że ze mnie taki niewdzięcznik; po prostu jestem spięty. Powiedz szczerze: właściwie się ubrałem? Czy mój stój nie jest ciut za, za...

- Ani trochę. Nie teraz, bo na szczęście zgubiłeś gdzieś te okulary-muchy.

- Ale odcień marynarki... myślisz, że oliwkowy pasuje do mojej cery?

- Jest w porządku.

- Tylko tyle?

- Stokrota, przestań.

- Już, tylko powiedz, co z butami.

- Jesteśmy na miejscu - przerwała mu Abby.

- Już, już, muszę wiedzieć, jak buty. Mogą być? Wiesz, że prawie nigdy nie noszę półbutów, zwłaszcza do džinsów.

- Są boskie.

- Serio?

- Oczywiście. - Nacisnęła dzwonek. - Nie wiem, dlaczego tak się denerwujesz przed spotkaniem z tym facetem. Raz rozmawiałeś z nim przez telefon. Nie wydaje ci się, że możecie się zwyczajnie nie polubić?

- Niemożliwe. Jeżeli jego ciało jest przynajmniej w połowie tak seksowne jak jego głos...

- Spojrzał w dół. - No nie wiem, może nie powinienem był szaleć i zwyczajnie pozostać przy adidasach?

Ichiro był entuzjastyczny jak zawsze. Na powitanie pocałował Abby trzykrotnie w policzek. Kiedy dostrzegł Stokrotę, nie mógł oderwać od niego oczu.

- A kto to taki? Jakie cudo buty! Prawdziwe oksfordy, jak babcię kocham!

Twarz Martina rozpromieniła radość. Abby dokonała prezentacji, po której Ichiro wziął gościa za rękę i przycisnął ją do swej piersi, czym najwyraźniej zrobił na nim wrażenie.

- Twoje buty też są niczego sobie. *Cool* - zachwycił się Martin, po czym spojrzenie trzech par oczu powędrowało ku stopom Ichiro. Tkwiły one w płaszczytkach, sznurowanych trzewiczkach o ostrych noskach. Jasnokremowych.

- Śliczne, prawda? Kupiłem je w Rzymie, skórka jest tak miękka, że najchętniej nie zdejmowałbym ich nawet do spania. Sprawiają, że czuję się w nich jak tancerz. - Na dowód stanął w trzeciej baletowej, po czym zmienił na czwartą.

- Rzeczywiście, są prawie jak baletki - zapiał Martin.

- Kiedy mam je na sobie, pragnę wykonać *jeté*!

Abby spodziewała się, że Ichiro pofolguje pragnieniu i przemierzy w podskokach salon, ale skończyło się na słownych zapewnieniach. Grzecznie poprosił ich, by usiedli, po czym zaproponował zieloną herbatę.

- A więc, Martinie, opowiedz mi coś o sobie. Skąd pochodzisz? - podtrzymywał konwersację, rozdając czarki. Chłopaka nie trzeba było pytać dwa razy. Rozmowa ruszyła z kopyta, zwłaszcza kiedy przekonali się, że oboje pochodzą z ubogich środowisk - Abby nie próbowała nawet powstrzymać ich słowotoku propozycją zmiany tematu na organizację

przyjęcia. Spokojnie wzięła do ręki notatnik i długopis, wstała i rozglądała się po mieszkaniu, planując w myślach rozmieszczenie roślinnych dekoracji. Wciąż była zdecydowana na tradycyjne japońskie motywy, lecz musiała sporo się nagłowić, jak pomieścić w salonie miniwodospad, pagodę i mostek, zwłaszcza że trzeba zostawić miejsce na bufet i bar. Po dwudziestu minutach oznajmiła Martinowi i Ichiro, że skończyła i jest gotowa do wyjścia.

- Może powinnam ci jeszcze raz przedstawić mój projekt? - zapytała tego ostatniego.

- Ależ nie ma potrzeby, ufam ci bezgranicznie - wyznał Ichiro, po czym odprowadził gości do windy. - Pa, pa, Abby, niebawem zadzwonię. - Znow ucałował ją w policzki, po czym zwrócił się do Martina. - Jestem szczęśliwy, że cię poznałem. - Na potwierdzenie tych słów wziął go za rękę i złożył na niej pocałunek.

Kiedy drzwi się zamknęły, Stokrota oparł się plecami o ścianę i wydobył westchnienie gdzieś z głębi trzewi.

- Zakochałem się. Ichiro jest boski. Taki śliczny i zabawny, to moja druga połówka. Nasz ulubiony kolor to karaibski błękit. Obaj uwielbiamy sushi i nie znosimy sashimi. Tak samo jadamy jajka: on wkłada węższy koniec w kieliszek i ja...

- Nie mów? Wkładasz węższy koniec? W kieliszek? - Wyszczrzyła zęby w uśmiechu.

- Pewnie, naśmiewaj się ze mnie. - Martin zaprezentował naburmuszony dziobek. - Próbuję ci zilustrować nasze pokrewieństwo duchowe. Wiesz, jak to jest: nadajemy na tych samych falach. Które jutro zaniosą nas razem do kina.

Stokrota pojechał samochodem do Islington, a Abby metrem do Marble Arch. Była umówiona na spotkanie z kolejnym wpływowym klientem, dyrektorem sieci hoteli. Dopiero przy wyjściu zorientowała się, że poleciało jej oczko. Gdyby jechała do domu, nie chciałoby jej się przebierać, ale po lunchu miała trzecie spotkanie; zależało jej, by pokazać się z jak najlepszej strony. Postanowiła kupić nowe rajstopy, weszła więc do S&M przy Oxford Street.

Kupno nowych i włożenie ich w przebieralni zajęło jej niecałe pięć minut. Właśnie zmierzała w kierunku ruchomych schodów, kiedy przy kasie na męskim stoisku dostrzegła Dana - zawołała go po imieniu i zamachała na powitanie.

- Zawsze zastanawiam się, jak to możliwe, że w tak wielkim mieście co chwila wpadam na kogoś znajomego? - zapytał z uśmiechem, podchodząc do niej.

- Zapewne istnieje jakieś podejrzane prawo fizyki czy rachunku prawdopodobieństwa, które to tłumaczy. Brzytwa Ockhama czy jakoś tak.

- W brzytwie Ockhama chodzi o coś innego: że zawsze najprostsze rozwiązanie jest najbardziej prawdopodobne.

- Ojej, no to krem do golenia Ockhama, a może szczoteczka do zębów? Co tam masz? - Wskazała na niebieską firmową reklamówkę, którą trzymał.

- Bieliznę i skarpety. Zawsze raz do roku kupuję tu to na zapas - właśnie trafiłaś na ten szczególny dzień.

- Nie filmujecie?

- Dziś nie, bo odtwórczyni głównej roli, Lucinda Wallace, wygłasza przemówienie na jakimś dobroczynnym lunchu dla pań - przerwał i dodał po chwili zastanowienia: - Masz w planie coś pilnego? Jest taka piękna pogoda, że postanowiłem pospacerować po Hyde Parku, może pójdziesz ze mną? Moglibyśmy wstąpić gdzieś na kawę?

- Chętnie - zgodziła się Abby. - Wiesz co - zaczęła, kiedy przechodzili przez dom towarowy ku wyjściu - miałabym ochotę spotkać kogoś z zarządu S&M i mocno nim potrząsnąć.

- A to czemu?

- Jak to czemu? Rozejrzyj się wokół siebie - koszmarne wystawy, do tego to beznadziejne jarzeniowe oświetlenie, to beżowe linoleum! Nie rozumiem, dlaczego tego nie zmienią, wszystkie filie S&M wyglądają jak żywcem przeniesione z byłych Sowietów! Jeśli zależałoby to ode mnie, zdarłabym te paskudztwa do gołych ścian i betonu, po czym zleciłabym wystrój wnętrza jakiemuś znanemu projektantowi i zaczęłabym wszystko od początku!

- Naprawdę?

- No jasne.

- I nie bałabyś się, że mogłoby to onieśmielać ludzi - zwłaszcza starszych klientów, którzy kupują tu od zawsze?

- Bzdura, niby dlaczego? Założę się, że taki jest właśnie tok rozumowania zarządu. Banda dinozaurów! Skoro są tak zacofani, sami sobie zapracowali na to, że ludzie przestają u nich kupować.

Po drodze do parku Abby perorowała na temat kolejnych niedociągnięć sklepu: koszmarnych dekoracji, pogrubiających luster w przymierzalniach, kolorów i fasonów odzieży damskiej.

- Do tego te straszne hafty! Wiesz, co bym zrobiła, gdybym była szefową S&M?

- Zamieniam się w słuch.

- Wylałabym na zbity pysk tych beznadziejnych projektantów ubrań, których zatrudniają, i wzięła nowych, takich, którzy mają pojęcie, co się dzieje w modzie. Odsunęłabym od podejmowania decyzji tych wszystkich zmurszałych finansistów, którym się wydaje, że jak wprowadzą przeceny, kupujący zaczną walić drzwiami i oknami, i zamiast ignorować życzenia klientów, zmodernizowałabym firmę i zaczęłabym je spełniać.

- Aha. Coś jeszcze?

- Nie, już mi ulżyło.

Kupili muffiny i kawę na wynos w jednej z parkowych kawiarni i usiedli z kubkami na ławce przy Serpentine.

- Swoją drogą - przypomniała sobie Abby - nie zdążyłam przeczytać umowy. Obiecuję, że jak tylko wrócę do kwiaciarni, przejrzę ją, podpiszę i wyślę pocztą jeszcze dziś.

- Nie rób tego.

- Dlaczego nie?

- Bo mam ochotę dziś wieczorem wybrać się na łyżwy.

- Na łyżwy? Wiosną? Dzisiaj? I dlatego mam nie wysyłać umowy? - Zachichotała. - Logiczne.

- Przepraszam: to skrót myślowy. Przechodziłem obok lodowiska przy Queensway i pomyślałem, że jazda na łyżwach to niezła zabawa - ostatni raz ślizgałem się jako dziecko.

- Dan, czy dobrze cię zrozumiałam: zapraszasz mnie na łyżwy?

- Aha. Wiem, że to głupi pomysł, ale może cię rozweseli? A przy okazji możesz przynieść podpisaną umowę, zaoszczędzimy w ten sposób trochę czasu. No proszę, zgódź się.

- Ale ja nie potrafię jeździć na łyżwach.

- I co z tego? Mnie też zawsze wychodziło to beznadziejnie, więc będzie z nas dobrana para.

- No nie wiem, mam tyle pracy. Na biurku piętrzy mi się sterta papierów do odfajkowania. Spóźniam się z zeznaniem podatkowym, jeszcze wlepią mi karę...

- Zrobisz to jutro, skoro i tak jest za późno, jeden dzień niczego nie zmieni.

- Wiesz co? - Uśmiechnęła się. - Właściwie masz rację, bardzo chętnie pójdę na łyżwy. Kwiaciarnię zamykam o szóstej, wpadniesz po mnie o wpół do siódmej?

- Szykuj grube skarpety.

Po PIĄTEJ PRZYSZŁA SOPHIE przed umówioną wizytą u dentysty - tuż po powrocie Abby z popołudniowego spotkania, zaniepokojona, jak przyjaciółka sobie radzi.

- Co z panem Takahashim?

- W porządku. Na szczęście ma osobistego asystenta, Ichiro, zadeklarowanego wielbiciela campu, i coś mi się zdaje, że Stokrota się w nim podkochuje.

- Ładne kwiatki! Przyda mu się trochę rozrywki.

- À propos: wybieram się dziś na łyżwy. Z Danielem.

- Widzisz? Mówiłam: podrywa cię.

- Coś ty!

- Nie udawaj niewiniątka i nie mów, że nie przyszło ci to do głowy.

- Nawet gdyby - broniła się Abby - to daleko nie zajdzie.

- Dlaczego? Nie podoba ci się?

- Tego nie powiedziałam. Jest niezły, ale nie należę do kobiet, które ze strachu przed samotnością biorą sobie nowego faceta, zanim jeszcze pościel wystygnie po poprzednim. Dopiero co zerwałam z Tobym i potrzebuję czasu, by się z tym uporać. Nie mam ochoty na nowy związek.

- No jasne, oczywiście, jakżeby inaczej - stwierdziła pojednawczo przyjaciółka - ale wiesz co? Może tego ci właśnie trzeba? Trafić na kogoś, kto ma na ciebie wielką ochotę? To fantastycznie podnosi samoocenę.

- Może twoją. Och, Sophie, czy powiedziałaś wreszcie rodzicom o Lamarze?

- Niezupełnie.

- To znaczy?

- Chciałam, ale nie było okazji. Spróbuję następnym razem. Mam taką ogromną treść! Boję się, że go nie zaakceptują, będę musiała zerwać z nimi kontakty i wszystko okaże się totalną katastrofą - narzekała, lecz wynurzenia przerwało jej wejście Martina. Ten po zapoznaniu się z rozwojem sytuacji przychylił się do zdania Sophie, że Abby powinna umówić się na randkę z Danem.

- Nie jestem gotowa, by zacząć się z kimś spotykać. Zresztą, taki na siłę sklecony związek na pewno okazałby się zupełną klęską.

- Co za czarnowidze! Ta mówi o klęskach, ta o katastrofach. Przestańcie wreszcie krakać, zwiastuny nieszczęścia,

- Ja mam prawo. Jestem Żydówką, a po pięciu tysiącach lat prześladowań, nędzy i biadolenia czego się spodziewasz? Zresztą, jeśli chcesz zwiastuna radości, zaprzyjaźnij się z Ptaszyskiem z Muppetów. - Sophie się uśmiechnęła, po czym spojrzała na zegarek i oświadczyła, że musi lecieć, bo spóźni się do dentysty.

- Aha, powodzenia z lokajem pana T. - rzuciła, wychodząc. - Abby się wygadała, że jest słodki jak marzenie cukiernika.

Mrugnęła do Martina i już jej nie było.

DAN POJAWIŁ SIĘ o kilka minut za wcześnie - właśnie wtedy, gdy Martin wychodził. Na widok reżysera nie mógł powstrzymać paplaniny: że nie może doczekać się, kiedy rozpoczną się zdjęcia, że to super, że Dan wybrał właśnie Ładne Kwiatki, że nie może uwierzyć, że spotka Lucindę Wallace.

- Ona wcale nie. pozuje na gwiazdę. Widziałem wywiady z nią, zachowuje się tak naturalnie, przypomina mi pod tym względem Kate Winslet. No nic, spadam. Dzieci, bawcie się dobrze! - zawołał, zakładając przez głowę pasek torby na ramię. - Pa, pa, jutro masz mi opowiedzieć wszystko ze szczegółami - dodał teatralnym szeptem, przeznaczonym dla uszu szefowej.

Abby modliła się w duchu, by Dan nie usłyszał ostatniego zdania. Wyjęła z torby podpisaną umowę i podała mu, a przy okazji zwróciła uwagę, że świetnie wygląda w supermodnej oliwkowej kurtce lotnika.

- Umowa w porządku, kiedy zaczynacie filmować?

- W połowie tygodnia - odpowiedział reżyser, rozglądając się po kwaciarni, w czasie kiedy Abby szukała kluczy i okrycia.

- Ogromnie lubię tu przychodzić - oznajmił nagle.

- Naprawdę? Czemu?

- Nie wiem, chyba... Coś w tym jest: wchodzisz wprost z zatłoczonej, hałaśliwej ulicy i nagle otacza cię spokojny, cichy świat pełen zapachu i koloru. To takie relaksujące.

- Zmieniłbyś zdanie, gdybyś przyszedł wczoraj i trafił na wrzeszczących na siebie Stokrotę i jego byłego - mówiąc to, wyjaśniła, że powodem kłótni jak zwykle było prawo do opieki nad Debbie Harry.

- Nie mieści mi się w głowie, jak dwóch dorosłych facetów może wyczyniać takie cyrki o psa - dodał rozbawiony, przyglądając się roślinom ustawionym na owalnym stole pośrodku. -

Nie zrozum mnie źle; lubię zwierzęta, ale bez przesady. Zastanawiam się, skąd przychodzi ci do głowy, co i jak z czym połączyć - powiedział, wyjmując ostrożnie z ocynkowanego wiaderka kwiat strelicji i dokładając do niego gałązkę bazi.

Abby pokręciła nosem.

- Mieszasz dwie różne bajki. Bazie kojarzą się z wiosną i tradycyjnym angielskim domem na wsi. Strelicja jest egzotyczna, drapieżna i nowoczesna. Jej kolor i kształt są tak dominujące, że pasuje do niej najwyżej dekoracja z wielkich liści lub kilku gałązek traw.

Odłożyła bazie do pojemnika, wyjęła jeszcze dwa kwiaty strelicji, położyła je na ladzie i poprosiła Dana, by do niej podszedł. Znalazła wysoki, wąski szklany wazon i postawiła mu przed nosem. Podała nóż florystyczny.

- Zakładam, że podobnie jak większość mężczyzn nigdy w życiu nie układałeś kwiatów?

- Nieprawda! Kiedyś, jeden jedyny raz... przyznaję, że próbuję o tym zapomnieć, ale uwierz mi, byłem młody, a żonkile takie ładne... same się prosiły, żebym zrobił z nich bukiet.

- Rany, dlaczego faceci tak wymiękają na myśl o ułożeniu razem kilku kwiatków i gałązek? - westchnęła, trąc go żartobliwie w ramię.

- Jak to dlaczego? Boimy się, że penisy nam od tego odpadną.

- Udowodnię ci, że nic podobnego się nie stanie. Tu i teraz ułożysz - a nie puścisz - swoją pierwszą prawdziwą wiązaną.

- O? A lodowisko? Zapomniałaś?

- Daj spokój, to zajmie tylko kilka minut.

- Niech ci będzie.

- Do dzieła!

Po słowach zachęty Dan wziął do ręki trzy strelicje i ułożył je regularnie w wazonie, po czym odsunął się o krok, by lepiej ocenić swoje dzieło.

- Szybko, łatwo, ładnie - jak ci się wydaje?

- Po pierwsze, musisz przyciąć ukośnie końcówki - inaczej kwiaty nie przyswoją wody. Po drugie, efekt jest raczej...

- Nudny?

- Powiedziałabym: zbyt przewidywalny. Spróbuj przyciąć łodygi tak, by kwiaty znalazły się na różnej wysokości. - Przyniosła i wyłożyła na ladę kilka niezbyt wielkich liści monstery. - Te powinny pasować, wyglądają ciekawie, a nie przytłumią całości.

Abby, kiedy powiedziała „przytnij”, miała na myśli: tak, aby kwiaty utworzyły łagodną linię spływającą ku brzegowi wazonu. Dan pozostawił jeden bardzo wysoki kwiat, drugi średni, a trzeci skrócił tak bardzo, że ten prawie skrył się w naczyniu. Beładnie poupychał wokoło liście i zrobił minę, jakby nie mógł doczekać się pochwały.

- Hm. Oryginalnie - nie chciała go pogrążyć Abby. Przyniosła konewkę i napełniła wazon wodą. - Zwłaszcza ta główka kwiatu, której nie widać, bo jest schowana za szkłem, to naprawdę coś nowego.

- Naprawdę? Nie, uprzejmość przez ciebie przemawia. Dałem plamę, bukiet wygląda, jakby układały go łąpska goryla.

- Ależ skąd. No, może odrobinę - dodała, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

Zagrała mu na ambicji, toteż Dan zaczął gorączkowo wyrównywać kwiaty. W rezultacie wszystkie trzy zniknęły we wnętrzu wazonu.

- O nie, teraz rzeczywiście potwierdziłem goryla - zaśmiał się.

- Wiesz co? Może na razie jeszcze nie rzucaj stałej pracy.

NA LODOWISKO POJECHALI starym volkswagenem golfem Dana. Na tylnym siedzeniu było pełno papierów, części i kabli od sprzętu fotograficznego. Na podłodze poniewierały się kubki ze Starbucksa i opakowania po kanapkach.

- Przepraszam za bałagan. W zeszłym tygodniu kręciliśmy w plenerze i auto zastępowało mi biuro.

- Nie szkodzi.

Miała ochotę dodać, że podoba jej się ten cały śmietnik, przez kontrast z nieskazitelnym wnętrzem mercedesa Toby'ego, gdzie jedzenie było *verboten*, bo a nuż poplamia tapicerkę, a kiedy dostrzegał najmniejszy pyłek kurzu na desce rozdzielczej, histerycznie pucował ją specjalną elektrostatyczną ściereczką, którą miał zawsze pod ręką w schowku na rękawiczki. Nawet dźwięk odwijanego papierka od cukierka przyprawiał go o palpacje.

- No, to powiedz, jak ci leci - zapytał, kiedy stanęli na czerwonym.

- Mnie? Świetnie - rzuciła odruchowo.

- Nie chodziło mi o zdawkową odpowiedź...

- No, wiesz - zaczęła przyglądać się swoim dłoniom - praca, to, że mam teraz dużo obowiązków - pomaga.

- Znam to uczucie.

- Dan, proszę, nie zrozum mnie źle, ale czy moglibyśmy nie rozmawiać o Tobym i o zerwaniu? Chciałabym się dziś od tego oderwać.

Próbowała przeanalizować swoje postępowanie. Dlaczego nie chce z nim poruszać tego tematu? Daniel jest miły. Umie słuchać. Potrafi dochować sekretu. Może powodem było przypuszczenie Sophie, że Abby wpadła mu w oko? Za żadne skarby nie wolno jej dopuścić do tego, by między nimi coś się zaczęło. Mimo że mężczyzna jej się podoba. To nie pora na nowy związek, dlatego musi za wszelką cenę trzymać reżysera na dystans, stwarzać między nimi sztuczne granice i bariery.

- Jasne, rozumiem. W ogóle nie musimy mówić o waszym zerwaniu.

Ich spojrzenia spotkały się i dziewczyna milcząco podziękowała mu za cierpliwość.

OKAZAŁO SIĘ, że Danem powodowała fałszywa skromność, kiedy mówił, że jeździ na łyżwach bardzo słabo. Radził sobie świetnie - doskonale potrafił utrzymać równowagę, a nawet jeździć szybką przekładanką do przodu i do tyłu i, co może najbardziej istotne, zatrzymać się dokładnie tam, gdzie chciał - czyli robić na lodzie wszystko, co nie wychodziło Abby. Jej pierwszym impulsem, kiedy niezdarnie stanęła na łyżwach, było dotrzeć jakoś do barierki i nie puszczać jej za żadne skarby, choćby Daniel nie wiem jak przekonywał, prosił i groził. Kiedy po pewnym czasie dojrzała do tego, by spróbować samodzielnej jazdy, pierwsza próba ustawienia jednej łyżwy za drugą skończyła się żenującym upadkiem na plecy - rozłożona malowniczo na lodzie Abby przebierała kończynami w powietrzu jak bezradny żuk.

Wstyd jej było, że nie umie jeździć, zwłaszcza że na lodowisku roilo się od brawurowo śmigających nastolatków, wykonujących skomplikowane figury.

- Straszna ze mnie niezdara - kajała się - ale na swoją obronę mogę powiedzieć, że niedawno sama, bez mrugnięcia okiem wjechałam windą na dwudzieste trzecie piętro.

- Brawo! Czemu od razu nie powiedziałaś? Zaprawa w Covent Garden nie poszła na marne. - Przysunął się do niej, jakby miał zamiar ją uścisnąć, po czym się wycofał. Czyżby nie życzył sobie, by pomyślała, że się do niej przystawia? Ten gest przyprawił ją o rozterkę - może rzeczywiście chciał się tylko z nią zaprzyjaźnić?

Mimo jej braku koordynacji na lodzie nie pozwolił jej się poddać. Straciła rachubę, ile razy, po kolejnych upadkach, Dan stawiał ją na nogi i demonstrował, co zrobiła źle, po czym ona próbowała go naśladować, co kończyło się kolejną wywrotką. Po godzinie nauka

przyniosła pierwsze skutki. Abby samodzielnie, choć chwiejnie, była w stanie ślizgać się po lodzie.

- Pięknie. - Przejechał tuż przed jej noskami spektakularnym łukiem. - Radzisz sobie coraz lepiej. Pozwól, że cię poprowadzę, to okrążymy lodowisko. Wreszcie pojedziesz szybciej.

- Wcale nie jestem przekonana, czy chcę pojechać szybciej. Boję się, że znowu klapnę na cztery litery.

- Nie pękaj, będę cię trzymał. - Mówiąc to, objął ją w talii. Popatrzyli na siebie i się uśmiechnęli - on zachęcająco, ona wymijająco. Mimo to ponownie zdała sobie sprawę, jak dobrze jej z tym facetem. I jak świetnie jej się jeździ, kiedy tak zdecydowanie obejmuje ją w pasie. Zaczęli okrążać lodowisko, trzymając się z dala od popisujących się smarkaczy. Jazdę rozpoczęli powoli - w tempie bezpiecznym dla Abby. Kiedy po chwili poczuła, że Dan za bardzo przyspiesza, zaczęła głośno protestować.

- Spokojnie. Skoncentruj się - radził, ale jak się okazało, na próżno. Zaczęła tracić równowagę, a chwiejąc się, pociągnęła za sobą towarzysza. Piszcząc i śmiejąc się, upadli na plecy, w malowniczej płataninie rąk, nóg, łyżew i szalików.

- Nie mów, że cię nie uprzedzałam - broniła się, próbując usiąść i doprowadzić się jakoś do porządku. Kiedy wstali, okazało się, że oboje mają dzinsy mokre na siedzeniu.

- A, co tam - machnęła ręką - zrobmy jeszcze jedno okrążenie.

Jeździli i jeździli, Abby szło coraz lepiej; nie przypominała sobie, by kiedykolwiek bawiła się tak dobrze - aż zgłodnieli tak, że musieli rozejrzeć się za czymś do jedzenia. Przy wyjściu z lodowiska znaleźli budkę z napisem „Falafel” i stanęli w kolejce. Zjedli w drodze do samochodu, rozmawiając o powstającym filmie. Abby chciała wiedzieć, w jaki sposób Dan po raz pierwszy zetknął się ze sztuką filmową.

- Jako dzieciak chodziłem na zajęcia w kółku filmowym Tasiemka i powoli coś, co miało być rozrywką, stało się moją obsesją. W każde wakacje jeździliśmy kręcić w plener na parę tygodni i przywoziliśmy z nich prawdziwy film dokumentalny. Nakręciłem mój pierwszy film fabularny w wieku dwunastu lat. Kiedy skończyłem siedemnaście, już reżyserowałem.

- Rodzice musieli być z ciebie dumni?

- Mama. Ojciec zmarł na krótko przed moimi siódmymi urodzinami.

- Tak mi przykro.

- Zginął w wypadku samochodowym. Mama bardzo długo nie mogła dojść do siebie. Uwielbiała ojca. Dopiero kiedy skończyłem dwanaście lat, zakochała się i wyszła powtórnie za męża. Do tego czasu poświęciła się dla mnie zupełnie. Pamiętam, jak na któreś urodziny dostałem od niej krzesło reżyserskie z wydrukowanym moim imieniem i nazwiskiem. A cztery lata później ojczym kupił mi porządną, prawdziwą, profesjonalną - choć używaną - kamerę. On też namówił mnie, żebym poszedł do szkoły filmowej.

- To chyba ci się z nim poszczęściło?

- Tak, fajny z niego facet i też ma fioła na punkcie filmu. Pamiętam, jak wziął mnie na *Odyseję kosmiczną*, po filmie poszliśmy coś chapnąć, a on od ręki dokonał analizy stylistycznej filmu, dosłownie poszatkował go na kawałki, żeby udowodnić mi, jak dobrze jest zrobiony.

- A ty połknąłeś haczyk?

- Jak głodny leszcz! Naprawdę wiele zawdzięczam ojczymowi.

- A tęsknisz od czasu do czasu za ojcem?

- Tak naprawdę niewiele mam wspomnień z nim związanych. To dziwne: przypominam sobie, jak wracał z pracy i wchodząc do domu, pachniał zimnem. Pamiętam, że kiedy jadł zupę, dziwnie poruszał mu się kącik ust. I jeszcze jak leżałem w łóżku otulony pościelą, a on czytał mi historyjki o Williamie, a kiedy kończył, prosiłem go, by zajrzał pod łóżko, czy nie czają się pod nim bandyci. On sprawdzał, czy nikogo pod nim nie ma, i nie mówił mi, że jestem głupi, choć pod łóżkiem były najwyżej dwa cale wolnej przestrzeni.

Abby poczuła, jak Dan zaczyna przeżywać na nowo dawne emocje, i pragnąc oszczędzić mu smutku, zmieniła temat.

- Wiesz co, oglądałam *Boston Legal*, tak jak poleciłeś. Masz rację, jest genialny! Ulżyło mi - dodała po chwili namysłu - bo bałam się, że jak skończą się *Przyjaciele* i *Frasier*, oczy sobie wypłaczę.

- No jasne - zaśmiał się - najstraszniejsza rzecz, jaka może się przydarzyć dziewczynie, to koniec ulubionego serialu.

- No właśnie: ta panika - co zrobię w czwartek wieczorem? Do tej pory dzień był dla mnie święty, zarezerwowany na oglądanie *Frasier*, nie mogłam się go doczekać, przez cały tydzień marzyłam, by zwinąć się w kłębek na sofie przed telewizorem, z curry na wynos w łapie...

- ...no właśnie, a do tego najlepiej we dwoje... - zaczerwienił się i kątem oka sprawdził, czy Abby słyszała. Nie dała nic po sobie poznać, ale zaliczyła spojrzenie jako kolejny dowód

na to, że Dan nie chce, żeby myślała, że ją podrywa. Teraz nadeszła jego kolej, by zmienić niewygodny temat.

- Ale, à propos filmu, jeszcze nie zdążyłem zobaczyć *Życie jest piękne*, za to przedwczoraj puściłem sobie po raz enty *Ojca chrzestnego*.

- Naprawdę? Nie znoszę tego filmu.

- Co? - Mężczyzna prawie zadławił się jedzeniem. - Chyba żartujesz?

- Wcale nie. Rodzina Corleone to banda czarnych charakterów, która wcale mnie nie obchodzi. Z nikim nie potrafiłam się utożsamić, no może ewentualnie z Diane Keaton. Nie mogłam doczekać się, aż przejrzy wreszcie na oczy i rzuci Ala Pacino, a przy okazji wynudziłam się okropnie.

- Wynudziłaś się? Ludzie, trzymajcie mnie, nie mogę tego słuchać - ta dziewczyna nudzi się na *Ojcu chrzestnym*, klasyku kinematografii, jednym z najlepszych filmów, jakie kiedykolwiek nakręcono. *Ojciec chrzestny* to epopeja! Mówi o człowieku i jego przeznaczeniu. O rodzinie, o lojalności, miłości, o przemocy i o zdradzie - o samych najważniejszych rzeczach!

- Tak, tak, *Dźwięki muzyki* też o tym mówią...

Przerwał jej i zaczął się śmiać.

- Słuchaj, chociażby to miała być ostatnia rzecz, jaką w życiu zrobię, przekonam cię do *Ojca chrzestnego*. To od dziś moja życiowa misja. Gwarantuję ci, że jeszcze zmienisz zdanie.

- Założymy się?

- Proszę bardzo. - Uśmiechnął się, po czym po chwili dodał: - Wiesz, mało kto zdaje sobie sprawę z tego, ile można się nauczyć, oglądając filmy.

- Na przykład?

- Och, chociażby: gdyby nie filmy, nie wiedziałabyś, że wszystkie numery telefonów w Ameryce zaczynają się na 555. - Abby parsknęła śmiechem. - I że wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, a każde śledztwo do klubu ze striptizem, przynajmniej na jeden wieczór. A jeżeli jesteś w mieście i akurat cię śledzą, zawsze możesz zmylić pogoń, wmieszawszy się w maskaradę z okazji Dnia Świętego Patryka - bez względu na porę roku. I że wieżę Eiffla widać z każdego okna w Paryżu. A kiedy najdzie cię ochota, by zatańczyć na ulicy, na pewno wielu przechodniów przyłączy się i będzie świetnie znało kroki...

- Wiesz co, naprawdę umiesz pocieszyć dziewczynę...

- To super, po to się przecież spotkaliśmy.

- Wspaniale się bawiłam.

Rozmawiając, dotarli do auta i przekomarzali się cały czas, jakiego potrzebowali, by dotrzeć na Upper Street.

- Dzięki za lodowisko - powiedziała Abby, wysiadając.

- Nie ma za co, było mi z tobą świetnie. Wiesz co? Tak sobie myślę, nie dałabyś się zaprosić na kolację?

„Pewnie, choćby natychmiast” - odpowiedziała w myśli, ale zdała sobie sprawę, że tak entuzjastyczna zgoda mogłaby zniszczyć ich kiełkującą przyjaźń. Spanikowała - a co, jeżeli tak przyzwyczai się do towarzystwa Daniela, że niechcący się w nim zakocha i wszystko skończy się koszmarną katastrofą?

- Bo ja wiem? Dopiero co zerwałam z Tobym, kodeks randkowy zabrania umawiać się przed upływem przynajmniej sześciu tygodni od rozstania.

- Przecież to tylko kolacja. Żadnych zobowiązań, żadnego nacisku, obiecuję.

Abby usłyszała swój własny głos mówiący, że ma ogromną ochotę pójść z Danielem na kolację.

- To fantastycznie.

- Kiedy?

- Jutro?

- Jutro?

- Za wcześnie?

- Ależ skąd - uśmiechnęła się - już się cieszę na jutrzejszy wieczór.

- W takim razie przyjadę po ciebie o ósmej.

Rozdział 9

Och, Abby, więc on naprawdę ci się podoba! - ucieszyła się Sophie i nie kryjąc podekscytowania, zasypała przyjaciółkę gradem pytań. - Całowaliście się? Gdzie cię zabiera? W co się ubierzesz? Pójdiesz z nim do łóżka?

Odpowiedzi Abby brzmiały następująco: tak, nie, dwa razy nie wiem, zdecydowanie nie, po czym szybko musiała kończyć - zostawiła Martina samego w kwaciarni i wpadła do mieszkania tylko po to, by zrobić kawę, a czas zaparzania wykorzystała na błyskawiczną rozmowę z przyjaciółką. Ta nie wyczerpała jednak kontyngentu pytań:

- Co się stało? Jeszcze wczoraj mówiłaś, że nie jesteś gotowa, żeby chodzić na randki?

- To nie randka. Dan po prostu zabiera mnie na kolację. Bez zobowiązań, bez nacisku - sam mi to powiedział, a ja czuję, że dotrzyma słowa. Z drugiej strony podoba mi się, a ja jemu, ale boję się; nie chciałabym znowu się sparzyć.

- Nie dziwię ci się, każda kobieta reagowałaby podobnie na twoim miejscu. Istnieje ryzyko, że znowu się sparzysz, ale kto wie? Może stoisz właśnie u progu wspaniałego romansu? W życiu trzeba podejmować ryzyko, w ten sposób uczymy się i dojrzewamy.

- Święte słowa, które zapewne oznaczają, że powiedziałaś rodzicom o kolorze skóry Lamara?

- Jeszcze nie, mój przypadek to inna para kaloszy.

- A czemuż to?

- Żydzi nie ryzykują. Są zbyt pochłonięci uważaniem na antysemitów.

ABBY ZNIOŚLA NA DÓŁ kubki z kawą i postawiła je na ladzie.

- Co to ma być? - Na twarzy Martina malował się przesadny grymas.

- Jak to? Kawa, taka, jaką zwykle robię - myślisz, że może niedobra?

- Mam na myśli ten wiecheć. - Zapukał w szklany wazon mieszczący kompozycję: efekt wczorajszych wysiłków Daniela.

- Aaa, to. - Abby się uśmiechnęła. - Próbowałam przekonać wczoraj naszego reżysera do florystyki; oto jego pierwszy bukiet.

- I oby ostatni - mruknął zrzędlawie Martin i właśnie zamierzał wyrzucić kwiaty do śmieci, kiedy szefowa go powstrzymała.

- Nie, nie, zostaw. Chcę go zatrzymać. - Broniła bukietu ze świadomością, że zachowuje się jak zabujana siusiumajtka - a co, nie wolno jej? Stokrota żartobliwie przewrócił oczami i zaczął dokuczać, że się zakochała.

- Ejże, zachowuj się jak człowiek. Znam go od pięciu minut. Ani mi w głowie romanse.

- Założę się, że spróbuje cię pocałować, kiedy odwiezie cię pod dom. A ty jego, buźka, buźka!

- Przestań w tej chwili. Przyjaźnimy się tylko.

- Oczywiście, jakżeby inaczej? - zapytał i poszedł wyjąć pocztę ze skrzynki. - Byłem w biurze porad obywatelskich zapytać, co mogę zrobić w sprawie Debbie Harry - dodał po chwili - i polecono mi prawniczkę, która może pomóc. Bóg wie, ile to będzie mnie kosztować...

- Przypuszczam, że niemało, ale jeśli bardzo zależy ci na psie, warto się z nią spotkać.

- Nie mam wyjścia, nie będzie Christian pluł nam w twarz. Mam siedzieć z założonymi rękami? O, przyszedł list z rady dzielnicy? - Wskazał na brunatną kopertę z adresem zwrotnym, leżącą na stercie listów.

- O nie - jęknęła Abby, rozrywając kopertę - założę się, że Christianowi udało się przekonać władze, by zabroniły mi ustawiania kwiatów na chodniku.

Wyjęła pismo i przeleciała wzrokiem pierwszy paragraf.

- O rany, to dopiero niespodzianka! - ucieszyła się. - Posłuchaj tego:

Droga Pani Crompton,

Do naszego urzędu wpłynęła skarga dotycząca potencjalnego zagrożenia zdrowia przechodniów spowodowanego ekspozycją kwiatów ciętych i roślin doniczkowych przed zajmowanym przez Panią lokalem. Urząd doszedł do wniosku, że ekspozycja ta wpływa korzystnie na atmosferę okolicy i uprzyjemnia nastrój, przeto nie zamierza udzielić Pani żadnego upomnienia. Udziela się natomiast przestrogi, by zachowała Pani rozsądek i ostrożność oraz przestrzegala zachowania nakazanego ustawą, paragraf 5, punkt 9, o wymaganym świetle przestrzeni dla komunikacji pieszych, które stosownie do przepisów powinno wynosić min. pięć stóp pomiędzy krawężnikiem a przedmiotami, o których mowa. Za niestosowanie się do powyższego przepisu grozi postępowanie sądowe. Na dzień dzisiejszy oddaliśmy skargę i nie wszczynamy postępowania.

*Z poważaniem
pani I. Struttowa*

- Niech żyje pani I. Struttowa i jej szanowny małżonek pan Strutt! - zawołał Martin. - Przynajmniej tym razem zdrowy rozsądek zwyciężył.

- Christian dostanie apopleksji, kiedy się o tym dowie. - Abby pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Super, no nie? Założę się, że właśnie leży na podłodze, z wściekłości gryzie dywan i kopie nóżkami, hura! - Stokrota z wrażenia aż zaklaskał, po czym skoczył po drożdżówki z nadzieniem morelowym, żeby uczcić zwycięstwo. Kiedy zamknął za sobą drzwi, Abby pograżyła się w myślach o tym, jakim cudem Toby mógł polecieć na takiego delikwenta jak Christian. Ciekawe, czy długo ze sobą wytrzymają?

Jako że czekała ją pierwsza nierandka z Danem, Abby postanowiła zadbać o swój wygląd. Po namyśle wybrała z szafy szeroką spódnicę w kolorze oberżyny, a do niej o ton jaśniejszą bluzkę z rękawami rozszerzonymi u dołu. Uzupełniła strój długim, sięgającym talii sznurem brązowych szklanych koralików i pasem na biodrach w kolorze czekolady. Zmieniła fryzurę - zamiast jak zwykle prostować półdługie włosy na szczotce, pozwoliła im, by wysychając, ułożyły się w naturalne fale. Zrobiła to, ponieważ:

a) włosy takie wchodzą znowu w modę,

b) Toby nie cierpiał, gdy czesała się w ten sposób, mówił, że wygląda jak zaniedbane lada-daco. Kiedy przejrzała się w lustrze, doszła do wniosku, że wygląda jak zadbane nie lada co, w dodatku całkiem seksowne. Zadowolenie Abby wzrosło, kiedy na jej widok Daniel nie tylko powiedział, że ładnie wygląda, ale szczególnie zachwycił się jej włosami. Ona zaś podziwiała jego granatowy, świetnie skrojony garnitur, z którym doskonale współgrała nieskazitelnie biała, rozpięta pod szyją koszula. Na jego widok nasunęło jej się - trudno powiedzieć czemu, może pod wpływem lektury biografii Tony'ego Curtisa, drukowanej w odcinkach w „Daily Mail” - staroświeckie określenie „jak z pudełka”.

Dan zabrał ją do Franco, włoskiej restauracji w Belsize Park. Od wieków nie jadła w takim miejscu: tradycyjnej, pozostającej w rękach rodziny knajpce, gdzie obrusy były w biało-czerwona kratkę, a z sufitu zwieszały się butelki chianti. Toby nie zabrałby jej tu za żadne skarby - dla niego każda restauracja, która nie była trendy, urządzona w stylu minimalistycznym, wymieniana w przewodnikach i makabrycznie droga - nie wchodziła w grę. Kręciliby nosem, że jest tu ohydnie, a wewnątrz określiliby jako disnejowski kicz.

Abby poczuła się swobodnie. Miała wrażenie, że nawet gdyby przyszło jej do głowy zrobić sobie śliniak z serwety, zatykając ją za brzeg bluzki, opierać łokcie na stole albo gdyby

umazała sobie buzię sosem, nikomu by to specjalnie nie przeszkadzało. W oczekiwaniu na jedzenie pogryzali paluszki chlebowe i pili domowe chianti. Abby, ku własnemu zdumieniu, zaczęła opowiadać o byłym narzeczonym.

- Nie musimy mówić o waszym zerwaniu, przecież niedawno dałaś mi do zrozumienia, że nie chcesz do tego wracać, bo czujesz się zdołowana. Nie ma potrzeby mi niczego wyjaśniać...

- Ale chciałabym, jeżeli nie masz nic przeciwko temu. Ochłonęłam trochę i dziś mogę już mówić bez nerwów. Dobrze?

- Jasne - zgodził się Dan, lecz w tym momencie kelnerka przyniosła zamówione danie i postawiła przed nimi głębokie talerze z parującym *spaghetti vognole*. Abby dobrała się do makaronowej góry i zaczęła nawijać pierwszą nitkę na widelec.

- Toby okazał się gejem - walnęła prosto z mostu i czekała na stosowną reakcję: zdziwione spojrzenie lub okrzyk niedowierzania. Nic. Zamiast tego przyjaciel spokojnie skinął głową.

- Jak to? Domyślałeś się? - Nie mogła uwierzyć Abby. - Po tym, co wypaplałam wtedy w windzie, że nie układa nam się w łóżku?

- Muszę przyznać, że przyszło mi to do głowy.

- Jak to możliwe, że wszystkim jakoś przychodziło to do głowy, tylko mnie jednej nie? Dlaczego? Nie zrozum mnie źle, nie jestem pierwszą naiwną, początkowo wzięłam to pod uwagę i zapytałam Toby'ego, ale on kategorycznie zaprzeczył, a nawet obraził się za moje posądzenie. Teraz wyszłam na idiotkę.

- Wcale nie, przecież skoro się wyparł, nie miałas podstaw, by mu nie wierzyć. Kochałaś go, więc lojalnie przyjęłaś do wiadomości wersję, którą ci podsunął.

- Tak, ale kiedy pomyślę, że pod moim nosem nawiązał romans, i to z Christianem, tym potwornym natrętem, który mnie prześladowe...

- Czekaj, czy to ten sam eksprzyjaciel Martina, który teraz wyklóca się z nim o psa?

- Ten sam. - Abby podsunęła kieliszek, który Dan napełnił powtórnie winem.

- Tak więc tobie przypadła rola zasłony dymnej? Toby zaplanował sobie, że ożeni się z tobą, a na boku będzie romansował z facetami?

- Coś w tym rodzaju. Nie bardzo potrafię sobie wyobrazić, by lady Penelope uśmiechało się przekazanie rodzinnych włości synkowi gejowi.

- To, co ci zrobił, jest niewybaczalne. - Twarz Dana pociemniała z oburzenia. - Nie wyobrażam sobie, jaki to był dla ciebie cios, kiedy odkryłaś, że chciał cię zwyczajnie wykorzystać!

- To prawda. Całkiem się załamalam, ale nie wyobrażasz sobie, jak Toby trzęsie się ze strachu przed własną matką! Do tego ci wszyscy arystokratyczni przyjaciele i koledzy z pracy: banda homofobów. Pewnie próbują usilnie zapomnieć, czego nauczyli się w tych swoich prywatnych szkołach - dodała, zniżając głos.

Dan zaśmiał się cicho, upił nieco wina i zachwycił się jej wyrozumiałością.

- Uważam, że przynajmniej powinnaś zjechać go, przeklinać na czym świat stoi. Albo jeszcze lepiej: pozwól mi wyzwać go na pojedynek.

- No, to dopiero byłby ubaw!

- Śmieję się, śmieję! Mówię poważnie: kiedy byłem mały, oglądałem *Trzech muszkieterów* przynajmniej ze dwanaście razy i nauczyłem się w ten sposób kilku manewrów, zdradliwych i nie do odparowania.

Abby nie potrafiła powstrzymać śmiechu - mało kto z jej znajomych potrafił tak łatwo wprowadzić ją w dobry humor.

- Pal sześć orientację seksualną Toby'ego. I tak by nam nie wyszło. Różnica klasowa - brzmi to melodramatycznie, ale nie umieliśmy sobie z tym poradzić. Jego znajomi nie mogli się nadziwić, że znalazł sobie narzeczoną z Croydon - wyjaśniła i opowiedziała Danowi o weekendzie w Dorset, na którym wygłupiła się, strojąc do kolacji.

- Nie mieści mi się w głowie, jak można było zażartować z kogoś tak okrutnie.

- Uwierz, nie nabrałam po tym wszystkim pewności siebie. Podobnie potraktowała mnie jego matka. Lady P. oczekiwała, że synek pojmie za żonę jedną z dziedziczek na włościach, więc mnie skreśliła w przedbiegach. Nie miałam szans, zwłaszcza że nie poluję, a trzeba ci wiedzieć, że mamuśka jest lokalnym łowczym. No nic - jednego jestem pewna - że już nigdy, przenigdy, nie zwiążę się z żadnym zakichanym arystokratą. Lepiej mi będzie z kimś zwyczajnym i niezmanierowanym - oświadczyła, oparłszy się pokusie dodania: takim jak ty. Zrobiła to, ponieważ nie chciała na siłę windować ich znajomości na kolejny poziom miłosnej gry.

- Rozumiem, gdybym miał takie doświadczenia jak ty, pewnie myślałbym tak samo.

- Słuchaj, nie chciałabym, żebyś wyrobił sobie o mnie fałszywej opinii: nie jestem jakąś snobką na opak ani Robin Hoodem. Po prostu przyjrzałam się paczce Toby'ego i doszłam do

wniosku, że należący do niej ludzie to agresywne, rasistowskie homofoby. Upłynie sporo czasu, zanim będę w stanie, jeżeli w ogóle kiedykolwiek, przekonać się na nowo do klas wyższych. Ale à propos przesądów klasowych, jak tam twój film?

- Jakoś się kręci.

Abby oskarżyła Dana o niepotrzebną skromność i zdołała wyciągnąć z niego, że jest zadowolony z dotychczasowej pracy: właśnie wczoraj wraz z producentem przeglądali materiał z planu.

Żadne z nich nie byłoby w stanie wchłonąć całego deseru, zdecydowali się więc zamówić jeden na spółkę: pudding maślano-chlebowy z *panettone*.

- Dzięki, że wysłuchałeś moich utyskiwań na Toby'ego - powiedziała, nabierając na łyżeczkę pysznego, gęstego kremu.

- Dobrze mi się słuchało, naprawdę.

- Tak czy owak dzięki.

Dan sięgnął poprzez stół i uściśnął jej dłoń. Jego ręka była mocna i ciepła - nie miała ochoty jej puszczać.

Po kolacji odwiózł ją do domu. Kiedy zaparkowali przed sklepem, podziękowała mu za wspaniały wieczór.

- Abby?

- Tak?

- Pamiętasz: mówiłem, że to tylko kolacja i nie będę naciskał?

Skinęła głową.

- Kłamałem. Chociaż czy to nazwałabyś naciskaniem? - zapytał, delikatnie całując ją w usta.

- Nie, wcale. - Poczwała, że się uśmiecha.

- To dobrze. - Przysunął się bliżej. - A teraz?

- To też nie. - Odwzajemniła jego pocałunek. Daniel zaczął bawić się jej włosami. Jego palce przesunęły się po jej ustach, powędrowały ku szyi. Poczwała iskierki radości i pożądania. Ujął jej twarz w dłonie i pocałował po raz trzeci. Objęli się ciasno, jego język smakował winem. Poczwała wilgoć także gdzie indziej. „Jeśli Dan zapyta, czy może wejść na górę, nie będę miała siły odmówić” - pomyślała. Oderwali się od siebie, czuła, jak z kącika oka spływa jej pojedyncza łza.

- O, Boże, przesadziłem. Przepraszam, nie gniewaj się.

- Nie, nie, wcale nie, po prostu nagle się wzruszyłam, tak wiele naraz...

- Przepraszam - powtórzył, wycierając łzę. - To pech, że poznaliśmy się właśnie teraz.

Jeśli myślisz, że to dla ciebie za wiele, możemy przestać się widywać, nie będę nalegał...

- Nie, nie, chcę się z tobą spotykać...

- To wspaniale, bo ja z tobą też.

Pocałowali się jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze jeden. Spłoszyła ich grupka spóźnionych przechodniów. Odprowadził ją do samych drzwi. Patrzyła, jak odjeżdża, po czym weszła do kwaciarni i zapaliła światło. Na ladzie stał nieszczęsny bukiet przykrótkich strelicji. Uśmiechnęła się. Podeszła do lady i z jednego z ocynkowanych pojemników wyjęła długą purpurową gałązkę. Idąc po schodach na górę, wdychała słodki, duszący zapach.

Rozdział 10

Była niedziela. Abby umówiła się na lunch z Sophie. Lamar pojechał na konferencję WHO do Luksemburga, gdzie przedstawiał referat na temat niedożywienia niemowląt w krajach Trzeciego Świata.

Spotkały się w kawiarni przy Hampstead Heath. Zamówiły cappuccino i zapiekane *panini* z suszonymi pomidorami, salami i mozzarellą.

- Lamar jest dobrym człowiekiem. Naprawdę przejmuje się losem świata, a zwłaszcza sytuacją dzieci. To jeden z powodów, dla których za nim szaleję.

- A sam chciałby mieć potomków?

- O, co najmniej z pół tuzina - zaśmiała się Sophie z ustami pełnymi *panini*. - A co mi tam, przynajmniej nie stracę figury, bo nigdy jej nie miałam. Ale opowiadaj: jak było na randce z Danem? Jak się ubrałaś? Gdzie poszliście? Co zamówiliście do jedzenia? On płacił? Pocałował cię? I jak?

- Długą spódnicę i bluzkę z rozszerzonymi rękawami, którą kupiłam w Whistles. Do bardzo przytulnej włoskiej restauracji, nazywa się Franco, w Belsize Park. *Spaghetti vognole*. Tak, on płacił, chociaż upierałam się, żebyśmy podzielili się rachunkiem, bo wydaje mi się, że ma mało pieniędzy. Tak, pocałował mnie. Było cudownie! A nawet cudownie z plusem, o ile to możliwe. Czysta rozkosz. Stokrota mi dogaduje, bo próbowałam go przekonać, że to ot taka zwyczajna kolacja i nie ma szans, żebym pozwoliła się Danowi obściskiwać.

Sophie roześmiała się, po czym zniżyła głos i zapytała, rozglądając się na boki:

- A kiedy zrobicie, no wiesz...? To?

Abby nagle zdała sobie sprawę, że przez ostatnie dwie minuty przyjaciółka zadała jej ponad dziesięć pytań. Postanowiła przystąpić do kontrataku:

- A niby skąd mam wiedzieć? Myślisz, że co? Że potrafię czytać w myślach?

Sarkazm nie umknął uwagi Sophie.

- No wiesz, mówisz zupełnie jak moja ciotka Yetta - zachichotała. - A teraz na poważnie: na pewno się nad tym zastanawiałaś?

- Niby czemu? Jestem nimfomanką?

- Abby, proszę, przestań się wygłupiać. Mówię serio: chciałabyś przecież się z nim przespać.

- I to jak! Wczoraj wieczorem o mało co nie zaciągnęłam go na górę.

- Ojej, naprawdę cię wzięło.

- Niby tak, ale jednocześnie boję się, że zrobię krok, a potem będę żałować.

- No wiesz, z drugiej strony może się okazać, że poznanie Daniela jest najlepszą rzeczą, jaka ci się w życiu przydarzyła. - Sophie przerwała, wzięła łyżeczkę i zaczęła bawić się pianką na cappuccino. - A tak przy okazji: powiedziałam rodzicom.

- Nareszcie! I co? Jak zareagowali?

- Tak, że natychmiast mi ulżyło. Wyobraź sobie, jedyne, co mieli mi do zarzucenia, to fakt, że bałam się ich reakcji. W rzeczy samej byli wściekli, kiedy opowiedziałam im, ile nerwów mnie to kosztowało - przerwała. - Jest jeszcze coś, o czym koniecznie musisz wiedzieć...

- Co takiego? Nie zaszłaś chyba w ciążę?

- Nie, ale zaręczyliśmy się!

- Sophie! Tak się cieszę!

- A co dopiero ją! Muszę przyznać, że oświadczyzny wypadły raczej niecodziennie. Lamar zadzwonił do mnie wczoraj w nocy z Luksemburga i zagadaliśmy się na śmierć. Przez cały czas czułam, że coś chodzi mu po głowie. Znasz mnie: nie znoszę, gdy ktoś coś przede mną ukrywa, więc męczyłam go tak długo i skutecznie, aż się poddał. Powiedział: „Kocham cię i chcę, żebyśmy się pobrali”. W tym momencie nie wytrzymałam i głośno wrzasnęłam. „Czy mam rozumieć, że to oznacza twoją zgodę?”, zapytał. „Tak, tak i jeszcze raz tak”, odpowiedziałam, a potem umówiliśmy się, że będziemy udawać, że nie wspomnieliśmy słowa na M. W

ten sposób, kiedy Lamar wróci, może z czystym sumieniem zabrać mnie na kolację, przyklęknąć na jedno kolano i tak dalej...

- Kochana Sophie! Tak bardzo, bardzo się cieszę! - zawołała Abby.

Wstała i uściskała przyjaciółkę.

- Naprawdę? - spytała. - Bo wiesz, trochę bałam ci się powiedzieć, denerwowałam się, myślałam, że po zerwaniu z Tobym i w ogóle... że możesz być...

- ...zazdrosna i zdołowana?

- Coś w tym rodzaju. Abby powróciła na miejsce.

- Nie ukrywam, że zerwanie mocno mną wstrząsnęło. I rzeczywiście, coś we mnie skamle, że byłoby cudownie, gdybyśmy obie wychodziły za mąż, mogłybyśmy razem planować wesele i wybierać sukienki. Naprawdę super. Ale jesteś moją najlepszą, najukochańszą przyjaciółką i zależy mi na twoim szczęściu. Uważam, że nie mogłaś lepiej trafić. Lamar jest przystojny, dobry, mądry i jakby tego jeszcze było mało, ma poczucie niesprawiedliwości społecznej i z nią walczy! Dożyjecie razem w szczęściu sędziwego wieku, zobaczysz.

- Dzięki. - Sophie ujęła rękę przyjaciółki. - Twoje słowa wiele dla mnie znaczą. - Popatrzyła, jak Abby uśmiecha się w odpowiedzi, po czym przypomniała sobie: - Mama i tata zaprosili Lamara na piątkową kolację.

- Świetnie.

- A ja pomyślałam, że byłoby miło, gdybyś też wpadła. Ty i Stokrota. Szczerze mówiąc, poczułabym się pewniej, wiesz przecież, jak rodzice uwielbiają pyskować. Wasza obecność rozładuje atmosferę. - Przerwała, bo właśnie przyszło jej coś do głowy. - Ej, a właściwie czemu nie miałabyś przyprowadzić ze sobą boskiego Dana? Hę?

Ten pomysł nie bardzo spodobał się Abby.

- Znamy się od niedawna - tłumaczyła. - Nie jestem przekonana, czy przedstawianie go właśnie teraz mojej najlepszej zaręczającej się przyjaciółce i jej pyskatym rodzicom to dobry pomysł. Poza tym kolacja to uroczystość rodzinna, biedny chłopak może czuć się przy tej okazji jak ryba wyrzucona na brzeg.

- E tam. Przecież przyjdzie Martin, który również nie należy do rodziny, co więcej, zobaczy moich rodziców pierwszy raz w życiu. Poza tym ty, choć wiesz, że uwielbiam cię od obcasów po kokardę, na dobrą sprawę też się do niej nie zaliczasz. Zaprosz go, co ci szkodzi? Tak bardzo chciałabym go poznać.

Po kilku kolejnych minutach przekonywania Abby poddała się i obiecała, że przekaże Danielowi zaproszenie.

Zadzwonił wieczorem, krótko po dziesiątej. Powiedział, że jest na zdjęciach w hrabstwie Devon i że właśnie skończyli na dziś.

- Posiedzimy tu jeszcze z tydzień, ale co powiesz na to, że urwę się któregoś wieczoru, przyjadę do Londynu i pójdziemy gdzieś razem?

Abby odparła, że to szaleństwo jechać dwieście mil w jedną stronę tylko po to, by razem spędzić wieczór. Chociaż było jej ogromnie miło, że to zaproponował.

- No dobrze. Wracam w piątek, może wtedy gdzieś się wybierzemy?

- W piątek? A właśnie... - Wyjaśniła okoliczności dotyczące zaręczynowej kolacji. - Sophie ma straszną ochotę, żebyś przyszedł, ale jak nie chcesz, to nie musisz. Zdaję sobie sprawę z tego, że posiłek w towarzystwie ekscentrycznych, podstarzałych rodziców i świeżo upieczonego narzeczonego mojej zwariowanej przyjaciółki nie jest najbardziej atrakcyjną perspektywą na spędzenie wieczoru. Zrozumiem, jeśli się wykręcisz.

- Jak myślisz, podadzą siekaną wątróbkę?

- Na pewno - zachichotała.

- Rosółek? Z knelkami???

- Ty się jeszcze pytasz? Mama Sophie doskonale gotuje, więc jak niby miałyby podać rosółek bez knelków?

- Hm. Może tym razem wymagam zbyt wiele, ale... potrafi przyrządzić gęsie pipki?

- A żebyś wiedział.

- OK. Przyjdę. Uwielbiam żydowskie specjały, a gęsich pipków nie jadłem od czasów szkolnych, kiedy to pewnego piątku Jonathan Lieberman zaprosił mnie na kolację.

- Świetnie, tylko boję się, czy to wytrzymasz. Nie znasz Sophie, nie wiesz, jacy potrafią być jej rodzice. Nie chcę, żebyś poczuł się niezręcznie.

- Nie bój się, prawie wszyscy rodzice moich żydowskich kolegów ze szkoły uwielbiali sprzeczki. Myślałem wtedy, że to z powodów religijnych. Znasz jedenaste przykazanie? Będiesz synem swoim i córkom swoim nieznośnego wstydu przysparzał, swarząc się, ile sił przy wieczerzy w przytomności kolegów dzieci swoich. Zresztą czemu miałbym czuć się nieswojo? Przecież ty tam będziesz.

POSTANOWILI, ŻE SKORO DANIEL będzie przedzierał się przez piątkowy korek, nie ma sensu umawiać się wcześniej; najlepiej będzie, gdy spotkają się po prostu w mieszkaniu Weintraubów w Croydon. Abby zaproponowała, że podrzuci Martina firmową furgonetką, jego towarzystwo okazało się jednak najgorsze z możliwych, ponieważ przez całą drogę gadał przez komórkę z Ichiro. Ich pierwsza randka się udała. Jej przebieg Abby znała na pamięć, ponieważ Stokrota opisał ją chyba z tuzin razy: najpierw poszli na drinka do Met Bar, później na kolację do Nobu. Martin zamówił czarnego dorsza. Ichiro zamówił *ceviche*. Potem zjedli wspólny deser: czekoladowe *bento*. Rozmawiali bez przerwy. Podobnie jak dziś, tyle że przez telefon. Ichiro zadzwonił, kiedy zamykali kwiaciarnię. Wałkowali dwa tematy: jak odzyskać Debbie Harry oraz problemy z panem T. Stokrocie najwyraźniej udało się przekonać przyjaciela, że powinien porzucić stanowisko asystenta u chlebobawcy, który traktuje chłopaka jak coś, co przywłókł pies ze spaceru, i poszukać innego zajęcia.

Po upływie niecałej godziny pogawędka zmierzała, choć niemrawo, ku końcowi.

- Nie, to ty rozłącz się pierwszy - zagruchał Martin. - Nie, nie potrafię się pożegnać... nie, ty... nie, ty pierwszy... Nie, mam pomysł. Rozłączymy się równocześnie, a ja odliczę: raz, dwa, trzy... Co, jeszcze tam jesteś? Ja też... tak, ja ciebie też. Nie, to do jutra - chichot - ja też nie mogę się doczekać... nie, to ja będę bardziej tęsknił. Nie dasz rady tęsknić tak bardzo jak ja... a ja będę liczył sekundy...

- Jesteśmy na miejscu - przerwała sielankę Abby, a Stokrota wreszcie odlepił się od telefonu i prawie natychmiast rozanielił aż do bólu.

- Zakochałem się, zakochałem się, na zabój, na zawsze, po uszy - prawie śpiewał, a Abby popatrzyła znudzonym wzrokiem, ponieważ usłyszała to w ciągu ostatnich kilku dni chyba z pół setki razy.

- Gratuluję, Stokrota, serce rośnie od samego patrzenia na twoje szczęście, ale czy mógłbyś oderwać się od niego choć na chwilę i powiedzieć, gdzie podziewa się strudel, który kupiłam dla rodziców Sophie?

- To chodzący ideał. Cudowny, a do tego taki seksowny. I ma piękne wnętrze...

- Jabłuszka?

- Przejmuje się środowiskiem naturalnym - ciągnął niezrażony Martin. - Jest uduchowiony, kupił mi przecież taką zajebistą książkę o aniołach. Uprawia samorozwój. Czy mówiłem ci, że jego celem jest połączyć wewnętrzne i zewnętrzne aspekty osobowości, aby osiągnąć idealną harmonię i równowagę duchową?

- Coś mi się obilo o uszy. Nie chcę być niegrzeczna, ale czy pomyślałeś choćby przez sekundę o mojej równowadze duchowej? Nici z niej, jeżeli zaraz nie wyjaśnisz mi, co zrobiłeś ze strudlem, po który sterczałam przez pół godziny w kolejce w żydowskiej piekarni? Tylko nie mów, że go nie wziąłeś!

- Strudel? Leży gdzieś tam z tyłu auta.

Abby właśnie uratowała bezcenny wypiek i zamykała furgonetkę, kiedy tuż obok zaparkował Dan i otworzył szybę.

- Gratulacje, zdążyłeś w sam raz! - rzuciła mu na powitanie.

- Korek nie był taki straszny, nawet zdążyłem jeszcze pojechać po strudel.

Faye Weintraub rozpromieniła się na widok dwóch identycznych deserów, o długości trzech stóp każdy.

- Jeden będzie do kawy - oznajmiła, kiedy rozbierali się w przedpokoju - a drugi do zamrażarki.

- Wybaczcie mojej żonie, wydaje się jej, że zamrażarka to jeszcze jedna gęba do wykarmienia - popisywał się Sam, odbierając płaszcze gości.

- Sam, nie jesteś sam - syknęła gospodyni z lodowatym uśmiechem na ustach.

- O co ci chodzi, kobieto? Nic nie mówię, tylko mówię, że...

- To nie mów.

Państwo Weintraub - ona w granatowych spodniach i prążkowanym rozpinanym swetrze z paskiem, on w beżowych spodniach i aksamitnych papuciach - byli dobrze po siedemdziesiątce. Przez dwadzieścia lat starali się o dziecko, co Faye bez skrępowania opowiadała każdemu, kto miał ochotę jej wysłuchać. Dopiero kiedy dobijali do wieku średniego i dawno stracili nadzieję, przyszła na świat ich cudowna, ukochana Sophie.

Abby często wpadała do Sophie na podwieczorek po szkole, kiedy były dziećmi, i miała mnóstwo okazji, by zobaczyć, jak rodzice ubóstwiali jedynaczkę. Mówili na nią Słoneczko i witali takim uściskiem, jaki większość rodziców rezerwuje na wypadek, gdyby ich dziecko wróciło pewnego dnia całe i zdrowe ze strefy wojennej. Sam zawsze się zamartwiał, że córeczka się przeziębi, nawet kiedy miała lat osiemnaście, brała pigułkę i sypiała z Joshua Abrahamsem - także wtedy potrafił błagać ją, by włożyła kamizelkę. Dawno temu Abby przerażały słowne potyczki rodziców przyjaciółki. Nic dziwnego, skoro jej mama i tata nigdy się nie kłócili, a już na pewno nie w jej obecności. Od czasu do czasu docierało do niej, że państwo Weintraubowie prowadzą ze sobą bezgłośny, pełen napięcia taniec, który, chociażby

nie wiem co ich poróżniło, trwał najwyżej parę godzin. Potrzebowała lat, by zrozumieć, że Faye i Sam nie nienawidzą się wzajemnie. Sophie uważała, że taki sposób rozmowy oboje wynieśli z rodzinnych domów - nie potrafili dogadać się inaczej, przynajmniej między sobą. Co innego Sophie, na nią nigdy nie podnieśli głosu. Zamiast tego sadzali ją wygodnie i spokojnie tłumaczyli, co zrobiła źle i za co powinna zostać ukarana.

Nie sprzeczali się nieustannie - zwłaszcza przy stole zdarzało im się prowadzić arcyciekawe dyskusje, w których dopuszczali do słowa obie dziewczynki. W jej własnym domu tematy rozmów były zazwyczaj trywialne, przynajmniej zdaniem nastoletniej Abby: że na patio obluzowała się płytki i trzeba ją przykleić, śmieci u sąsiada wysypują się z pojemnika i śmierdzą, a kotlety, które właśnie jedzą, są tłustsze od tych z poprzedniego tygodnia. Łokcie ze stołu. Należy najpierw przełknąć, a dopiero potem mówić.

U Weintraubów nikt nie zwracał na to uwagi, zdarzało się, że w ferworze dyskusji na tematy polityczne mówiło się z pełnymi ustami, a łokci tylko dlatego nie opierano na stole, bo ręce były potrzebne w ekspresyjnej gestykulacji. Faye i Sam nie byli wprawdzie ludźmi wykształconymi, lecz mimo to inteligentnymi, ciekawymi świata i przejmującymi się jego losem, do tego o zdecydowanie liberalnych poglądach, co w przypadku dorosłych nie wydawało się dorastającej Abby takie oczywiste - przeciwnie, zwłaszcza że rodziców Sophie uważała za starych. Trzeba przyznać, że już we wczesnych latach dziewięćdziesiątych Sam opowiadał się za legalizacją narkotyków - „skończyłaby się dilerka i kradzieże na działkę”; na długo przed tym, zanim opinia ta przestała bulwersować. Często rozmawiali o religii. Rodzice wierzyli w Boskiego Stworzyciela, Sophie - nie, kiedy miała piętnaście lat, zdefiniowała siebie jako żydowską ateistkę-darwinistkę (prawie dwadzieścia lat później niewiele się zmieniło).

- Religia to wiara bez dowodu - zżymała się - jak możecie wyznawać coś, co nie zostało potwierdzone?

- O to właśnie chodzi - odpowiadał Sam, wymachując łyżką lub widelcem - wiara wymaga, by schować rozsądek do kieszeni. Czy to nie Marcin Luther powiedział, że rozsądek jest wrogiem wiary?

- Nie rozumiem - ciągnęła zaczerwieniona z oburzenia Sophie - jak możecie szanować takich chociażby chrześcijan, którzy wierzą, choć nie mają na to najmniejszego dowodu, w człowieka, który narodził się z dziewicy, bez biologicznego ojca, i ten sam facet ożył po tym, jak umarł i leżał w grobie przez trzy dni.

Argument gonił argument, kontrargumenty były analizowane i odpierane, po czym pojawiała się nowa hipoteza. I tak całymi godzinami. Abby wracała do domu z kompletnym mętlikiem w głowie. Rodzice siedzieli zazwyczaj w salonie, tata czytał gazetę, a mama robiła na drutach, oglądając jednocześnie program o zwierzętach na BBC 2, z wyłączonym dźwiękiem, by nie przeszkadzać. Abby przytulała się wtedy do Jean na kanapie i z zamkniętymi oczami wsłuchiwała w miarowe, łagodne tykanie dziadkowego zegara w holu.

WESZŁA SOPHIE - wyglądała oszłamiająco w zawiązywanej sukience w kolorze wina - i na żarty obsztorcowała rodziców, że tyle czasu trzymają gości w przedpokoju.

- Ach, to ty musisz być Dan - zatokowała i przetrzymała jego rękę mgnienie oka dłużej, niż wypadało. - Abby tyle mi opowiadała o twoim... filmie.

Popatrzyła w kierunku przyjaciółki i wypowiedziała bezgłośnie: „Jest boski”.

- Sophie, ile wypiałś?

- Nic, nic, nic, no, może kilka naparsteczków słodkiej sherry dla kurażu.

Faye poprowadziła wszystkich do salonu, a Lamar na ich widok podniósł się z kanapy. Abby zauważyła grającą w tle muzykę *What we need is a great melting pot...* i szepnęła do Sophie:

- Czy ja się nie przesłyszałam? Czy to naprawdę... *...and tum out coffee-coloured people by the score...*

- Nie, to naprawdę *Melting Pot*, tata robi wszystko, w jego mniemaniu, by Lamar się odprężył. Przed chwilą puszczał *Israelites*. - Obie popatrzyły w kierunku Lamara, który nerwowo bawił się sygnetem i wcale nie wyglądał na zrelaksowanego. Sophie wzięła na siebie przedstawianie gości, a Sam roznosił sherry w kieliszkach ustawionych na srebrnej tacy z barierką. Faye wskazała talerze z maleńkimi przystawkami, ustawione na bocznym stoliku, i zniknęła w kuchni.

- Uważajcie, jak będziecie siadać - ostrzegł Sam - moja żona na cześć waszego przybycia wpućowała krzesła nabłyszczaczem, można się ześliznąć! Co to ja właśnie mówiłem do Lamara, zanim weszliście? Aha, o słynnych czarnoskórych Żydach. Jest ich kilku, zwłaszcza w USA, wiem, bo sprawdziłem w Wikipedii. - Wyjął kartkę i zaczął czytać: - A więc Sammy Davis junior, Whoopie Goldberg - oczywiście. Jest jeszcze taki muzyk Lenny Kravitz i koszykarz, o którym nigdy nie słyszałem - ojej, nie mogę przeczytać, co tu nabazgrałem...

- Nic nie szkodzi, panie Weintraub - uspokajał Lamar.

- A właśnie, że szkodzi, to nazwisko nie da mi spokoju przez cały wieczór - przeprosił i poszedł po okulary. Atmosfera nieco się rozluźniła, kiedy Sam i jego lista sławnych czarno-skórych Żydów zniknęli z pola widzenia. Dan rozpoczął rozmowę z Lamarem na temat niedożywienia w krajach Trzeciego Świata.

- Jordan Farmar! - wykrzyknął Sam, wróciwszy do pokoju.

- O co ci chodzi, tato, dlaczego tak krzyczysz?

- To nazwisko koszykarza, którego nie mogłem odczytać. Jordan Farmar, urodzony 30 listopada 1986 roku, gra w Los Angeles Lakers...

- Do stołu, proszę wszystkich do stołu - przerwała zalew informacji Faye, postawiła pośrodku ogromny owalny półmisek i zaczęła wskazywać gościom miejsca. - Wszyscy jedzą siekaną wątróbkę?

- O rany, mamó, co to ma być? - jęknęła Sophie, wskazując na zawartość naczynia. Pyszniło się w nim mięso ułożone w kształt człowieka. Ludzik ten trzymał w ręce miniaturową czarno-zielono-żółtą flagę ANC.

- No jak co? Toż to Nelson Mandela!

- Mamó, na co? Po co?

- Mnie i tacie zależy na tym, by Lamar poczuł się u nas jak w domu...

- Mamó, ale jak mogłaś... - Elokwentnej dziewczynie z wrażenia odjęło mowę.

- Faye, uważam, że to wspaniały pomysł - powiedział Lamar i wziął Sophie za rękę, próbując powstrzymać śmiech. Sięgnął po talerz i nałożył sobie szczodłą porcję z głowy Nelsona Mandeli, po czym podał półmisek Martinowi. Chłopak zrobił się błydy jak cielęcina.

- Dziękuję, tak naprawdę nie jadam podrobów, wolę poczekać na zupę.

Faye starała się go podbudować, że to kwestia wytrenowanego podniebienia.

- Na pocieszenie dostaniesz kurzą łapkę w rosółku. - Ta obietnica sprawiła, że Stokrota prawie zemdlął.

Dan przejął talerz i nałożył sobie przysmaku.

- Drodzy państwo Weintraub, proszę powiedzieć, jak długo są państwo małżeństwem?

- Jak długo? Za długo - wypaliła Faye, a Sam właśnie zbierał się, żeby jej odpyskować, kiedy Sophie usadziła go wzrokiem.

- Och, droga pani Weintraub! Przepyszne! Proszę mi zdradzić, przyrządziła pani wątróbkę z surową cebulką czy ze smażoną?

- Ze smażoną, inaczej aromat nie byłby taki jak trzeba. Cały sekret w tym, że należy ją dusić wolniutko, żeby się skarmelizowała. Dopiero wtedy dodaję wątróbkę. Jeśli pan chce, mogę dać panu przepis.

Dan przytaknął, a Faye zapytała go o film, który właśnie reżyseruje.

- To komedia romantyczna...

- ...oczywiście, tylko moja żona była w stanie wpaść na pomysł, żeby brać ślub dwudziestego kwietnia - przerwał mu Sam, który nie zauważył, że chłopak coś mówi. - ... jak myślicie, co to za data? Tak, zgadza się: urodziny Hitlera!

Goście nie wiedzieli, czy się śmiać, czy płakać.

- Dostałam od niego pierścioneł na poprawę humoru. Wiecie, jak to działa? Kiedy jestem nie w sosie, zostawia czerwony ślad na czole mojego małżonka, co z kolei wprawia mnie w dobry nastrój - zarechotała Faye. - Martinie, Sophie mówi, że jesteś gejem. *Mazel tow!*

- Mamo, błagam, przestań!

- A co, to już nie wolno pogratulować człowiekowi jego orientacji seksualnej?

- Nie. Gratulowałabyś ot, tak, znad wątróbki komuś skłonności heteroseksualnych?

- Nie, bo nie ma czego. Martin może być z siebie dumny, zdobył się na odwagę, stawiał czoło wrogości i uprzedzeniom. Wyszedł z tego cało i zdrowo; trzeba to uczcić!

- Tak jest! - dorzucił Sam.

- Wielkie nieba, pierwszy raz w życiu mój mąż się ze mną zgadza, to też należy świętować.

- Ale przez ciebie Martin czuje się zażenowany, nie widzisz? - denerwowała się Sophie.

- Wcale nie, twoja mama chciała powiedzieć coś miłego, a ja to doceniam. Dziękuję, pani Weintraub. - Na potwierdzenie swych słów Martin z wdzięcznością zaczął obgryzać i ssać kurzą łapkę.

Wszyscy zdążyli wypić trochę wina i atmosfera się rozluźniła do tego stopnia, że nikt nie poczuł się urażony, kiedy Sam zapytał, czemu Murzyni mają wycucie rytmu, a Żydzi nie. W pewnym momencie Lamar zdobył się nawet na żart, że w czasie wojny czarni Żydzi owijaliby się w bawełnę przy jej zbiorach.

Wreszcie Sam podniósł się z miejsca i rąbnął mowę: że witają Lamara w rodzinie jako przyszłego zięcia, że ogromnie cieszą się ze względu na Słoneczko, której buzia nie zmieniła się, odkąd skończyła pięć lat, i jak to cudownie, że znalazła sobie żydowskiego lekarza na męża.

Przy kawie i strudlu rodzice zapytali, czy goście nie mają nic przeciwko temu, by włączyć telewizor i obejrzeć wiadomości o dziewiątej. Sam nie mógł się doczekać, aby sprawdzić, czy plotki o przesunięciach personalnych w rządzie się potwierdzą, a jeśli tak, to kogo z niego wyrzucą. Ponieważ nikt nie zgłosił sprzeciwu, pan Weintraub zabrał się do szukania pilota, a nie mogąc go znaleźć, oskarżył Faye, że zgubiła go ogarnięta manią sprzątaną. Wreszcie okazało się, że leży pod poduszką.

„...a oto sensacja wieczoru. Dwustu brytyjskich pasażerów wszczęło bunt na irlandzkim statku Bantry, cumującym w porcie w Buenos Aires, i odmawia zejścia na ląd”.

Ta wiadomość przeszła niemal niezauważona, reszta gości zajęta była rozmową i nie zwracała specjalnie uwagi na program telewizyjny. Sophie w drodze do kuchni (spieszyła się, by przygotować nową kawę w zaparzarce) rzuciła mimochodem do Abby:

- Czy twoi rodzice nie płyną przypadkiem na Bantry? Na statku rozpoczął się jakiś protest.

- O rany! Więc to naprawdę się dzieje! - wykrzyknęła.

- Ale co? - zdziwił się Dan, a dziewczyna wyjaśniła mu, co przydarzyło się jej rodzicom. Sam podgłośnił i wszyscy goście wlepili wzrok w ekran.

- Są w Buenos Aires już od tygodnia? Dlaczego mama nie zadzwoniła? - denerwowała się Abby.

„Urlopowicze, którzy zażądali skrócenia rejsu, cierpią na ostre zaburzenia przewodu pokarmowego. Powodem ich protestu są skandaliczne warunki sanitarne na statku, za które domagają się odszkodowania. Armatorzy McGinty Maritime odmawiają uznania zasadności roszczenia i twierdzą, że nie zapłacą. Biuro adwokackie w Dublinie podaje...”.

W DALSZEJ CZĘŚCI pokazano wywiad z drapieżnie wyglądającą prawniczką, która upierała się, że pasażerowie zarazili się biegunką od jednej z osób biorących udział w rejsie i ich choroba nie ma nic wspólnego z warunkami higienicznymi na statku.

- Co za bzdury! - oburzyła się Abby. - Mama już pierwszego dnia musiała szorować umywalkę, bo wybijało ścieki! To cud, że do tej pory wszyscy nie zeszli na tyfus!

- Patrz! Tam jest twoja mama!

- Gdzie, gdzie?

Na ekranie widać było chyba setkę osób zebranych na pokładzie, trzymających transparenty z napisami „Władza w ręce ludu” i „Nie wciskajcie nam gówna!” i „Gówno prawda”, wykonanymi naprędce grubym flamastrem.

- Czego chcemy?! - wołała Jean do megafonu, który wytrzasnęła nie wiadomo skąd.

„Może z łodzi ratunkowej?” - pomyślała córka.

- Sprawiedliwości! - zakrzyknęli protestujący.

- Kiedy?

- Teraz! Teraz! Zaraz!

Abby dostrzegła tatę, stał tuż za mamą i ojcowskim niemal gestem położył jej rękę na ramieniu. Wyglądał na zmęczonego, stracił nieco na wadze, lecz twarz jego rozświetlało poczucie dumy.

- Dajcie mi S! - Pięść Jean wystrzeliła w powietrze, jakby należała do rewolucjonistki-marksistki. Córce wydało się, że jeszcze chwila, a biedna mama zawoła: „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się”.

- Es!!!

- Dajcie mi P!

- Pe!

- Rany! Czy to mama, czy to Che Guevara! - Nie dowierzała własnym oczom Abby.

- Ale chyba jesteś z niej dumna? - zainteresowała się Sophie. Dziewczyna usiadła na kanapie i przyglądając się Jean, przyznała z uśmiechem, że rzeczywiście. W tym momencie zadzwoniła komórka.

- Abby, tu mama.

- Mamusiu! Czemu się nie odzywałaś? Siedzę u Sophie, właśnie oglądamy cię w telewizji - całkiem nas tu sporo i wszyscy cię podziwiamy. Byłaś świetna!

- Powiedz mamie, że rodzina Weintraubów życzy jej szczęścia i „Władza w ręce ludu!” - zawołała Faye, wznosząc pięść. Abby posłusznie przekazała jej słowa i spytała, czy rodzicom nic nie dolega.

- Ach, kochanie, nie wydziwiaj. Przez kilka dni czuliśmy się z tatą dość marnie, dlatego się nie odzywałam. Kilkoro z nas rozchorowało się na tyle poważnie, że wylądowali w szpitalu, reszta jakoś się trzyma. Ciągle jeszcze latamy do ubikacji, ale to nic w porównaniu z tym, co działo się parę dni temu.

- Na pewno?

- Tak, nie martw się. Mieszkańcy po tym, jak zobaczyli nas w wiadomościach, przemycają nam na pokład jedzenie i świeżą wodę. Szczerze mówiąc, mamy z tatą niezły ubaw. Dla kogoś w naszym wieku to cudowne uczucie walczyć w słusznej sprawie. Posunę się nawet do tego, że powiem ci: to najlepsza podróż w naszym życiu!

SOPHIE WRESZCIE DOTARŁA do kuchni, gdzie zaparzyła świeżej kawy i dokroiła strudla. Kiedy wróciła do salonu, telewizor był wyłączony, a w rozmowie królował temat: bunt na Bantry. Wszyscy zastanawiali się, po jakim czasie wmiesza się policja. Abby doznała przerażającej wizji, jak uzbrojone argentyńskie oddziały wdzierają się na statek, wywlekają na siłę pasażerów i wrzucają do jakiejś zawilgoconej celi, w której biedacy gniją aż do dnia procesu.

- Ale za co mieliby ich aresztować? - uspokajała Sophie. - Nie zrobili przecież nic złego, odmówili tylko zejścia ze statku. Mówię wam, najgorsze, co im grozi, to deportacja.

Reszta gości przyznała jej rację, co Abby trochę uspokoiło, jednak nie mogła uwolnić się od wizji przerażających scen, w których Jean i Hugh powoli gniją w argentyńskim więzieniu przez kolejnych dwadzieścia lat.

O dziesiątej gospodarze zaczęli słaniać się na nogach. Sam zdrzemnął się - z otwartymi ustami, w fotelu, pomimo wypitej kawy, Faye wspomniała mimochodem, że musi rano wcześnie wstać, bo idzie na aquaaerobik.

- Wiesz co, Dan? Robi się późno, myślę, że powinniśmy się pożegnać i pozwolić rodzicom Sophie odpocząć - oznajmiła Abby i podziękowała Faye za cudowny wieczór.

Sam przebudził się, w czym wydatnie pomógł mu kuksaniec pod żebro, którym poczęstowała go żona, i pożegnał z gośćmi. Po odejściu rodziców Sophie uściskała przyjaciółkę i Martina i zapewniła, że bez ich pomocy nie przebrnęłaby przez upiorny wieczór.

- Danielu, cieszę się, że cię poznałam, i przepraszam za rodziców, czasem ich trochę ponosi.

Odpowiedział, że bynajmniej, Sam i Faye wydali mu się czarujący i doskonale się bawili.

- Przystojny, a do tego dyplomata - szepnęła do przyjaciółki na stronie.

Abby i Dan czekali na chodniku na Martina, który wrócił do mieszkania po szalik, i zastanawiali się, co zrobić z rozpoczętym wieczorem. Daniel zaproponował, by pojechali do niego obejrzeć film, dziewczyna zaproponowała - obiecała podrzucić Stokrotę furgonetką.

- Przecież może pojechać sam?

- Ale jak ja wtedy wrócę?
 - Podwiozę cię.
 - Nie, daj spokój, nie będziesz włóczył się po nocy, masz przecież za sobą jazdę aż z Devon.
 - Nie myślałem o włóczeniu się po nocy.
 - Słusznie, przecież mogę wziąć taksówkę.
 - Abby, nie chcę, żebyś wracała taksówką, autobusem, pociągiem, tramwajem ani nawet rikszą.
 - Nie? - Zarumieniła się, a on w odpowiedzi uśmiechnął się i potrząsnął przecząco głową.
 - Czyżbyś sugerował, że powinnam... że mogę... zostać na noc?
 - Sugeruję, ale nie nalegam, tak jak się umówiliśmy, więc zależy to wyłącznie od ciebie.
- Zastanowiła się przez kilka sekund.
- Jedziemy!

Rozdział 11

Coś taka milcząca? - zapytał Dan, zapalając silnik. - Jeśli żałujesz i myślisz, że to za wcześnie, zrozumieć i nie będę miał ci za złe.

- Nie o to chodzi. - Uśmiechnęła się. - Myślałam o rodzicach, o mamie w szczególności. Ten bunt na Bantry zupełnie nie pasuje do jej charakteru. Jedyne publiczne protesty, na jakie się zdobyła, miały miejsce na konkursie wypieków koła gospodyń, na który jedna z pań domu przemyciła kupne ciasto, a mama zwróciła uwagę jury na tę zbrodnię. Przepelniała ją duma, dopóki ciocia Gwen nie przestraszyła jej przysłowiem, że kto sieje wiatr, ten zbiera burzę. Odtąd Jean przez kolejne pół roku żyła w strachu, że dopadnie ją baba od kupnego ciasta i się zemści. Nie potrafiła przejść główną ulicą, nie oglądając się za siebie co pięć minut.

- Żartujesz? Nie była dzielnym wzorem do naśladowania?

- Owszem, ale w inny sposób. Wspierała mnie przez cały okres dorastania, za każdym razem, kiedy jej potrzebowałam, mogłam się do niej zwrócić. Jest dobra, kochająca, cierpliwa, wspaniale potrafi słuchać. W dzieciństwie zawsze czułam się bezpieczna i kochana. Kłopot w tym, że nie mieści jej się w głowie, że mogłaby być dla mnie wzorem do naśladowania, ponieważ zamiast pracować zawodowo, została w domu i zajęła się wychowywaniem dziecka.

Trochę się boję, czy ten cały protest nie wciągnął jej tak bardzo właśnie dlatego, że pragnie pokazać mi, na co ją stać.

- Może i tak, ale mnie się wydaje, że krytyczna sytuacja na statku wydobyła z niej energię i zapał, które tkwiły w niej uśpione przez całe lata.

- Zgadzam się. Patrząc na nią, miałam mieszane uczucia: cieszyłam się, że odkryłam w niej nową, nieznaną stronę, ale wydało mi się to dziwne, jakby była jakąś obcą osobą - podobnie jak tata. Żałuję, że są tak daleko - powiedziała, otwierając okno, by wpuścić do środka świeże powietrze.

- Nie martw się, nic im się nie stanie. - Dan poklepał ją po kolanie.

- Pewnie, muszę tylko powstrzymać trochę wyobraźnię, która podsuwa mi katastroficzne wizje. À propos - uśmiechnęła się - jaki film będziemy oglądać?

- *Życie jest piękne?*

- Hura, już się bałam, że każesz mi siedzieć i wlepić wzrok w *Ojca chrzestnego*. Nie wiem, czy byłabym w stanie znieść trzy godziny mamrotania.

- Znowu zaczynasz. - Potrząsnął głową z udawaną rozpaczą. - W tym filmie nikt, ale to nikt nie mamrocze.

- Jak to nie? Wszyscy cały czas mamroczą.

- Wcale nie.

- Tak.

- Nie.

- Tak.

- No dobra, sama się prosisz. W takim razie koniecznie musimy go teraz obejrzeć, udowodnię ci, że się mylisz.

- Niech ci będzie.

Z ZEWNĄTRZ MIESZKANIE DANA wyglądało mniej więcej tak, jak oczekiwała: suterena w niewielkiej białej dziewiętnastowiecznej kamienicy na jednej z mniej atrakcyjnych ulic Camden Town. W środku pachniało farbą i nową wykładziną.

- Mieszkam tu dopiero od kilku miesięcy. Sam urządziłem.

Ogarnęła wzrokiem białe ściany i szarą podłogę, przez które wnętrze nabrało chłodnego współczesnego charakteru.

- Meble z Ikei, bo pomyślałem, że im prościej, tym lepiej. Ciemny jesion nigdy się nie opatrzy.

Abby uśmiechnęła się do siebie. Wszyscy mężczyźni, jakich знаła, z wyjątkiem Martina i Toby'ego, który miał upodobanie do luksusowych wnętrz, urządzali mieszkanie w ten sam sposób. Uważali, że tak jest po męsku i bezpretensjonalnie, Dan nie stanowił zatem wyjątku. Wszystkie meble - stolik kawowy, stół, biurko, półki - pokryte były dobrze znanym czarnobrazowym fornirem. Jeszcze jeden aspekt wnętrza wydał jej się typowo męski: wszędzie wałały się porzucane stare gazety, czasopisma i książki. Do tego zabawki dorosłego chłopca - tu iPod, tam blackberry, na kanapie zza poduszki wyglądał aparat cyfrowy.

- Ale tu fajnie - pochwaliła szczerze, bo choć mieszkanie nie było urządzone w jej guście, podobało jej się i dobrze się w nim czuła. Może przez kontrast, bo u Toby'ego, który przejawiał gust zgoła bajroniczny, w pokojach aż roilo się od perskich dywanów, satynowych draperii, fikuśnych sofek i drogocennych cacek, które wyglądały jak z kolekcji któregoś cara. Apartament eksnarzeczonego wystylizowany był do tego stopnia, że onieśmielał, dlatego przez kontrast Abby w tym typowo męskim wnętrzu poczuła się swobodnie. Dan wydobyl paczkę zapalek z kubka z napisem „Santos for President”, gdzie było ich miejsce, przyklęknął i zabrał się do rozpalania ognia w ładnym, niewielkim marmurowym kominku. Abby zanotowała w myślach, że drewno było przygotowane. Podpalił woskową kostkę rozpalaki, w chwilę później dało się słyszeć charakterystyczne trzeszczenie płonącego papieru i drobnych gałązek. Kiedy ogień chwycił, Daniel podszedł do regału. Trzy półki wypełniały szczelnie filmy na DVD. Przejechał palcem po górnym rzędzie. Nie znalazł tam *Ojca chrzestnego*, zaczął zatem sprawdzać w drugim.

- Jest! - zawołał, machając pudełkiem w powietrzu.

Włożył płytę do odtwarzacza i zniknął na moment w kuchni. Wrócił z butelką wina i dwoma kieliszkami.

- Pytanie za dziesięć punktów: jakie słowo ani razu nie pada w tym filmie? - zapytał, siadając tuż przy niej na czarnej skórzanej kanapie.

- To proste: „mafia”.

- Zgadza się! Jak na kogoś, kto nie znosi tego filmu, jesteś niezłe zorientowana w szczegółach.

Znała odpowiedź, ponieważ w zeszłym tygodniu pytanie to padło w *Milionerach*, których akurat oglądała.

Dan nalał wina. Napisy skończyły się, przez kilka minut wpatrywali się w ekran bez słowa.

- I co? Rozumiesz, co mówią? Mamrotanie jeszcze się nie rozpoczęło?

- Niby nie, ale nudzę się okropnie.

- Pozwól, że przypomnę: problem nudy nas nie interesuje. Siedzimy tu po to, by ustalić współczynnik mamrotania.

- Och, przepraszam, panie prokuratorze. Zastosuję się do upomnienia - powiedziała, dźgając go żartobliwie pod żebro. Minęło pięć minut, ogień w kominku syczał i trzeszczał.

- I co, ktoś może zamamrotał?

- Wszyscy.

- Wszyscy? Źle słyszysz? Kogo nie rozumiesz?

- Marlon Brando mówi, jakby miał kamyki w buzi.

- Dobra, ale go słyszysz? Rozumiesz, co mówi?

- Niby tak, ale nie o to mi chodziło.

- A o co? Z tego, co wiem, mamrotanie to cicha, niewyraźna mowa?

- W potocznym rozumieniu, ale dla mnie mamrotany film to taki, w którym czarne charaktery mamrocą, przypalając cygara, piją i spiskują w przyćmionym świetle, tak że nie wiadomo, o co im właściwie chodzi.

- A, masz kłopot ze zrozumieniem akcji?

- To tu toczy się jakaś akcja? - dokuczała.

- Pani sarkazm nie jest w moim guście - oznajmił, imitując głos Brando.

- Uwielbiam, jak mnie rozśmieszasz - zachichotała.

- Pani się ze mnie wyśmiewa? - zapytał tym samym tonem. - To policzek dla mnie i mojej rodziny. Będę musiał dać pani nauczkę.

- Czyżby?

- Przykro mi. - Odstawił własny kieliszek, po czym wyjął kieliszek z rąk Abby i postawił tuż obok na stoliku. Zanim się zorientowała, poczuła usta Daniela na swoich.

- Wie pan co? Tępa ze mnie uczennica - wymamrotała pokazowo w przerwie pocałunku.

- Musi pan powtórzyć tę lekcję.

Ujął jej twarz w dłonie, przyciągnął delikatnie do swojej. Tym razem ogarnęła ich jeszcze silniejsza namiętność. Ich języki się spotkały. Poczuli na ciele rękę wędrującą w

kierunku jej piersi. Usłyszała własny mimowolny jęk zmieszany ze śpiewami rodziny Corleone w tle.

Całując, rozpiął guziki jej bluzki i rozluźniał pasek przy spódnicy. Potem jego usta dotknęły sutków. Położyła mu rękę w kroczu i wyczuła twardość. Nie przestając się całować, przenieśli się na dywan przed kominkiem, a po drodze Dan jakimś cudem zdołał wyłączyć odtwarzacz. Zadrżała, czując dotyk jego ręki sunącej wzdłuż uda ku majtkom.

- Rozłóż nogi - szepnął.

Zamknęła oczy, oddychając ciężko. Posłuchała. Westchnęła, kiedy odsunął brzeg bielizny, sięgając pod nią palcami. Nawet wtedy nie przestawał całować jej piersi.

- No dobra, precz z tym - zdecydował nagle, uniósł jej pupę i zerwał z niej majtki. Zacisnęła bezwiednie kolana, choć zdała sobie sprawę, że to nie czas i miejsce na skromność. - Nie bój się, wszystko w porządku. Nie myśl o niczym.

Przestała ścisnąć nogi. Znowu poczuła jego palce, coraz bardziej odważne. Jęknęła. Dotyk był tak lekki, że niemal doprowadzał ją do szału. Prawie płakała, gdy Dan celowo omijał jej nabrzmiałą, pulsującą lechtaczkę.

- Proszę, dotknij mnie wreszcie...

- Cii, po co ten pośpiech?

Kiedy wreszcie jej posłuchał, usłyszała niski, prawie zwierzęcy okrzyk i ledwie mogła uwierzyć, że wyrwał się on z jej ust. Palce pieściły ją stanowczym, okrężnym ruchem. Parokrotnie zatrzymywały się i czuła, dwa czy trzy, jak wciskały się w nią głęboko. Za każdym razem niemal traciła oddech, po czym prawie krzyczała z rozkoszy.

Sięgnęła mu do rozporoka i rozsunęła zamek płynnym ruchem. Dotknęła czubka penisa, który wystawał z majtek. Zsunęła je razem z džinsami, uwalniając imponującą erekcję. Dan przekreślił Abby na brzuch. Poczuła, jak penis dotyka jej pośladków. Uniosła się na kolana, podkładając pod brzuch poduszkę.

- Cudownie - szepnęła, gdy Daniel rozsmarował jej własną wilgoć po pośladkach, po czym znów zaczął dotykać.

Prawie dochodziła z pomocą jego silnych palców, kiedy nagle przerwał i wszedł w nią jednym zdecydowanym ruchem. Jego pchnięcia były głębokie, prawie bolały, na pociechę nie przestawał masować lechtaczki. Dziewczyna poczuła, jak odpływa. Ruchy stały się szybsze, uścisk jego ramion mocniejszy, pulsowanie w środku zawrotne.

Chwilę później leżeli objęci, wpatrując się w płomień na kominku. Oczy Abby wypełniły się łzami.

- Co ci się stało? Zrobiłem coś nie tak?

- Przeciwnie. Wszystko jest, jak trzeba. To cudowne! - Popatrzyła w sufit. - Wiesz, w związku z Tobym zapomniałam, co to znaczy naprawdę kogoś pragnąć i...

- ...kiedy ten ktoś pragnie ciebie?

Skinęła głową i odwróciła ku niemu wzrok.

- Wiem. - Pocałował ją w mokry policzek.

Tej nocy kochali się jeszcze dwukrotnie, w końcu zasnęli wtuleni w siebie jak dwie łyżeczki na łóżku w okleinie czarny jesion.

WSTAŁA TUŻ PO SIÓDMEJ, nastawiła wodę na kawę i wzięła prysznic. Dan leżał na plecach i spał. Kołdra zsunęła się i odsłoniła jego klatkę piersiową i brzuch. Abby, widząc je w świetle dziennym, doszła do wniosku, że ich posiadacz na pewno regularnie ćwiczy. Poruszył się przez sen, pościel odsłoniła ciemny pas włosów nieco poniżej pępka. Poczwała, że znów ma ochotę na Daniela, pozwoliła, by ręcznik, którym się owinęła, opadł na podłogę. Weszła pod kołdrę i przesunęła czubkiem języka wzdłuż penisa. Dan przez sen wydał przyjazny pomruk. Liznęła jeszcze raz, poczuła, że członek twardnieje.

- Abby, to ty?

- Oczywiście, że ja. - Wystawiła głowę spod kołdry. - A kogo się niby spodziewałeś?

- Sprawdzam, czy mi się to nie śni - odpowiedział zaspanym głosem - bo właśnie wyobrażałem sobie, że robię coś brzydkiego z mokrym psem.

Abby odpowiedziała, że dopiero co wzięła prysznic i ma mokre włosy.

- W takim razie nie ma powodu do niepokoju. Nie przeszkadzaj sobie - oznajmił, a ona powróciła do przerwanej czynności, póki nie doznał pełnej erekcji.

- Chodź no tu - poprosił, a wtedy wydostała się spod kołdry. Wkrótce poczuła wewnątrz jego palce. Wstał, stanął obok łóżka i położył jej nogi na swoich ramionach. Poczwała, jak jego język bada ją i pieści. Potem palce. Potem znowu język, aż do momentu, kiedy zapragnęła, by Dan w nią wszedł, i przyciągnęła go ku sobie.

- Jeszcze. Jeszcze mocniej - zachęcała, czując wyczekiwane pchnięcia i palce cały czas masujące jej lechtaczkę. Wreszcie, kiedy wydało jej się, że Dan zaraz dojdzie, odsunęła go od siebie, a on pieścił ją do chwili, aż zrobiła się zupełnie gotowa i jednocześnie osiągnęli szczyt.

- Nigdy nie sądziłam, że może być tak wspaniale - powiedziała, cała spocona. - Myślałam, że to jeden z mitów wymyślonych w Hollywood,

- Ach, po prostu trzeba znać się trochę na rzeczy.

Ugryzła go żartobliwie w ramię, a on ją za karę pocałował.

ABBY UBIERAŁA SIĘ, a Dan poszedł do kuchni dokończyć kawę.

- Pewnie nie masz suszarki?! - zawołała.

- Zajrzyj do szafki nocnej. Druga szuflada od dołu.

Znalazła, czego szukała, w szafce po swojej stronie. Zamykając szufladę, zauważyła, że jakiś magazyn zsunął się z blatu na podłogę. Podniosła go, okazało się, że to gazetka firmowa S&M pod tytułem „Spod Lady”. Zaczęła ją bezmyślnie wertować, zatrzymując oko na fotografiach nowych pracowników, świeżo upieczonych emerytów, których postaci wycierały zza gigantycznych bukietów, i uśmiechniętych od ucha do ucha pracowników miesiąca otwierających butelki szampana.

- Kawa - oznajmił Dan, wchodząc do sypialni z dwoma kubkami w rękach. Miał na sobie tylko bokserki. - O, znalazłaś suszarkę, mam nadzieję, że działa. To pamiątka z czasów, kiedy hodowałem długie włosy, jakieś dziesięć lat temu.

- Założę się, że wyglądałeś czadowo.

- Też mi się tak wydawało, ale była dziewczyna powtarzała mi do znudzenia, że wyglądam jak Céline Dion. Wiesz co, może przetestuję ten sprzęt, zanim zaczniesz suszyć włosy.

- No coś ty, na pewno działa.

- Nigdy nic nie wiadomo. - Wziął suszarkę do ręki i włożył wtyczkę do kontaktu.

- Skąd się wziął u ciebie magazyn S&M?

- Przepraszam, nie dosłyszałem - usprawiedliwił się, bo urządzenie wydało z siebie donośne buczenie, zwiastujące, że coś z nim jest nie tak.

- Pytałam... - Przerwał jej niebieski błysk, huk i jakieś podejrzanе pyknięcie. Suszarka przestała działać.

- Moja diagnoza brzmi: poległa w akcji - zawyrokował Daniel.

- Na to wygląda. - Abby się zaśmiała i powiedziała, żeby się nie martwił, bo ma w torebce gumkę i zwiąże włosy.

Próbowała ją odszukać i zapomniała o swoim pytaniu.

Rozdział 12

Dan uparł się, że odwiezie ją do pracy.

- Teraz pewnie żałujesz? - spytała Abby, kiedy ugrzęźli w beznadziejnym korku. Popatrzyła na zegarek: przez ostatnich dziesięć minut ujechali najwyżej kilka jardów. Na Camden Road ruch spowolniały roboty drogowe, samochody wlokły się niemiłosiernie. Abby zadzwoniła się do Martina i uprzedziła go, że spóźni się do pracy. Uspokoił ją, że sobie poradzi i już otworzył kwiaciarnię.

- Umieram z ciekawości, jak poszło wam wczoraj wieczorem. Daniel jest super, prawda?

- Stokrota, świetnie byłoby, gdybyś zdażył przygotować te zamówione wiązanki.

- O, ja gapa. On siedzi przy tobie i nie możesz rozmawiać, prawda?

- Tak, mogą być z asparagusem.

- OK, pogadamy później.

Korek w północnym Londynie zablokował ich na ponad godzinę. Abby starała się w tym czasie wysłuchać w radiu jakichś wiadomości - może powiedzą coś o protestujących w Buenos Aires? Usłyszała krótkie doniesienie: strajk okupacyjny trwa. Do Upper Street dotarli o wpół do dwunastej, znalezienie wolnego miejsca zajęło im dziesięć minut. Kiedy wysiedli niedaleko sklepu, zauważyła postać, która wydała jej się znajoma. Właściciel Goździkowego Globu. Czowała, że czerwieni się ze złości.

- Widzisz tego faceta w zielonej kurtce? To Christian. Założę się, że znowu idzie znęcać się nad Stokrotą. Najchętniej wzięłabym go za klapy...

- Chcesz, to wbiję mu to i owo do zakutego łba...

- Dzięki za propozycję, ale to nie twoja działka, nie jestem pewna, co Martin by na to powiedział.

- Przecież nie tylko z nim ma na pieńku, z tobą także. Nie dość, że się ciebie czepia i obraża, odebrał ci jeszcze narzeczonego.

- Wiem, ale nie chcę robić scen, najlepiej go zignorować.

- Mógłbym wypróbować na nim kilka moich słynnych pchnięć - zaproponował, przybierając pozę muszkietera gotowego do walki z podłymi pachołkami Richelieu. - Walcz, Christianie, nędzniku!

Zaczął fechtować w powietrzu, atakując i broniąc się przed niewidzialnym wrogiem, aż wykonał zbyt gwałtowny ruch i uderzył ręką w uliczną latarnię, która znalazła się bliżej, niż się spodziewał. Ryknął z bólu i zaczął masować kłykcie.

- Widzisz! - Abby się zaśmiała. - Nie poradysz sobie bez Aramisa i d'Artagnana. - Patrzyła, jak Christian, z oczami wbitymi w ziemię, mija ich bez słowa. Wydawało jej się, że dostrzegł ich, ale jest tak zawstydzony, że umyślnie unika kontaktu wzrokowego. Postanowiła, że nie pozostawi go w spokoju. Bez namysłu dogoniła go, wyprzedziła i zagroziła mu drogę.

- Ej! Jeżeli znów był pan w mojej kwiaciarni i przestraszył Martina, i...

- Proszę mnie przepuścić - odpowiedział, ignorując jej słowa. Abby spodziewała się, że po tym, jak odbił jej Toby'ego, okaże jakiś ślad skruchy czy niepewność, ale nic podobnego - zdawał się równie arogancki i zarozumiały jak zwykle.

- Proszę zostawić Martina w spokoju. W przeciwnym razie...

- No, no co?

- Jeszcze pan zobaczy.

- Chyba uszło pani uwagi, że moim partnerem jest wyjątkowo zdolny wpływowy prawnik. Na pani miejscu zastanowiłbym się, zanim zacząłbym obrażać ludzi.

- Och, więc jak wam się układa z Tobym? - zapytała z nietypowym dla siebie sarkazmem.

- Mój związek to nie pani interes.

- Ma rację. Chodźmy. - Dan próbował ją odciągnąć. Christian zmierzył go bezczelnie od góry do dołu i poradził Abby posłuchać rady przyjaciela. Ten wziął ją pod rękę i łagodnie skierował ku wejściu do kwiaciarni, lecz nagle puścił z krzykiem.

- Cholera! Właśnie wlepiają mi mandat!

- Leć! Spróbuj się jakoś dogadać. Ja skończyłam, powiedziałam temu panu wszystko, co miałam do powiedzenia. Spotkamy się w sklepie.

- A, jeszcze jedno! - zawołał za nią właściciel konkurencyjnej kwiaciarni. - Napisałem odwołanie od postanowienia rady dzielnicy.

- Świetnie. Właśnie tego mi brakowało. - Ogarnął ją gniew. - Dlaczego pan się na mnie uwziął?

- Że niby co?

- Stale mnie pan prześladowuje. Co ja panu zrobiłam?

Christian nie dawał się wciągnąć w dyskusję i próbował wyminąć Abby. Ta złapała go za rękaw, co zauważyli przechodnie i zwolnili, by w razie czego wmieszać się w spór.

- Zabierz ręce! - krzyknął, lecz dziewczyna nie puściła rękawa.

Christian powtórzył rozkaz; tym razem posłuchała, bo zaczęło przyglądać im się coraz więcej ludzi.

- Wie pan co? Jest pan nieznośnym, mściwym brutalem. Nie wiem, cóż takiego Toby w panu widzi.

- Więcej niż w pani, jeśli się nie mylę.

- Tylko dlatego, że ma skłonności homoseksualne. Mówię serio, jeżeli nie przestanie mnie pan prześladować, zacznę działać.

Mężczyzna już otworzył usta, by sypnąć pogroźkami, lecz nie zdążył nic powiedzieć, ponieważ nagle pojawił się przy nim Toby, z wypchanymi reklamówkami od Sainsbury's w obu rękach.

- Może łaskawie wytłumaczycie mi, o co wam chodzi? - warknął, stawiając torby na chodniku. - Nie zauważyliście, że robicie z siebie widowisko?

Christian wbił wzrok w ziemię. W obecności partnera nagle spokorniał.

- Co się tutaj dzieje? - Zapytał była narzeczoną Toby.

- Dziękuję za takie powitanie. - Przyjęła bojową postawę i oparła ręce na biodrach. - Może powiedziałbyś przynajmniej: „Cześć, Abby, co u ciebie słychać?”, „Jak sobie radzisz, odkąd zostawiłem cię dla pewnego faceta?”.

- Proszę, nie zaczynaj.

- Nie zaczynam, dzielę się tylko moimi spostrzeżeniami.

- Energiczna jak zwykle - zauważył ciepło. - Opowiedz, co u ciebie?

- Wszystko w porządku. A u ciebie?

- Też.

- Do cholery! Teraz, kiedy wymieniliście powitalne uprzejmości, możemy się wreszcie rozejść? - wmieszał się Christian.

- Nie, nie możemy, dopóki nie obiecasz, że przestaniesz czepiać się mnie i Martina! - ryknęła Abby.

- Tylko mi nie mów, że znowu poszedłeś do Ładnych Kwiatków i groziłeś Martinowi? - zapytał Toby. - Przecież powiedziałeś, że idziesz do kiosku po krem do golenia?

Christian zignorował pytanie, odpowiedział za to atakiem.

- Ja się czepiam? Ja wam grożę? Toby, czy nie widzisz, że ta kobieta jest nienormalna?

- Nie wygłupiaj się. Abby jest najzupełniej normalna, a jedyna nienormalna osoba w okolicy to ty.

Christian się zaczerwienił. Dziewczyna nie mogła uwierzyć własnym oczom, że potulnie pozwala się łąjać. Toby nagle zorientował się, że zapomniał kupić sałatę pekińską, i kazał kochankowi skoczyć po nią do supermarketu. Ten posłuchał bez mrugnienia okiem.

- Ten typak przy tobie zachowuje się potulnie jak baranek. Jak ty to robisz, hipnotyzujesz go czy co? - zapytała z niedowierzaniem Abby.

- Christian wyczuwa najmniejszą oznakę strachu w innych ludziach i wtedy rzuca się na nich niczym rottweiler. Ja w ogóle się go nie boję, możliwe, że z tego powodu przekonałem się, jaki jest wrażliwy, jak w gruncie rzeczy łatwo go zranić.

- Nie opowiadaj bajek. Jest wrażliwy jak Goebbels.

- Miał trudne dzieciństwo.

- Tak, tak, Stokrota mi opowiadał, jego ojciec pił za dużo, a matka umarła czy jakoś tak.

- Mój ojciec też był alkoholikiem, o ile sobie przypominasz, dlatego wiele nas z Christianem łączy.

Abby nie miała nastroju na uprzejme analizowanie osobowości właściciela Goździkowego Globu, więc zdecydowała się zmienić temat i zapytała, jak miewa się matka Toby'ego.

- Zdrowie jej dopisuje... w dalszym ciągu trzęsę się przed nią ze strachu, ale powoli próbuję z tym walczyć. Zapisalem się na terapię. Moja pani psychiatra przyjmuje na siebie rolę matki, a ja wrzeszczę na nią ile sił i wypominam jej, jaka jest okrutna i że nie pozwolę jej sobą pomiatać. Dobrze mi idzie, ale całe wieki miną, zanim odważę się tak nawrzucać mamie.

Abby pocieszyła go, że moment ten nadejdzie wcześniej, niż mu się zdaje, ale Toby podszedł do jej zapewnień sceptycznie.

- Nie widziałem matki od dawna. Zaangażowała się w jakiś medialny projekt, chyba coś w telewizji. Nie wiem, bo robi wokół tego wielką tajemnicę. No nic, czas na mnie, powinienem dogonić Christiana. Cieszę się, że cię spotkałem, Abby.

- Toby! - zawołała za nim. - Chciałam ci jeszcze powiedzieć, że się z kimś spotykam.

- Brawo, gratuluje!

- Tam stoi. - Ruchem głowy wskazała Daniela, który wciąż negocjował z przedstawicielem straży miejskiej. - To ten sam, z którym utknęłam w windzie.

Mężczyzna nie spojrzął we wskazanym kierunku, przytaknął skinieniem głowy i powiedział, że kiedy wówczas słuchał, jak opowiadała o Danielu, wydawało mu się, że coś między nimi zaiskrzyło.

- Cieszę się, naprawdę się cieszę - powtórzył i zebrał się do odejścia, lecz zatrzymała go jeszcze jedna myśl. - Chciałbym, żebyś wiedziała, że uważam cię za cudowną osobę i naprawdę byłem w tobie zakochany... to znaczy: kochałem cię. Gdybym nie był gejem, to właśnie ciebie i tylko ciebie...

- ...wybrałbym i wielbił do końca życia? - Uśmiechnęła się.

- Bez dwóch zdań. - Wziął eksnarzeczoną za rękę. - I chciałbym cię przeprosić: bardzo mi przykro, że tak z tobą postąpiłem.

- Wierzę ci, dlatego mi ulżyło.

- To dobrze.

- Ta wariatka jeszcze tu stoi? - zapytał rozsierdzony Christian, który właśnie wrócił ze sklepu.

- Uspokój się! - nakazał Toby, chwytając go gwałtownie za ramię.

- Ani mi to w głowie - zasyczał mężczyzna.

- Uspokój się, i to już! A teraz chodź.

- Ale to wariatka - protestował niezrażony Christian, pozwalając wlec się w stronę domu - ona jest chora, ma nie po kolei w głowie, dobrze o tym wiesz...

- Nie ja mam nie po kolei, tylko pan! - wrzasnęła za nim Abby. - Powinien się pan leczyć!

- Daj spokój, zostaw go - uspokajał Dan, który wreszcie nadszedł. - Powiedziałaś mu już, co trzeba. Ach, więc to właśnie jest Toby - dodał po chwili. - Przystojny.

- Czy mnie słuch myli? Usłyszałam w twoim głosie nutkę zazdrości! Zazdrości o geja?

- Abby, jak mógłbym być zazdrosny o homoseksualistę, który na skutek szczęśliwej konfiguracji genów nie przejawia erotycznego zainteresowania twoją osobą?

Pomyślała chwilę i stwierdziła, że czasem uczucia działają wbrew logice.

- Nie w moim przypadku.

Dziewczyna nasłuchiwała: z daleka wciąż dochodziły strzępy zażartej dyskusji między Christianem i Tobym. Nie mogła oprzeć się pokusie i zawołała za nimi:

- A jakby pan chciał wiedzieć: mój chłopak Dan jest mistrzem szermierki! Walczy w reprezentacji narodowej! Jeśli jeszcze raz naskoczy pan na Martina, to go na pana napuszczę.

Zna najtrudniejsze pchnięcia, uniki... umie nawet przeskoczyć z jednego żyrandola na drugi... Jeszcze się pan przekona!

Na dźwięk jej słów przechodnie zaczęli się oglądać i podśmiewać. Dan wziął ją za ramię i nieomal zawlókł do wnętrza kwiaciarni, aby zakończyć to nieszczęsne widowisko. Abby zawstydziała się, bo wyobraziła sobie, że będzie wściekły za jej ostatnią głupią uwagę, i czekała, aż ją ochrzani.

- Ach, więc zostałem oficjalnie twoim chłopakiem? - Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Ojej, przepraszam! Wymknęło mi się! - Przestraszyła się poniewczasie i zasłoniła dłonią usta.

- Nie ma za co. Bardzo mi przyjemnie i jeśli dobrze rozumiem, wynika z tego, że ty jesteś moją oficjalną dziewczyną.

- No właśnie. - Uśmiechnęła się.

- I naprawdę tego chcesz? Nie za wcześnie na nowy związek po zerwaniu z Tobym?

- Może i za wcześnie, ale mówi się trudno. - Popatrzyła Danowi głęboko w oczy. - Czuję, że między nami rodzi się coś wyjątkowego, bardzo silna, bardzo ważna więź i ciekawość mnie zżera, dokąd nas to wszystko zaprowadzi.

- Mnie też. - Rozpromienił się, a Abby pocałowała go w usta.

- A jak udało ci się spławić straż miejską? Zapłaciłeś mandat?

- Nie, upiekło mi się. Parkowałem w miejscu zastrzeżonym dla mieszkańców budynku, ale kiedy wskazałem strażnikowi zamieszanie po drugiej stronie ulicy i powiedziałem, że jestem z tą panią, pokiwał ze współczuciem głową i mi darował.

- O, nie...

- Naprawdę!

- Czyli to był ten pierwszy raz... nieważne. Jesteś głodny? - Przypomniała sobie, że nie jedli nic od kolacji.

- Potwornie.

Zaprosiła Daniela do środka i obiecała, że jak tylko omówi najważniejsze sprawy z Martinem, wyskoczy po kawę i drożdżówki.

KIEDY WESZLI DO KWIACIARNI, Martin kończył obsługiwać niedomytego nastolatka o bezradnym wyglądzie, w podkoszulku z napisem: „Lubię całki”. Stokrota był uprzejmy, lecz nie wydusił z siebie ani słowa - jego zwykła energia i polot gdzieś znikły.

- Mam nadzieję, że mamie się spodoba - rzekł wreszcie, podając chłopcu bukiet białych i niebieskich hiacyntów i obdarzając go bladym uśmiechem.

Nastolatek burknął coś pod nosem i odwrócił się na pięcie. Dan odsunął się, by go przepuścić, jako że sklep był wąski, a Abby otworzyła przed nim drzwi.

- Do zobaczenia. - Uśmiechnęła się, na co młodociany klient wymamrotał coś niezrozumiałego i wyszedł. Florystka zwróciła się do Martina i zapytała, czy Christian znów mu groził.

- Widziałam, jak stąd wychodził - dodała - i powiedziałam mu co nieco do słuchu.

- Jest tak potwornie złośliwy, nie wiem, czy dłużej to zniosę - poskarżył się, a jego oczy się zaszklily. Ekskochanek dowiedział się od znajomych, że Stokrota zdecydował się zasięgnąć porady prawnej w sprawie Debbie. Wpadł do Ładnych Kwiatków, piekląc się i wrzeszcząc, wreszcie oznajmił, że prędzej odda psa do schroniska, niż pozwoli, by chłopak mógł częściowo sprawować opiekę nad zwierzakiem.

- To beznadziejne. Nawet nie wspominam, że wytoczenie procesu Christianowi będzie kosztowało parę tysięcy: nikogo z normalną pensją nie stać na takie koszty. Nie wiem, może powinienem zrezygnować z Debbie, nie widzę innego wyjścia...

- Nie ma mowy - powiedziała twardo i podała Martinowi chusteczkę. - Przecież ubóstwiasz tego psiaka, na pewno znajdziemy jakiś sposób.

Dan, który podczas zajścia trzymał się z boku, przestał przestępować z nogi na nogę i zaofiarował się, że to on wyskoczy po kawę.

- Na pewno? - zatroszczyła się Abby i zarządziła, że kiedy Daniel wróci, zrobią sobie dwudziestominutową przerwę, żeby Martin ochłonął i odzyskał zwykły humor. Z nadzieją, że zastrzyk glukozy i kofeiny mu to ułatwi, poszli na górę do mieszkania, by tam pochłonąć świeżo zakupione trzy *pain au chocolat*.

- Prawda, że moja szefowa pięknie urządziła to miejsce? - zapytał Martin gościa. - Ma takie wycucie przestrzeni, spójrz, jak wspaniale wykorzystwała biel jako tło dla plam koloru, jakimi są meble i dodatki - kwiaty, owoce, trawiastzielona sofa i poduszki w kolorze fuksji - to wszystko wygląda ekstrastylowo. Dziewczyna ma genialne wycucie koloru i formy, nie tylko przy układaniu kwiatów, prawda?

- Och, daj spokój. - Abby się zarumieniła.

- Nie, nie, Stokrota ma rację, twoje mieszkanie jest przepiękne, wstyd mi teraz trochę za moje meble w kolorze czarny jesion.

Po chwili Martin szepnął do przyjaciółki, że tym razem nie musi się martwić - homometr wskazuje niż.

- MOŻE ZJEMY DZIŚ RAZEM KOLACJĘ? - zapytał Dan na odchodnym.

- Świetnie.

- Przyjadę po ciebie koło ósmej.

Abby i Martin zeszli na dół. Odezwała się komórka Stokroty - dzwonił Ichiro.

- Cześć, skarbie... Tak, jestem w pracy, dziecino, więc nie mogę długo rozmawiać. Co? Co takiego?... Pewnie, że tęsknię... nie, to ja bardziej... Też się nie mogę doczekać wieczoru...

- Wiesz co? Miałaś takie pechowe przedpołudnie, zrób sobie wolne, jeśli masz ochotę. Może spotkasz się wcześniej z Ichiro? - zaproponowała Abby, kiedy skończył rozmawiać.

- O nie, nigdy w życiu - przeraził się Martin - ty też miałaś przesrane, zresztą płacisz mi za pracę w soboty. Koniec i kropka, OK?

- OK, ale naprawdę nie mam nic przeciwko temu, żebyś wyszedł wcześniej.

- Ty nie, ale ja tak. Dodam jeszcze, że kocham tę pracę! Pierwszy raz w życiu budzę się rano i cieszę, że idę do roboty!

- Ogromnie miło mi to słyszeć. Nie masz pojęcia, ile znaczy dla mnie twoja lojalność. I wiesz, jeśli interes jeszcze trochę się rozkręci, życzyłabym sobie, żebyś został moim wspólnikiem - dodała pomimo wątpliwości, czy nie za wcześnie na taką deklarację.

- Chyba nie mówisz poważnie?

- Jak to nie? Myślisz, że żarty sobie z siebie stroję? To zbyt poważna kwestia. Jesteś bystry, pełen zapału, masz artystyczną żyłkę i świetny z siebie kumpel - czego więcej można wymagać od wspólnika?

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Na początek, że się zgadzasz.

- To oczywiście, za taką szansę dałbym sobie rękę uciąć!

- Doskonale. Pogadamy o tym znowu za parę miesięcy, kiedy firma się rozwinie.

- Dziękuję. Dziękuję z całego serca i obiecuję, że się nie rozczarujesz.

- Wiem. - Pocałowała Martina w policzek.

- A właśnie, nie miałaś jeszcze okazji opowiedzieć, jak wam wczoraj poszło? - zainteresował się Stokrota, jak trochę ochłonął. - Nie wycofujesz się z twierdzenia „nie jestem gotowa na nowy związek”?

- Zmieniłam zdanie.

- I słusznie, dziewczyno. To znaczy, że randka się udała? Opowiadaj, szczegóły, proszę!
Zrobiliście... no, to?

- Szanowny Martinie Stokroto! Jeśli myśli pan, że zamierzam karmić pana obleśne uszy pieprznymi szczegółami, jest pan w błędzie.

- Dobra, dobra... czyli: zrobiliście to?

- Zrobiliśmy to i było absolutnie cudownie, fantastycznie. I postanowiliśmy być razem.

Finito, więcej nie powiem.

- Czyli, jak to się mówi, zaczynacie ze sobą chodzić?

- Tak. - Abby uśmiechnęła się, słysząc dziecinne określenie, a Martin zaklaskał z radości.

- To lecę powiedzieć o wszystkim Sophie!

- Ani mi się waż! To moje nowiny! Ja jej powiem.

- Niech ci będzie, byle szybko, bo kiedy zadzwoni, to się wygadam, jak babcię Kocham!

NIECAŁĄ GODZINĘ PÓŹNIEJ zadzwoniła Sophie.

- Chciałam podziękować, że przyszliście na kolację wczoraj wieczorem, nie wiem, co bym bez was zrobiła. Nawiasem mówiąc, Dan jest super.

Abby, zasypana grzecznościami, nie wytrzymała i wypaliła: „Zrobiliśmy to!”.

- Co zrobiliście?

- Wiesz dobrze co. No... uprawialiśmy seks.

- Nie mów!

- Ale to prawda.

- Kiedy?

- Wczoraj wieczorem, po tym, jak wyszliśmy od twoich rodziców.

- U niego czy u ciebie?

- U niego.

- A jak ma urządzone mieszkanie?

- Fajnie, może przesadził z okleiną czarny jesion, ale wolę to niż francuskie buduary Toby'ego - zawsze podobał mi się jego styl ubierania, ale uważam, że z urządzeniem wewnątrz nie radzi sobie najlepiej.

- A jak wygląda na golasa ten nasz cały Daniel?

- Ten mój Daniel na golasa wygląda prześlicznie. I uprzedzę kolejne pytanie: było bosko. Miałam najlepszy orgazm w życiu; przepraszam, poprawka - orgazm w liczbie mnogiej. Nic więcej nie powiem, szczegółów sama możesz się domyślić - powiedziała Abby i z przerażeniem dostrzegła po drugiej stronie lady nobliwą starszą panią w zielonej pikowanej kurtce i jedwabnej chusteczce na głowie. - O Boże - wymamrotała i zaczerwieniła się beznadziejnie. - Zadzwoń później - syknęła do słuchawki i się rozłączyła. Musiała odchrząknąć nerwowo, zanim zdołała powitać panią zwyczajowym: „Czym mogę służyć?”.

- Nie trzeba było kończyć rozmowy ze względu na mnie - zaprotestowała klientka gorliwie, na dodatek z błyskiem w oku. - Kiedy od trzydziestu siedmiu lat człowiek nie uprawiał seksu z mężczyzną, cieszą historie, które wpadną w ucho tu i tam. Proszę mnie źle nie zrozumieć - nie, żebym żyła w abstynencji - ale to takie monotonne i do przewidzenia, kiedy robimy to z moim Wibraczkem.

Abby gorączkowo szukała w myślach stosownej odpowiedzi, a starsza pani przybrała błogi wyraz twarzy, jakby właśnie przywołała najrozkoszniejsze wspomnienia o dawnym kochanku. Stała tak kilkanaście sekund, zapatrzona w przestrzeń, po czym otrząsnęła się z zamyślenia i zapytała, ile kosztuje bukiet z hiacyntów i narcyzów.

Rozdział 13

Daniel zarezerwował na kolację z Abby stolik w wytwornej francuskiej restauracji, aby stosownie uczcić ich nowy „stan cywilny”. Zamówili tatar z ziołami i czosnkiem, a po nim mule na maśle czosnkowym.

- Hm. Zastanawiam się właśnie, czy etykieta pozwala kochać się, jeżeli obie zainteresowane osoby jadły czosnek - rzucił.

- Jak najbardziej. - Uśmiechnęła się, a pod stołem dotknęła stopą jego stopy. - Przecież jeżeli samemu coś się jadło, nie wyczuwa się tego zapachu. To taka kulinarna interpretacja zasady: dwa minusy dają plus.

Biorąc do serca powyższe zapewnienie, po kolacji pojechali do mieszkania nad kwiaciarnią i kochali się aż do świtu. Trwało to tak długo, ponieważ nie mogli oderwać od siebie rąk, a do tego Abby zaproponowała nową grę: podać tytuł filmu i zgadnąć, ile gwiazdek przyznał mu Robert Ebert, znany krytyk filmowy pisujący do „Chicago Sun-Times”. Wyniki sprawdzali na stronie internetowej, a ten, kto wygrał, zaliczał w nagrodę orgazm.

Daniel prowadził: nic dziwnego, z jego wiedzą na temat filmu, i Abby czuła się nieco sfrustrowana. Po pewnym czasie sytuacja odmieniła się na jej korzyść, co napełniło ją niepokojem, że kochanek celowo pozwala jej wygrać. Kiedy oskarżyła go, że oszukuje, wyparł się wszystkiego, a jako że nie miała ochoty pozbawiać się nagrody na warunkach podyktowanych przez grę - Dan wypełniał sumiennie swój obowiązek przez bite dwadzieścia minut z rzędu - wycofała zażalenie.

Obudzili się około dziewiątej, pokochali na dzień dobry, po czym pożarli wielgachną porcję kanapek z jajkiem sadzonym. Resztę poranka poświęcili na wędrowkę po sklepach w poszukiwaniu dywanów dla Abby, bo narzekała przy śniadaniu, że zimą w mieszkaniu hulają przeciągi, podłoga jest lodowata, a ona jakoś nigdy nie ma czasu, by postarać się o jakiś dywan.

- To poszukajmy dzisiaj - zaproponował Dan.

- Czemu nie?

Trasa wiodła od Habitatu do Conran Shop, do Heala i z powrotem do punktu wyjścia, gdzie po namyśle kupili dwa kudłate białe dywany za niecałe trzysta funtów plus trzydzieści za transport, bo były zbyt duże, by zmieścić się do auta. Zjedli późny lunch w Babuszce w Primrose Hill: Abby skusiła się na talerz gęstego, parującego barszczu, a Dan na bajgla z siekaną wątróbką. Okazał się, jego zdaniem, dobry, ale bez porównania gorszy niż ten u Faye

Weintraub. Po jedzeniu spacerowali główną ulicą, zaglądając do najmodniejszych, horrendalnie drogich sklepików.

- Wiesz, podczas lunchu przyszło mi do głowy, że rzadko opowiadasz o swoich rodzicach - zauważyła Abby mimochodem w sklepie specjalizującym się w biżuterii z fluorescencyjnej gumy Perspex, mierząc zdumiewający pierścionek w kolorze różowej gumy balonowej. Nagle spojrzała na metkę z ceną: czterysta pięćdziesiąt funtów, i pospiesznie odłożyła go na miejsce.

- Bo nie dają mi specjalnie powodu, są niezwykle mili: ciepeli, szczodrzy, pomocni. To brzmi mało ciekawie, ale zawsze dobrze się dogadywaliśmy, może z wyjątkiem okresu, kiedy jako nastolatek dałem im nieco popalić. Nic ponad średnią krajową...

- Nie powiedziałaś, czym się zajmują.

- Mama na dobrą sprawę nigdy nie pracowała. Studiowała historię sztuki, a potem wyszła za męża.

- Nie musiała zarabiać na utrzymanie, kiedy zmarł twój tata?

- Nie. Dostała trochę pieniędzy z rozmaitych polis ubezpieczeniowych, więc miała i ma z czego żyć. A ojczym nadal pracuje we własnej firmie.

- O! Jakiej specjalności?

- Ciuchy, takie tam.

- Aha... teraz rozumiem - popatrzyła na niego Abby. - Strasznie zbladłeś, co się stało?

- Tak. Nie. Nic mi nie jest, to chyba ta wątróbka, nie była zbyt świeża.

- Chodzi mi o twoje świetne wyczucie mody, teraz rozumiem, dlaczego potrafisz tak trafnie zestawiać ze sobą ubrania. Mimo że cię to nudzi, masz to po prostu we krwi.

Dan podziękował za komplement i dodał, że nie zastanawiał się nad wypracowaniem własnego stylu, wyszło mu jakoś mimochodem. Trzymając się za ręce, szli pod górę w kierunku parku. Dziewczyna przystanęła nagle, by obejrzeć wystawę Whistles.

- Abby, mam ci coś do powiedzenia.

- Aha? - Jej uwagę przykuła czarna minisukienka z bufiastymi rękawkami i kołnierzem à la Piotruś Pan, w stylu lat sześćdziesiątych. - Boska! Muszę ją przymierzyć.

- No widzisz, rzecz w tym, że... - Daniel nie mógł dotrzeć do sedna sprawy.

- Mmm? Ciekawe, czy mają mój rozmiar.

- Chodzi o tatę, kiedy powiedziałem, że jego firma zajmuje się ciuchami...

- A mają też inne kolory? Ojej, przepraszam, nie dosłyszałam, rozproszył mnie widok tego cuda. Mówiłeś coś o swoim tacie?

- Co? Nie, powiedziałem że sukienka jest bardzo w stylu Twiggy i byłabyś wariatką, gdybyś jej nie przymierzyła.

- Nie znudzi cię to? - zapytała i wyjaśniła, że zwykle podjęcie decyzji zajmuje jej wieki, a co, jeśli będzie miała ochotę przymierzyć jeszcze coś innego...

- Zawrzyjmy układ: wchodzimy i mierzysz sukienkę, ja za to później wpadnę do fotograficznego po drugiej stronie ulicy, leżą tam na wystawie ciekawe używane leiki.

Abby powiedziała, że to uczciwy układ. Sprzedawczyni w sklepie miała wytatuowanego delfinka na przedramieniu, a na głowie czarnogranatowy kok-kołtun à la Amy Winehouse. Odszukała sukienkę w rozmiarze Abby i zaniósła ją do przymierzalni.

- Cool - powiedziała à propos niczego - jakby potrzebny był ci inny rozmiar, to krzycz.

Z jakiegoś powodu - może ludzie siedzieli jeszcze w restauracjach - było pusto. Abby się rozebrała. Słyszała, jak Dan rozmawia z ekspedientką, która w pewnym momencie przeprosiła, że musi skoczyć na dół i przynieść kilka ciuchów z magazynu. Stała przed lustrem i podziwiała sukienkę. Leżała idealnie. Z koronkowymi rajstopami i babciowymi butami o szerokich noskach będzie wyglądała jak żywcem przeniesiona ze *swinging London* lat sześćdziesiątych.

- Wyglądasz kapitalnie - zachwycił się Dan, odsuwając zasłonę w przymierzalni. - Mam nadzieję, że ją kupisz.

- Chyba tak. - Uśmiechnęła się.

- Wyglądasz w niej seksownie jak cholera.

- Serio?

- Mhm... - Na dowód przesunął ręką po jej udzie. Chwyciła ją, próbując zatrzymać, i poprosiła, żeby przestał, bo w każdej chwili ktoś może wejść.

- Nikogo nie ma, a sprzedawczyni siedzi w magazynie.

- Przecież za sekundę może być z powrotem. Co zrobisz, jeśli przyjdzie sprawdzić, jak mi się podoba sukienka?

- Zaryzykuję - powiedział, zasunął zasłonę i wsunął się do środka kabiny, przyciskając Abby do ściany.

- Lepiej nie...

- Lepiej tak - upierał się, a ręka ponowiła wędrówkę. Poczuli jego usta na swoich, po kilku sekundach daremnej walki poddała się i dała ponieść chwili. Czując jego język, sięgnęła

do klamerki nie swojego paska dzinsów. Nareszcie poczuła jego rękę w kroku i wydała jęk rozkoszy, nieco głośniejszy, niż zamierzała. Dan uciszył ją i spróbował zderzyć z niej bieliznę. Abby pomogła mu, czując ssanie w żołądku. Nie było czasu do stracenia, kochanek sięgnęła ponownie i rozsmarowując jej wilgoć po udach, zaczął jej mocno dotykać, przerywając na moment, by wcisnąć w nią palce, co było tak przyjemne, że ledwie trzymała się na nogach. Wciąż zmagала się z opornym paskiem, wreszcie udało się go poluzować. Rozpięła guziki rozporka i ściągnęła Danowi spodnie wraz z bokserkami w dół bioder. Członek wyskoczył jak diabełek z pudełka. Wzięła go do ręki i zaczęła uciskać. Tym razem to ona musiała uciszać Daniela. Posłuchał, wciąż pieszcząc Abby, od łechtaczki po pochwę.

- Mamusia przymierzy ubranko, a ty zostaniesz z tatusiem - rozległ się kobiecy głos. - Kochanie, nie wypuszczaj go z wózka.

Abby popatrzyła na Dana, jej oczy były pełne paniki. Jego ręka zamarła w bezruchu. Bali się oddychać, nasłuchiwali zbliżających się kroków. Rozległ się grzechot kółek, na których umocowana była zasłona, kobieta weszła do kabiny naprzeciwko. Abby zaczęła pospiesznie wkładać majtki, ale Daniel ją powstrzymał.

- Zostaw - wyszeptał jej do ucha.

Ryzyko podniecało go, co udzieliło się też dziewczynie. Zanim się zorientowała, znów się całowali. Jego palce trafiły we właściwe miejsce. Zadrżała z rozkoszy - w atmosferze niebezpieczeństwa było coś, co pchało ją bezwzględnie i z zawrotną szybkością ku orgazmowi. Ujęła członek Dana i naprowadziła, on spojrzał, jakby chciał zapytać, czy to nie za wcześnie. Abby potrząsnęła głową i sapnęła cicho. Penis wcisnął się w nią, po czym zaczął poruszać spokojnie i miarowo.

- Mamo, mamu, czy już? - odezwał się głosik z wózka.

- Jeszcze chwilkę, skarbie - padła odpowiedź z kabiny naprzeciwko.

Dan masował łechtaczkę Abby, a jego ruchy stały się mocniejsze i szybsze. W pewnym momencie wieszak upadł z brzękiem na podłogę; ledwie zwrócili na to uwagę.

- Już, mamusiu, już koniec?

- Prawie, prawie, kochanie. Mamusia zaraz będzie gotowa.

Abby poczuła leciutkie skurcze.

- A teraz? Wychodzisz?

Panną Crompton wstrząsnęły spazmatyczne, gigantyczne fale orgazmu, „Dochodzę!” - wyrwał się jej okrzyk, mimo że Dan zasłaniał jej ręką usta.

- Wychodzę! - zawołała w tej samej chwili mamusia.

Kochankowie usłyszeli, jak odsunęła zasłonę i wróciła do dziecka. Wybuchnęli histerycznym, tłumionym śmiechem. Ona wygładziła sukienkę, on zapiął spodnie. Wreszcie doprowadzili się na tyle do porządku, że mogli opuścić przymierzalnię. Dan teatralnie donośnym głosem skomentował sukienkę, a jego pochwały, tak głośne po długiej przerwie, przywabiły ekspedientkę; jej oczom ukazał się widok kobiety podziwiającej kreację w lustrze na końcu przejścia między kabinami.

- *Cool*. Ale wypasiona - rzuciła, co Abby przyjęła za pochwałę, bo nadwagi przecież nie miała. Nagle spojrzenie sprzedawczyni powędrowało w dół. Abby z ciekawością podążyła za jej wzrokiem i z przerażeniem skonstatowała, że wokół kostki zaplątały się majtki. Jej twarz - a kto wie, czy i nie kilka wewnętrznych narządów - przybrała kolor purpurowy. Jak mogła, na liść boską, zapomnieć o tej przeklętej bieliźnie?

Przez mgnienie oka sprzedawczyni wyglądała na zdezorientowaną. Potem popatrzyła kolejno na Dana i Abby, którzy ze wstydu mieli ochotę zapaść się pod ziemię. Wreszcie klapka zaskoczyła i twarz dziewczyny wykrzywił grymas.

- Kurna, super - powiedziała i obróciła się na pięcie.

- Spadamy stąd! - rzucił Daniel.

- Dobra, ale tak szalenie podoba mi się ta sukienka, muszę ją mieć - zaprotestowała Abby. Uważała za wyjątkowo głupie nie kupić ubrania w sklepie, w którym właśnie uprawiało się seks, i skierowała się ku kasie.

- Bardzo przepraszam - wymruczała pod nosem do sprzedawczyni - nie mam pojęcia, co w nas wstąpiło, i obiecuję, że nigdy, przenigdy już tak nie postąpimy.

- Wiecie co, jesteście żałośni. Przecież macie chyba tyle lat, co moi starzy. - Zmarszczyła z obrzydzeniem nos.

- Co takiego? - Abby poczuła się urażona. Nie była próżna, ale uznała za przesadę, że ktoś wziął ją za osobę w średnim wieku. - Przecież ja mam trzydzieści cztery lata!

- No właśnie, zupełnie jak moja stara.

- WYOBRAŹ SOBIE, ona wcale nie była zgorszona faktem, że uprawialiśmy seks w przymierzalni - tłumaczyła Abby Danowi, kiedy wieczorem, po kolacji siedzieli u niej w kuchni - tylko tym, że robią to osoby w naszym wieku. Uważa nas za stare próchno.

- Wielkie rzeczy. Wiesz przecież, jakie są nastolatki; każdego, kto ma więcej niż dwadzieścia pięć lat, biorą za żywą skamielinę.

Dan zapytał, gdzie Abby trzyma tabletki do zmywarki, a ona wskazała mu szafkę pod zlewem.

- Przepraszam, że uciekam od ciebie, ale jeszcze dziś muszę dotrzeć do Devon. Będę tęsknił - oznajmił i dodał, że nie zdoła wrócić wcześniej niż w środę rano, kiedy rozpoczną zdjęcia w kwiaciarni.

- Ja też - odparła i wyjęła mu z ręki kostkę, wsunęła do pojemnika i włączyła maszynę. Usłyszeli szum pobieranej wody, Dan objął Abby i pocałował na pożegnanie. Pocałunek był czuły i długi, chciała, aby nigdy się nie skończył. Przez jakiś czas stali objęci.

- Cieszę się, że panią poznałem, Abby Crompton.

- I nawzajem. - Uśmiechnęła się do Dana.

Przed wyjściem zarysował jej pokrótce plan nadchodzących dni zdjęciowych w Ładnych Kwiatkach: obsługa techniczna oraz Lucinda Wallace i Ed Macintosh (niezbyt jeszcze znany odtwórca głównej męskiej roli) przyjadą o siódmej. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, skończą filmować przed południem. W czasie pracy ekipy nie uda się uniknąć zamieszania, przed sklepem zaparkują żółte ciężarówki, z których kable będą ciągnęły się przez chodnik aż do wejścia. Mają wszystkie potrzebne zezwolenia z rady dzielnicy, Christian nie znajdzie zatem pretekstu do pisania kolejnych zażaleń.

- To dobrze. Możemy otworzyć kwiaciarnię godzinę później i zostać godzinę dłużej, Martin na pewno nie będzie miał nic przeciwko, a wieczorem zawsze jest duży ruch - wyjaśniła schodząc z Danielem. - To cześć, do zobaczenia w środę.

- Do środy - zawołał i uśmiechnął się, kiedy Abby otworzyła przed nim drzwi. - Jeszcze jedno: chciałbym cię uprzedzić, że choć Lucinda Wallace jest bardzo fajna i nie robi z siebie gwiazdy, to po cichu uważa się za coś lepszego, wiesz, kompleks aniołka na czubku choinki.

- Poradzę sobie, mam parę podobnych klientek i jestem przyzwyczajona. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Patrzyła, jak idzie w kierunku auta. Pomachał jej, zanim usiadł za kierownicą. Usłyszała dźwięk silnika. Minęło kilka sekund, zanim Dan zdołał włączyć się do ruchu. Abby stała na progu i spoglądała za nim, aż oddalające się światła zniknęły wśród innych samochodów.

Rozdział 14

W środę o wpół do szóstej rano zadzwonił telefon.

- Kochanie, tu mama. Oglądasz wiadomości?

Abby przetarła zaspane oczy i spróbowała otrzeźwieć na tyle, by dojrzeć na tarczy budzika, która godzina.

- Jest środek nocy! Jak mogłabym oglądać wiadomości o tej porze?

- Protest skończony! Zwyciężyliśmy! - Jean popiskiwała z podniecenia. - Właściciele Bantry się poddali! Zgodzili się wypłacić pasażerom odszkodowanie, opinia publiczna prawie ich zeżarła. Myślę, że mieli dość skandalu i postanowili ustąpić dla świętego spokoju.

- O rany, mamó, to wspaniale! - Z wrażenia Abby aż usiadła. - Taka jestem z ciebie dumna, tata pewnie też.

W tle rozległy się odgłosy przepychanki i do telefonu dorwał się Hugh.

- Zuch dziewczyna z twojej mamy, co? Wyobraź sobie, że nawet udało się jej, metodą łagodnej perswazji, skłonić armatorów, żeby zafundowali wszystkim kilka dni w pięciogwiazdkowym hotelu, byśmy mogli ochłonać. Dziś wieczorem pasażerowie urządzili przyjęcie na jej cześć. Z mamy zrobiła się gwiazda - już straciłem rachubę, ile stacji telewizyjnych i gazet przeprowadziło z nią wywiad. W życiu nie zgadniesz, z kim przed chwilą rozmawiała przez telefon!

W tle Abby dosłyszała głos matki, mówiący, że ona sama chce podzielić się sensacją, i w sekundę później Jean znów była na linii.

- No dobrze, zgadnij, córeczko, z kim niedawno rozmawiałam?

- Nie mam pojęcia - z królową?

- Ciepło, ciepło - ta osoba ma królewski sposób bycia.

- Królewski sposób bycia? To znaczy, że musi być gejem. No nie wiem... Elton John?

- Abby, a po co miałby dzwonić do mnie Elton John?

- Nie mam pojęcia, pasował mi do królewskiego sposobu bycia.

- Ta osoba nie ma skłonności homoseksualnych. Skup się.

- Nelson Mandela?

- Abby, bądź poważna!

- Przecież jestem... albo wiem! Ten facet z Antiques Roadshow - no, ten, co nosi takie pasiaste swetry.

- Pudło. Masz ostatnią szansę.

- Poddaję się. Mamo, jest wpół do szóstej, nie możesz oczekiwać zbyt wiele o tej porze.

- Opera!

- Jaka opera? Masz na myśli kogoś, kto jest królową opery?

- Nie, nie, mówię o Operze we własnej osobie.

Abby przełożyła słuchawkę do drugiej ręki, co, paradoksalnie, oświeciło jej nieprzytomny umysł.

- Mamo! Chcesz powiedzieć, że rozmawiałaś z Oprah? Oprah Winfrey, królową szół-toku?

- No, przecież mówię. Zresztą na początku nie z nią samą, lecz którymś z jej asystentów - okazało się, że w Stanach nasza historia jest głośna, na statku było wielu amerykańskich pasażerów. Nazywają ją „Smród na Bantry” - trafili w sedno, prawda, córeczko? Mniejsza z tym: Oprah chce zaprosić mnie do swojego programu... no wiesz: zwykła kura domowa, która walczy z potężną firmą...

- Żartujesz!

- Nie, ale z początku sama nie mogłam w to uwierzyć. Researcher kazał mi odłożyć słuchawkę: telefon zadzwoni, kiedy Oprah będzie na linii. A potem, wyobraź sobie, powiedziała, że stałam się natchnieniem dla wielu zwyczajnych kobiet na całym świecie. Ja! Ja - natchnieniem! Wyobrażasz sobie? A kiedy odpowiedziałam, co ja tam mogę jako prosta gospodyni domowa z Croydon, wyraziła się... poczekaj, to było takie mądre... aha, już wiem: ludzie, którzy nie odważą się na zmianę, nie spełnią swoich pragnień, a największym odkryciem wszech czasów jest fakt, że jeśli ktoś chce zmienić swój los, wystarczy, by zmienił swoje nastawienie do życia. Czy to nie genialne?

Instynktownie Abby odpowiedziałyby: „Powiedz to samotnej matce z bloku, tyrającej za głodową pensję”, ale nie chciała psuć Jean szampańskiego nastroju, więc potulnie się z nią zgodziła.

- Oprah to cudowna i pełna optymizmu osoba. Twierdzi na przykład, że każdy dzień daje nam sposobność, by wykonać głęboki wydech, zrzucić buty i zatańczyć.

- Niech sobie tańczy w spokoju. A ty? Weźmiesz udział w programie?

- Pytanie! Od razu się zgodziłam. Oprah mówi: największa przygoda polega na tym, by spróbować żyć tak, jak sobie wymarzyłaś.

NIECAŁE DWIE GODZINY później Abby, Martin i Sophie popijali herbatę w kwaciarni w oczekiwaniu na Lucindę Wallace. Wokół nich krzątała się zaaferowana ekipa filmowa: wnoszono światła, kable, kamery, wielkie metalowe pudła ze sprzętem elektrycznym.

- Nie mieści mi się to w głowie: moja mama pojawi się w programie Oprah Winfrey. To chyba sen. Muszę jej powiedzieć, by koniecznie wzięła na pamiątkę DVD ze swoim występem.

Dan, który to pomagał ekipie, to przysłuchiwał się rozmowie, dodał, że przypuszcza, że jak tylko Jean dotrze do Anglii, powita ją tłum dziennikarzy.

- Wiecie co? W pewnym sensie moja mama jest zupełnie jak Oprah - rozmarzył się nagle Martin. - Przy każdej okazji sypie perłami mądrości. Najlepszą radą, jaką od niej dostałem, było: nigdy nie smaź boczku na waleta. I rzeczywiście, do dziś przykrywam klejnoty fartuszkami, kiedy robię śniadanie na golasa! I jeszcze jedna, proszę bardzo: jeśli udało ci się związać koniec z końcem, to znaczy, że właśnie przeciera ci się sznurek. I na dokładkę: jeżeli z jakąś lalą idzie ci jak z płatkami, to znaczy, że jest przywiedła - ciągnął, łypiąc raz po raz przez okno. Nie na darmo - to on pierwszy dostrzegł Lucindę. - Och, jest, już jest! - Zaklaskał z radości. - Chodźcie tu, patrzcie! - Zachęcał koleżanki, nie odrywając wzroku od młodej kobiety wysiadającej z czarnej taksówki.

Z nosem przyklejonym do szyby zapominał o chaosie i rozgardiaszu. Nie zwracał uwagi na plątaninę kabli pod stopami, na to, że tuż za jego plecami próbuje przepchnąć się spec z wielkim srebrnym pudłem od kamery w rękę. Nie zauważał cudem unikanych kolizji, gwaru, z którego wrywał się od czasu do czasu pojedynczy bluzg; zwykłej krzątaniny ekipy filmowej, która próbowała jakoś zorganizować sobie warunki do pracy na naprawdę niewielkiej powierzchni.

Liczyło się tylko jedno: wchodziła gwiazda. Fakt, Lucinda Wallace to niezupełnie to samo co Kate Winslet czy Julia Roberts, ale przecież za rolę w filmie *Wyliczanka śmierci* otrzymała w konkursie British Film Awards tytuł najlepszej debiutantki roku. Poza tym dla Martina prócz samej osoby Lucindy niesłychanie fascynujące były jej kontakty z największymi sławami Hollywood, o czym skrzętnie donosiły magazyny typu „Hello!”. Jeśli wierzyć zamieszczanym tam artykułom, panna Wallace, która ostatnio zamieszkała w Los Angeles, wymieniała co krok grzecznościowe (a kto wie, może i francuskie) pocałunki z filmową „rodziną królewską”.

- Przypomina mi to piosenkę babci, którą dawniej mi często śpiewała - powiedział Martin kilka dni wcześniej do swojej szefowej, biorąc do ręki bukiet białych róż i wirując z nim po

parkiecie kwiaciarni. - „Tańczyłam z panem, który tańczył z panią, która tańczyła w parze z samym księciem Walii”.

Abby do tej pory próbowała wprawdzie robić wrażenie, że gwiazda w jej własnej kwiaciarni to dla niej nic specjalnego, jednak w końcu poddała się i pozwoliła ponieść ciekawości. Nawet Sophie, choć elokwentnie broniła opinii, że ubóstwianie sław ekranu jest współczesnym odpowiednikiem religii - a religia to opium dla ludu - nastawiła budzik na szóstą, by zdążyć do kwiaciarni przyjaciółki, kiedy nadjedzie panna Wallace.

Obie przyjaciółki, potykając się o kable i cudem uwalniając od wyjątkowo rozgadanego i irytującego specja od oświetlenia, który akurat zgubił żarówkę, dotarły wreszcie do witryny.

- Patrzcie, patrzcie, wysiada z taksówki! - zawołał Stokrota.

- Jak to, a gdzie limuzyna? - zdziwiła się Abby, przyglądając wysokiej blondynce w dżinsach i w botkach Ugg. Z daleka wyglądała zupełnie zwyczajnie.

- Ona nie lubi blichtru. Lucinda - cytuję za „Hello!” - „z powodzeniem omija pułapki, jakie zastawia na nią sława”.

- Hm. Nie wiem, czy ja bym je na jej miejscu omijała - zamyśliła się Sophie. - Nie żeby na mnie nie czyhały żadne zasadzki, ale, niestety, nie tego rodzaju. Taki już mój parszywy los.

Lucinda podeszła bliżej. Uwagi Abby nie uszły przetłuszczone, byle jak upięte do tyłu włosy aktorki.

- Z tego co widzę, wymiguje się nie tylko od pułapek, jakie zastawia na nią sława, ale i od mycia włosów.

- No to co, od czego ma charakterystykę? - bronił swego bóstwa Martin. - Powiedźcie same, czy ten płaszczyk w kolorze pudrowego błękitu nie podkreśla genialnie jej cery? Ma skórę jak kremowa satyna.

- Tak, tak, i co jeszcze? Puszczą bąki o zapachu gardenii? - Sophie doszła do wniosku, że już czas, by Martin zszedł z gwiazd na ziemię.

- Zapamiętajcie jedno: boska panna W. nie puszcza bąków!

- Jasne, że nie. Gwiazdy filmowe w ogóle nie mają układu pokarmowego, a rodzą, podobnie jak Jej Wysokość, siedząc bokiem w damskim siodle.

W tym momencie do przyjaciół dołączył Dan, zaaferowany i zmarznięty. Ponieważ okazało się, że obiektyw kamery jest zarysowany, spędził sporo czasu na zewnątrz, gorączkowo próbując przez komórkę załatwić zapasowy, co o godzinie wpół do ósmej rano było nie lada wyczynem. Teraz czekał na kuriera, który miał dostarczyć brakujący obiektyw.

- Dotrze tu za dwadzieścia minut i wreszcie zaczniemy kręcić. A gdzie gwiazda? - Spojrzał na zegarek. - Powinna być tu już pół godziny temu.

- Dan, przepraszam - zawołała Lucinda - tak okropnie mi przykro, mam nadzieję, że nie macie przeze mnie opóźnień!

Jej głos był tak słodki, że można by nim posypać gofra. Panna Wallace, mimo nieumytych włosów, braku makijażu oraz, jak się okazało, poplamionych dżinsów, potrafiła zrobić prawdziwe wejście. Pomagała jej w tym nieprzeciętna uroda.

Z bliska okazało się, że wykrój jej oczu przypomina migdał, a ich przydymiony błękit prześlicznie podkreśla karmelowy blond loków (co z tego, że przetłuszczonych). Dziewczęco pulchne, zaróżowione policzki nadawały jej twarzy wyraz niewinności i staromodnego uroku. Abby na jej widok pomyślała o bohaterkach powieści Jane Austen: siostra Dashwood w botkach Ugg. Jej postawa i wzrost - około metra siedemdziesięciu pięciu - także robiły wrażenie. Lucinda, wyprostowana i pewna siebie, brała w posiadanie przestrzeń, nie pozostawiając wątpliwości, że świat to scena, na której ona, panna Wallace, gra główną rolę.

Aktorka pocałowała Dana na powitanie i usunęła nieistniejący pyłek z kłapy jego kurtki.

- Tak lepiej - oceniła, gładząc materiał. Właścicielka kwaciarni poczuła nagły przypływ adrenaliny, nie wiedząc właściwie dlaczego. Daniel dokonał prezentacji.

- Abby! - zagruchała Lucinda z błyskiem w migdałowych oczach i wyciągnęła rękę. - Tyle słyszałam o tobie od Dana, załóż się, że zostaniemy dobrymi przyjaciółkami.

- Ależ na pewno. - Abby się uśmiechnęła.

Następnie wymieniła uścisk dłoni z Sophie, podczas gdy Martin tkwił zapomniany w tle. Wreszcie nie wytrzymał:

- Och, panno Wallace...

- Ależ proszę mi mówić Cinders, jak wszyscy. Słyszając to, Sophie parsknęła, a przyjaciółka uciszyła ją dyskretnym, lecz celnym szturchnięciem pod żebro.

- Czy wolno mi... to znaczy chciałbym powiedzieć, że jest pani... - jękał się Martin niczym Uriah Heep cierpiący na tremę - ... że jesteś moim największym fanem i widziałas wszystkie moje filmy. To przyjemność i zaszczyt gościć cię w skromnych progach naszej kwaciarenki i jeżeli mogę zrobić dla pani, to jest... dla ciebie... cokolwiek, co uczyni twój pobyt u nas wygodniejszym, wystarczy słowo. Cokolwiek...

- Oto prawdziwy Buttons - wymruczała Sophie, za co dostała kolejną sójkę w bok.

- Dziękuję - odpowiedziała Lucinda, zdjęła płaszcz i rozejrzała się, co by z nim zrobić: prawdziwy Buttons zatopił się w marzeniach - kto wie, może o tym, jak sam jeden ratuje boską pannę W. przed jakimś straszliwym infernem - tak więc podała go Abby.

- No więc dlaczego się spóźniłaś? - zapytał Dan bez złości.

- Nocna zmiana się przeciągnęła, nie dałam rady się wyrwać. Rano zostało strasznie dużo sprzątanego, tak że nie zdążyłam nawet wpaść do domu, żeby wziąć prysznic i się przebrać. To dlatego paraduję w brudnych dżinsach i z okropnymi włosami, za co najmocniej przepraszam.

- Cinders pracuje jako wolontariuszka w schronisku dla bezdomnych - wyjaśnił wreszcie reżyser.

- Och, tylko przez parę wieczorów w tygodniu - wyjaśniła z wyrazem twarzy, który Abby wzięła za skromność, a Sophie za „paskudne samozadowolenie, jeżeli ktoś zapytałby mnie o zdanie”.

- Musisz być wykończona - zatroszczył się Martin i pospiesznie odebrał od Abby błękitny płaszcz. - Zaparzyć ci kawy?

- To miło z twojej strony, ale dziękuję. Nie potrzebuję sztucznych stymulantów: praca społeczna dostarcza mi ogromnego zastrzyku energii, będę jak na haju przez resztę dnia. To bonus za pomaganie potrzebującym: praca daje mi energię, zamiast ją zużywać.

- Ciekawe, że mną jest zupełnie tak samo - zapalił się Martin.

- Co? Dostajesz zastrzyk energii, kiedy zostawiasz siatę starych ciuchów w Oxfamie? - wyśmiała go Sophie.

- A żebyś wiedziała - nie dał się sprowokować. - Jestem zdania, że to bardzo ważne, żeby coś z siebie dać. A ty, Abby, zajmujesz się pracą społeczną?

- No wiesz... niezupełnie. - Dziewczyna nagle poczuła się winna. Zabrakło jej odwagi, by powiedzieć prawdę tej przepięknej, utalentowanej, odnoszącej sukcesy kobiecie, która przy tym wszystkim troszczyła się o potrzebujących. - Dopiero rozkręcam firmę, trudno mi znaleźć czas na cokolwiek innego.

- Czas zawsze się znajdzie - oznajmiła Cinders - jeśli nauczysz się rezygnować z ciągłej potrzeby kontrolowania wszystkiego i zaczniesz dzielić odpowiedzialność z innymi. To bardzo ważne.

- Czyżby? - wycedziła Abby przez zęby. Poczucie winy zamieniło się w irytację, zaprażyła zmienić temat. - Czy ktoś jest głodny?

Sophie podziękowała i przeprosiła, musi przecież wracać do pracy, a Dan wymówił się, bo właśnie skończył kanapkę z szynką i jajkiem, którą kupił po drodze.

- A ja jeszcze nie jadłam śniadania. Chętnie przegryzłabym *un petit quelque chose* - oznajmiła Cinders.

Słyszając to, Martin zaproponował, że skoczy i przyniesie jej coś, na co ma ochotę, lecz nagle przypomniał sobie, że nie zdąży, bo musi rozwieźć poranne zamówienia. Abby, rada nierada, musiała zgłosić się na ochotnika.

- Och, kochana jesteś, naprawdę zrobisz to dla mnie? To takie miłe. Więc dobrze, macie w okolicy jakieś niezłe knajpy?

Florystka wyjaśniła, że niedaleko znajduje się Paul, wyśmienita francuska patisserie, oprócz niej szemrana jadalnia i bistro ze zdrową żywnością.

- Słonko, o ile nie sprawi ci to kłopotu, czy mogłabyś przynieść mi menu ze wszystkich trzech i wtedy zdecyduję?

Abby była tak zaskoczona, że zgodziła się, i w tej samej chwili dostrzegła przez okno, że na niebie zbierają się ciężkie chmury. Była w połowie drogi, kiedy lunęło. Przeklinała się pod nosem za to, że zapomniała wziąć parasola. Miała menu z Paula i baru Simply Organic, w Stefano, tak jak przewidywała, zwyczajnie ją wyśmiali. „Jak się jej zachciewa menu, to niech spada do Savoya czy gdzie tam”.

Wróciła do kwaciarni, ociekając wodą, z włosami przyklepionymi do głowy. Okazało się, że w czasie, kiedy zbierała jadłospisy, przyjechał odtwórca głównej roli męskiej Ed Macintosh i rozmawiał z kimś z ekipy filmowej. Był zdecydowanie po trzydziestce i jak na razie zdobył sławę w kręgach teatralnych, ale nie w filmie. Miał ciemnoczekoladowe oczy i cudowną wydatną szczękę, jakby wyrzeźbioną na zamówienie; mama Abby nazwałaby go pewnie misterem kina rodzinnego.

- Gej - czyjś głos wyszeptał jej do ucha. Okazało się, że to Martin z pół tuzinem bukietów w objęciach, w drodze do furgonetki. - Jego partnerem jest taki jeden projektant wnętrz, kolega Ichiro. O, nowy look? - zapytał, przyglądając się włosom Abby. - Chyba wolałem cię w poprzedniej fryzurze. - Mrugnął porozumiewawczo i już go nie było.

Abby przedstawiła się Edowi, który na widok zmoczonej twarzy dziewczyny podał jej swoją świeżo wyprasowaną chusteczkę i powiedział, że wszyscy są jej niewymownie wdzięczni za udostępnienie Ładnych Kwiatków.

- Film ma bardzo niski budżet, nie wiem, co zrobilibyśmy bez ciebie.

- Och, to dla mnie przyjemność, muszę przyznać, że dobrze się bawię.

- I jeszcze słówko, jeśli pozwolisz - dodał Ed, zniżając głos. - Cinders ma skłonność do wysługiwania się ludźmi. Zanim się obejrzysz, owinie cię wokół palca, jeśli od początku się jej nie sprzeciwisz.

- Och, ja nie mam czasu, by spełniać jej kaprysy - odparła niefrasobliwym tonem Abby, dyskretnie upychając do kieszeni jadłospisy. Wtedy na schodach pojawiła się Lucinda.

- Moja kochana, wreszcie wróciłaś! Już się martwiłam, co się z tobą stało. Przyniosłaś menu?

Abby spojrzała na Eda, który zrobił kwaśną minę.

- Za późno! Pamiętaj, co ci powiedziałem. Zanim się obejrzysz, będziesz nalewać jej oślego mleka do wanny.

- Czy możesz je zanieść na górę? - ciągnęła niewzruszona aktorka.

W jednym z paragrafów umowy z reżyserem Abby wyraziła zgodę na użyczenie własnego salonu jako garderoby dla aktorów. Najwyraźniej Cinders nie marnowała czasu i błyskawicznie objęła go w posiadanie.

- Słonko, wyglądasz jak mokry szczur - stwierdziła, wchodząc na górę. - To moja wina, posłałam cię w taki deszcz, jeszcze złapiesz zapalenie płuc. Musisz natychmiast się osuszyć, zaraz podam ci ręcznik - gdzie je trzymasz?

Kierując się instrukcjami Abby, gwiazda oddaliła się, żeby przynieść ręcznik, i wróciła po paru minutach ze starą, wystrzępioną ścierką do naczyń.

- Przepraszam, niczego innego nie znalazłam.

Dziewczyna odebrała szmatkę z rąk Lucindy i wyjaśniła, że ręczniki trzyma na górnej półce. Czują, jak strużki zimnej wody ściekają jej po szyi na łopatki.

- Ojej, nie przyszło mi do głowy, żeby tam zajrzeć - usprawiedliwiła się Cinders.

Abby poszła po ręcznik sama i wróciła po chwili do salonu z turbanem na głowie.

- Co byś mi poleciła? - zapytała aktorka. - Wydaje mi się, że bagietka z francuską szynką i sałatą powinna być niezła. A może lepiej z wędzonym kurczakiem? Wiesz, najlepiej weź obie. Do tego jaśminową herbatę. Aha, i ten ohydny sok z kielków pszenicy z bistro ze zdrową żywnością. To świństwo, ale wspaniale oczyszcza. Wiesz, oczywiście najchętniej poszłabym sama, ale muszę wziąć prysznic, zanim przyjedzie fryzjer i charakteryzatorki.

Abby zdała sobie sprawę, że powinna była wziąć sobie do serca przestrożę Eda. Z drugiej strony nie chciała stroić fochów ani psuć atmosfery. Przestało padać, więc wysuszyła

szybko włosy i poszła po śniadanie dla Cinders. Kiedy wróciła, aktorka siedziała na kanapie ubrana w jej ulubione bladozielone jedwabne kimono.

- Wisiało w łazience, mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, bym je pożyczyła?

- Ależ skąd - skłamała. Uwielbiała to wdzianko, nie dlatego, że dostała je na urodziny od Toby'ego, ale ponieważ zamieniało ją w istotę niesłychanie wyrefinowaną i glamour. Teraz miała je na sobie Lucinda, która nie dość, że wyglądała w nim tak zabójczo, jak prawowitej właścicielce stroju nie udałoby się nigdy w życiu, to jeszcze ubrudziła je dezodorantem. Pod pachami widniały białe pudrowe plamy. Na widok dwóch bagietek zrobiła rozczarowaną minę.

- Och, skarbie, nie wiem, czy to wystarczy. Za chwilę wpadną tu charakteryzatorzy i przyszło mi do głowy, że na pewno będą wściekle głodni. Wiesz, jak to jest - ekipę trzeba dobrze karmić. Bardzo nie lubię zawracać nikomu głowy, ale czy byłabyś tak dobra i skoczyła ponownie do restauracji, by przynieść jeszcze coś do jedzenia?

- Przykro mi, Cinders, ale ekipa musi dać sobie radę sama. Ja mam mnóstwo pracy, muszę wypisać górę faktur, wykonać mnóstwo telefonów - postawiła się wreszcie Abby. - Jeśli będziesz czegoś potrzebować, znajdziesz mnie w sypialni.

Lucinda nie rozzłościła się, wydawała się raczej zdziwiona. Abby pomyślała, że widocznie nieczęsto boskiej pannie W. zdarza się usłyszeć „nie”.

Kiedy tylko umościła się wygodnie na łóżku, podpierając się poduszkami i włączając laptopa, zadzwonił telefon.

- Cześć, to ja. I co myślisz o naszej Cinders? - usłyszała głos Sophie. - Nieźle jej się poprzewracało w głowie pod tymi brudnymi lokami, co?

- Prawda, ale i tak dobrze, że nie ciągnie za sobą makrobiotycznego kucharza i osobistego trenera. I jak na razie nie poprosiła mnie, bym nasypała jej różanych płatków do kibla.

- To tylko kwestia czasu. Naprawdę, ludzkie pojęcie przechodzi: przecież to tylko aktorka, do cholery... komediantka, dworski trefniś. Wszystkie mają kiełbie we łbie, wystarczy pięć minut sławy i zdaje im się, że reszta świata ma je traktować jak jakieś zakichane boginie... A media dokładają swoje trzy grosze, latają za nimi, wypytują, biorą na serio zasłyszane banały. Kogo na litość boską obchodzi, co debilne gwiazdy myślą o globalizacji i losach świata? Bo mnie figę z makiem...

Po GODZINIE PISANIA faktur i odpowiadania na mejle Abby postanowiła zrobić sobie przerwę na kawę. Kiedy weszła do pokoju, zobaczyła Dana i Lucindę siedzących obok siebie na kanapie. Aktorka objęła za szyję reżysera i położyła głowę na jego ramieniu. Abby poczuła, jak puls jej przyspiesza, a mięśnie brzucha się napinają. Cinders wciąż miała na sobie kimono, lecz ekipa charakteryzatorska najwyraźniej przyjechała i zdążyła już zakończyć swoją pracę, bo Lucinda wyglądała jeszcze bardziej olśniewająco z zamglonymi, tajemniczo przyczernionymi oczami i błyszczącą falą starannie zakreconych loków spływającą na plecy. Abby wydawało się, że lada moment zawoła: „gotowa do zbliżenia, panie DeMille!”. Dan trzymał na kolanach otwarty scenariusz.

- Nie, skarbie, błagam, nie każ mi tego mówić - kaprysiła gwiazda. - W prawdziwym życiu, kiedy mężczyzna proponuje randkę, żadna kobieta nie odpowiada: „oczywiście, chętnie się z tobą umówię”, a tymczasem prawie każdy scenarzysta tak pisze.

- Zgadzam się z Cinders - odezwała się Abby, nastawiając wodę.

- No widzisz, nawet ona się zgadza, a nie ma o niczym pojęcia - palnęła aktorka, lecz błyskawicznie się poprawiła - ojej, co ja mówię, zupełnie mi się poplątało. Chodzi mi o to, że nie wiesz nic o pisaniu scenariuszy; oczywiście, że istnieje mnóstwo rzeczy, na których się znasz: rośliny, bukiety, ikebany i tym podobne sprawy.

Abby sama nie wiedziała, czy Cinders jest paskudną żoną, czy szczerze, choć niezręcznie, przeprosza. Zdecydowała przyznać jej kredyt zaufania, więc milczała. Do Daniela nie dotarła paplanina Lucindy. W głębokim zamyśleniu smarował ołówkiem po scenariuszu.

- OK! Mam. Będzie seksowniej, jeżeli po prostu odpowie: „Przyjedź po mnie o ósmej”.

- Genialnie! - ucieszyła się gwiazda i pieszczotliwie zwichrzyła reżyserowi fryzurę, co nieco go zirytowało. - Jesteś taki zdolny!

Abby zapytała, czy ktoś oprócz niej ma ochotę na kawę, na co Dan poprosił o pełen kubek, a Cinders zapytała, czy zamiast niej mogłaby dostać filiżankę earl greya albo herbaty jaśminowej.

- Niestety, mam tylko kawę rozpuszczalną - stwierdziła gospodyni, na co Cinders odpowiedziała *pas* i zniknęła w toalecie.

- Pójdziemy razem na lunch? - zapytała Abby, zalewając wrzątkiem granulaty.

- Chciałbym, ale nie dam rady. Musimy z Cinders popracować nad scenariuszem, trzeba poprawić go w kilku miejscach, więc pewnie zjemy coś razem.

- To może wspólna kolacja? Mogę coś ugotować.

- Super! Przyniosę wino.

W tym momencie wróciła Lucinda.

- Skarbie, no jak to? Przecież obiecałeś, że wieczorem przejrzymy u ciebie nakrętki - naburmuszyła się, a uwagi Abby nie umknął jej nadąsany dziecinny dzióbek.

- O rany, rzeczywiście. - Dan spojrzał swojej dziewczynie w oczy. - Umówiliśmy się wcześniej na przejrzenie materiału.

- Ale możesz przyjść i popatrzeć z nami - zaproponowała Cinders słodziutko.

- Miło, że to proponujesz, ale jestem pewna, że macie mnóstwo do przedyskutowania, tylko bym przeszkadzała. To może jutro? - zapytała Daniela.

- Dobrze, umowa stoi.

- No jak to, zapomniałeś? - przerwała aktorka, niezręcznie maskując zadowolenie. - Przecież jutro idziemy na kolację z przedstawicielem Loterii Narodowej.

- Cholera! - Dan przecesał palcami fryzurę. - Kochanie, na śmierć zapomniałem. Przepraszam, ale loteria dała nam prawie połowę pieniędzy na film. Jeśli nie będę skakał wokół gościa, mogę zapomnieć o przyszłych dotacjach.

Abby odparła, żeby się nie przejmował, że rozumie, jakie to ważne. Rozzłościła ją tylko ukrywana reakcja Lucindy.

Spotkali się dopiero w sobotę. Postanowiła wypróbować przepis Jamiego Olivera na dziczyznę i zapiekankę ziemniaczano-selerową z parmezanem.

Stała przy blacie i tarła ser. Daniel otwierał butelkę wina.

- Nareszcie mamy trochę czasu dla siebie. - Podszedł i pocałował Abby w szyję.

- Całe szczęście. Choć wpadaliśmy na siebie co chwila, strasznie się za tobą stęskniłam.

- Ja też. Nawet nie mieliśmy czasu na szybki numer.

Nie żeby nie próbowali, jednak za każdym razem, kiedy zamykali się u Abby w sypialni, ktoś z ekipy wzywał Dana na dół. Nie mógł także zostać na noc, ponieważ co wieczór do późna przeglądał nakrętki.

Ręka rozboleła ją od tarcia.

- Nie zważyłam parmezanu, ale już chyba wystarczy - odłożyła tarkę i posypywała warstwy ziemniaków i selera.

- Kiedy wracają twoi rodzice? - zapytał Dan, nalewając wino.

- To jeszcze trochę potrwa. Odkąd mama wystąpiła w programie Oprah, stała się sławna za wielką wodą i dostała zaproszenia do innych programów. Hugh twierdzi, że wypadła świet-

nie, bo była zupełnie spokojna, mówiła rzeczowo z przekonaniem, i że na pewno okaże się wzorem do naśladowania dla zwykłych kobiet, bo przy końcu programu publiczność wstała i zawołała chórem: „Kochamy Jeanie!”. Mama opowiadała przez telefon, że obcy ludzie zaczepiają ją na ulicy i opowiadają, że jest dla nich ideałem feministki. - Moja mama - dobre, co? Założę się, że rozkoszuje się każdą minutą popularności.

Ledwie usiedli na kanapie, zadzwoniła komórka Daniela. Popatrzył na wyświetlacz i jęknął.

- To Cinders. Wszystko mi jedno, co się dzieje, dziś nie odbieram. Niech się nagra na pocztę głosową.

Wyłączył telefon i schował do kieszeni.

- Wydaje mi się, że ona cię podrywa. - Abby natychmiast pożałowała tych słów ze strachu, że Dan uzna ją za zaborczą zazdrošnicę.

- Tak jak każdego faceta z ekipy. Nie zauważyłaś, jak na wszystkich się wiesz? Nie potrafi inaczej. Jak wielu sławnych aktorów, w gruncie rzeczy jest niepewna siebie i ciągle głodna uwagi otoczenia.

Jako że podobne zdanie mieli o Lucindzie Sophie i Martin, Abby zdecydowała nie zadrećcać się więcej i przystać na tę interpretację.

- Czyli że wcale się tobą nie interesuje? - Zrobiła pierwszy krok w świeżo wytyczonym kierunku.

- Broń Boże! Zrozum: jej zachowanie nie ma nic wspólnego z romansowaniem, to czysta próba siły. Cinders musi czuć, że zwrócone są na nią oczy wszystkich, inaczej jest nieszczęśliwa. Myśl, że nasz związek mógłby pozbawić ją mojej uwagi, przeraża ją i pozbawia pewności siebie. A tak naprawdę lada dzień zostanie megagwiazdą hollywoodzką i ostatnią rzeczą, której jej potrzeba, jest romans z początkującym reżyserzyną, takim jak ja.

- A jeśli się mylisz?

Daniel odstawił kieliszek, przysunął się bliżej Abby i ujął jej twarz w dłonie.

- No dobrze. Po pierwsze, jestem stuprocentowo zaangażowany w nasz związek, a nawet gdybym nie był, to za żadne skarby nie zadurzyłbym się w takiej despotycznej egoistce jak Cinders. Jeszcze jakieś pytania?

Zanim Abby zdążyła je zadać, Dan już całował ją z taką siłą, jakby chciał udowodnić prawdziwość swych słów.

Rozdział 15

Zdjęcia miały potrwać tydzień, ale przeciągnęły się na drugi. Abby to nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie. Dzień filmowy zaczynał się wcześniej, tak że już od ósmej siedziała z laptopem w sypialni, odpowiadając na mejle i wypisując faktury. Nigdy jeszcze nie udało jej się aż tak nadgonić papierkowej roboty. Kilka razy Dan został u niej na kolacji. Kiedy nie mieli ochoty gotować, zamawiali jedzenie na wynos i pożerali je na kanapie przed telewizorem, oglądając wiadomości albo durny serial. Dan musiał zwykle uciekać zaraz po posiłku, bo co wieczór umawiał się z montażystą na przeglądanie nakrętek. Mimo że *Bukietowi* wiele jeszcze brakowało do ukończenia - praca nad nim trwała zaledwie trzy miesiące - chcieli zmontować z grubsza część materiałów, by móc przedstawić je dystrybutorom.

Abby kończyła projekt dekoracji na przyjęcie córki pana Takahashiego, które miało się odbyć za niecałe dwa tygodnie. Zakupiła już niemal wszystko. Rzeźbiony orientalny mostek, miniaturową pagodę i fontannę znalazła w modnym centrum ogrodniczym w Chelsea, specjalizującym się w dalekowschodnim wystroju.

Elementy scenerii dostarczono pewnego popołudnia do apartamentu pana T., a Abby wybrała się tam, by osobiście poustawiać je we właściwych miejscach. Zachwycała się czerwonymi ażurowymi ornamentami na łuku czarnego mostu, westchnęła na widok delikatnej snycerskiej roboty na dachu pagody, a także gdy ujrzała rozmiary świątynki, która okazała się nie całkiem miniaturowa - miała dobre dwa metry i florystka przeraziła się, że przytłoczy zbytwno wewnątrz.

- Nie denerwuj się - uspokajał Ichiro. - Jest mnóstwo przestrzeni do zaaranżowania, uwierz mi.

Miał rację. Kiedy Abby znalazła idealne miejsce dla pagody i mostu, zaczęli zastanawiać się nad fontanną. Właśnie próbowali podłączyć ją do kranu na tarasie, kiedy przybył szef z córką. Filigranowa, rozchichotana panna T. miała na sobie szary oficjalny kostium i perły. Nie mówiła po angielsku, ale z ożywionej wymiany zdań z tatą wynikało, że jest zachwycona wy-
czarowaną orientalną idyllą.

- A właśnie, panno Crompton, przypominam, że ma być duże piwo-nie?

- Co? Piwo? - nie zrozumiał Ichiro. Abby syknęła, żeby był cicho, i odpowiedziała panu Takahashiemu, żeby się nie martwił, piwonie na pewno będą duże. Tym razem Ichiro zrozumiał i nawet zaczął się z nią droczyć.

- I lawenda. Lawenda na tarasie - rozkazał szef.

- Jak to? - Abby zrobiła przerażoną minę. - Ależ panie Takahashi, jest za wcześnie, lawenda kwitnie w Anglii dopiero w lipcu. Poza tym chyba niezbyt pasuje do japońskiego wystroju?

- No to co. Ładnie pachnie. Ma być lawenda, koszty nie problem.

Panna Crompton prawie zasalutowała.

PRZEZ KILKA KOLEJNYCH DNI gorączkowo szukała dostawcy wczesnej lawendy. Od czasu do czasu do sypialni zaglądał Dan, stawał z tyłu za Abby i masował jej kark zeszywniały od siedzenia przed laptopem.

- A może zamkniemy drzwi i zrobimy to tu i teraz? Znajdziesz przecież kilka wolnych minut?

- Aha, to teraz do tego doszło, że wystarczy nam parę minut?

- Mnie to wystarczy. Jak się pospieszę, to nawet trzydzieści sekund.

- Boże, ty naprawdę wiesz, jak zachęcić dziewczynę... - Opędzała się od zalotów, bo czekała na ważny telefon w sprawie lawendy.

Obdzwoiła wszystkich brytyjskich dostawców, ale choć wspomniała, że jest gotowa zapłacić za kwiaty dowolną sumę, u nikogo nie znalazła kwitnącej lawendy - wszyscy tłumaczyli, że wiosna w tym roku spóźniła się o parę tygodni. Próbowwała szukać w Hiszpanii. Marnowała długie godziny, próbując skontaktować się z różnymi firmami, które znalazła przez Google, jednak jej rozmówcy w ogóle nie znali angielskiego. Wreszcie trafiła na Angielkę zajmującą się uprawą przemysłową lawendy na Majorce. Powiedziała, że chętnie prześle dwa pojemniki, tyle że potrzebny będzie transport lotniczy.

- Wysłanie lawendy samolotem to koszt kilku tysięcy funtów - uprzedziła Abby Ichiro przez telefon. - Pan T. powiedział mi co prawda, że mogę nie liczyć się z kosztami, ale chciałabym, żebyś ponownie się upewnił.

Asystent oddzwonił chwilę później i przekazał, że pan Takahashi jest zachwycony i z przyjemnością zapłaci za transport.

KIEDY MARTIN nie był zbyt zajęty, a Sophie udawało się urwać na krótko z pracy, oboje z fascynacją przyglądali się kręceniu filmu. Okazało się, że Ichiro ma podobnego hopla na punkcie gwiazd ekranu jak jego przyjaciel, więc pewnego poranka pojawił się w kwiaciarni. Udało

mu się wyrwać na parę godzin, ponieważ pan Takahashi wyjechał z miasta. Przyglądali się nagrywaniu poszczególnych scen, po czym przyznali, że najlepsza jest ta, w której Ed po raz pierwszy całuje się z Cinders.

- Zupełnie jakby się to działo naprawdę - dziwił się Martin - całkiem mnie wzięło.

- Mnie też. Oboje są absolutnie przekonujący. Aż nie chce się wierzyć, że Ed jest gejem. Wyglądają, jakby mieli na sobie straszną ochotę, jak oni to robią? I to w dodatku, kiedy tylu ludzi patrzy.

- Oboje są świetnymi aktorami, ot co. - Abby wzruszyła ramionami. Zanim Ichiro sobie poszedł, zapytała go, jak mu idzie szukanie pracy. Chłopak odparł, że na razie nie stara się niczego znaleźć, zastanawia się natomiast, czy nie pójść na kurs dekoracji wnętrz.

- To bardzo do ciebie pasuje, Ichiro. Już cię widzę, jak przez telefon omawiasz z Madonną kształt i kolor poduszek na sofę.

- Miło, że tak mówisz, ale jest jeden tygi, tygi problem, mianowicie: jak zdołam zapłacić za kurs, utrzymać się i jeszcze posyłać pieniądze dziadkom w Japonii? Jakaś część mnie wprawdzie wierzy, że los przyjdzie mi z pomocą i powinienem próbować sięgnąć po moją gwiazdkę z nieba, żyć bez strachu przed porażką i mieć w nosie stąpanie po ziemi, ale muszę przyznać, że to wcale nie takie łatwe.

ABBY ZAUWAŻYŁA, że Lucinda nie tylko jest dobrą aktorką, lecz także kryje w sobie niezwykle pokłady wytrzymałości i determinacji. Czasem Dan nalegał na powtarzanie sceny dziesięć czy dwanaście razy. Ed chwilami miał dość i kłócił się z reżyserem lub kimś innym z ekipy, Cinders natomiast ani razu nie dała się wyprowadzić z równowagi. Obojętne, jak długo musiała czekać na ustawienie świateł i kamery czy trwać w niewygodnej pozycji, była spokojna i w dobrym humorze, zachowywała się nad wyraz profesjonalnie. Z wyjątkiem pierwszego ranka ani razu nie spóźniła się na plan ani nie opuściła go wcześniej. Po zdjęciach gawędziła z ludźmi z ekipy, widać było, że darzy ich sympatią i chce pozostawać z nimi w dobrych stosunkach.

Przyjąwszy do wiadomości jej dobre strony, Abby starała się ją polubić. To zadanie okazało się nad wyraz trudne, bo Cinders wciąż porywała jej Martina. Nazywała to „pożyczaniem”. Dziewczyna co chwilę słyszała od niej: „Abby, pożyczę Martina na chwileczkę, dobrze?”. Kiedy tylko wracał do kwaciarni po rozwiezieniu porannych zamówień, aktorka posyłała go, by odebrał jej ubrania z pralni chemicznej albo pojechał po oczyszczającą

mieszankę ziołową do jej zaprzyjaźnionego chińskiego uzdrowiciela. Chwilka zazwyczaj oznaczała godzinę lub dwie. Po powrocie, o ile Cinders akurat nie grała, Stokrota parzył jej jaśminową herbatę, po czym oboje udawali się do salonu na krótką pogawędkę. Gwiazda chyba szczerze polubiła Martina i cierpliwie wysłuchiwała jego zachwyty nad Ichiro i lamentów nad utratą Debbie Harry. Okazało się, że sama ma pekińczyka, którego kocha nad życie.

- Moje ty biedactwo. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby ktoś śmiał odebrać mi Princess Coco.

- Myślałem, żeby pójść do prawnika i podać Christiana do sądu, ale nie stać mnie na to.

- Oczywiście, że nie, przecież to kosztowałoby tysiące. Ale wiesz co? - dodała po chwili zastanowienia. - Może ja zdołam pomóc ci w odzyskaniu zwierzaka?

Pewnego dnia do kwiaciarni wpadł nadęty jak zwykle Christian z psem na smyczy i zaczął narzekać, że ciężarówki ekipy filmowej blokują jezdnię i stanowią utrudnienie dla ruchu. Dan spokojnie pokazał mu pozwolenie na parkowanie, które otrzymał od rady dzielnicy. Mężczyzna mruknął coś pod nosem, jednak odpuścił, widząc, że nic nie wskóra.

Martin dostrzegł Debbie Harry i podbiegł, aby się z nią przywitać. Pies pociągnął smycz i zaczął szczekać z radości.

- Debbie, kudłacz, jak się masz? Kto kocha ślicznego, słodkiego piesia?

- Ani kroku bliżej - warknął Christian.

- Nie będziesz mi mówił, co mi wolno, a czego nie. Mam prawo głaskać mojego własnego psa.

Właściciel Goździkowego Globu próbował odciągnąć Debbie, ale na próżno. Zaczęła się desperacko wyrywać, próbując podbiec do Martina. Christian szarpnął smyczą, na co ulubienica rozszczękała się na całą kwiaciarnię. Pociągnął ją jeszcze mocniej.

- Przestań, zrobisz jej krzywdę! - wrzasnął Martin i rzucił się, by wyrwać mu smycz. Christian okazał się jednak szybszy i usunął się, tak że chłopak upadł na twarz. Były partner parsknął pogardliwie, szarpnął ponownie smyczą i wyszedł z kwiaciarni, wlokąc za sobą biednego psa.

Drżąca z oburzenia Cinders pomogła Martinowi wstać.

- Nic ci się nie stało? - zapytała przejęta.

- Nie - uspokoił ją, otrzepując z kurzu sweter i dzinsy. - Martwię się tylko o Debbie.

Christian ma mściwy charakter i choć nigdy nie widziałem, by w mojej obecności znęcał się nad zwierzęciem, teraz boję się, że może się na niej wyżywać.

- Ja też: widziałam, jak ją potraktował. To potwór! Musimy coś z tym zrobić. Nie wiem jeszcze co, ale obiecuję coś wymyślić.

MARTIN ZDAWAŁ SOBIE SPRAWĘ, że spełniając zachcianki Cinders, zaniedbuje pracę w kwiaciarni i wielokrotnie przeproszał za to szefową.

- Sam nie wiem, co robić. Czasem próbuję powiedzieć „nie”, ale patrzy na mnie wtedy tak żałośnie, że natychmiast się poddaję. Do tego naprawdę przejęła się moimi kłopotami z Debbie i pomoże mi ją odzyskać, obiecała. Nie mogę jej odmówić, jest taka miła.

Abby dostrzegła, że Stokrota znalazł się w niezręcznym położeniu, i obiecała, że pomówi o tym z Cinders. Nie musiała - na pomoc przyszła jej Katie, kierownik planu, która okazała się kimś w rodzaju Piętaszka dla reżysera. Dan również zauważył kłopotliwą sytuację Martina. Poprosił Katie o pomoc, a przy okazji wyjaśnił Abby, że chociaż dziewczyna powinna siedzieć i odwalać papierkową robotę związaną z filmem, to ściągnął ją, aby odciążyla Stokrotę i zajęła się dogadzaniem gwiazdzie. Abby była w siódmym niebie.

- Dzięki, skarbie, jesteś geniuszem! - zaćwierkała, naśladowując głos Lucindy, co - nie wiadomo czemu - rozochociło go do tego stopnia, że zaciągnął ją na krótko do sypialni.

Dobroduszna, pogodna Katie doskonale poradziła sobie z Cinders. Pewnego ranka, w przerwie w zdjęciach zajrzała do kwiaciarni i powiedziała, że ogromnie się cieszy, że Abby i Daniel zostali parą.

- Wiesz, po ostatnim zerwaniu zamienił się w beznadziejnego zrzędliviego mruka, a teraz na szczęście mu przeszło.

- Myślisz, że to dzięki mnie?

- No pewnie, a komuż by innemu?

Gdyby знаła Katie dłużej, zwierzyła by się jej ze swoich obaw. Przez kilka dni po decydującej rozmowie, kiedy to Dan uspokoił ją co do Cinders, czuła ogromną ulgę. Później stare wątpliwości powróciły, zwłaszcza że za każdym razem, kiedy miała okazję zastać ich w jednym pomieszczeniu, aktorka trzymała łapy na jej Danielu. Jak nie poprawiała mu kołnierzyka, to wygładzała niesforny kosmyk albo kładła rękę na kolanie. I choć sam reżyser twierdził, że w podobny sposób wiesz się na wszystkich facetach z ekipy, Abby jakoś tego nie zauważyła - widocznie tym razem gwiazda obdarzała swymi łaskami tylko Dana. Zawracała mu też bez przerwy głowę, nalegając na spędzanie mnóstwa czasu razem: zwykle późnym popołudniem po skończeniu zdjęć, bo wieczory miał zajęte pracą nad montażem. Abby była

wprawdzie świadoma, że rozmawiają o scenariuszu i innych kwestiach dotyczących filmu, wyobraźnia podsuwała jej jednak obrzydliwe sceny z rekwizytami typu szampan, jedwabny negliż i truskawki maczane w czekoladzie, za pomocą których zaborczej aktorce udawało się uwieść opornego reżysera.

Pewnego ranka, kiedy jak zwykle pracowała i właśnie zamierzała zrobić sobie przerwę i wyskoczyć po kanapkę na lunch, do sypialni wpadł Martin.

- Ej, a może byś tak zapukała? A co, gdybym paradowała na golasa?

- Mam nowiny! - wykrzyknął, ignorując jej protest i z radości niemal klaszcząc w ręce. - I to z pewnego źródła, bo od samej zainteresowanej! Cinders ma faceta w Los Angeles, chociaż kryją się z tym, bo to jakiś megagwiazdor.

- Żartujesz?

- Wcale nie, a z tego, co mówi, wynika, że jest boski; ciemne oczy, wysoki, idealne ciało... zanim skończyła opis, zrobiło mi się gorąco pod kołnierzykiem!

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Spoko, oczywiście nie dałem nic po sobie poznać...

- Nie mówię o twojej reakcji, paskudo, tylko o tym, że Cinders ma kogoś, jakoś nigdy na to nie wpadłam.

- No widzisz! Przystaniesz wreszcie się zamartwiać? Wszyscy: ja, Dan, Sophie, mieliśmy rację - jej chodzi o kontrolę nad twoim chłopakiem, a nie o jego ciało!

Abby poczuła niesamowitą ulgę, która przyprawiła ją o błogość podobną tej, jaka ogarnia człowieka, gdy wypije szklaneczkę wybornej whisky po powrocie ze spaceru w mroźny dzień. Od razu jej uczucia względem Cinders złagodniały. Okazała się nieszkodliwa, a w dodatku obiecała pomóc Martinowi. Powiedziała mu, że zna producenta telewizyjnego, który właśnie przymierza się do nakręcenia angielskiej parodii programu *Sędzia Judy*. Będzie nosił tytuł *Sędzia Trudy* i szukają do niego nieskomplikowanych, zabawnych przypadków, które można rozstrzygnąć na sali sądowej przed kamerami.

- No właśnie, i kiedy Rollo - to znaczy producent - dowiedział się o mnie i konflikcie z Christianem, uznał, że nadamy się idealnie.

- A twój eks się zgodził? Nie wierzę. Po co miałby ryzykować utratę Debbie Harry? To nie trzyma się kupy.

- *Au contraire*. Jest takim arogantem, że w ogóle sobie nie wyobraża innego scenariusza niż własna wygrana.

- I obaj zgodziliście się postąpić zgodnie z wyrokiem sędzi?

- No właśnie. Umowa stoi.

- A przyszło ci na myśl, że możesz przegrać?

- Tak, ale skoro nie stać mnie na prawnika i koszty rozprawy sądowej, to moja jedyna szansa.

Abby przy najbliższej okazji podziękowała Cinders za pomoc asystentowi.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Ten straszny gbur Christian powinien dostać nauczkę.

Abby na tyle przekonała się do aktorki, że kiedy Katie nie było w pobliżu, sama proponowała, że zrobi jej herbatę. Gdy w przerwach między ujęciami gwiazda zaczęła oglądać filmy na iPodzie, Abby z własnej nieprzymuszonej woli zaproponowała, żeby korzystała z jej wielkiego telewizora w salonie. Lucinda odmówiła, choć najwyraźniej była wdzięczna za propozycję. Wyglądała na bezgranicznie zadowoloną, kiedy skulona na fotelu, ze słuchawkami w uszach, zapominała o bożym świecie. Później nigdy nie wspominała, jaki film oglądała; co dziwniejsze, gdy ktoś ją o to pytał, udawała, że nie słyszy, i zmieniała temat.

NADSZEDŁ OSTATNI DZIEŃ pracy ekipy w kwiaciarni. Abby zrobiło się smutno. Pomyślała, że lada moment zatęskni za filmowcami i rozgardiaszem, jaki robili w jej kwiaciarni. Brak jej będzie także całodziennej obecności Dana, choć prawie nie mieli dla siebie czasu. Kto wie? Może nawet zatęskni za Cinders? Powrót do normalnego życia - ten scenariusz brzmiał strasznie drętwo.

Obiecała Danielowi, że przygotuje pożegnalną kolację. Będą świece, szampan i tiramisu. On obiecał zostać na noc.

Wczesnym popołudniem wpadła do S&M po filety jagnięce. Kiedy weszła przez rozsuwane automatycznie drzwi, jej oczom ukazał się tłumek kobiet zebrany przy długich ladach, gdzie hostessa rozdawała ulotki. Pomyślała, że to może jakaś promocja, i podeszła bliżej.

Jakaś pani w średnim wieku, ubrana w oficjalny kostium, skończyła przeglądać broszurę i spojrzała na Abby.

- Najwyższy czas! Powtarzam od lat, że nikt lepiej od samego klienta nie doradzi, co trzeba zmienić w S&M.

- Napisałam do nich już dawno - opowiadała inna kobieta. - Zrobiłam listę niedociągnięć i ulepszeń, ale nawet nie raczyli mi odpowiedzieć, a teraz sami pytają nas, klientki, o zdanie. Świat się kończy.

- Co? - Abby zamrugła z niedowierzaniem.

Czyżby S&M przeprowadzał ankietę wśród kupujących, tak ja kto zasugerowała Danowi? Poprosiła o kwestionariusz i zaczęła czytać. Pytano o opinię w kwestii kroju, koloru, jakości i podążania za modą: „Czy pani/pana zdaniem ozdobny haftowany motyw:

- a) zdobi odzież,
- b) szpeci odzież?

Czy pani/pana zdaniem S&M:

- a) zawsze podąża za trendami w modzie,
- b) stara się podążać za modą
- c) nie podąża za modą i powinien to zmienić?"

Abby przeczytała broszurę do końca. Wyliczono w niej każdy niemal mankament, o którym rozmawiała kiedyś z Danem. Co więcej, z tekstu wynikało, że firma zdecydowała się na zmianę wystroju wnętrz każdej z ośmiuset filii, zatrudniając w tym celu Trevora Monka, wziętego i nagradzanego projektanta, który niedawno urządził na nowo hotel Bristol przy Park Lane. Schowała ulotkę i ruszyła w kierunku stoiska spożywczego. Co za dziwny zbieg okoliczności! A może Daniel zna kogoś w zarządzie firmy i przekazał mu jej sugestie? Wyśmiała jednak idiotyzm własnych podejrzeń. Wykluczone. Nagle przypomniała sobie, że zauważyła u niego w mieszkaniu magazyn „Spod Lady”. Nie, przecież gdyby miał znajomości, wspomniałby o tym przy jakiejś okazji. Na pewno niczego przed nią nie ukrywa.

Zaabsorbowana sytuacją wróciła do kwaciarni i zaniósła zakupy na górę do lodówki. Cinders siedziała zwinięta w fotelu, ze wzrokiem wlepionym w ekran iPod'a. Poruszała głowę w takt muzyki. Właścicielka kwaciarni przyglądała jej się przez kilka sekund. Aktorka zaczęła śpiewać. Trudno było rozpoznać słowa, ale rozkręcała się coraz bardziej i po chwili Abby skojarzyła, że to piosenka Hanka Reno *Cherokee Lou, Don't Let Me Die in the Jailhouse*. Podeszła i zamachała Lucindzie przed nosem na znak, że wróciła. Ta popatrzyła, wyjęła z uszu białe słuchawki i się przywitała.

- Myślałam, że poszłaś z Danem i resztą ekipy do pubu?

- Miałam taki zamiar, ale zorientowałam się, że zapomniałam iPod'a. Wróciłam po niego i zagapiłam się na film.

- *Tumble Down?*

- Aha. - Zaczerwieniła się, jakby przyłapano ją na czymś niestosownym.

- Zwykle filmowe biografie są takie sobie, ale to wyjątek: swoją drogą, to jeden z moich ulubionych filmów. Liam Heggarty i Geneva Raine grają wspaniale, a do tego ta doskonała muzyka...

- Masz rację - odrzekła Lucinda z zadumą. - Uwielbiam na przykład tę piosenkę *Cheatin' Woman, Gonna Drive My Truck Right over You*.

- No właśnie - i wiesz co? Nie powtarzaj tego nikomu, bo zabrzmiałoby to jak herezja, ale moim zdaniem Liam Heggarty śpiewa kawałki Hanka Reno lepiej niż on sam. Robi to po prostu genialnie!

- Też tak uważam! - Twarz Cinders rozpromieniła się w uśmiechu.

- Do tego ten magnetyzm pomiędzy nim a Genewą na ekranie... niesamowite.

- Hm. No nie wiem - odparła aktorka już z mniejszym entuzjazmem. Abby zaczęła wkładać rzeczy do lodówki.

- Z tobą i Danem to coś poważnego? - Cinders zmieniła nagle temat i schowała iPoda do kieszeni. Abby zdziwiła bezpośredniość i intymność tego pytania. Do tej pory nie rozmawiały z aktorką na tematy osobiste, może to wynik ocieplenia stosunków między nimi?

- Znamy się od niedawna, ale przyznaję, że traktuję go bardzo poważnie.

- To widać od razu. Przyglądałam się wczoraj wam obojgu. Chichraliście się jak para dzieciaków, kiedy próbował zaciągnąć cię do sypialni.

Abby się zarumieniła.

- Nasz związek jest bardzo świeży. Ja sama dopiero niedawno rozstałam się z narzeczonym, to... to trochę skomplikowane.

- Zabawne. Wiesz, zawsze wyobrażałam sobie, że Dan zwiąże się z kimś... - zabrakło jej słowa.

- No z kim?

- Ojej, jak by to powiedzieć...

- Cinders, na litość boską, co masz na myśli?

- Jego pochodzenie. Wydawało mi się, że kiedy zechce się, no... ustatkować, wybierze kogoś o podobnym rodowodzie...

- Dan ma rodowód? Nie bardzo rozumiem, mówisz o nim, jakby był psem rasowym?

Tym razem Cinders zrobiła zdeorientowaną minę.

- Jak to? Ty nie wiesz? Dan nie powiedział ci, kim są jego rodzice?

- Powiedział, że mama owdowiała i wyszła powtórnie za męża, a ojczym ma firmę szyjącą ciuchy. - Słyszając własne słowa, zaczęła kojarzyć poszczególne fakty.

- Ciuchy? No cóż, pewnie można to i tak nazwać... - przerwała Lucinda. - Powiedziałam zbyt dużo, choć to zupełnie nie moja sprawa. Musisz porozmawiać z Danem, na mnie naprawdę już czas.

Wstała, przeczuciła przez ramię poncho od Mulberry i skierowała się ku wyjściu. Abby nie próbowała jej zatrzymać, zbyt absorbowały ją teraz własne myśli.

A więc Dan ma „rodowód”, a jego ojczym firmę z ciuchami. Nie, nie musi z nikim rozmawiać. Na pewno wpadła na właściwy trop. Boże, jak mogła być tak głupia?

Laptop stał na stoliku tuż przed jej nosem. Otworzyła go i kliknęła na znaczek przeglądarki. Wpisała: „S&M” i „Daniel Chipault”.

Rozdział 16

Już miała wcisnąć „Szukaj”, kiedy usłyszała kroki na schodach.

- Stokrota? - spytała, zgadując, że to Martin przychodzi zapytać, czy może zrobić sobie przerwę obiadową.

W drzwiach zobaczyła Dana. Jego twarz była blada i ściągnięta niepokojem.

- Abby, możesz na chwilę przerwać? - zapytał poważnym głosem. - Mam ci coś ważnego do powiedzenia. Próbowałem już od tygodni, ale nie mogłem zebrać się na odwagę. Usiądźmy i wysłuchaj mnie, dobrze?

- Dan, ja przecież siedzę.

- Aha, no tak. Jakoś umknęło to mojej uwagi.

- I tobie też będzie wygodniej. Proszę, tam jest fotel.

- No właśnie. Posłuchaj. Ekhm, ekhm - odkaszlnął nerwowo. - Bo widzisz... nie byłem z tobą do końca szczerzy, kiedy opowiadałem ci o sobie. Nie wspomniałem, że moja rodzina nie jest taka zupełnie zwyczajna. Mamy arystokratyczne koneksje i dość dużo pieniędzy.

- Dość dużo?

- Bardzo dużo. Nie, znowu nie mówię całej prawdy. Tarczamy się w forsie jak świnia w błocie. Do tego mój ojczym to sir Malcolm Grant, szef zarządu S&M, a oprócz pensji, którą płaci mu firma, ma olbrzymi majątek, podobnie jak moja mama. Opowiedziałem mu o twoich

pomysłach na poprawę sklepów - urwał, czekając na jej reakcję, ale Abby siedziała nieporuszona. - Nie dziwisz się?

- Nie.

- Wiedziałaś już wcześniej?

- O ankiecie S&M? Z moimi pomysłami? Rzeczywiście.

- Cholera, chciałem pierwszy ci o tym powiedzieć.

- Spóźniłeś się. Zobaczyłam ją godzinę temu i skojarzyłam fakty, zwłaszcza po tym, jak Lucinda wypaplała o twoim „rodowodzie”. Byłam pewna, że opowiedziałeś o moich sugestiach komuś z zarządu - teraz wiem, że ojczymowi. Kiedy mówiłeś, że ma firmę z ciuchami, nie przypuszczałam, że używasz tego określenia w tak szerokim znaczeniu.

- Naprawdę nie wiem, co powiedzieć. - Był bezradny w obliczu jej sarkazmu. - Po prostu bardzo cię przepraszam, że byłem nieszczerzy i nie poinformowałem cię o wszystkim na samym początku. I że bez pytania opowiedziałem ojczymowi o twoich pomysłach. Nie miałem wyjścia!

- Jak to? I przedstawiłeś je jako własne?

- Żartujesz! Jak mógłbym?... Słuchaj, nie wyobrażasz sobie, przez jak poważne kłopoty przechodzi teraz firma, stacza się w przepaść, a parę tygodni temu akcjonariusze zagrozili, że jeśli zarząd błyskawicznie nie wymyśli jakiegoś sposobu, żeby zapobiec spadkowi dochodów, Malcolm zostanie pozbawiony stanowiska. Bardzo go szanuję, ale muszę przyznać, że choć dobro S&M ogromnie leży mu na sercu, podjął kilka nietrafionych decyzji. Chyba jednak zdał sobie sprawę, że i on sam, i reszta zarządu są dinozaurami w średnim wieku ze środkowej Anglii, jak raczyłaś niedawno ich określić, których strach przed utratą konserwatywnej klienteli paraliżował przed jakimkolwiek działaniem. Do tego otaczający go księgowi i urzędnicy wciąż namawiali, by nie modernizować sklepów, lecz po prostu obniżać ceny. Powinien był już dawno wylać tych doradców na zbity pysk. Mniejsza z tym, wspomniałem mu o tobie i twojej kwiaciarni, pokazałem artykuły o Ładnych Kwiatkach, opowiedziałem, jak stworzyłaś firmę od zera, a teraz masz mnóstwo sławnych, bogatych klientów. Zrobiło to na nim wrażenie, wreszcie zaczął słuchać. Opowiedziałem mu także o tym, że jesteś bardzo kreatywna - nie tylko w kwestii kwiatów - i z jakim zapałem opowiadałaś o zmianach, które mogłyby uratować S&M. Ale jednocześnie bałem się ci powiedzieć, kim jest Malcolm. Zachowałem się jak ostatni osioł, na własne usprawiedliwienie mogę tylko dodać, że powodował mną strach.

- Strach? Przed czym?

- Że nie będziesz chciała się więcej ze mną spotykać. Opowiadałaś przecież, jak potraktowali cię Toby i jego matka. Do tego ci koszmarni przyjaciele twojego eks, ten nieszczęsny weekend na wsi... powiedziałaś przecież, że masz zamiar związać się wreszcie z kimś zwyyczajnym, z przeciętnej rodziny...

Abby próbowała zachować pozory spokoju, ale wewnątrz czuła narastającą furję. Jakim prawem uznał, że nie będzie w stanie stawić czoła prawdzie?

- Czy naprawdę wydaje ci się, że jestem taką ograniczoną idiotką? Nie przyszło ci do tego pustego łba, że razem jakoś się z tym uporamy?

- Wydawało mi się, że jeśli dowiesz się, kim są moi rodzice i znajomi, odwrócisz się ode mnie i cześć.

- Jak śmiałeś! Nie dopuściłeś mnie do głosu i zacząłeś na własną rękę zgadywać, co zrobię albo powiem! - wyrzuciła ze złością.

- Ale sama przecież powiedziałaś, że jesteś snobką na opak.

- I co z tego? Byłam zdenerwowana, w złości człowiek mówi różne rzeczy.

- Aha, dzięki za informację.

Umilkli oboje. Dan wbił wzrok w podłogę.

- Przepraszam - odezwał się po chwili. - Spanikowałem.

- Rozumiem, ale obawiam się, że nie potrafię ponownie ci zaufać. Skąd mam wiedzieć, czy zatajanie połowy informacji - ot tak, dla świętego spokoju, po co mnie denerwować, ty wiesz, co dla mnie lepsze - nie wejdzie ci w nawyk? To nie tylko nieuczciwe, lecz także potwornie, ekstremalnie protekcjonalne.

- Wiem, wiem - zawstydził się jeszcze bardziej. - Obiecuję: już nigdy w niczym cię nie okłamię. Nie będzie to łatwe, przyznaję, ale czy moglibyśmy zacząć od nowa?

- Wiesz, jak się sparzyłam na nielojalności Toby'ego.

- Tak, ale ja nie wystawiam cię po kryjomu do wiatru z podstarzałym facetem!

- Wiem. - Uśmiechnęła się wbrew woli. - Chodzi mi o sekrety w ogóle. Tajemnice i przemilczenia rujnują związek. Takie mam zdanie w tej kwestii.

- Możesz mi wybaczyć? - Potarł z zakłopotaniem czoło.

- Wybaczyć to jeszcze najłatwiejsze. Oczywiście, że mogę - gorzej z zaufaniem. Potrzebuję czasu, żeby to przemyśleć.

- Może będzie ci łatwiej, jeśli powiem, że ja nie jestem zamożny, przynajmniej na razie. Mam wprawdzie fundusz założony na moje nazwisko, ale nie wolno mi ruszać tych pieniędzy

przed czterdziestym rokiem życia. Nie skłamałem, kiedy opowiadałem ci o trudnościach ze zdobyciem forsy na film. Pewnie, że mogłem poprosić matkę i Malcolma, ale nie chciałem. Uparłem się, że sam zbiorę potrzebne fundusze.

Zaimponowało to Abby i powiedziała mu o tym.

- Malcolm jest ci wdzięczny i marzy, żeby cię poznać. Ciągłe o ciebie wypytuje i oskarża mnie, że ukrywam cię przed nim. Nie zdziwiłbym się, gdyby powoli przestał wierzyć w twoje istnienie i doszedł do wniosku, że cię wymyśliłem.

- Wydaje mi się, że to niezbyt dobry moment na nasze spotkanie. Najpierw oboje musimy oczyścić atmosferę.

- Zgadzam się. - Zaczerpnął powietrza. - W takim razie muszę powiedzieć ci jeszcze jedną rzecz o rodzicach. Moja matka to francuska księżna, z rodziny bezpośrednio spokrewnionej z Marią Antoniną.

- Co takiego? - Nie mogła powstrzymać się od śmiechu. - No nie, daj spokój, tym razem mnie nabierasz!

- Wcale nie. Mogę ci pokazać drzewo genealogiczne.

- Głęb genealogiczny.

- Pełny tytuł mamy to: księżna Marie Joseph d'Anjou Jonelle Bergerac Chipault.

- Dobrze - zaśmiała się. - To znaczy, że ty to...

- Księżę d'Anjou Jonelle Bergerac Chipault. Ni mniej, ni więcej. Oczywiście, tytuł przejdzie na mnie dopiero po śmierci mamy. I nie zamierzam broń Boże go używać. Przyznaję, że tak jak Toby chodziłem do ekskluzywnych prywatnych szkół z innymi bogatymi dzieciakami. Z Cinders poznaliśmy się w Millfield, ale przyrzekam ci, że moi znajomi ze szkoły nie są bandą palantów żłopiących w kółko szampana. Moi rodzice tym bardziej nie. I wcale nie przypominają koszarnej nabszyczonej lady Penelope. Moja mama ma silny zmysł praktyczny, jest bardzo miła, ma w nosie autorytety, a do tego wyróżnia się zabójczym poczuciem humoru - jestem pewien, że ją polubisz. Tatę też, rodzice są naprawdę fajni.

- Tym bardziej powinienesz być mi powiedzieć prawdę.

- Masz rację - westchnął i wstał. - Muszę lecieć. Przemyśl spokojnie to, co ci powiedziałem. Nie spiesz się, ale pamiętaj, że jeszcze nigdy w życiu nie było mi tak przykro jak teraz. Ogromnie zależy mi, żebyśmy dalej byli razem.

W odpowiedzi obdarzyła go bladym uśmiechem. Pomyślała o niepotrzebnych zapasach w lodówce: jagnięcinie, szampanie, składnikach do tiramisu... nici z uroczystej kolacji.

Na pocieszenie przeszła do części kuchennej i nalała sobie kieliszek merlota z otwartej butelki stojącej od kilku dni na blacie. Wypiła duży łyk, ignorując kwaśny posmak, po chwili na nowo napełniła kieliszek. Usiadła na kanapie, podwijając pod siebie nogi. Wzięła pilota i włączyła wiadomości, nie mogła się jednak skoncentrować. Zaczęła przeskakiwać z programu na program, po czym wyłączyła telewizor. Zdecydowała, że wina nie da się jednak pić, wylała je do zlewu i otworzyła nową butelkę. Po dwóch kieliszkach myśli zaczęły się krystalizować. Dan miał trochę racji. Gdyby od razu opowiedział jej, z jakiego środowiska się wywodzi, być może wzięłaby nogi za pas i nie mieliby okazji bliżej się poznać. Zerwanie z Tobym dotknęło ją silniej, niż była gotowa przyznać. Nie tylko przez wrednego Christiana. Czowała się do głębi upokorzona zachowaniem narzeczonego i jego matki, przez to, że dali jej do zrozumienia, że jest kimś stojącym o wiele niżej w hierarchii społecznej niż oni i, mimo sukcesu jej firmy, kimś mniej wartościowym. Dan wyczuł jej ukrytą niechęć i spanikował - nic dziwnego. Oczywiście: postąpił źle. Powinien był wykazać się wobec niej szczerością. Zataił prawdę, ponieważ mu na Abby zależy. Przyznał się do winy i gorzko żałuje. Jeden jedyny błąd nie może przecież przekreślić ich związku? Musi mu przebaczyć i przełamać się, aby na nowo obdarzyć go zaufaniem. Z drugiej strony - rozważała - co będzie, jeśli okaże się, że inne sprawy również przed nią zataił? Kto wie, a nuż Cinders nie jest mu obojętna? Co z tego, że ma kogoś w Los Angeles? Nie, to nie trzyma się kupy. Po co miałby kajać się przed Abby i prosić, by z nim nie zrywała, jeśli podkochiwałby się w Cinders? Z drugiej strony świat uczuć rządzi się swoimi prawami, w których nie ma miejsca na logikę.

W końcu poczuła się tak skołowana, że postanowiła iść spać i więcej nie myśleć o Danie. Nie ma sensu podejmować pochopnej decyzji, a potem żałować.

Namyślała się przez dwa dni. Nie pytała o radę Sophie ani Martina. Z łatwością mogła sobie wyobrazić, że namawialiby ją, by wybaczyła Danowi, przekonywali, że najlepiej przyjąć jego przeprosiny i puścić wszystko w niepamięć; przecież obiecał, że więcej jej nie okłamie. Tłumaczyliby, że musi mu na nowo zaufać. W tym tkwił cały szkopuł: nie była pewna, czy zdoła to zrobić.

Trzeciego dnia wieczorem postanowiła pojechać na zakupy do Hampstead. Para nowych dzinsów lub nowy podkoszulek na pewno poprawią jej humor. Po drodze myślała o Danielu. Wyobraziła sobie, jak siedzi sam, jak wkłada do mikrofalówki gotowe mrożone danie. Łzy napłynęły jej do oczu. W sekundę podjęła decyzję: pojedzie po niego, zabierze go na kolację,

podczas której spokojnie porozmawiają o zaufaniu i innych sprawach. Co oczywiście będzie znaczyło: zgoda.

WŁAŚNIE MIAŁA NACISNAĆ DZWONEK domofonu, kiedy z budynku wyszła Katie.

- Jak to? Dopiero teraz wychodzisz? Jest po siódmej. Dan to istny poganiacz niewolników.

- Jest kochany i świetnie o tym wiesz - zaśmiała się asystentka. - Po skończeniu zdjęć zostaje mnóstwo papierkowej roboty i innych drobiazgów do odwalenia. Oboje pracowaliśmy jak opętani, on skończył dopiero jakąś godzinę temu, kiedy przyjechała nasza gwiazda.

- Cinders jest teraz u Daniela? - Usłyszała własny głos i poczuła, jak przyspiesza jej puls.

- Tak, i to w jakimś dziwnym nastroju. Upierała się, że musi z nim porozmawiać. Zaprowadził ją do pokoju i siedzą razem. Nie mam pojęcia, co się tam dzieje. - Przerwała. - Czy Dan się ciebie spodziewa?

- Nie, postanowiłam zrobić mu niespodziankę.

- Będzie wdzięczny do grobowej deski, jeśli uda ci się wypłoszyć Cinders.

Abby pokryła niepokój uśmiechem. Katie przypomniała sobie, że w gabinecie zostawiła plik listów.

- Muszę zaadresować je w domu i wysłać z samego rana. Całe szczęście, że Dan zostawił mi zapasowe klucze, bez przerwy czegoś zapominam - powiedziała, szukając ich zawzięcie w torebce. Wreszcie wyciągnęła cały pęk i otworzyła bramę. Po wejściu natychmiast skierowała się po listy, a Abby stała w drzwiach do mieszkania, wahając się, czy wejść. Częściowo bała się, że zastanie sytuację, która potwierdzi jej najgorsze przypuszczenia. Z pokoju nie dobiegało żadne słowo, co przynajmniej wykluczyło możliwość gorszących scen, jakie sobie wyobrażała. Wreszcie udało jej się przekonać siebie, że Cinders przechodzi załamanie emocjonalne, a Dan próbuje jej jakoś pomóc. Weszła do przedpokoju i pomachała wychodzącej Katie, która rzuciła okiem na zegarek i powiedziała, że tylko cudem zdąży jeszcze na autobus.

Abby skierowała się do właściwych drzwi, które stały otworem. Zajrzała do środka. Dan siedział w czarnym skórzanym fotelu. Z miejsca, w którym się zatrzymała, dostrzegła profil aktorki, stojącej przy oknie, tyłem do mężczyzny. Oboje milczeli. Po kilku sekundach Cinders zaczęła mówić.

- Kochanie, czas, abyś powiedział jej o wszystkim. To dla jej dobra - oczywiście, że będzie to dla niej cios, ale jakoś go przeboleje. Obiecujesz mi to od tygodni. Nie wytrzymam

tego dłużej. Kocham cię i pragnę, abyśmy byli razem. Nie uda się nam to, jeżeli nie załatwimy pewnych spraw... ten totalny chaos działa mi na nerwy. Potrzebuję ładu, potrzebuję spokoju. Stan zawieszenia mnie wykańcza. Jeżeli ty jej nie powiesz, ja to zrobię.

Abby zrobiło się słabo. Poczwała, jak po policzkach spływają jej łzy. Obróciła się na pięcie i pobiegła w kierunku drzwi wejściowych. Pewnie zrobiła przeciąg, bo zatrzasnęły się za nią z hukiem. Biegła chodnikiem, trzęsąc się w szoku. Nie do wiary, to nie może być prawda! Najpierw Toby z Christianem, a teraz? Czy to zaraźliwe? Czy drugi facet z rzędu musiał ją zdradzać? Przecież jeszcze kilka dni temu prawie padał przed nią na kolana, kajał się, chciał, by od niego nie odchodziła. A teraz? Jak mógł? Jak śmiał jej coś takiego zrobić?

Oddaliła się od domu na kilka jardów, kiedy dobiegł ją głos Dana:

- Katie! Zaczekaj! Nie zapomniałaś o poczcie? - Najwyraźniej pomylił je w ciemności. Zignorowała go i dalej szła w kierunku samochodu. Usłyszała za sobą czyjeś pospieszne kroki.

- Abby! - zawołał, nareszcie ją rozpoznając. - Nie pędź tak! Co się z tobą dzieje? Byłaś w mieszkaniu? Jak udało ci się wejść?

Szła prosto przed siebie.

- Rany! - wreszcie zaskoczył. - Katie cię wpuściła i usłyszałaś, co mówiła Cinders. Kochanie, błagam, odwróć się! To nie to, co myślisz...

Dotarła do auta zapłakana i niemal bez tchu. Natychmiast zablokowała drzwi. Daniel złapał za klamkę i próbował otworzyć, dobijając się do szyby.

- Abby! Wysłuchaj mnie!

Przekreśliła kluczyk w stacyjce i ostrożnie ruszyła. Dan puścił klamkę. Dojechała do końca ulicy i skręciła w lewo. Nie miała pojęcia, dokąd jechać.

Rozdział 17

Łzy przesłoniły jej pole widzenia. Musiała zatrzymać samochód, a gdy tylko zgasła silnik, odezwała się komórka. Otarła oczy i spojrzała na wyświetlacz. Rozpoznała numer Daniela, wyłączyła więc telefon. Przez całe piętnaście minut siedziała i ryczała. Trudno powiedzieć, na kogo była bardziej wściekła - na chłopaka za zdradę czy na siebie za to, że wykazała taką naiwność, wierząc, że Dan potrafi bez końca opierać się Cinders. Mając do wyboru piękną aktorkę tuż na progu wielkiej kariery w Hollywood, do tego z dobrej rodziny, albo kwiaciarkę z Croydon, trudno się dziwić, na kogo się zdecydował.

Teraz to jasne - Cinders nie ma nikogo w Stanach, rozsiewała plotki dla zamydlenia oczu, a Abby oczywiście naiwnie uwierzyła. Złość nie była jednak najsilniejszym z jej uczuć. Ogarnął ją nieutulony żal - mimo że знаła Dana od tak niedawna, tracąc go, czuła się, jakby gubiła kawałek siebie. Bez niego zostanie sama, pusta, niekompletna. Wahala się, czy przyznać to przed sobą, ale co tu kryć? Zakochała się na zabój.

Dwie godziny później, po tym, jak znalazła się na M1 i dojechała prawie do Luton, dotarła z powrotem w domu. Rzuciła się w ubraniu na łóżko i zagapiła na księżycowe cienie na suficie. Ból w środku wydawał się niemal fizyczny. Na pewno już nigdy, przenigdy nikogo nie pokocha. Taki najwyraźniej jej los. Należy do ludzi, którym miłość pokazuje się z daleka, kusi, a potem zwodzi. Zasnęła bez snów, a następnego ranka obudziło ją czyjeś dobijanie się do drzwi mieszkania.

- Kto tam? - zapytała, przypominając sobie o fatalnym wieczorze. Łzy automatycznie napłynęły jej do oczu.

- Ja - poinformował głos Martina. - Już po dziewiątej! Wszystko w porządku?

Abby opuściła stopy na podłogę. Poczwała, że głowa jej pęka, a język jest suchy i szorstki jak papier ścierny. Wstała i poszła otworzyć.

- Cześć - wydusiła z siebie, trąc czoło.

- Jezu, jak ty wyglądasz! Spałaś w ubraniu?

- Tak jakby.

- Co się stało? Z podpuchniętych oczu i rozmazanego tuszu wnioskuję, że nieźle zabalowałaś?

- Coś w tym rodzaju. - Wybuchnęła niepowstrzymanym płaczem.

Martin natychmiast objął ją i przytulił.

- Hej, Abby, co jest? Opowiadaj cioci Stokroci, na pewno nie jest tak źle, jak ci się wydaje.

- Akurat! Dan zakochał się w Cinders.

- No tak, to nie brzmi dobrze. - Mówiąc to, Martin pogłaskał ją po plecach. - Wracaj do łóżka, ja zaparzę ci pysznej herbatki, a potem porozmawiamy.

Wróciła do sypialni i runęła na łóżko. Po chwili Stokrota wszedł z kubkiem słodkiej herbaty i grzanką z dżemem na tacy.

- Zadzwoń do Sophie. Zaraz tu przyjedzie.

- Przecież musi być w pracy, niepotrzebnie zawracasz jej głowę...

- Daj spokój. Ty tu leżysz w potwornej emocjonalnej traumie i śmierć ci patrzy z oczu...

Wiesz, jakbym oberwał, gdybym jej nie zaalarmował?

- Rzeczywiście.

Abby zmusiła się do wypicia gorącej herbaty, ale nie była w stanie przełknąć ani kęsa grzanki. Przyjechała Sophie i zastała przyjaciółkę chlipiącą w poduszkę.

- Mała, co ci się stało, opowiadaj. No już, proszę... odetchnij głęboko.

- Zakochałam się w Danielu - dobiegł stłumiony głos spod poduszki.

- To dobrze.

- Wcale nie, bo on kocha Cinders!

- Jak to? Skąd wiesz? Co się stało?

Abby udało się jako tako opanować i spojrzała na przyjaciół.

- Przyłapałam ich wczoraj u niego w mieszkaniu. Błagała go, żeby powiedział mi prawdę o tym, że są razem. Wiedziałam, wiedziałam, że nie mogę mu wierzyć. Taka ze mnie idiotka! - Spojrzała na Marina. - Cinders nie ma nikogo w Los Angeles, robiła cię w konia, a raczej mnie, bo wiedziała, że o wszystkim mi opowiesz. Zależało jej, żebym niczego nie podejrzewała.

Podzieliła się także resztą historii - o matce księżnej i ojczymie w zarządzie S&M - na ile pozwoliły jej nawracające ataki płaczu.

- Mam poczucie, jakby moje życie zamieniło się nagle w jakiś koszmarny sen - wyznała, wycierając zasmarkany nos. - No bo ilu babom wpada w oko jeden przystojny książę, a potem drugi, po czym obaj, jeden po drugim, robią ją w bambuko?

Przyjaciół na moment zatkało.

- No tak - przemówił Martin po chwili. - Dan to palant. Kto by pomyślał? A taki się wydaje normalny, jak on to robi, będąc jednocześnie potomkiem Marii Antoniny? To mnie przeraża.

Sophie i Martin, tak jak Abby, byli w stanie wytłumaczyć sobie, dlaczego Daniel spanikował i ukrył przed nią swoje pochodzenie. Podobnie jak ona zrozumieli, jak mogło dojść do tego, że przekazał ojczymowi jej pomysły na temat modernizacji sieci S&M. Nie potrafili jednak uwierzyć, że Dan zdradził ją z inną kobietą.

- To do niego niepodobne - stwierdziła Sophie. - Taki miły, porządny facet. Nie wyglądał mi na gościa, co kręci z dwiema jednocześnie.

- A mnie się wydaje, że to robota Cinders - zaczęła Abby. - Przyczepiła się do niego już od samego początku, kiedy zaczęli filmować. Najpierw jej się opierał, ale w końcu uległ jej wdziękom i w ciągu trzech ostatnich dni definitywnie udało jej się go uwieść. To jedna z tych zakichanych piękności, mistrzyń manipulacji, przyzwyczajonych, że zawsze dostają to, czego zapragną. A co najgorsze, jest z tej samej sfery co Daniel; Toby nigdy nie krył, że wolałby związać się z kimś z klasy wyższej, a Dan, chociaż pozornie zaprzecza, tak naprawdę życzy sobie tego samego.

Sophie i Martin wysłuchali jej cierpliwie, przytulając i pocieszając, aż wreszcie Abby sama zdecydowała, że przyjaciółka powinna wracać do pracy.

- Ja też nie mogę siedzieć tu i ryczeć przez cały dzień. Ktoś musi przecież otworzyć kwiaciarnię.

- Nie ma mowy - zdecydował Martin. - Sam sobie poradzę, a ty zostań w łóżku. Nie przyjmuję sprzeciwów.

Abby nie miała zamiaru protestować. Przypomniała sobie, jak niedawno odciągał ją po przyłapaniu Toby'ego z Christianem. „Powoli nabiera rutyny” - zaśmiała się gorzko. Po wyjściu gości zasnęła, a obudziła się dopiero o czwartej. Choć wiedziała, że nie jest to dobry pomysł, sprawdziła rejestr rozmów na komórce i pocztę głosową. Daniel dzwonił dwanaście razy. Nie miała zamiaru odsłuchiwać wiadomości, zamiast tego kasowała je jedną po drugiej.

Wyczerpało to chwilowo jej siły, zdołała jednak jakoś się zebrać, zawlec do łazienki, umyć twarz i przeczesać włosy. Zeszła na dół. W kwiaciarni nie było nikogo. Po chwili spostrzegła Martina, który kończył właśnie rozmowę przez telefon.

- Dziękuję za informację... Na pewno przekażę.

- Kto to?

- Ach, to ty? Wstałaś? - spytał z wyrazem niepokoju, który Abby wzięła za troskę o nią.

- Tak, pomyślałam, że sprawdzę, co się dzieje.

- Dzwoniła kobieta z Majorki, no wiesz, ta, która obiecała lawendę na przyjęcie u pana T.

- Mhm. Kiedy mamy odebrać kwiaty? Któreś z nas musi podjechać furgonetką na Heathrow.

- Kwiatów nie będzie.

- Co?

- Kwiatów nie będzie. Lotniska w Hiszpanii strajkują. Zawieszono loty i lądowania samolotów, także na wyspach.

- Niemożliwe! Nabierasz mnie? - Abby z trudem przełknęła ślinę.

- Chciałbym.

- Dziś jest środa. Przyjęcie w niedzielę. Co ja mam teraz zrobić?

Usiadła ciężko na taborecie. Czuła, że lada moment zaczną nią wstrząsać dreszcze.

- Abby, uspokój się. To tylko lawenda na taras. Gdyby zabrakło kwitnącej wiśni albo piwonii, wtedy mielibyśmy prawdziwy problem. Panu Takahashiemu będzie wszystko jedno.

- Akurat! Odbiło ci?! - krzyknęła, rozzłoszczona znacznie bardziej niż w zwykłym stanie ducha. - Wiesz przecież, jaki ma charakter. Widziałeś, jak się zachowuje, kiedy robi się wściekły. To perfekcjonista z obsesją na punkcie kontroli. Zmiecie mnie z powierzchni Ziemi.

- Abby, w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin dość się nadenerwowałaś. Opuść, zostaw to mnie, porozmawiam z Ichiro i poproszę go, by ogłędnie wytłumaczył panu T., w czym problem.

- Nie waż się! Kiedy ten tyran dowie się, że nie będzie lawendy, wyleje mnie na zbity pysk! Rozejdź się, że nie wywiązałam się z umowy, i stracę wszystkich klientów z wielkich firm.

- Panikujesz. Klienci znają cię i wiedzą, jaka jesteś solidna. Nikt nie zniechęci się do ciebie z powodu jednej wpadki, która do tego nie nastąpiła z twojej winy.

- To nie tak. Ludzie pomyślą, że nie można na mnie polegać i już, nikogo nie będą interesować szczegóły. Po prostu nie podejmą ryzyka, by powierzyć mi następne zlecenie. Na tym się nie skończy, Londyn to jedna wielka wioska, sam wiesz, jak szybko rozchodzą się plotki. Fama dotrze nawet do zwyczajnych klientów, którzy przestaną zamawiać bukiety ślubne i dekoracje przyjęć. Nie zapominaj, że z tego właśnie żyjemy. To będzie koniec Ładnych Kwiatków - stwierdziła i wzięła głęboki oddech.

- OK, trzeba się skoncentrować. Musi istnieć inny sposób, tylko jaki?

Martin nie widział żadnego wyjścia z sytuacji. Przypomniało mu się tylko, że wcześniej odebrał telefon od Dana, ale odpowiedział mu, że Abby śpi.

- Świetnie! Dzięki, nie byłabym w stanie z nim rozmawiać. Po dziurki w nosie mam tych nieszczęsnych: „to tylko i wyłącznie moja wina...”, zwłaszcza w tym totalnym chaosie.

Paradoksalnie, dodatkowy kłopot pocieszył Abby. Postanowiła, że skoro utraciła miłość swego życia, nie pozwoli, by przy okazji zaprzepaścić także firmę. Będzie walczyć o nią zębami i pazurami!

Zatelefonowała do dostarczycielki lawendy na Majorkę, ale usłyszała od niej to, co już przekazał Martin. Następnie obdzwoniła wszystkich dostawców, jakich udało jej się namierzyć w całym basenie Morza Śródziemnego. Na próżno; każdy powtarzał to samo: mogą sprzedać żadaną ilość kwiatów, ale nie ma możliwości zorganizowania transportu przed niedzielą ze względu na skomplikowaną odprawę celną towaru - do eksportu roślin wymagane są specjalne pozwolenia na piśmie.

Zadzwoiła do Toby'ego, licząc na minimalną szansę, że ktoś z jego firmy zna osobę, która mogłaby załatwić wydanie potrzebnych zezwoleń w trybie pilnym.

- Niestety - zmartwił ją eksnarzeczony. - A nie myślałaś, żeby posłużyć się łapówką? W Grecji zawsze udawało się dać jakiemuś urzędnikowi w łapę i było po sprawie.

- Aha. A potem spartańskie warunki w więzieniu okręgowym? Potrafię sobie wyobrazić bardziej urokliwe miejsca w Grecji.

Toby przeprosił, że nie potrafi pomóc. Odparła, że nie szkodzi. Jednocześnie wydało jej się niegrzeczne zakończenie rozmowy w tym punkcie, spytała go więc zdawkowo, co tam w pracy.

- Och, młyn, jak zwykle.

- A co u twojej matki? Dalej robi wielkie tajemnice?

- I tak, i nie. Okazało się, że ten projekt medialny to coś dla telewizji, ale oprócz tego nie chce powiedzieć mi ani słowa, dopóki nie podpisze kontraktu.

Abby poprosiła, by dał znać, jeśli okaże się, że to coś ciekawego, po czym musiała kończyć, bo do kwaciarni weszła klientka.

- Trzymaj się i do piątku.

- Jak to?

- Sprawa w sądzie, zapomniałaś?

- Ojej, rzeczywiście. Będziesz tam w charakterze moralnej podpory Christiana?

- A ty przyjdiesz wspierać Martina?

- Tak.

- No to do zobaczenia w przybytku sprawiedliwości.

- Cześć.

Niezręczność, jaka pojawiła się pod koniec rozmowy, wynikała z tego, że oboje zdali sobie nagle sprawę, w jak niewygodnej sytuacji postawi ich kolejne spotkanie.

CHRISTIAN I MARTIN, za obopólną zgodą, otrzymali termin rozprawy o godzinie ósmej wieczorem. Była to, nawiasem mówiąc, jedyna kwestia, w której wykazali się jednomyślnością. Producentowi programu termin ten także był na rękę, jako że w ciągu dnia miał nakręcić dziewięć innych rozpraw.

W piątek rano Martin pojawił się w pracy blady i zaaferowany, z dwoma garniturami w pokrowcach.

- Który będzie lepszy? - zapytał Abby. - Stalowszary od Armaniego czy granatowy Hugo Bossa? A koszula? Biała wygląda świeżo, ale może lepsza będzie blad różowa? A krawat? Czy krawat to ciut za wiele?

Przyjaciółka odparła, że jak dla niej, wkładanie garnituru na taką okazję to ciut za wiele, bo będzie wyglądało, że na wszelkie sposoby chce zrobić wrażenie na sędzi, co może nie spotkać się z przychylnym przyjęciem.

- Idź tak, jak jesteś. Niech Christian wkłada garnitur, zobaczysz, jak beznadziejnie i obleśnie będzie w nim wyglądał.

- Może i masz rację - przyznał Martin po chwili zastanowienia i zaniósł pokrowce do kanciapy. - Wiesz co, pomyślałem, że przeciwczę przed tobą mowę, którą napisałem, a przynajmniej początek. - Mówiąc to, wyjął z kieszeni kartkę papieru i zaczął czytać: „Wasza Wysokość...”.

- Wasza Wysokość? - przerwała mu Abby. - Stokrota, to program w kablówce, a nie Sąd Najwyższy.

- Przesadziłem?

- Ociupinę.

- No dobra, posłuchaj tego: „Panie i panowie przysięgli, pragnąłbym przykuć państwa uwagę maksymą stoika i wielkiego rzymskiego męża stanu, Marka Aureliusza, która w po-

wyższym przypadku wydała mi się nadzwyczaj stosowna: *Czyż płomień lampy nie świeci nieoświetlonym blaskiem, dopóty do cna się wypali...*".

- Nauczyłeś się na pamięć całego odcinka *Frasier*? - nie mogła powstrzymać się od śmiechu Abby. Martin się obraził.

- Przez pięć godzin siedziałem wczoraj w bibliotece nad książkami z filozofii, a ty...

- Przepraszam, nie chciałam się z ciebie nabijać, po prostu za bardzo się przejmujesz. Powinieneś jasno i zwięźle odpowiadać na pytania i już: w ten sposób zwiększysz szanse na wygranie sprawy.

- No tak, tylko mam wtedy uczucie, że niewystarczająco się przykładam. Może posłuchasz zakończenia? Nawiązuję w nim do słów wielkiego stoika Klaudiusza Maksymusa?

Oboje jakoś zdołali przebrnąć przez dzień pracy. Martin nie mógł zdecydować się, czy skoczyć do fryzjera, czy nie, poza tym ćwiczył głos przed rozprawą, specjalnie obniżony na tę okazję, bo „przecież brytyjscy sędziowie to homofoby”. Kiedy wychodzili, by dojechać do studia, Abby odebrała SMS od Dana, że do soboty nie będzie go w mieście. „Proszę, porozmawiajmy w niedzielę. Muszę wszystko wytłumaczyć”.

Kasując wiadomość, poczuła guł w gardle. Kilka godzin wcześniej Cinders posłała Martinowi przeprosiny, że nie będzie jej na rozprawie, musi wyjechać na kilka dni. Abby skojarzyła fakty i choć Martin zaproponował, że zapyta aktorkę wprost, czy ma romans z Danem, odrzuciła propozycję. Nie było sensu zbytnio go wciągać w jej prywatne sprawy.

STUDIO FILMOWE znajdowało się w wielkim przemysłowym kompleksie w Neasden, za budynkiem Ikei. Martin podał swoje nazwisko młodej kobiecie ze słuchawkami na uszach.

- Martin Roberts. - Przejechała ołówkiem po liście przypiętej na podkładce. - O, mam: rozprawa o prawa do opieki nad psem, Roberts przeciwko Sitwellowi. Wchodźcie za godzinę.

Wskazała stolówkę, gdzie mogą wygodnie poczekać, i obiecała, że wezwie ich, kiedy nadejdzie odpowiedni moment. Kantyna świeciła pustkami, jako że ich sprawa była ostatnią tego dnia. Zamówili kawę i usiedli na metalowych krzesłach, zaprojektowanych w modnym stylu industrialnym, w praktyce twardych i niewygodnych.

- Boże, Abby, okropnie się denerwuję. Co będzie, jeśli przegram i już nigdy nie zobaczę Debbie? Chyba tego nie zniosę!

- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz - uspokajała, biorąc go za rękę.

Do stołówki wpadł zdyszany i zagoniony Ichiro, miał na sobie kanarkowożółty, dopasowany żakiet ze stójką o kroju militarnym.

- Rany, myślałem, że nigdy tu nie dojadę! Takie korki! - westchnął, przysunął sobie krzesło i usiadł. - No, Marty, jak samopoczucie? Nie włożyłeś garnituru, a przecież umawialiśmy się: Boss albo Armani.

- Abby zdecydowała, że nie wypada.

- Może i racja. No co, denerwujesz się? Musisz się skoncentrować. Wykułeś mowę na blachę? Wypróbowałeś ćwiczenia jogi, które poleciłem? Powtarzasz mantrę? Za wszelką cenę musisz wziąć się w garść i być spokojny przez cały czas.

- Jestem. To tobie chyba przydałaby się pigułka na ukojenie nerwów.

- Komu to mówisz? - zapytał retorycznie Ichiro, wachlując się dłonią. - Zażyłem już sześć uspokajających pastylek ziołowych, ta sprawa zupełnie wyprowadziła mnie z równowagi, nie wiem dlaczego, przecież to ty wystąpisz w telewizji, nie ja.

Abby zaproponowała, że przyniesie mu filiżankę herbaty.

- Nie, nie, nie trzeba, nie rób sobie kłopotu... lepiej powiedz mi, jak sobie dajesz radę... Marty wspomniał o kłopotach z Danem. Cóż mogę rzec? Ten facet to kanalia pierwszej wody, ale nie przejmuj się. Zostaw to mnie: poproszę o pomoc koleżanki i znajdziemy ci prawdziwe bóstwo. Marty, mam ogłosić jej nowiny?

- Pewnie, że tak.

- Rzuciłem pracę u pana T.! Z miesięcznym wypowiedzeniem.

- Nie mów! Odważyłeś się? I co on na to? Założę się, że był wściekły!

- Wściekły to mało powiedziane. O mało nie dostał apopleksji. Pienił się i rzucał, że zmarnował lata, żeby mnie wyszkolić, że ja jeden znam jego zwyczaje i zachcianki, że nie ma siły, żeby przyuczać kogoś nowego. Nawet próbował przekupić mnie nowym BMW! Ze wstydem przyznaję, że o mały włos nie uległem pokusie. Ale nie! Wtedy zagroził, że dostanie ataku serca, a ja go zignorowałem. Do tego znalazłem kurs dekoracji wnętrz, na który mam zamiar się zapisać.

- Co za wspaniałe wiadomości! To pewnie wpadłeś na jakiś sposób, żeby za niego zapłacić? Wszechświat okazał się łaskawy?

- A żebyś wiedziała! Didier, mój fryzjer, modelował mi przedwczoraj włosy i wspomniał, że potrzebują kogoś na pół etatu do recepcji. Zgłosiłem się i mam pracę. I jeszcze coś - popatrzył pytająco na Stokrotę, jakby chciał zapytać, czy na pewno może powiedzieć - tylko

nie spadnij z krzesła: Martin i ja postanowiliśmy zamieszkać ze sobą! OK, przyznaję, częściowo po to, żeby zaoszczędzić, ale przede wszystkim dlatego, że się kochamy i pragniemy być razem!

Nie zważając na to, że chłopcy znają się zaledwie od paru dni, Abby wzruszyła się nowiną. Wzięła ich obu za ręce.

- Cudownie! Tak bardzo, bardzo się cieszę! Nie mogę powiedzieć, że jestem zaskoczona, bo zawsze wydawało mi się, że jesteście dla siebie stworzeni... - Powiedziała i przerwała, ponieważ dostrzegła Christiana i Toby'ego. - Już jest!

Właściciel Goździkowego Globu zamiast nieśmiertelnego golfu i pikowanej kurtki miał na sobie krzykliwy tweedowy garnitur à la Ropuch, a do niego zielony wełniany szalik. Martin odpowiedział tak piorunującym wzrokiem na lustrujące spojrzenie Christiana, że ten uniósł ze zdziwienia brwi.

- Nie wiem, jak przez to przebrnę - poskarżył się Stokrota, najwyraźniej wzrokowa polityczka nadwyrężyła jego siły.

- Nie żartuj, wytrzymałeś już tyle, wytrwasz do końca - podnosiła go na duchu Abby. Zauważyła, że Toby na nią patrzy. Uśmiechnęła się niewyraźnie w odpowiedzi, on zrobił to samo.

SALA ROZPRAW była niewielka, zatłoczona przez ekipę filmującą i wypełniona jej sprzętem.

- Czuję się zupełnie jak w domu - skomentowała sytuację Abby. Naprzeciw podwyższenia, gdzie miał zasiadać sędzia, stały dwa pulpity, jeden dla powoda, drugi dla oskarżonego. Po bokach znajdowało się sześć wyściełanych skórą ławek dla publiczności. Wprowadził ich woźny sądowy, który okazał się kobietą odzianą w togę i w peruce, natychmiast skierował Martina i Christiana ku pulpitom. Reszta, łącznie z Tobym, zasiadła w ławce w pierwszym rzędzie.

- Czuję się dziwnie - wyznał eksnarzeczony do Abby - kiedy pomyślę, że tym razem jesteśmy po przeciwnych stronach. Może nie powinniśmy siedzieć obok siebie?

Uczynił gest, jakby chciał wstać, ale woźna nakazała mu pozostać na miejscu.

- Proszę wstać, sąd idzie. Przewodniczy sędzia honorowa Trudy Kenwood.

Abby, Ichiro i Toby posłusznie wstali.

- Kenwood? - szepnęła dziewczyna. - Co za dziwny zbieg okoliczności.

Postawna, zwalista postać w peruce i todze zasłoniła im na krótko widoczność, po czym zasiadła na podwyższeniu.

- Mamuśka! - nie wytrzymał Toby.

- Ojej, naprawdę! - syknęła ponownie podekscytowana Abby. - I popatrz, nawet wybieliła sobie zęby!

- To o tym tajemniczym projekcie dla telewizji wspominała cały czas.

- Ale przecież na imię ma Penelope?

- Trudy na drugie. Wyobrażasz sobie, że nazwaliby program „Sędzia Penelope”? To trochę za wiele, nawet dla telewizji - powiedział Toby i zasłonił twarz dłonią.

- Za późno! Już cię zauważyła.

- O Boże. Jaką zrobiła minę?

- Trudno powiedzieć. Chyba zdziwioną. Pewnie łamie sobie głowę, co u licha, możesz mieć wspólnego z rozprawą.

- Wychodzę. Nie wytrzymam tego. Jeszcze chwila i dowie się, że Christian to mój partner. - Wstał, lecz Abby w porę złapała go za łokieć i pociągnęła z powrotem na ławkę.

- Siedź. I tak kiedyś musisz powiedzieć jej całą prawdę, więc czemu nie dziś?

Nie miała czasu udzielać mu kolejnych porad, bo do rozmowy wtrącił się Ichiro.

- Czy ja dobrze słyszę? Sędzia to matka Toby'ego? Jak to możliwe! Toby, wiedziałeś o tym? Jakim cudem to urządziłeś? To niesprawiedliwe, Martin powinien mieć szansę na uczciwy proces, zaraz przerwę tę farsę!

- Proszę, mój drogi, daj spokój. Zaręczam ci, że Toby nie wiedział o niczym. Jego mama jest autentycznym urzędnikiem państwowym. Poznałam ją i zapewniam cię, że jest zbyt zasadnicza, by zważać na koneksje rodzinne.

- Abby ma rację. Jeśli pokrewieństwo miałyby na nią wpłynąć, to raczej na niekorzyść dla mnie. Taką już ma naturę.

- Toby, nie przesadzaj - poprosiła.

- Nie znasz jej tak dobrze jak ja.

Ku zdziwieniu dziewczyny Ichiro zadowolila ta odpowiedź, więc zamilkł.

- Abby, ja jeszcze nie czuję się gotowy - szepnął z desperacją Toby.

- Na co?

- Żeby przyznać się, że jestem gejem. Potrzebuję czasu, muszę zastanowić się, jak to odpowiednio ująć w słowa, przygotować grunt. Powinienem uprzedzić Christiana. Spójrz, stoi

tam i nie ma pojęcia, kim ona jest. Boże, co za chaos! - Zrobił minę, jakby zamierzał się rozpłakać.

W tym momencie woźna nakazała im być cicho. Abby przeprosiła.

Lady Penelope, alias sędzia Trudy, czytała wprowadzenie do sprawy. Od czasu do czasu przyglądała się to Martinowi, to Christianowi przez *pince-nez*.

- Tak. Ze sprawozdania wynika, że pan Roberts i pan Sitwell pozostawali w związku nieformalnym przez pięć lat. Po zerwaniu pojawił się problem opieki nad psem, bernardynem o imieniu - czy to nie jakiś błąd? - Debbie Harry. To imię to chyba jakiś żart? - zapytała woźnej. - Czy Debbie Harry jest osobą, o której powinnam była coś wiedzieć?

- Debbie Harry to znana gwiazda muzyki pop z lat osiemdziesiątych, proszę Sądu.

- Aha. Nigdy o niej nie słyszałam. Panie Roberts, skoro pan jest powodem, poproszę, aby pierwszy przedstawił pan sprawę.

- Dziękuję. Wasza Wysokość...

- Będę wdzięczna, jeżeli przestanie pan tytułować mnie w ten sposób - zaprotestowała lady Penelope, a Christian parsknął obraźliwie.

- Przepraszam.

- Panie Roberts, do rzeczy.

- Proszę bardzo. Ja i pan Sitwell kupiliśmy Debbie dwa lata temu, kiedy była jeszcze szczeniakiem. Takie śliczności, z wielkimi brązowymi oczami i słodkim noskiem. Zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia. Pan Sitwell chciał dać jej na imię Brandy, ale ja uznałem, że takie imię to *cliché* w przypadku bernardyna, ponieważ, jak wszystkim wiadomo, w górach noszą one baryłkę brandy uwiązaną na pasku wokół szyi. Od zawsze byłem fanem Debbie Harry, to jest piosenkarki. Uważam, że album *Deaf, Dumb and Blonde* jest genialny.

- Panie Roberts: krótko, zwięźle i na temat. Proszę ograniczyć się do niezbędnych faktów, inaczej będziemy tu tkwili do północy.

- Oczywiście, Wasza Wyrokość.

- Nie jestem Wasza Wyrokość, nie jestem Wasza Wysokość, proszę łaskawie sobie to zapamiętać. Wystarczy: proszę Sądu.

Christian zrobił tak zadowoloną minę, jakby pomyślny wynik rozprawy miał już w kieszeni.

- Proszę Sądu, czy wolno mi wtrącić kilka słów? Przypadek jest banalnie prosty... - zaczął z gracją łasicy.

- Nie, panie Sitwell, nie wolno panu. Teraz zeznaje pan Roberts, na pana przyjdzie czas później. Proszę o ciszę.

Christian spiekł raka, jednak zastosował się do polecenia i przeprosił. Na polecenie sędzi Martin wznowił relację.

- Debbie zamieszkała z nami. Kupiłem jej obrożę z jej imieniem i materacyk z polaru do spania. Nie, żeby z początku spała.

Musiałem czuwać przy niej całymi nocami, bo strasznie piszczała za mamą. Zabierałem ją wtedy do pokoju, gdzie razem oglądaliśmy stare filmy. To jej się podobało.

- Panie Roberts, mniej szczegółów, proszę.

- JESZCZE RAZ PRZEPRASZAM. NO nic, wszystko było dobrze aż do naszego zerwania z panem Sitwellem. Przyłapałem go w łóżku z transwestytą, który występuje w takim gejowskim barze w Soho, zapomniałem jego nazwy.

- Mniejsza z tym.

- No właśnie.

Martin zdołał dokończyć historię, opowiedział, jak Christian zabronił mu widywać psa, nachodził go w kwiaciarni, groził mu i urządził awantury.

- Moja szefowa Abby Crompton może to potwierdzić.

Sędzia zapytała, czy panna Crompton jest obecna w sali, a skoro okazało się, że tak, wezwała ją na świadka. Abby wstała i wyszła na środek. Lady Penelope zmierzyła ją spojrzeniem zza okularów. Rozpoznała ją bez wątplenia, jednak jej mina wskazywała na to, że nie czas i miejsce na wymianę powitalnych uprzejmości.

- Panno Crompton, czy pan Roberts pracuje u pani?

- Tak, proszę Sądu.

- Co ma pani do powiedzenia odnośnie do zachowania pana Sitwella?

Abby postanowiła niczego nie przemilczać. Opowiedziała o zajściach, których była świadkiem, kiedy Christian wrzeszczał na Martina i wygrażał mu, opisała też, jak bardzo uprzykrzał życie jej samej. Sędzia odparła, że to nie ma związku ze sprawą, lecz należało przypuszczać, że nie zignoruje tej części zeznań świadka. Kiedy Abby skończyła, lady P. podziękowała jej i zwróciła się do Christiana.

- Panie Sitwell, co ma pan do powiedzenia w kwestii usłyszanych przez nas zarzutów?

- Proszę Sądu, powód i panna Crompton są niespełna rozumu.

- Czyżby?

- Bez wątplenia. Rzecz w tym, że za każdym razem, kiedy powód opiekował się Debbie u siebie w domu, nie karmił psa odpowiednio i zapominał podawać mu witamin.

- Może pan to udowodnić? Czy pies stracił na wadze?

- Nie, ale zeszłej zimy trzykrotnie był przeziębiony.

- Zabrał go pan do weterynarza?

- Tak.

- Czy weterynarz sugerował, że przeziębienia są wynikiem złego odżywiania?

- Niezupełnie.

- Co to ma znaczyć? Tak czy nie?

- Nie - wymamrotał Christian.

- Rozumiem. Podsumujmy fakty. Pies nie stracił na wadze. Skoro weterynarz nie twierdzi, że przeziębienia psa są wynikiem niedożywienia, nie dysponuje pan żadnym dowodem na to, że pan Roberts nie wywiązywał się prawidłowo z opieki nad psem.

Christiana zatkało. W panice zwrócił się do partnera:

- Toby, powiedz sądowi, że jesteśmy razem i że stworzymy cudowny, ciepły dom dla Debbie Harry!

Sędzia Trudy zastukała młotkiem w pulpit.

- Proszę o ciszę - rozkazała, po czym popatrzyła na syna. Ten odwrócił wzrok. Odczekała kilka sekund, po czym zapytała:

- Panie Sitwell, twierdzi pan, że on sam oraz ten tu obecny dżentelmen stanowią parę i mieszkają razem?

- Tak jest.

- Rozumiem - powiedziała sędzina Trudy i napiła się wody ze szklanki. - Rozumiem - powtórzyła. Popatrzyła na Toby'ego, który nadal gapił się w podłogę. - Panie Sitwell, czy sły-szał pan o aktorce o nazwisku Lucinda Wallace?

- Oczywiście.

- Mam nadzieję, że jej nie uzna pan za osobę niespełna rozumu. Sąd znajduje się w posiadaniu podpisanego przez nią oświadczenia, w którym zeznaje, że widziała, jak krzyczał pan na pana Roberta i zachowywał się wobec niego agresywnie. Twierdzi także, że była świadkiem zajścia, podczas którego szarpał pan silnie smycz, zadając ból zwierzęciu.

- Kłamstwo!

- Nie sędzę - wyraziła wątpliwość sędzia. - W sprawie Roberts przeciwko Sitwellowi ogłaszam zasadność roszczeń powoda. Pan Roberts otrzymuje wyłączne prawo opieki nad psem Debbie Harry. Psa należy przekazać powodowi najpóźniej do jutra, do godziny dziesiątej rano - oznajmiła, po czym zwróciła się do Christiana: - Panie Sitwell, po upływie pół roku może pan wystosować odwołanie. Sąd będzie skłonny je rozpatrzyć, o ile wraz z nim załączy pan dowód odbycia terapii leczącej agresywne zachowanie. - Ponownie uderzyła młotkiem w pulpit. - Sprawa zamknięta.

- To jakaś farsa! - zawył Christian. - To absurd! Będę się odwoływał! Sędzia kalosz! Nie oddam psa!

- Odda pan, odda - powiedziała lady Penelope, z trudem maskując gniew. - A jeśli nie, zgłoszę policji, by aresztowali pana za agresywne zachowanie i znęcanie się nad zwierzętami. Straci pan wtedy i psa, i dotychczasową pozycję w zrzeszeniu handlowców.

Christiana opuściła energia. Kamerzyści robili zbliżenie, jak Abby i Ichiro obejmują z radości Martina.

- A nie mówiłam! Wiedziałam, że wygrasz!

- No, no, no, o ile dobrze pamiętam, sugerowałaś coś wprost przeciwnego. - Stokrota droczył się z szefową.

- Naprawdę? No widzisz, to cię nauczy, że nie powinieneś się mnie słuchać!

- Ja też spodziewałem się szczęśliwego zakończenia - oznajmił Ichiro i wyjął z torby wściekloróżową psią miskę, na której widniał wygrawerowany sztucznymi diamentami napis „Debbie Harry”. - Czy to nie cudo?

Wszyscy uprzejmie się zgodzili. Podczas gdy Abby, Martin i Ichiro cieszyli się ze zwycięstwa, Toby pocieszał Christiana. Objął go ramieniem i poprosił, by poszli do domu.

- Niepotrzebna mi żadna zakichana terapia! - produkował się pan Sitwell, zaciskając pięści.

- Wiesz co? Chyba jesteś w błędzie. Potrzebna ci, i to od dawna - stwierdził Toby.

Wyprowadzał właśnie przyjaciela z sali, kiedy na drodze stanęła im lady Penelope w całej sędziowskiej krasie.

Tym razem Toby spojrzął jej w oczy. W milczeniu zbierał każdy gram odwagi, jaka mu pozostała.

- No i proszę. Wreszcie się mama dowiedziała. Tak, jestem gejem. Jeżeli mama ma zamiar mnie upokarzać i na mnie krzyczyć, proszę bardzo. Niech się mama wyżyje. Już wiem, co

mama powie: jaki to ze mnie zboczeniec i zakała rodziny. Niech mnie mama wydziedziczy! Mam to w nosie! Koniec ciągłego upominania i rozkazywania mi, co mam robić! Koniec. Jak mama nie potrafi zaakceptować mnie takim, jaki jestem, to trudno. Nie zależy mi.

- I słusznie.

Do Abby, która stała nieopodal, docierało każde zdanie. Uśmiechnęła się.

- Brawo! Wreszcie zebrał się na odwagę.

- Nie pozwolę traktować się jak idioty - rozpędał się Toby. - Jestem jednym z najlepszych prawników w kraju! Nie potrafi mama być ze mnie dumna, to bez ładu. Obejdę się bez tego i bez maminych pieniędzy. Sam mam szacunek do siebie i tylko to się liczy.

- Kochanie, ależ ja jestem z ciebie dumna.

- I koniec z ciągłym wtrącaniem się w moje życie! Koniec afrontów, jak ten, kiedy kazałaś Abby przynieść zaświadczenie o płodności!

- Masz absolutną rację. Brawo!

- Jak to? Mama przyznaje mi rację?

- Tak.

- No to chyba pierwszy raz w życiu.

- Przyznaję, że bywam czasem nieco dominująca i potrzebuję, by ktoś mnie usadził, kiedy za bardzo się rozbrykam. Tacie, kiedy był trzeźwy, świetnie to wychodziło. Od trzydziestu czterech lat czekam, aż się postawisz, i wreszcie tego dokonałeś. Lepiej późno niż wcale.

Toby zamrugął, nie wierząc własnym uszom.

- Mama wie, że na homoseksualizm nie ma lekarstwa. Żaden spec z Harley Street mnie nie wyleczy.

- Nie bądź osłem, Toby. Guzik mnie to obchodzi, czy jesteś gejem, czy nie.

- Jak to?

- Tak to. - Sędzia Trudy zdjęła perukę i podrapała się po głowie. - Nasza rodzina szczyci się homoseksualną tradycją. Najwyraźniej mój własny ojciec był trochę... tego, przez lata ukrywał romans z Nigelem Cowardem. Muszę jednak przyznać, że wolałabym się nie dowiadywać o preferencjach erotycznych syna na sali rozpraw.

- Bałem się mamie powiedzieć. Wyobrażałem sobie, że dostanie mama ataku wściekłości, i dlatego nie miałem odwagi, by wyznać mamie w twarz, że jestem gejem.

- Ale w końcu powiedziałeś. Zrobiłeś pierwszy krok we właściwym kierunku.

Lady P. dostrzegła Abby i zaprosiła ją do rozmowy.

- Droga Abby, przykro mi, że ci z Tobym nie wyszło. Spodobałaś mi się, lubię pyskate dziewczuchy.

- Zapamiętała pani, jak mi na imię?

- Tak, muszę się teraz bardziej starać. Zawracanie kobyły! W urzędzie to wszystko jedno, bo mam wokół siebie ludzi, którzy mi podpowiedzą, ale tutaj? Nie mogę być sędzią Trudy w telewizji i zapominać nazwisk. Sprawiałam sobie piękny nowy aparat słuchowy, bo producent programu się uparł.

Na widok Christiana oznajmiła mu, że jest matką jego partnera.

- Jak się pani ma? - mruknął lodowato, ponieważ nie miał zamiaru wybaczyć jej okrutnego, niesprawiedliwego w jego mniemaniu wyroku tylko dlatego, że okazała się matką Toby'ego.

- Nieźle, nieźle - odparła niezrażona. - Zastanawia mnie jedynie, dlaczego mój syn związał się z kimś, kto ma problemy z kontrolowaniem agresywnych zachowań. Toby, czy wiesz, w co się pakujesz? Moim zdaniem to kiepski wybór...

- Nikt mamy nie pyta o zdanie. Jeśli chce mama wiedzieć, mam je w nosie, nie potrzebuję mamy przyzwolenia. Christian potrzebuje pomocy, a ja będę go wspierał. Bo go kocham! Chodź, mój drogi, idziemy.

Para oddaliła się o kilka kroków, kiedy lady Penelope nie wytrzymała i zawołała syna.

- Punkt dla ciebie, Toby. Już dobrze... życzę powodzenia... wam obu... - zakończyła niezręcznie pierwszą w życiu próbę okazania matczynej troski, która nie umknęła uwagi jej adresata.

- Dzięki, mamó. - Uśmiechnął się na odchodne.

Rozdział 18

Abby uparła się, żeby Martin wziął wolny weekend, bo Debbie Harry musi przyzwyczać się do nowej sytuacji.

Była sobota, prawie pora lunchu, więc kwiaciarnia świeciła pustkami. Florystka postanowiła zmienić wodę w wazonach i usunąć niezbyt świeże kwiaty. Właśnie znalazła jakiś przywędły pomarańczowy jaskier, kiedy usłyszała, że ktoś otwiera drzwi. Stał w nich czerstwy, siwowłosy mężczyzna ubrany w bluzę do rugby i dzinsy. Na widok kobiety uśmiechnął się i, podchodząc, wyciągnął rękę.

- Czym mogę służyć?

- Abby? - zapytał.

- Tak... nie bardzo rozumiem, a pan...? - Podała mu dłoń.

- Malcolm Grant, ojczym Dana.

- Ładne kwiatki - jęknęła. - To znaczy... Ładne Kwiatki witają pana w swych skromnych progach...

Ostatnią rzeczą, jakiej się dziś spodziewała, była wizyta prezesa S&M, do tego w takim stroju.

- Bardzo się cieszę, że wreszcie mam okazję panią poznać - powiedział, a jego naturalne, bezpretensjonalne zachowanie wzbudziło jej sympatię. - Tyle razy prosiłem Daniela, by zaprosił panią do nas na lunch albo przynajmniej przyprowadził do mnie do biura, bym mógł panią poznać i podziękować za nieocenioną przysługę, jaką pani nam wyświadczyła, a on nic. Ciągłe wykręca się, że nie macie czasu, takie tam dyrdymały.

- Dan nie ma czasu przez film - zaczęła, by dać sobie chwilę na wymyślenie odpowiedniego wytłumaczenia. Postanowiła nie owijać w bawełnę. - Będzie lepiej, jeśli powiem, jak naprawdę wygląda sytuacja. Od kilku dni nie widzimy się z Danem, to znaczy nie jesteśmy już razem.

- Jak to? - zdziwił się sir Malcolm. - Przykro mi to słyszeć, ale to chyba niemożliwe... za każdym razem, kiedy go spotykam, opowiada o pani, wydaje się nam pani przez to taka sympatyczna... Mniejsza z tym, to wasze prywatne sprawy, a ja przyszedłem w interesach.

- W interesach?

- Jak najbardziej. Kawa na ławę: chciałbym zaprosić panią na posiedzenie zarządu naszej sieci, pragniemy powierzyć pani stanowisko konsultantki.

- Nie bardzo rozumiem?

- Chcielibyśmy panią prosić, by przyjrzała się pani - od czasu do czasu - efektom pracy naszych projektantów w nadchodzącym sezonie i podzieliła się opinią co do stylu, kroju i kolorów ubrań. Ciekaw także jestem pani zdania na temat naszych projektów rearanżacji wnętrz sklepowych.

- Ależ sir Malcolmie...

- Proszę mówić do mnie Malcolm, bez sira, bo czuję się wtedy jak stary zgred.

- Z przyjemnością - zaśmiała się - ale nie jestem ekspertem od mody ani designu. Opowiedziałam Danowi o rzeczach, jakie klienci mówią od lat. To żadna filozofia.

- Może i nie filozofia, ale jesteśmy pani bardzo wdzięczni za otworenie nam oczu - zarząd zbyt długo spoczywał na laurach, staliśmy się aroganccy i oderwani od rzeczywistości, a do tego uparci. Jako prezes powinienem był już dawno dobrze potrząsnąć zarządem, ale co tu gadać - sam bałem się zmian. Najłatwiej obniżać ceny, ale kiedy i ten sposób zawiódł, utknęliśmy w martwym punkcie. Wtedy Dan wspomniał o pani. Powinna go była pani widzieć, z jakim błyskiem w oczach opowiadał o pani energii, twórczych pomysłach, zaangażowaniu w poprawę S&M. Opowiedział, jak oprowadziła go pani po sklepie, krytykując ubrania. Szczególnie zapamiętał, jak wybrzydzała pani na haftowane kwiatki, że są nieładne. Zaraziłem się entuzjazmem syna - w samą porę. Brak mi słów, żeby wyrazić moją wdzięczność. Jeśli powiem, że uratowała nam pani skórę, nie będzie w tym ani trochę przesady, i chcielibyśmy pani pokazać, jak cenne są pani uwagi.

- Dziękuję, ale nie trzeba. Cieszę się, że moje sugestie na coś się przydały, ale nie ma mowy o żadnej nagrodzie. Przyznaję, że pańska propozycja, żebym została konsultantką, jest bardzo wspaniałomyślna, ale dziękuję, cały mój czas poświęcam rozkręcaniu własnej firmy.

- Ależ byłaby nam pani potrzebna nie częściej niż raz w miesiącu, a honorarium będzie wysokie.

- Nie wątpię, ale jak już powiedziałam, mam mnóstwo pracy z prowadzeniem kwiaciarni i muszę się na tym skoncentrować.

- Szkoda, ale szanuję pani decyzję. Może moglibyśmy odwdziaczyć się w jakiś inny sposób? Jednorazowym honorarium?

- Nie, nie, nie wezmę żadnych pieniędzy.

- To byłby prezent od nas, wymierne podziękowanie.

- Miło z pana strony, ale naprawdę nie trzeba.

- Abby, myślę, że nie zorientowała się pani, jak istotną wartość ma dla nas pani pomoc. Nie jesteśmy ubogą instytucją dobroczynną, stać nas, by pani dobrze zapłacić.

- Wiem, ale to moje ostatnie słowo.

- W interesach proszę nigdy nie mówić ostatniego słowa. Przy wszelkich negocjacjach powinna pani zostawiać sobie zawsze pole manewru. Proponuję, żeby pani zastanowiła się jeszcze nad naszą propozycją - powiedział i spojrział na zegarek. - Przepraszam, czas na mnie, spieszę się na samolot. Jestem umówiony na kolację z naszymi dostawcami w Sewilli.

- Malcolm, przykro mi, że mam dla pana złe wieści, ale połączenia lotnicze z Hiszpanią zostały zawieszono: strajk pracowników odprawy bagażowej.

- Rzeczywiście, coś o tym słyszałem, ale, hm, on nas nie dotyczy. Widzi pani, mama Daniela i ja... mamy prywatny odrzutowiec - przyznał z pewną nieśmiałością. - Startujemy i lądujemy na małych lotniskach, które nie są objęte strajkiem.

- Och, jestem pod wrażeniem! Fajnie byłoby mieć własny samolot. Polecieć sobie to do Rzymu, to do Cannes, do Stambułu... - przerwała, ponieważ przez głowę przeleciała jej błyskawicznie pewna myśl. - O Boże! Skoro ma pan prywatny odrzutowiec i nie musi się przejmować strajkiem, mógłby pan...

- Tak?

- O rany, aż boję się zapytać... OK, jest sposób, w jaki mógłby pan mi się odwdziżyć.

- Zamieniam się w słuch.

- Widzi pan, mam zamówiony ładunek lawendy, który czeka i więdnie na plantacji na Majorce... - wyjaśniła szczegóły lawendowej afery rozpętanej przez kaprys pana Takahashiego.

- Proszę uznać sprawę za załatwioną. Znam Fudo Takahashiego, to nieznośny stary tyran. Prowadziłem z nim wspólne interesy, zanim przeszedłem do S&M. Koszmarny człowiek. Lepiej mu się nie narażać. Powiem pilotowi, żeby odebrał transport lawendy. Wylatujemy z Hiszpanii jutro rano, kwiaty powinny być do odbioru w południe: lądujemy na małym lotnisku w Cotswolds, zostawię polecenie, by załadowano je do furgonetki i dostarczone po południu do mieszkania pana Takahashiego.

- Nie wiem, jak panu dziękować! - zawołała i zanim wpadła na lepszy pomysł, skoczyła na drugą stronę lady i uściskała sir Malcolma.

- Nie ma za co - wysapał - cieszę się, że mogę coś dla pani zrobić. Proszę wysłać mejla z adresami miejsca odbioru na

Majorce i apartamentu Takahashiego na ten adres - podał jej wizytówkę.

ABBY Z MIEJSCA zadzwoniła do Martina.

- Nie wierzę! To fantastycznie! Co za genialny zbieg okoliczności, że sir Malcolm akurat dziś wybiera się do Hiszpanii! Powiem Ichi, żeby był w mieszkaniu jutro po południu. To już drugi cud, który nam się przytrafił. Najpierw odzyskałem Debbie Harry, a teraz Ładne Kwiatki uratowane! Nieszczęścia chodzą parami, a szczęścia trójkami - tak mówi przysłowie, więc może wyjdziecie z Danem na prostą?

- Po tym, co mi zrobił, nie widzę dla nas szans.

- Może i słusznie?

Ledwie Abby się rozłączyła, zadzwoniła komórka. Pomyślała, że to Dan, postanowiła więc nie odbierać, ale sprawdziła pocztę głosową i okazało się, że to mama. „Kochanie, wieczorem wylatujemy z Nowego Jorku. Będziemy w Londynie jutro, około południa, ale proszę, nie zwracaj sobie głowy i nie wyjeżdżaj po nas na lotnisko, weźmiemy taksówkę”. Abby odzwoiła natychmiast, żeby powiedzieć, że oczywiście wyjedzie po rodziców, bardzo się za nimi stęskniła i nie może po prostu się doczekać, kiedy ich zobaczy.

- A my tęskniliśmy za tobą, żabeczko. Mamy tyle do opowiedzenia, że nie wiem, od czego zacząć. A co u ciebie, jak Toby?

- A... zdrowy... - Abby obawiała się tego pytania.

- Musimy wreszcie zabrać się do ślubnych przygotowań. Chcielibyśmy z tatą zaprosić Toby ego i lady Penelope na kolację w przyszłym tygodniu.

- Najlepiej, mamo, porozmawiamy o tym, kiedy się zobaczymy.

- Dobrze. Wydajesz mi się jakaś smutna, czy coś się stało?

- Nie, tylko mam mnóstwo pracy, przygotowuję dekoracje na jutrzejsze przyjęcie u japońskiego potentata.

- Rozumiem, kochanie, nie będę ci w takim razie dłużej przeszkadzać. Do jutra!

Abby nie mogła spać w nocy. Przewracała się z boku na bok i zamartwiała, że jutro coś pójdzie nie po jej myśli i dostawa lawendy nie dotrze na czas. Potem zaczęła niepokoić się o resztę roślin. Co będzie, jeżeli z jakiegoś powodu nie trafią do apartamentu?

Kiedy wreszcie zasnęła, męczyły ją koszmary pełne połamanych gałązek kwitnącej wiśni i zwiędłych piwonii. Obudziła się o dziewiątej i jej pierwsza myśl dotyczyła Daniela. Dokonała strategicznego zwrotu o sto osiemdziesiąt stopni: wydzwania do niej, chce porozmawiać - proszę bardzo. Czowała, że jej dawna energia i jasność myśli powracają. Jeżeli Jego Wysokość Książę

żę d'Anjou Jonelle Bergerac Chipault chce wiedzieć, co ona o nim myśli, proszę bardzo. Najlepiej powie mu to prosto w twarz.

Teraz, zaraz.

W drodze do Camden Town Abby przećwiczyła w myślach swoje wystąpienie. Niech wie, jaki z niego zakłamany, zdradliwy podlec. Wykrzyczy Cinders - o ile ją zastanie - że jest wyrachowaną, samolubną drapieżną bestią, która idzie po trupach, by tylko zaspokoić swoje chwilowe kaprysy. Nagada obojgu tak, że opadnie im szczeka, a ona zostawi ich stojących z rozdziawionymi gębami i pójdzie sobie, dumna i blada.

Nacisnęła dzwonek i nic. Pewnie śpią albo jeszcze gorzej. Nacisnęła znowu. I znowu. Jeżeli nie ma ich w domu, to znaczy, że są u Cinders. Jaki to adres? Nie mogła sobie przypomnieć, choć słyszała dziesiątki razy, jak Katie podawała go przeróżnym dostawcom, na przykład ziół do kuracji oczyszczającej.

Dom w Notting Hill wyglądał dokładnie tak, jak go sobie wyobraziła: biała willa w stylu wiktoriańskim o ładnych łukowo zwieńczonych oknach i balkonach z ozdobną metalową balustradą. Zaparkowała na miejscu zarezerwowanym dla mieszkańców. Wlepią jej mandat - trudno. Idąc w kierunku domu, zauważyła, że ktoś rozsuwa zasłony w salonie. Cinders. W czarnym jedwabnym kimonie, z włosami upiętymi z tyłu głowy. Tuż za nią zamajaczyła męska postać. Nie przyjrzała się dokładnie, lecz oczywiście musiał to być Dan. Tym razem nie miała zamiaru uciekać. Wspięła się na kilka schodków, złapała za ozdobną mosiężną kołatkę i zdecydowanie nią zapukała.

Otworzyła jej filipińska pokojówka, miała najwyżej półtora metra wzrostu.

- Dzień dobry, przyszedłam do Cinders - oznajmiła Abby, zręcznie ją wyminęła i wtargnęła do środka. Wmaszerowała prosto do salonu, gdzie aktorka i Dan tulili się do siebie przed bużującym ogniem na kominku. Dan ubrany był w biały szlafrok frotte, w którym wydawał się wyższy niż zwykle.

- Ojej, kto to, co to? - pisnęła przerażona Cinders i skoczyła jak oparzona.

- Nie tak nerwowo, panno mam-w-dupie-resztę-świata-i-tak-dostanę-co-chcę.

- Abby, błagam, przestań...

Dziewczyna zwróciła się teraz ku Danowi. Chciał, niech ma.

- Proszę, teraz znalazłam dla ciebie czas. Co masz do powiedzenia na swoją obronę? - zapytała i spojrzała mu wyzywająco prosto w twarz. Zamrugnęła. Przetarła oczy niczym postać z

kreskówki, w nadziei, że mężczyzna przepoczwarzy się na powrót w oczekiwaną postać. Nic takiego się nie stało. Zrobiło jej się słabo.

- Ojej, to pan!

Zabójczo przystojny facet o ciemnych włosach chrząknął niewyraźnie.

- To jest właśnie ta Abby? - zapytał Cinders głosem z mocnym amerykańskim akcentem.

- Ta właścicielka kwaciarni?

Aktorka przytaknęła skinieniem głowy.

- Jak się masz, moja droga, co za spotkanie. Nie będę wam przeszkadzał, pójdę na górę i wezmę prysznic.

Abby zapragnęła, by ziemia się rozstała i ją pochłonęła.

- O Boże... Liam, przepraszam, panie Heggarty... co ja narobiłam? To okropne, wzięłam pana za kogoś innego. Nie wiem, co powiedzieć...

- Nic nie szkodzi. - Uśmiechnął się i skierował ku drzwiom.

- Uwielbiam pana filmy! - zawołała za nim. - Uważam, że śpiewa pan lepiej od Hanka Reno...

Liam zamknął za sobą drzwi. Abby zaczęła przeproszać Cinders.

- Jak mogłam tak się pomylić? Nie rozumiem. Chyba że... chodzisz i z Liamem, i z Danem jednocześnie? - dodała z diabolicznym błyskiem w oku.

- Broń Boże, Abby, przestań, oczywiście, że nie. Przyjaźnimy się z Danem od lat, to tylko przyjaźń, nic więcej. Nie obraż się, kochanie, ale uważam, że Dan to nie do końca, hm, moja liga, rozumiesz, co mam na myśli?

- Ale przecież tamtego wieczoru u Dana w mieszkaniu słyszałam, jak mówisz, że chcesz być z nim i powinien mi powiedzieć prawdę o waszym związku?

- Nie zauważyłaś, że rozmawiałam wtedy przez telefon? Z Liamem. Kupiliśmy dom w Hollywood i zatrudniliśmy dekoratorkę wnętrz, która okazała się beznadziejna, próbowałam go przekonać, by ją z miejsca wyrzucił.

Abby osunęła się na zabytkowy aksamitny szeszlony i poczuła, że za chwilę zemdleje, co będzie zapewne w stylu pierwszej właścicielki mebla.

- Ale namieszałam!

- Żebyś wiedziała. Po pierwsze: Dan jest niepokieszony. Próbowałam podnieść go na duchu, tłumaczyć, że to tylko nieporozumienie i że chętnie ci je wyjaśnię, ale odpowiedział mi, że sam musi to zrobić. Mogłaś przynajmniej odbierać telefony!

- Byłam strasznie zła, dlatego nie miałam ochoty z nim rozmawiać. Przepraszam, Cinders, zrobiłam z siebie kompletną idiotkę. Wytłumaczysz to Liamowi?

- Dobrze, ale przede wszystkim porozmawiaj z Danielem.

Abby wyjaśniła, że była u niego pod domem, dzwoniła, ale nikt jej nie otworzył.

- Mówił mi, że wraca w sobotę wieczorem. Może wyskoczył po gazetę?

ABBY PRÓBOWAŁA dodzwonić się do niego na komórkę, ale właściciel ją wyłączył lub był poza zasięgiem. Spojrzała na zegarek. Rodzice lądują na Heathrow o dwunastej. Musi już jechać na lotnisko, stamtąd ponownie spróbuje zadzwonić.

Na M4 ruch utrudniały roboty drogowe, zrobił się niewyobrażalny korek. Rozładował się trochę na autostradzie, ale i tak dotarła na lotnisko o pół godziny za późno. Zaparkowała w miejscu przeznaczonym na krótki postój i pobiegła do hali przylotów. Na szczęście samolot miał opóźnienie, wylądował dopiero dwadzieścia minut temu. Jean i Hugh z pewnością sterczą jeszcze przy taśmie w oczekiwaniu na bagaż. Podeszła ku barierce oddzielającej wyjście z hali odpraw. Stała tam grupka kamerzystów i dziennikarzy. Abby pokręciła głową z dezaprobatą, jednak gdzieś w środku miała ochotę zawołać do ludzi czekających na krewnych i znajomych pasażerów: „Wiecie, na kogo czekają? Na moją mamę!”.

Thunek wychodzących z odprawy powiększał się, Abby najpierw dojrzała pośród niego tatę, ubranego w sportową kraciatą kurtkę i bejsbolówkę White Socks z Chicago. Pchał wózek z bagażami, na wierzchu leżał metrowy model Empire State Building w kolorze różowym. Jean szła kilka kroków za nim. Miała na sobie granatowy rozpinany sweter i beżowe spodnie, jej fryzura i makijaż były nieskazitelne. Wyglądała na spokojną i pewną siebie osobę, nie jak Jean Crompton, gospodyni domowa z Croydon, raczej gruba ryba ze świata biznesu.

- To ona! - zawołał jakiś operator, a stado dziennikarzy jak jeden mąż rzuciło się ku Jean z pytaniami: „Jak czuje się pani w ojczyźnie?”, „Hugh, czy jest pan dumny ze swojej żony?”, „Czy prawdziwe są pogłoski, że ma pani w planach karierę polityczną?”.

Abby próbowała dopchać się do rodziców, ale nie miała na to szans, stanęła więc i zaczęła wymachiwać rękami. Nie widzieli jej ani nie słyszeli. Mama uśmiechała się do kamery i zachowywała wobec dziennikarzy tak naturalnie, jakby nic innego w życiu nie robiła.

- Proszę uzbroić się w cierpliwość, zapraszam na konferencję prasową, która odbędzie się za pół godziny w sali konferencyjnej na pierwszym piętrze. Do tej chwili potrzebuję trochę prywatności, muszę przywitać się z córką, która gdzieś tu powinna już być.

- Mamo! Tu jestem! - Kamery i dziennikarze zareagowali natychmiast na okrzyk Abby.

- Cieszy się pani, że rodzice wrócili cali i zdrowi?

- Jeszcze jak.

- Czy widziała pani mamę w programie Oprah Winfrey?

- Nie, ale nie mogę się doczekać, by zobaczyć go na DVD.

- Czy obawiała się pani o stan zdrowia rodziców podczas buntu na Bantry?

- Cały czas, ani na chwilę nie przestawałam się zamartwiać.

Abby uściskała najpierw mamę, potem ojca, co gorliwie sfilmowano. Córka płakała, płakała Jean. Nawet Hugh spociły się oczy.

- Abby, nareszcie! Tak bardzo się za tobą stęskniliśmy! - szlochała mama.

W tym momencie jak spod ziemi wyrósł przy nich pracownik lotniska i zapowiedział, że zaprowadzi całą trójkę do sali konferencyjnej. Dziewczyna spojrzała na zegarek.

- Tato, nie wspominałeś nic o żadnej konferencji prasowej. Nie wiem, czy się wyrobię, myślałam, że zawiozę was prosto do domu. Przygotowuję dekoracje na ważne przyjęcie, muszę być na miejscu za kilka godzin, wiesz, ile czasu to zajmuje...

Jean wytłumaczyła, że oni także nic nie wiedzieli, dopiero na lotnisku JFK zadzwonił do niej jej londyński agent z informacją.

- Co takiego? Masz agenta?

- Nawet dwóch, amerykańskiego i brytyjskiego. Czuję się jak mąż Madonny. - Ojciec się uśmiechnął.

- Daj spokój. - Jean zachichotała i dźgnęła męża pod żebro. - Jest ze mnie taki dumny - pochwaliła się córce.

- Mam powód.

Urzędnik starał się zamaskować niecierpliwość zdawkowym uśmiechem, co nie umknęło uwagi Jean. Pospieszyła męża. Abby ledwie zdążyła pocałować ojca na pożegnanie, a mama obiecała, że dołączy do niego za kwadrans.

- Chodź - rzuciła w stronę córki. - Znajdziesz przecież czas na szybką filiżankę kawy?

Abby zdała sobie sprawę ze zmiany w sposobie bycia mamy. Jej ton nie był niepewny i proszący jak zwykle.

- Jasne. - Uśmiechnęła się.

Jean wzięła córkę pod ramię i różnym krokiem poprowadziła do Starbucksa. Trzymała się prosto, podbródek wysunęła do przodu. Abby zamówiła duże cappuccino. Mama poprosiła o półsojowe, półbeztłuszczowe frappuccino, z kawy jawańskiej, wzmocnione.

- Och, i poproszę odrobinę bitej śmietany na czubek.

- Rany, mamó, Amerykanka się z ciebie zrobiła!

- Bo ja wiem... odmieniły mnie raczej przejścia na statku. Nauczyłam się domagać tego, czego chcę. Pamiętasz historyjkę, którą czytałam ci, kiedy byłaś mała? Tę o myszy, co ryknęła? Trochę tak właśnie się czuję.

- Zmieniłaś się. Twój język ciała, te pewne i szybkie ruchy, nigdy cię takiej nie widziałam.

Jean wzięła córkę za rękę.

- Bez paniki, żabko, nadal jestem twoją własną, starą mamą. Tak naprawdę wcale się nie zmieniłam, to raczej coś, co ukrywałam w sobie głęboko, wydostało się na powierzchnię. Nie chcę się teraz nad tym rozwodzić, ale mój ojciec skrzywdził mnie, kiedy dorastałam. Zrobił ze mnie przestraszone, zahukane popychadło, które nie miało odwagi powiedzieć: sio! do gęsi. Przez lata z pomocą Hugh próbowałam walczyć o odrobinę pewności siebie, ale nie zdawałam sobie sprawy, ile jest we mnie powstrzymywanego gniewu i jak bardzo potrzebuję, by go z siebie wyrzucić. Bunt na Bantry zadziałał niczym katalizator - kiedy właściciele odmówili zadośćuczynienia, czułam, że eksploduje we mnie prawdziwy wulkan.

- Może rzeczywiście tak się stało? - podsunęła myśl Abby.

- I jeszcze coś. Nigdy nie stanowiłam dla ciebie wzoru do naśladowania.

- Mamó, przestań, co ty opowiadasz, zawsze uważałam cię za wspaniałą osobę...

- Jak? Jakim cudem? Całymi dniami siedziałam w domu, gotowałam, prasowałam, wychodziłam tylko do klubu pań, to wszystko. Nigdy niczego nie robiłam. Nigdy niczego nie osiągnęłam.

- Wychowałam mnie.

- Wiem. - Jean poklepała Abby po ręce. - I dziękuję. Zawsze byłam z ciebie dumna, ale chciałabym, abyś i ty nie musiała się za mnie wstydzić.

- Jak to? - Oczy Abby napełniły się łzami. - To ja zawsze byłam z ciebie dumna! Przecież nie poszłaś do pracy, żeby właściwie się mną zająć. Za każdym razem, kiedy cię potrzebowałam, mogłam na ciebie liczyć. Pamiętasz, jak pierwszego dnia bałam się pójść do szkoły i przez całą drogę razem śpiewaliśmy „Wpadł pies do kuchni i porwał mięsa ćwierć?”, jak przepyty-

wałaś mnie z tabliczki mnożenia w kolejnych klasach? Zawsze miałam najlepszy kostium na szkolnych przedstawieniach - pamiętasz, jak grałam trawę w *Trzech małych świnkach* i całymi tygodniami utykałaś zieloną rafię w gąbce? A kiedy okropna Hayley Saunders powiedziała, że nie chce być już moją przyjaciółką, nastraszyłaś ją, robiąc jej wykład o złej karmie. Wiele lat później opowiedziała mi, że myślała, że karma to jakiś osobnik, który przyjdzie i ją dopadnie. Nie wyobrażam sobie lepszej mamy.

- Dziękuję, kochanie, to, co mówisz, wiele dla mnie znaczy - Wyznała Jean i zamieszała łyżeczką śmietaną na frappuccino - ale widzisz, kiedy zaczęłam organizować protest, wydało mi się, że robię coś, z czego wreszcie możesz być dumna.

- Mamo, tak naprawdę chodzi nie o moje uczucia, ale o twoje. Po raz pierwszy w życiu nabrałaś do siebie szacunku, i to się liczy.

- Wiesz co? Masz rację, nareszcie poczułam, że sprzeciwiam się mojemu ojcu, że wspomnienie o nim przestaje mnie przytłaczać.

- Świetnie. A jak przedstawiają się twoje dalsze plany?

- Och, jutro występuję w programie *Richard & Judy*, do tego udzielę wywiadów kilku czasopismom. Paru wydawców sugerowało mi, żebym napisała książkę o buncie na Bantry. Mam kilka zaproszeń na pogadanki. Ale tak naprawdę, kiedy cały ten zgiełk ucichnie, chciałabym skończyć odpowiedni kurs i zostać trenerką asertywności.

- Fantastycznie! - Abby aż klasnęła. - Będiesz w tym świetna, to doskonałe zajęcie dla ciebie.

- Hm? Mnie też tak się wydaje.

Kiedy skończyły się śmiać, Jean zainteresowała się, jak córka dawała sobie radę podczas jej nieobecności.

- Czy coś się stało, jesteś jakaś markotna?

- To długa historia, opowiem ci w domu - wykręciła się i wzięła głęboki oddech. - Zerwałam z Tobym.

- Dobry Boże, dlaczego? - Jean popatrzyła na córkę ze zdziwieniem.

- Mamo... Bo on jest gejem.

- Gejem? Nie rozumiem.

- Homoseksualistą. Zdradził mnie z mężczyzną.

- Abby, ja wiem, co to znaczy gej, nie musisz mi wyjaśniać. Nie rozumiem tylko, jakim cudem poprosił cię o rękę, skoro woli mężczyzn.

- Ze strachu, bał się przyznać.
- Potrzebował zasłony dymnej? Abby skinęła głową.
- Dupek! Jak śmiał!
- Mamo! Ty nigdy w życiu nie używałaś takich wyrazów!
- Wiem, ale powoli się uczę, to wszystko przez stres na Bantry. Tata nie lubi, kiedy kobiety przeklinają, ale ja muszę przyznać, że to całkiem przyjemne. Daje poczucie wyzwolenia.
- No tak, chciałam ci jeszcze powiedzieć, że zaczęłam spotykać się z kimś innym, ale się pokłóciliśmy. Przekonałam się, że z mojej winy, i muszę teraz naprawić to, co zepsułam.

Jean dostała SMS.

- Muszę lecieć! Konferencja się zaczyna, czekają na mnie. Wstały i mama objęła córkę.
- Przykro mi, że spotkały cię takie rozczarowania. Musiałaś czuć się okropnie i bardzo żałuję, że mnie przy tobie nie było.
- Dałam sobie radę, Martin i Sophie bardzo mi pomogli. Lepiej już idź, porozmawiamy jutro na spokojnie.
- Dobrze. I życzę powodzenia w godzeniu się z nowym chłopakiem.
- Dzięki, mamo. I pamiętaj, że jestem bardzo, bardzo, ale to bardzo z ciebie dumna. - Objęła Jean i uściskała ją ze wszystkich sił.

W DRODZE POWROTNEJ Abby próbowała dodzwonić się do Daniela, ale ani komórka, ani telefon stacjonarny nie odpowiadały. Kiedy dotarła do mieszkania pana T., Ichiro, w tunice ze srebrnej lamy i wąziutkich džinsach, już na nią czekał. Ucałowali się na powitanie, po czym uspokoił ją, że kwiaty bezpiecznie dotarły, a wszystko wygląda imponująco.

- Powkładałem rośliny do wiader i wazonów, tak jak kazałaś. Zabrakło naszych, musiałem pożyczać od sąsiadów. - Wskazał na rząd pojemników wypełnionych kwiatami, które kazał ustawić wzdłuż ściany. Abby podeszła, by przyjrzeć im się z bliska. Kwiaty lotosu i różowe piwonie były w pełni rozkwitu, a gałązki wiśni obsypane maleńkimi, białoróżowymi kwiatkami o płatkach jak z papieru. Jej dostawcy tym razem przeszli samych siebie. Z zewnątrz dochodził boski zapach lawendy. Abby natychmiast, z energią zabrała się do pracy. Podczas gdy Ichiro zawieszał latarnie, ułożyła z gałązek wiśni kaskady, które zdawały się spływać z wielkich, stojących na podłodze waz. Wypożyczyła je specjalnie do tego celu. Następnie zabrała się do piwonii. Wstawiła je do przezroczystych, szklanych flakonów - każdego innej wielkości i kształtu

- i ustawiła wszystkie na steinwayu. Drzewka bonsai umieściła na niewielkich stolikach i komodach.

Dwie godziny później fontanna szemrała cichutko nieopodal pagody, a woda z niej wpływała do miniaturowego strumyka. Abby spojrzała w sufit i wyszeptała bezgłośnie życzenie, by instalacja naprawdę okazała się wodoszczelna.

- O Boże, jakie to fantastyczne! - zachwycił się Ichiro.

- Zgadzam się - odezwał się głos znikąd. Słyszając go, Abby i jej towarzysze aż podskoczyli.

Pan Takahashi wmaszerował do mieszkania i nieubłaganie zbliżał się do nich. Zignorował asystenta, widać było, że wciąż jest na niego wściekły za wypowiedzenie.

- Panno Crompton, bardzo ładnie. Polecę panią znajomym. Lubię duże piwo-nie? Powiem wszystkim, że ma pani duże...?

- Panie Takahashi, może... może to nie jest najlepszy pomysł?

- No to nie. - Mrugnął porozumiewawczo, a Abby pomyślała, że nie wierzy własnym oczom. Następnie zwrócił się do Ichiro, warknął coś po japońsku i zniknął.

Prawie natychmiast rozległ się dzwonek domofonu. Chłopak pobiegł otworzyć.

- Halo? Kto? Dan? Nie wiem, kto ci powiedział, że Abby jest tutaj, ale zapewniam cię, że nie zechce cię widzieć.

Ta skoczyła i wyrwała mu słuchawkę.

- Chcę, wchodź, Dan, jesteśmy na samej górze - oznajmiła i wcisnęła guzik otwierający bramę.

- Robisz mi wodę z mózgu. Myślałem, że wyjaśniliśmy wtedy w stołówce przed rozprawą, że ten facet to skończony palant. A teraz co? Mówię ci, Abby, idziesz w zaparte. To częsty fenomen u zdradzanych, poniewieranych kobiet. Nie wolno ci! Musisz od niego odejść, tak jak ja odchodzę od pana Takahashiego. On się nie zmieni, nie łudź się!

- Nie przejmuj się, mój drogi. Zaszła pomyłka, z mojej winy, Dan wcale nie jest taki, jak myślisz.

- Kochanie, tak mówią wszystkie ofiary toksycznego związku, biorą winę na siebie. Spójrz na mnie: pan T. wymyślał mi, a ja wierzyłem, że sobie na to zasłużyłem. Teraz wiem, że tak nie jest, a ty musisz przyzwyczaić się, aby nie winić siebie samej za zdradę partnera. To on i tylko on musi wziąć odpowiedzialność za swoje podłe zachowanie, nie zajmuj się jego problemem. Moje biedactwo! Najlepiej będzie, jak go nie wpuszczę.

- Zabraniam ci! Wszystko ci później wytłumaczę, słowo. Musisz mi uwierzyć, to naprawdę pomyłka. Dan nigdy mnie nie oszukał. U-wierz-mi!

- Abby, nie wmawiaj sobie. Ten facet to dwulicowy drań. Nie będzie ci wierny, musisz się od niego uwolnić, wysłuchaj mnie! Złość się, wyżyj się na mnie, jeśli chcesz, wrzeszcz, płacz, ale mnie wysłuchaj. Możesz nawet zaśpiewać dobrego starego bluesa, jeśli ci to pomoże.

Na dźwięk dzwonka dziewczyna zaczęła błagać Ichiro, by otworzył drzwi.

- Dobra. Jak chcesz - powiedział i powitał Dana kamiennym wyrazem twarzy, gość jednak nie zauważył tego, podbiegł do Abby i ją objął. Zaczęli się całować jak wariaci, bez tchu. Ichiro zrobił zdegustowaną minę, wymruczał coś z dezaprobatą, lecz nie ruszył się z miejsca. Dziewczyna pomyślała, że Japończykiem powoduje ciekawość, ewentualnie obawa, że Dan może zachować się agresywnie, lecz nie miała zamiaru go o nic pytać. Ani niczego wyjaśniać. Wzięła Dana za rękę i zaprowadziła na taras, po czym zasunęła za nimi drzwi.

Na zewnątrz było już ciemno i zimno. Mężczyzna zdjął kurtkę i okrył nią ukochaną.

- Rozmawiałem z Cinders. Wspomniała, że do niej zajrzałaś.

- Raczej wtargnęłam bez pytania. Liam na mój widok stanął jak wryty. Kiedy wyszedł, Cinders wyjaśniła, co wydarzyło się tego wieczoru, że źle odebrałam jej słowa. Nie wiedziałam, gdzie oczy podziać. Zachowałam się bardzo głupio, zrobiłam z siebie debilkę do kwadratu.

- Och, to ze złości. Wyobrażam sobie, że jak usłyszałaś nas wtedy w mieszkaniu, musiałaś przeżyć szok - to jakby powtórka historii z Tobym i Christianem. Szkoda, że nie pozwoliłaś mi wtedy wyjaśnić.

- Wiem, powinnam była przynajmniej odbierać telefony, ale nie potrafiłam się na to zdobyć; byłam na ciebie taka wściekła!

Przerwała.

- Skąd wiedziałeś, gdzie mnie znaleźć?

- Stokrota powiedział mi przez telefon. Nie bój się, nie chciał cię wydać, wymknęło mu się niechcący. Tak przeżywa powrót Debbie Harry, że sam nie wie, co mówi.

- Nieważne, całe szczęście, że się dowiedziałeś. Próbowałam się do ciebie dodzwonić, ale miałeś wyłączoną komórkę.

- Bateria. Zapomniałem naładować ją wczoraj wieczorem. Wiesz co? Dopiero po tym, jak mi powiedziałaś, że nie chcesz mnie więcej widzieć, zrozumiałem...

- Że co?

Podszedł bliżej. Stanął tak blisko, że niemal stykali się czołami i nosami.

- ...że się w tobie zakochałem. Myślę, że stało się to w chwili, kiedy wtedy w windzie podałem ci papierową torebkę, żebyś w nią oddychała i nie dostała hiperwentylacji.

- A ja w tobie, kiedy odkryłam, że nabrałeś mnie z blokerami przeciwapadkowymi Białystocka i oscylatorem typu Ulla.

- Byłem dumny ze swojej przytomności umysłu. Wytrzymasz ze mną, mimo że jestem bogaty?

- Dan, zrozum, moje kłopoty z Tobym nie wynikały z jego statusu materialnego, nie mogłam znieść jego przekłętą snobizmu i grubiańskich znajomych. Ty jesteś najbardziej bezpretensjonalnym, niezepsutym facetem, jakiego w życiu spotkałam. Twój ojczym też wydaje się fajny. Rozumiesz? Oczywiście, że nie mam nic przeciwko temu, że jesteś bogaty.

- Tata opowiedział, że zajrzał do twojej kwaciarni i że jedynym wynagrodzeniem, jakiego sobie zażyczyłaś, był transport lawendy z Majorki do Londynu.

- Sir Malcolm uratował mi skórę. Gdyby zabrakło lawendy, pan T. uwziąłby się na mnie i zdyskredytował moją firmę w oczach wszystkich poważnych klientów, a po czymś takim mogłabym zwijać kramik.

- Wyobrażam sobie. Musiałaś być przerażona! Jeszcze tego ci brakowało!

- Jakoś to wytrzymałam, na szczęście wszystko się dobrze kończy.

- À propos, mam wiadomość.

- Dobrą?

- Załatwiłem dystrybucję *Bukietu* na cały kraj.

- To fantastycznie! Sensacja! - zawołała i rzuciła mu się w objęcia. - Taka jestem z ciebie dumna!

- Wiesz, że spieszyliśmy się jak wariaci, żeby jak najszybciej zakończyć montaż. Udało się i natychmiast zawiozłem gotowy materiał dystrybutorom: dlatego byłem nieosiągalny przez kilka dni. Pojechałem do prezesa do jego rezydencji w Cotswolds. Film bardzo mu się spodobał.

- To znaczy, że zostanie hitem?

- Gwarancji nie ma, na pewno Cinders w roli głównej pomoże... Bez niej by mi się nie udało.

- Boże, muszę się przed nią jakoś zrehabilitować.

- Nie martw się, poradzi sobie, a poza tym ma mnóstwo spraw na głowie, zwłaszcza teraz.

- Wyobrażam sobie.

- Wracając do tematu: skoro nie przeszkadza ci, że jestem bogaty, nie będziesz miała nic przeciwko wycieczce do Rzymu w przyszły weekend. Odrzutowcem taty?

- Ładne kwiatki... pozwoli ci pożyczyć?

- Pozwoli mi pilotować.

- Co? Czy ja się przesłyszałam?

- Nie, jestem także pilotem i przysięgam, że to mój ostatni sekret.

- Na *Bukiet* i Ładne Kwiatki?

- Niech splajtują, jeśli kłamię.

- W takim razie wiesz co? Uważam, że piloci są bardzo seksowni.

- Spodziewałem się, że to powiesz.

Przyciągnął ją do siebie. Pośród migotliwych japońskich lampionów, odurzeni zapachem lawendy pocałowali się jeszcze raz. Poniżej, w dole, miasto lśniło jak szkatułka pełna klejnotów. W salonie Ichiro gorączkowo chodził w tę i z powrotem, wykrzykując coś do telefonu.

- Marty, jak to, puknij się w czołko, no w życiu, nie rozumiesz, co tu się dzieje? Dziewczynie odbiło! Zamknęła się z gościem na tarasie i pozwala mu się obślinać... Oczywiście, idzie w zaparte, to typowy symptom ofiary... potrzebuje pomocy... oczywiście, że trzeba z grubej rury... tak, zadzwonię do mojego psychoanalityka w Santa Monica...

